

MAGIA WYMYKA SIĘ SPOD KONTROLI.
CZY OKIEŁZNA JĄ ZWYKŁA DZIEWCZYNA Z NIEZWYKŁYM DAREM?



AUTORKA *PAPIEROWEGO MAGA*

CHARLIE N. HOLMBERG

Spellbreaker

CHARLIE N. HOLMBERG

Tłumaczenie: Helena Komar



Spis treści

Prolog

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Copyright © by Charlie N. Holmberg, 2020

Projekt okładki i ilustracje: Micaela Alcaino
Przygotowanie okładki: Olga Bołdok-Banasikowska

Redaktor prowadząca dział young adult: Marta Orzechowska; morzechowska@grupazpr.pl
Redaktor nadzorująca: Anna Sperling
Tłumaczenie: Helena Komar
Redakcja: Agnieszka Łodzińska
Korekta: Mortensja de Lux, Joanna Misztal

Copyright © for the Polish edition by TIME SA, 2023
Wydawca: TIME SA, ul. Jubilerska 10, 04-190 Warszawa



Książkę możesz zamówić pod numerem telefonu:
22 590-55-50 lub na

viveo.pl

Więcej o naszych autorach i książkach:
facebook.com/hardewydawnictwo
instagram.com/hardewydawnictwo
tiktok.com/@harde.wydawnictwo

Dział sprzedaży i kontakt z czytelnikami: harde@grupazpr.pl

Wersję elektroniczną przygotowano w systemie Zecer

*Emily Schwarzmann,
potężnej Em'enterprise, która idzie pod wiatr w burzy,
tańczy przez prądy, chroni swoje plemię
i wykrzykuje MIŁOŚĆ z dachów.
Cofnij się, świecie, i usłysz jej ryk.*

PROLOG

Abingdon nad Tamizą, Anglia, rok 1885

Elsie nie zamierzała spalić przytułku.

Nie wspomniała o tym konstablowi, kiedy przyszedł przesłuchać ją i inne dzieci. W ogóle nic nie powiedziała. Nie chodziło o to, kto wzniecił pożar. Wszyscy wiedzieli, że to był Stary Wilson, którego bolały kłykcie, kiedy padał deszcz, a ciało z każdym rokiem drżało coraz bardziej. Upuścił lampę. Rozbił szkło. Rozlał naftę. Ale to nie dlatego dywan i ściany się zapaliły. To nie dlatego wielka bryła budynku gorzała za ich plecami na pomarańczowo i żółto, a dym szczypał Elsie w oczy.

Nie wiedziała, że piękna runa na ścianie była strażniczką ognia. Nie wiedziała też, że była ważna. Zwróciła na nią uwagę zarówno Betsey, jak i Jamesowi, ale żadne z nich nie widziało runy. Elsie chciała tylko jej dotknąć, prześledzić jej kontur palcem. A kiedy to zrobiła, runa pod jej dłonią zniknęła. Nie powiedziała o tym nikomu. Nie chciała pakować się w kłopoty. Nie chciała też, żeby wyrzucili ją z przytułku. To było miesiąc temu. Więc kiedy Stary Wilson upuścił lampę naftową, zabrakło magii, która powstrzymałaby ogień przed strawieniem całego budynku.

Elsie nienawidziła przytułku. Nie była więc zbyt zmartwiona, kiedy patrzyła, jak się rozpada, ale czuła się winna, że wszyscy zostali wyciągnięci z łóżek, że konstabl był taki niesympatyczny i że Stary Wilson będzie miał kłopoty.

Elsie nie wiedziała, dokąd ją teraz wyślą. Kolejny przytułek? Z nowymi osobami czy z tymi samymi? Jeden z chłopców obok niej zaczął płakać. Elsie nie wiedziała, co powiedzieć. Chciała pomóc, ale wyjawienie prawdy im by nie pomogło, a jej na pewno by zaszkodziło. Nie chciała im dawać powodu, żeby przestali ją kochać.

Odsunęła się. Policja kazała wszystkim pozostać na miejscu, ale ogień był tak gorący. Elsie nie odeszła daleko, tylko kilka kroków, a potem jeszcze kilka. Odwracając twarz w stronę cieni drzew za sobą, pozwoliła wilgotnemu powietrzu, które pachniało burzą, ochłodzić policzki. Wypatrywała kształtów w cieniu, kiedy czyjaś dłoń dotknęła jej ramienia. Wzdrygnęła się, pewna, że to konstabl, Betsey lub James chcą jej nagadać, że złamała runę... Ale kiedy się

odwróciła, zobaczyła ciemną postać, która stała obok, z twarzą zasłoniętą kapturem.

– Moja droga – usłyszała głos dochodzący spod kaptura. – Jak masz na imię?

Elsie przełknęła ślinę, gardło miała zaciśnięte. Zerknęła z powrotem na ogień, na krzyczących mężczyzn próbujących go opanować.

– Nie przejmuj się nimi. Jesteś bezpieczna. Jak masz na imię?

Elsie zajrzała pod kaptur, ale ciemność zasłaniała jakiegokolwiek rysy. Głos był cichy i kobiecy.

– E-Elsie. Elsie Camden.

– Jakie ładne imię. Ile masz lat?

Komplement ją zaskoczył.

– Je-jedenaście.

– Wspaniale. Chodź ze mną, Elsie.

Jej stopy poruszały się wolno.

– Zabierasz mnie do innego przytułku?

Kaptur zakołysał się na boki, odsłaniając cofnięty mięsisty podbródek.

– Nie, jeśli zrobisz, co mówię. Jesteś bardzo ważna, Elsie. Potrzebuję twojej pomocy, aby uczynić świat lepszym. Muszę wykorzystać twój wyjątkowy talent.

Elsie wbiła pięty w miękką ziemię. Wiedziała o tym. Wiedziała, że jest jedną z nich – łamaczką zaklęć – urodzoną z jednym rodzajem magii, a nie wyuczoną stu innych.

– Jeśli mnie zarejestrujesz, będę wiedzieć, że to zrobiłam – wyszeptła.

Dłoń na jej ramieniu zacisnęła się.

– Tak, będę wiedzieć i wpakujesz się w kłopoty. Pętla na szyi, bez wątpienia. Ale nigdy nie prosilibyśmy cię o zrobienie czegoś takiego. Pomożesz mi, a ja pomogę tobie. Zapewnimy ci bezpieczeństwo i nigdy nie będziesz marionetką rządu. Przed nami dużo dobrej roboty, słodka Elsie. Będziesz pomagać tym, którzy tego potrzebują, a nie tym, którzy mają władzę. No chodź, znam dobrą kryjówkę, a potem załatwimy ci coś do jedzenia. Co ty na to?

Żar ognia kłuł Elsie w skórę głowy. Była dla kogoś ważna? Ktoś jej potrzebował? Jej duch wydawał się przerastać ciało, rozkwitając jak dzika róża. Elsie uśmiechnęła się, a kobieta w płaszczu prowadziła ją dalej.

Elsie nigdy nie zobaczyła jej twarzy.

ROZDZIAŁ 1

Londyn, Anglia, 1895

Elsie ledwie słyszała w oddali dźwięk Big Bena. Czwarta. Wystarczająco dobry czas na łamanie prawa.

Ale kiedy prawo nie jest właściwe, czy łamanie go na pewno jest takie złe? Wymykając się zza rogu, Elsie wyjęła z kieszeni list. Chociaż Londyn znajdował się tylko o godzinę jazdy omnibusem lub powozem od jej domu w Brookley, nie znała tej konkretnej dzielnicy. Zwykle od razu paliła listy, ale bała się, że tym razem może się zgubić, jeśli nie weźmie go ze sobą. List dotarł do niej, mimo że nie został dostarczony pocztą. Jak zawsze nadawca się nie podpisał, chociaż mała pieczęć ptasiej łapy odcisnięta nad sierpem księżyca wystarczyła do identyfikacji. Kaptury. To oczywiście nie była ich prawdziwa nazwa, jednak Elsie nie wiedziała, jak inaczej ich określić. Nie widziała żadnego z nich, odkąd skończyła jedenaście lat, czyli dziesięć lat temu, ale utrzymywali z nią kontakt. Ostatnio częściej niż wcześniej. Albo świat się kończył, albo staczał, albo schodził na psy, albo byli o krok od prawdziwej zmiany i chcieli, żeby była jej częścią. Na początku przydzielali jej drobne zadania, raczej lokalne. Odczarowała niezniszczalny mur, magicznie ufortyfikowany wieki temu, który stał pośrodku pola uprawnego. Miejscowi rolnicy miesiącami pisali do swoich panów, prosząc o zdjęcie zaklęcia ze względu na położenie muru, ale to ona im pomogła. Niektóre z zadań, które jej początkowo powierzano, nie wymagały nawet podstawowych umiejętności łamania zaklęć. Dostarczenie koszyczków z chlebem do sierocińca było pierwszą próbą, która wyciągnęła ją z domu, i udało jej się wykonać to zadanie, gubiąc się tylko raz. W miarę jak doskonaliła swoje umiejętności, zadania, które otrzymywała, były coraz bardziej poważne i znaczące. Monety lub cukierki dostarczane jej od czasu do czasu razem z listami mówiły, że Kaptury są wdzięczne i że jest dla nich naprawdę cenna. Wracając myślami do terażniejszości, Elsie ponownie sprawdziła adres. Na rogu młoda kobieta sprzedawała róże z koszyka, a naprzeciwko niej był mały sklep z jasnoniebieskim szyldem, na którym widniał napis: „Czarodziej wszystkich zawodów”. Elsie przewróciła oczami – nie na śmiałość koloru, ale na pomysł bycia czarodziejem wszystkich zawodów. Takie miejsce odwiedziłby jedynie ktoś, kto potrzebowałby bardzo słabego zaklęcia lub nie miał pojęcia o magii. Bo

kiedy osoba uczyła się wszystkich czterech rodzajów magii, była bardzo słaba w każdym z nich, bez względu na poziom jej magicznych zdolności. Nie bez powodu ludzie się specjalizowali.

Nie żeby to dotyczyło Elsie. Specjalizacje były tylko dla twórców zaklęć.

Odwracając wzrok, przeszła przez następne skrzyżowanie. Ta dzielnica była tak duża, a uliczki tak kręte... Była pewna, że minęła właściwy zakręt, ale nie mogła zawrócić. Nie mogła zrobić nic, co wzbudziłoby podejrzenia. Schowała więc list z powrotem do kieszeni i spacerowała, ciesząc się słońcem, starając się nie myśleć za dużo o powieści, którą skończyła czytać tuż przed otrzymaniem ostatniej wiadomości. Och, ale trudno było nie myśleć o tajemnicy! Baron w przebraniu właśnie powierzył *mademoiselle* Amboise swój sekret, zupełnie nieświadomy tego, że jest zaręczona z jego wrogiem! Było tak wiele możliwości rozwoju fabuły, a autor w swoim okrucieństwie zakończył historię właśnie w tym momencie, zmuszając Elsie i tysiące innych do czekania na kontynuację. Gdyby to była powieść Elsie – co prawda nie była pisarką, ale gdyby nią była – wpakowałaby *mademoiselle* Amboise w jakieś kłopoty. Może z rozbójnikiem? Dama będzie zmuszona wyrzec się informacji, zanim mogłaby przekazać je nikczemnemu hrabiemu Neville'owi, tylko po to, by później dowiedzieć się, że rozbójnik był w rzeczywistości dawno zaginionym bratem barona i prawowitym spadkobiercą!

I pomyśleć, że musiała czekać kolejne dwa tygodnie, aby przeczytać, co stało się dalej.

Och, zaraz, to tu, ulica Jaskółcza. Spojrzała w górę na rzędy dużych budynków, myśląc o tym, ile rodzin zmieściłoby się w jednym z tych molochów, zanim ruszyła w dół ulicy. Kunsztowne wille po jednej stronie były strzeżone przez płoty z kutego żelaza, a budynki po drugiej otaczał wysoki ceglany mur. Z łatwością znalazła dom pana Turnera po ceglanej stronie ulicy. Miał trzy piętra i był biały, wyłożony granatowymi płytkami, z oknami na wszystkie strony. Czarne okiennice, niebieskie zasłony, duży wąż rosnący wzdłuż wschodniej strony budynku. Okazałe białe gzymsy, wykusze, wszystko, czego zamożny człowiek mógłby pragnąć. Ci ludzie nie chcieli, żeby biedacy włączyli się pod ich drzwiami, z całą pewnością. Elsie ukryła zmarszczone brwi, gdy zbliżyła się do końca ulicy, po czym skręciła w następną drogę i zawróciła, by podejść do domu Turnerów od tyłu. Pomimo ciasnej zabudowy miasta na tyłach osiedli nie stały kolejne rzędy budynków. Bogaci wymagali, aby ich ładne domy okalały ładne ogrody. Dzierżawcy pracowali na ich ziemi i płacili podatki bez zwykłego „dzięki!” rzuconego w ich stronę. Właśnie dlatego Elsie nie czuła się winna, łamiąc prawo.

Sprytniej byłoby zrobić to w nocy. Z pewnością włamywacz albo ktoś w stylu bohaterów jednej z jej powieści działałby pod osłoną nocy, ale Elsie była wolną kobietą, błąkającą się samotnie, nie musiała się więc zbytecznie fatygować, robiąc to po zachodzie słońca. Czasy się zmieniały, to prawda, ale umysły ludzi nie nadażały za tym.

Minął ją mężczyzna, uchylając kapelusza na powitanie. Elsie uśmiechnęła się i skinęła głową. Kiedy odszedł, Elsie dotknęła ceglanego muru otaczającego dom Turnerów, pozwalając, by jego chropowatość podrapała opuszki jej palców. Szukała jakichkolwiek śladów magii.

Kilka stóp przed nią runa zamigotała raz i zniknęła, jakby zawstydzona baczynym spojrzeniem dziewczyny. Fizyczne zaklęcie – ach, gdyby mogła je zobaczyć. Różne zaklęcia objawiały się jej na rozmaite sposoby. Mogła wyczuwać runy rozumowe, słyszeć runy duchowe i wachać czasowe. Fizyczne zaklęcia jednak lubiły być widziane. Były elegancikami magicznego świata.

Cechą wspólną wszystkich run była ich przypominająca węzły budowa. A przynajmniej Elsie lubiła myśleć o nich jako o węzłach. Podobnie jak węzły runy z czasem mogły się postrzępić. Im bardziej doświadczona ręka twórcy czar, tym trudniej było rozsypać węzeł. Te, które widziała – zaklęcia fizyczne – składały się ze światła i brokatu, jasne i podobne do precli, luźne, jeśli rzucający je mężczyzna był leniwy lub po prostu nie miał talentu. Aspektorzy przeważnie byli mężczyznami.

Na świecie były dwa rodzaje czarodziejów – ci, którzy tworzyli zaklęcia, i ci, którzy je łamali. Czarodzieje, zwani aspektorami, zapłacili królewski okup za zaklęcia, które wprowadzili w swoje ciała, co było kolejnym sposobem przynoszenia korzyści bogatym i pomijania albo lekceważenia biednych. Ale Bóg znalazł sposób, by przywrócić równowagę, był hojny dla drugiej strony – łamacze zaklęć rodzili się ze zdolnością do rozpraszania magii i nie kosztowało ich to ani grosza. Elsie nie potrafiła sama poradzić sobie z żadnym z czterech rodzajów magii, ale umiała wykrywać zaklęcia i rozplątywać je jak węzły. To zaklęcie było przyzwoicie związane, ale nie jakoś bardzo. Średnio zaawansowane fizyczne zaklęcie ukrywania. Maskowało drzwi, Elsie była tego pewna. Tak się złożyło, że pan Turner miał zwyczaj „gubienia” czynszu swoich najemców i zmuszania ich do płacenia drugi raz. Ludzie, których los był od niego uzależniony, z trudem wiązali koniec z końcem, podczas gdy on sam opływał w dostatki, wylegiwał się razem ze szlachtą i miał służących na każde zawołanie. To był ten rodzaj niesprawiedliwości, którym Kaptury często się zajmowały z pomocą Elsie. Ona odczaruje te drzwi, a Kaptury odzyskują pieniądze, które Turner ukradł. Bardzo robinhoodowsko z ich strony. A Elsie była Małym Johnem.

Wepchnęła dłonie w zakłęcie i pociągnęła za końce wężła. Było ich siedem i będzie musiała je rozwiązywać w odwrotnej kolejności. Na szczęście Elsie spotkała się już z tym rodzajem czaru. Będzie wiedziała, jak postąpić, gdy znajdzie wolny koniec. W ciągu kilku uderzeń serca zakłęcie zniknęło, a zawiasy ciężkich jak cegła drzwi stały się widoczne dla jej oczu.

– Kto tam idzie?

Serce podskoczyło jej do gardła. Odsunęła się od ściany, jakby ta ją ukłuła. Nie był to konstabl, lecz mężczyzna ubrany w spodnie i elegancką kamizelkę, ze złotym łańcuszkiem od zegarka zwisającym z jednej z kieszeni. Rozpoznając jego twarz na tle popołudniowego słońca, Elsie prawie pożałowała, że to nie konstabl.

Dziedzic Douglas Hughes zarządzał jej rodzinnym miastem. Brookley znajdowało się na tyle blisko Londynu, że spotkanie go tutaj nie było dla niej szczególnie dziwne, ale oznaczało pecha. Nie dlatego, że bała się rozpoznania – mimo że pracowała w jego domu przez rok, wątpiła, żeby ją sobie przypomniał – ale dlatego, że dziedzic Hughes był uosobieniem wszystkiego, czego nienawidziła. Był opryskliwy dla zwykłych ludzi i schlebiał arystokratom. Gromadził pieniądze i sprawował obowiązki dziedzica, kiedy to było dla niego wygodne, a kiedy nie – znosił je z najwyższą pogardą i nie próbował tego ukrywać. Zatykał nos, kiedy mijał rolników. Kiedyś nadepnął Elsie na stopę i nawet się nie zatrzymał, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku, nie mówiąc już o przeprosinach.

Należał do kreatur, z którymi walczyły Kaptury, chociaż jak dotąd tajemnicza grupa nie uważała go za wystarczająco ważnego, by podjąć przeciwko niemu jakieś działania, choć Elsie bardzo tego pragnęła. Jeśli Kaptury były Robin Hoodem, ten człowiek był księciem Janem.

Przybierając zrelaksowaną postawę, Elsie podeszła do niego, zamiast pozwolić jemu podejść do siebie. Nie chciała, żeby zauważył kontur drzwi w murze. Pan Turner był zamożnym człowiekiem i dziedzic Hughes mógł naprawdę zainteresować się tym, dlaczego Elsie węszy przy jego posiadłości.

Zagryzając wewnątrz policzka, dygnęła.

– Przepraszam, jeśli przeszkadzam. Pracuję dla kamieniarza, po prostu podziwiałam mur.

To było tylko półkłamstwo. Mężczyzna uniósł wypielegnowaną brew.

– Podziwiałaś mur? Z pewnością żartujesz – przyglądał się jej, ale nie zdradził się, że ją rozpoznał. Wydawał się raczej dezorientowany jej ubiorem, zwłaszcza spódnicami, jakby zadziwił go fakt, że kobieta może być kimś nienależącym do służby. Elsie z pewnością nie była ubrana jak pokojówka. Nie mogła się zarumienić, ale odwróciła wzrok, jakby zawstydzona.

– Nie waleśaj się. Twój pracodawca byłby zły, gdyby zobaczył, że marnujesz czas – powiedział.

Kusiło ją, żeby się odgryźć, upierać się, że jej pracodawca pobłogosławił ją, by tu była, ale to nie byłaby do końca prawda. Chociaż Ogden był niezaprzeczalnie hojny, jeśli chodzi o jej czas, nie miał pojęcia, na co go wykorzystywała. Gdyby teraz wyjechała, mogłaby wrócić do Brookley na kolację, a on nie wiedziałby, co robiła. Dygnęła ponownie.

– Przepraszam.

Dziedzic nawet nie skinął głową, więc Elsie przeprosiła bez słowa, idąc trochę za szybko, by zachowywać się swobodnie. Kiedy skręciła za róg, wyprostowała kręgosłup i rozciągnęła ramiona.

Nie czuła się źle z powodu złamania prawa. Ani odrobinę.

* * *

Słońce zachodziło, gdy Elsie wróciła do Brookley. Zapłaciła dorożkarzowi, żeby podwiózł ją aż do Lambeth, a resztę drogi przeszła pieszo. Podarła list od Kapturów, który cały czas miała w kieszeni. O tej porze piec będzie gorący i bez problemu będzie mogła wrzucać kawałki papieru do ognia.

Czasami żałowała, że nie ma powiernika, ale mimo wszystko uważała się za szczęściarę. Kaptury zabrały ją z przytułku i wyrwały z nędzy. Mogła przynajmniej chronić ich tajemnice. Brookley znajdowało się nieco na południe i trochę na wschód od Londynu, wciśnięte niemal w równej odległości między Croydon i Orpington. Było stare, ale dobrze utrzymane przez mieszkańców. Główna droga wiała się przez centrum jak brukowana rzeka, prowadząc na południe do Clunwood i pól uprawnych, a następnie dalej do Edenbridge. Miasteczko było małe i osobliwe, ale miało wszystko, czego potrzebowałyby rozsądny człowiek – bank, pocztę, krawcową, kościół. Co prawda, jeśliby ktoś oczekiwał powiewu mody, musiałby udać się do Londynu lub Kentu, ale biorąc pod uwagę, że Elsie była nastawiona tylko na nakrycia głowy, nie przeszkadzało jej to zbytnio. Jedną z najlepszych rzeczy w Brookley było to, że warsztat kamieniarski znajdował się po jego północnej stronie, przy małej uliczce odchodzącej od głównej, więc spacer do Londynu i z powrotem był dość dyskretną sprawą. Elsie strząsnęła błoto z butów, zanim weszła tylnymi drzwiami domu przylegającego do pracowni. Na sznurze z ubraniami wisiało kilka koszul, a w powietrzu unosił się zapach baraniny. W kuchni służąca Emmeline mieszała w garnku na piecu. Elsie sama stała w tym miejscu przez kilka lat po ucieczce z domu dziedzica, dopóki Ogden nie awansował jej na asystentkę i nie zatrudnił nowej pracownicy.

Po odwieszeniu czepka i postawieniu na stole torby Elsie pomachała Emmeline, po czym ruszyła korytarzem.

– Będziesz potrzebował okularów, jeśli nie przestaniesz mrużyć oczy przy świecach! – zawołała.

– Jestem jeszcze młody i krzepki! – odkrzyknął niski głos.

Elsie skręciła za róg i weszła do pracowni, która była zdecydowanie największym pomieszczeniem w domu. Lada przy drzwiach służyła za witrynę, a resztę przestrzeni wypełniały plandeki, surowe i na wpół wyrzeźbione kamienie, sztalugi, płótna, koce oraz szereg półek z kolekcją narzędzi i przyborów każdego rodzaju, które można sobie tylko wyobrazić, a także dużo białej farby. Człowiek, który jednym dotknięciem potrafi zmienić kolor czegokolwiek, nie musiał wydawać pieniędzy na pigmenty. Cuthbert Ogden przycupnął na stołku nieco bliżej środka pokoju, otoczony dwiema lampami i trzema świecami, delikatnie układając śnieg na kostce brukowej posiadłości, którą namalował na płótnie o połowę niższym od siebie. Było coś pocieszającego w patrzeniu, jak pracuje, coś znajomego, coś bezpiecznego. Takie rzeczy trzymały Elsie przy życiu.

– Krzepki, jasne – powiedziała. Pracodawca spojrzał na nią, a jego turkusowe oczy błyszczały w świetle. Ciemne brwi zmarszczyły się w udawanej dezaprobacie.

– Pięćdziesiąt trzy lata to nie starość – zażartował.

– Pięćdziesiąt cztery już tak.

Ogden zamyślił się i prawie dotknął pędzlem ust.

– Nie mam pięćdziesięciu czterech lat, prawda?

– W lutym skończyłeś pięćdziesiąt cztery lata.

– Skończyłem pięćdziesiąt trzy lata.

Elsie westchnęła i próbowała ukryć uśmiech.

– Panie Ogden, urodził się pan w 1840 roku, tego samego dnia, w którym królowa poślubiła księcia Alberta. Chwalisz się tym przed wszystkimi.

Usta Ogdena wykrzywiły się.

– Jestem pewien, że pobrali się w 1841 roku.

– Teraz specjalnie mnie męczysz.

Weszła do pokoju i stanęła za nim, omijając lampę, i przyjrzała się obrazowi. Ogdenowi udało się sprawić, że szare zimowe niebo wyglądało radośnie. Ciężki wieniec z czerwoną wstążką na drzwiach wejściowych oznaczał Boże Narodzenie. Śnieg na dachu, kominie, dwóch dolnych rogach. Ogden miał dziwny nawyk dodawania szczegółów najpierw na krawędziach płótna, zanim przesunął się w kierunku środka.

– Czy w Manchesterze często pada śnieg?

Ogden potrząsnął głową.

– Nie, ale taka była prośba klienta.

– Do Bożego Narodzenia zostało jeszcze siedem miesięcy. Siedem i pół.

– Ale będę musiał to odłożyć i spojrzeć na to ponownie za kilka tygodni – wzrok Ogdena pozostał skupiony na obrazie, badawczo mrużył oczy. – A potem zanieasz go do ramiarza. To zajmie kolejny miesiąc, a potem może poproszą o poprawki... Wiesz, jak to działa. Jak minął twój wieczór?

Elsie wzruszyła ramionami.

– Monotonnie. Długi spacer i przeglądanie wystaw.

Ogden wetknął mały palec w białą farbę na palecie trzymanej w drugiej ręce. Elsie poczuła, jak zakłęcie wystrzeliło z niego, a biel pojaśniała, aż prawie się zaświeciła. Był aspektozem fizycznym, ale niezbyt potężnym. Moc aspektorów była zróżnicowana, chociaż wydawała się bardziej dziełem przypadku niż genetyki. Wszystkie zakłęcia, które znał Ogden, były na poziomie nowicjusza. Powodowały tylko niewielkie zmiany w otaczającym go świecie materialnym – na przykład zmieniały kolor farby – jednak Ogdenowi to nie przeszkadzało. Były wystarczające, by artysta mógł się nimi wspierać. Sam jej o tym wielokrotnie mówił.

Elsie patrzyła, jak zanurza pędzel i dotyka cienkim czubkiem okapu malowanej rezydencji i liści rosnącego na terenie posiadłości drzewa. Namalowany śnieg wyglądał jak prawdziwy. Mając taki talent, Ogden nie potrzebował potężnej magii.

Pracował jeszcze kilka minut, zanim odłożył pędzel.

– Pomożesz mi posprzątać? – Elsie podniosła jedną ze świec, osłaniając jej płomień złożoną dłonią. – Spodziewam się Nasha – dodał.

– Czy zostaje na kolacji? – zapytała Elsie.

Ogden potrząsnął przecząco głową.

– Powiedz Emmeline, żeby zostawiła dla mnie talerz, dobrze?

Kiwając głową, Elsie zniosła świecę na stojący nieopodal stół, a potem zebrała lampy i postawiła je na blacie. Zdmuchnęła pozostałe świecezki – nie było sensu ich marnować. Ogden opłukał pędzel i ostrożnie przeniósł sztalugę z najnowszym dziełem do kąta, Elsie zaś zwinęła spod stóp poplamioną plandekę. Nawet kiedy to robiła, wiedziała, że to bez sensu. Jutro z samego rana Ogden będzie w tym samym miejscu, wykonując tę samą pracę, ale starała się być użyteczna. Dążyła do tego przez ostatnie dziewięć lat, odkąd wyrosła z pomywaczki dla napuszonych idiotów. Otrzeпаła ręce, zabrała ze sobą palącą się świecę i wyszła na korytarz. Ruch na schodach sprawił, że sapnęła, a serce jej przyspieszyło.

– Emmeline! – jej szept był prawie sykiem. – Dlaczego czaisz się w cieniu?

Pokojówka, mająca siedemnaście lat, cztery lata młodsza od Elsie, spojrzała ciemnymi oczami ponad balustradą.

– Czy on już tu jest?

– Kto?

Emmeline oblizwała usta.

– Nash.

Nazwisko było ledwo słyszalne. Elsie przewróciła oczami.

– Jeszcze nie i nie martw się, nie zostanie na kolacji. Ogden kazał ci zostawić dla siebie talerz.

Emmeline skinęła głową, ale na jej twarzy pojawił się strach. Zawsze czuła się nieswojo w towarzystwie posłańca Ogdena. Elsie nie wiedziała dlaczego. Nash był wysokim mężczyzną, ale tak chudym, że silny wiatr mógłby złamać go jak gałązkę. Był też niezwykle miłym człowiekiem. Zazwyczaj miał uśmiech na twarzy i poruszał się sprężystym krokiem. Nie był szorstki ani okrutny i chociaż rzadko rozmawiał z Elsie i Emmeline, zawsze był dla nich miły. Emmeline poruszyła się, a schody zaskrzypiały jej pod stopami.

– Nakryjesz ze mną do stołu?

Elsie wypuściła powietrze przez nos.

– Doprawdy, Emmeline.

– Dlaczego on zawsze przychodzi w nocy? – spytała, broniąc się.

– Bo ma innych klientów? Bo wtedy Ogden ma dla niego czas? Poza tym wcale nie zawsze.

– Często – sprzeciwiła się służąca. – Często przychodzi w nocy. Spójrz na niego, Els. Nie lubię go.

Och, Elsie dobrze o tym wiedziała. Emmeline zawsze była nieufna wobec Nasha, od pierwszego dnia w domu Ogdena. To była dziwna reakcja na mężczyznę, który był dość atrakcyjny i miał raczej wesołe usposobienie. Kiedy Elsie drażniła się z nią z tego powodu, pytając, czy prawdziwą przyczyną jej zainteresowania blondynem na posyłki jest ukryte uczucie, ale Emmeline odpowiedziała tak chłodno, że Elsie nie odważyła się wspomnieć o tym ponownie. Ogden był bardziej skłonny zabiegać o względy mężczyzny niż Emmeline.

Elsie opuściła ramiona.

– Dobrze, pomogę ci.

Emmeline wyglądała na tak odprężoną, że mogłaby zemdleć na schodach.

– Dziękuję. Jutrzejsze śniadanie podam najpierw tobie.

Dziewczyna prychnęła.

– Zobaczmy, jak Ogdenowi się to spodoba.

Wzięła służącą pod ramię i poprowadziła korytarzem, zauważając, że rzucała ona nerwowe spojrzenia na pracownię, kiedy ją mijali. Jej zachowanie sprawiło, że poczuła się jak starsza siostra. Ta myśl spowodowała, że ścisnął jej się żołądek, więc czym prędzej ją odepchnęła.

Razem nakryły do stołu i zjadły. Emmeline słuchała z uwagą opowieści Elsie o baronie z jej ostatnio przeczytanej powieści i razem spekulowały, jaki może być jego dalszy los. Ogden wciąż nie przyszedł po swój talerz, kiedy skończyły, ale nie było to niczym niezwykłym. Jak większość artystów czasami bywał trochę nieobecny. Elsie chwyciła świecznik i ruszyła w stronę schodów, jednak jej uwagę zwróciły głosy dobiegające z pracowni. Nash zachowywał się cicho nawet w ruchu – nigdy nie słyszała, jak otwierają się frontowe drzwi. Zajrzała do środka. Poślaniec wyglądał krucho w porównaniu z Ogdenem, który miał szeroką, tęgą, muskularną budowę typową dla kamieniarza – nadal wykonywał od czasu do czasu swój zawód, kiedy miał mniej zamówień na obrazy i rzeźby. Nash był wyższy, miał włosy żółte jak mlecz, twarz zaś szczupłą i młodą. Był po dwudziestce, ubrany skromnie. Błady. Całkowicie niegroźny. Elsie nie powinna podsłuchiwać ich rozmów, chociaż tak naprawdę nie miało to znaczenia. Nic ciekawego nigdy nie padło z ust jej pracodawcy, a szpiegowała tylko po to, by się upewnić, że byli wyłącznie partnerami biznesowymi i niczym więcej. Jeśli chodzi o najciekawsze plotki, Elsie musiała polegać na Emmeline i miejscowych kupcach. Nie żeby sama je rozsiewała, ale wikariusz nie prawil kazań o słuchaniu plotek. Gdy Elsie odwróciła się, by pójść już do łóżka, Abel Nash spojrział na nią ponad ramieniem Ogdena. Jego jasne oczy odnalazły ją tylko na chwilę, po czym ponownie skupiły się na mężczyźnie przed nim. W tej krótkiej chwili Elsie poczuła zimny dreszcz na plecach.

ROZDZIAŁ 2

Po trzech tygodniach na pokładzie statku handlowego głowa Bachusa tęskniła za lądem prawie tak samo jak nogi. Przysięgłby, że czuje, jak traci zmysły. W ciągu dwudziestu siedmiu lat życia odbył tę podróż więcej razy, niż mógł zliczyć, a jednak nigdy się do niej nie przyzwyczał. Atlantyckie fale zawsze wydawały mu się o wiele szerszy, niż go zapamiętał. Podczas tak długiej podróży pragnął stałego gruntu. I pomarańczy. Statki obfitowały zazwyczaj w dobre jedzenie, ale wszystko to było na handel, a nie dla członków załogi czy pasażerów. Kiedy Bachus patrzył na gromadzące się deszczowe chmury i słuchał angielskiej melodii marynarzy spieszących do doków, jego dom na Barbadosie wydawał się bardzo daleko. Spędził w Anglii z ojcem tyle samo lat co na wyspie, ale nigdy tak naprawdę nie czuł przynależności do innego miejsca niż Karaiby. Ojczyznę matki, Algarve, odwiedził tylko dwa razy. Jego słaba znajomość portugalskiego zawsze sprawiała, że czuł się, jakby stał na zewnątrz i zaglądał do środka przez okno. Nie miał ochoty wracać. Skinął głową Johnowi i Rainerowi, służącym z jego domu, którzy rzucili się po walizki. Próbował spakować jak najmniej rzeczy, ale nie wiedział, jak długo potrwa jego pobyt. Mógł być w Anglii tylko przez tydzień albo też kilka miesięcy. Wszystko zależało od stosunku, jaki będzie do niego miało Ateneum Fizyczne. Miał wrażenie, że gościnność nie jest mocną stroną uczelni. Chwycił torbę i, wyciągając kończyny, pomaszerował w stronę trapu prowadzącego do doku. Kilku marynarzy zeszło z drogi, by go przepuścić. Nie był jeszcze utytułowanym człowiekiem, z pewnością nie tutaj, w Anglii, ale był dobrze ubranym właścicielem ziemskim i aspektorem gotowym do sprawdzenia statusu pana, co w tym hierarchicznym społeczeństwie sytuowało go gdzieś powyżej duchownego, a poniżej barona. Niestety, test nie był jedyną przeszkodą, z jaką musiał się zmierzyć w angielskim społeczeństwie. Gdy tylko wyszedł na brzeg, poczuł czyjeś spojrzenia na twarzy, włosach, dłoniach. Nawet najlepsze ubrania nie mogły ukryć jego obcego pochodzenia. Mimo że stąd pochodził jego ojciec, Bachus nie wyglądał na Anglika, a z powodu czasu spędzonego na słońcu jego skóra była jeszcze ciemniejsza. Był jednak przyzwyczajony do tych spojrzeń. Na szczęście kiedy przesiąknięta wonią ryb bryza rozwiewała jego gęste, związane na karku włosy, dostrzegł wśród gapiów stojących na skraju drogi, naprzeciw niskich domów

mieszkalnych, znajomą twarz. Było to oblicze blade jak białka oczu, otoczone jeszcze jaśniejszymi włosami i ozdobione haczykowatym nosem. Jego właściciel ubrany był w kamizelkę haftowaną złotą nicią i charakteryzował się królewską postawą pomimo sędziwego wieku. Izajasz Scott, książe Kentu. Bachus uśmiechnął się i ruszył naprzód. Tym razem, gdy Anglicy schodzili mu z drogi, działało się tak dlatego, że wymagał tego jego krok, podobnie jak wzrost i tusza. Mógł być miedzianą monetą przeciwko morzu srebra, ale był monetą dużą – często wykorzystywał ten fakt na swoją korzyść. Uścisnęli sobie z księciem ręce. Ojciec Bachusa zbliżył się do rodziny księcia, ponieważ studiował na uniwersytecie z jego najmłodszym bratem Mateuszem. Utrzymywał z nimi kontakt mimo odległości po przeprowadzce na Barbados, gdzie wrócił, by przejąć swój spadek. Gdy po raz pierwszy ojciec Bachusa przywiózł go do Anglii – a przynajmniej był to pierwszy raz, który Bachus pamiętał – przybyli, by złożyć kondolencje Szkotom po śmierci Mateusza w wypadku na polowaniu. Chociaż jego ojciec już zmarł, Bachus trzymał się z nimi blisko. Byli dla siebie jak rodzina.

– Nie sądziłem, że to możliwe, ale urosłeś.

Książe Kentu miał błysk w oku. Chociaż w zeszłym miesiącu mężczyzna skończył siedemdziesiąt lat, jego uścisk był silny jak zawsze.

– Tylko dlatego, że jesteśmy na poziomie morza – język Bachusa z łatwością przeszedł w brytyjski akcent. – Kiedy wjedziemy na te zielone wzgórza obok twojej posiadłości, spotkamy się oko w oko.

Książe zaśmiał się.

– Potrzebujesz lekcji fizyki. Czy na pewno wybrałaś właściwe wyrównanie?

Bachus – odkąd był nastolatkiem – studiował aspektoriat fizyczny – magię, która wpływała na świat fizyczny. Jego ojciec, jako właściciel dobrze prosperującej plantacji trzciny cukrowej, był w stanie sfinansować jego studia. Bachusowi nie było trudno wybrać specjalizację. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnął, było danie Anglikom kolejnego powodu, by mu nie ufali, więc od razu odrzucił aspekty umysłowe i duchowe. Nie chciał, żeby ktokolwiek podejrzewał, że zaczarował ich myśli. Magia duchowa zasadniczo zajmowała się błogosławieństwami i przekleństwami, co w codziennym życiu wydawało się kiepską inwestycją. A magia czasowa zawsze wydawała mu się daremna. Czasowy aspektor nie mógł zmienić czasu, tylko efekty jego działania. I chociaż dojrzewanie kielków roślin albo odmładzanie bydła może okazać się korzystne w gospodarstwie, Bachus wiedział, że częściej będzie zatrudniany do niwelowania zmarszczek i usuwania rdzy z antyków. Nie myślał zbyt dobrze o tych, którzy wydawali oszczędności całego życia na zaklęcia czasowe, uważał, że kieruje nimi próżność. Aż do dnia, kiedy potrzebował jednego dla siebie. Jego

ludzie, John i Rainer, stanęli po obu jego bokach, rozglądając się dookoła wybałuszonymi oczami. John, starszy z tej dwójki, był już kiedyś w Europie podczas ostatniej podróży Bachusa trzy lata temu. Rainer był nowy i chłonał wszystko, jakby bruk i chmury były gwoździemi wbijanymi w jego kości. Nie podobało mu się tutaj.

– Chodź – książę położył dłoń na ramieniu Bachusa i poprowadził go wąską drogą do czekającej na nich karety. – Musisz być zmęczony tak długą podróżą. Twój pokój jest gotowy, a ja przyniosłem poduszkę na wypadek, gdybyś nie mógł wytrzymać godziny, którą zajmie dotarcie do niego.

– Naprawdę niczego nie pragnę bardziej niż biegania, dopóki nogi nie odmówią mi posłuszeństwa. Co zajmuje mniej czasu niż kiedyś – ukrywając grymas, spojrzął na swoje nogi, po czym potarł dłonią klatkę piersiową. – Ten statek to klatka, a ocean to jej kraty.

– Jak poetycko – powiedział książę. Jeden z jego służących otworzył drzwi karety, a Bachus cofnął się, by pozwolić przyjacielowi, choć zawsze traktował go raczej jak wuja, wejść pierwszemu. Wsiadł za nim, czując, jak kareta się przechyliła, gdy usiadł.

– Jeśli to nie kłopot – powiedział Bachus, gdy zamknięto drzwi pojazdu, a jego torby załadowano na tył – chciałbym jak najszybciej skontaktować się z Ateneum Fizycznym.

Książę splótł ręce na kolanach.

– Czy jest powód do pośpiechu?

– Nie chodzi o pośpiech, tylko o chęć wykorzystania czasu, który mi dano. Wolałbym tego nie zmarnować.

– Ach, więc czas ze mną jest stracony? – książę zmarszczył brwi.

Bachus zachichotał.

– Przypuszczam, że to zależy od tego, jaki wypoczynek dla nas zaplanowałeś. Otrzymałem twój list w sprawie majątku. Byłbym zobowiązany pomóc ci, gdzie tylko będę mógł.

Książę skinął głową.

– Bardzo to doceniam. Jeśli chodzi o ateneum, starałem się wykorzystać znajomości, żeby umówić cię na wcześniejsze spotkanie. Myślę, że się uda. Przy odrobinie szczęścia odezwę się rano.

Nie chcąc wyjść na niewdzięcznika, Bachus skinął głową w podziękowaniu, po czym wyjrzał przez okno, gdy kareta szarpnęła do przodu. Jako aspektor zarejestrowany w Londyńskim Ateneum Fizycznym miał prawo do spotkania, ale – jak we wszystkim – w grę wchodziła polityka, zaś jego nominację wyznaczono na koniec lata.

Czteromiesięczne oczekiwanie było niedorzecznością, zwłaszcza jeśli wzięło się pod uwagę, że petycję o spotkanie złożył w lutym. Chociaż ksiązę nie był czarodziejem, a jedynie wpływowym arystokratą z dużym majątkiem, musieli mieć nadzieję, że uda mu się nagiąć politykę na korzyść Bachusa. Tak czy inaczej, obawiał się, że jego spotkanie nie pójdzie gładko.

Obserwował mijane doki, pocierając jasną brodę. O ile zarost był tutaj w modzie, jego długie włosy z pewnością już nie, ale ostatecznie wymagały mniej pielęgnacji niż krótkie. Brał więc pod uwagę ich ścięcie, jeśli pozwoliłoby to zrobić lepsze wrażenie na zgromadzeniu Londyńskiego Ateneum Fizycznego.

Wiedział, jakiego zaklęcia potrzebuje. Od lat dążył do zdobycia go z większą determinacją niż jakiegokolwiek tytułu. Zaklęcie wędrowania pozwoliłoby mu poruszyć obiekt – dowolny przedmiot – bez dotykania go. Sztuczka polegała na przekonaniu zadufanych pustelników w ateneum, by pozwolili mu je mieć. Chociaż dla każdego aspektu istniały setki zaklęć, ateneum strzegło tych potężnych z taką samą troską co skąpiec swoich pieniędzy, sprzedając je tylko tym, których uznano za godnych zaszczytu i zaufania. I nawet jeśli zaklęcie zostało udostępnione aspektorowi, nadal pozostawało wyzwanie związane z jego wchłonięciem – co było procedurą bardzo kosztowną i nie zawsze zwieńczoną sukcesem. Bachus przetał oczy. Być może był bardziej zmęczony, niż chciał przyznać. Dobrze robi mu całonocny odpoczynek w posiadłości księcia Kentu, zanim rano zajmie się swoją misją. Musiał myśleć jasno i postępować ostrożnie, aby nie zakłócić reguł gry aspektorów z ateneum.

ROZDZIAŁ 3

Kiedy następnego ranka Elsie skończyła rejestrować rachunki Ogdena, napisała i złożyła list, włożyła swój najładniejszy czepek i ruszyła do miasta z koszykiem i listą zakupów od Emmeline w rękę. Najpierw skierowała się w stronę kościoła, który znajdował się na drugim końcu głównej ulicy Brookley. Chłopi z pobliskiego Clunwood często rozkładali się tam, aby sprzedawać swoje towary, a Elsie miała ochotę na spacer. Chmury rozstąpiły się, ukazując olśniewające poranne słońce, a delikatny wietrzyk chronił powietrze przed nadmiernym rozgrzaniem.

Elsie nie szła ani szybko, ani wolno, przechodząc z jednej strony drogi na drugą i zaglądając po drodze do okien, zarówno sklepów, jak i domów. Zauważyła, że Elizabeth Davies wystawiła na stół swoją piękną porcelanę. Z jakiej okazji? Szklarz pracował nad czymś dość dużym, co nie wyglądało jak okno. Czy była to misterna misa, czy jakiś żyrandol? Elsie nie mogła tego stwierdzić i wolała spekulować niż pytać. Poza tym lepiej dla wszystkich, żeby pozostała niezauważona. Znajome westchnienie zabrzmiało blisko jej lewej strony, gdy odwróciła się od sklepu ze szkłem. Uśmiech ścisnął jej policzki. Nie kto inny niż Rose i Aleksandra Wright przechodziły obok, w ekstrawaganckich kapeluszach i satynowych, muskających ziemię spódnicach. Były córkami bankiera i strasznymi plotkarami. Nawet teraz miały pochylone ku sobie głowy i mamrotały coś. Naprawdę powinny się wstydzić.

Omijając wóz, Elsie pobiegła za nimi, wyteżając słuch.

– To był baron? – zapytała Rose, przykładając palce do dolnej wargi.

– Nie byle jaki baron – zaćwierkała Aleksandra. – Ale ten sam, który był tu niecałe dwa lata temu.

Rose westchnęła.

– Ten, który był gościem dziedzica?

– I... – Aleksandra ściszyła głos – ...stało się to w jego własnym łóżku.

Rose potrząsnęła głową.

– Ale to może nie być morderstwo. Z takimi jak on nigdy nie ma pewności.

Elsie prawie się potknęła, kopiąc własną piętę. Morderstwo? I baron! To było tak, jakby bohaterowie jej powieści ożyli, chociaż w fikcji o wiele łatwiej było znieść zbrodnię. Jej umysł szybko rozwikłał resztę słów sióstr.

„Z takimi jak on nigdy nie ma pewności”.

Czy mężczyzna był aspektozem? Kiedy umierał aspektor dowolnego typu lub talentu, nie stawał się po prostu trupem, którego trzeba było pochować, jak wszystkich innych. Magia zmieniała aspektorów. Kiedy umierali, ich ciała przekształcały się w dzieła, zwane opusami. Były to księgi zaklęć zawierające wszystkie czary, których nauczyli się w całym swoim życiu. Chociaż „księga zaklęć” to nie był odpowiedni termin. Forma, którą przybierali, różniła się w zależności od tego, kim dany aspektor był za życia. Chociaż Ogden był słabym aspektozem i miał bardzo mało zaklęć pod skórą, on również przemienił się w dzieło, kiedy odejdzie. Elsie zawsze wyobrażała sobie, że stanie się skomplikowaną, choć małą kamienną tabliczką.

Kamieniarz nie miał żony ani dzieci – z powodów, których Elsie się domyślała, ale których nigdy nie wypowiedziała na głos – więc zastanawiała się, czy pozostawi swoje dzieło jej lub Emmeline. Zwykle opus czarodzieja stawał się własnością ateneum, do którego należał. Był to środek ostrożności, by niebezpieczne zaklęcia nie wpadły w niepowołane ręce, ale nie mogła sobie wyobrazić Londyńskiego Ateneum Fizycznego troszczącego się o małą księgę zaklęć na poziomie nowicjusza.

Szczególną cechą opusów było to, że każdy mógł rzucić zawarte w nich zaklęcie. Ogden jej o tym powiedział. Ktoś mógł po prostu wyrwać stronę i powiedzieć „obudź się”, a zaklęcie samo się rzuciło (jeśli opus nie składał się ze stron, wystarczyło przesunąć dłonią po treści zaklęcia). Zaklęcia można było użyć w ten sposób tylko raz, ponieważ strona lub wyryte zaklęcie po użyciu zniknęło, ale ta właściwość czyniła opusy bezcennymi.

A jednak Elsie nie sądziła, że kiedykolwiek zdoła się zmusić do rzucenia opusowych zaklęć Ogdena. Prawdopodobnie po prostu będzie go ceniła i trzymała blisko siebie, żeby przypominał jej o dobrych latach, które spędzili razem. Z całą pewnością Ogden był jej bliski jak ojciec. *Skup się!*, zbeształa się, ośmielając się podejść do dziewcząt na tyle blisko, że prawie zdeptała treny ich spódnic.

– A potem cudownie zniknął – głos Aleksandry przybrał drwiący ton. – Zamordowany, mówię ci. I skradziono jego opus. Nawet w gazecie to sugerowali. Być może został porwany, ale któż mógłby ciągnąć dorosłego mężczyznę przez tyle pięter bez świadków? Opus mógł zostać wyniesiony bez czyjejkolwiek wiedzy.

Przez ulicę przebiegł mężczyzna, przytrzymując dłonią kapelusz, żeby nie spadł.

– Panno Wright! Mam pytanie dotyczące twojego ojca...

Obie kobiety zatrzymały się, a Elsie szybko zrobiła unik, aby na nie nie wpaść. Doszła aż do domu stolarza, po czym obejrzała się ostrożnie, ale rozmawiające trio nie zwróciło na nią uwagi. Miała nadzieję, że baron pojawi się gdzieś nieoczekiwanie. Pomyśleć, że ktoś został zabity we własnym domu, we własnym łóżku... Wzdrygnęła się na tę myśl. Nawet członkowie klasy wyższej nie zasłużyli na taki los. A jednak wiedziała, że zaraz po powrocie do domu sprawdzi gazetę Ogdena, żeby znaleźć dodatkowe szczegóły. Wciąż rozmyślając nad tą historią, Elsie trafiła na grupkę rolników, ich żony i dzieci, sprzedających produkty na poboczu drogi. Sprawdziła listę Emmeline i kupiła dwie kapusty, pęczek marchwi oraz cebulę. Nie znosiła cebuli, dlatego kupiła tylko jedną. Będzie musiała Emmeline wystarczyć – oznaczało to mniej cebuli w ich posiłkach. Ostatecznie tak będzie lepiej dla wszystkich.

Schodząc z drogi dwóm mężczyznom jadącym na koniach, Elsie odwróciła się, raz jeszcze spoglądając na dom Elizabeth Davies. Domownicy siedzieli teraz przy stole, ale nie jadł z nimi nikt obcy. Zatem nie wyciągała porcelany dla gości. Ciekawe.

Poczta znajdowała się tuż za rzędem szeregowców, a jej położenie wskazywała schludna witryna sklepowa przylegająca do domu pana Greena, jednego z większych budynków w mieście. Pan Green z pewnością dobrze sobie radził, codziennie dostarczając pocztę i telegramy. Elsie weszła do środka w chwili, gdy wychodził stamtąd jakiś mężczyzna. Skinęła mu głową, kiedy przytrzymał jej drzwi. Jedną z pracownic pana Greena, Martha Morgan, obsługiwała dziś recepcję i uśmiechnęła się, gdy Elsie podeszła bliżej, a jeden z psów pocztowych – wyszkolonych przez aspektorów duchowych do dostarczania listów i paczek – merdał ogonem, siedząc za biurkiem. Uderzenia prawie ukrywały brzęczenie zakłębionych działających pod jego futrem.

– Tylko znaczek.

Elsie położyła list na ladzie przed sobą. Przesunęła palcami w koronkowych rękawiczkach po papierze. Minęło sześć miesięcy, odkąd ostatni raz wysłała list do Juniper Down, i pięć miesięcy, odkąd otrzymała odpowiedź od Agathy Hall. Zawsze pisała do Agathy, a nie do jej męża, ponieważ była bardziej życzliwa i szybciej odpowiadała. List Elsie był krótki i zawierał wiele takich samych słów, jak jej poprzednia korespondencja.

Droga pani Hall, mam nadzieję, że wszystko w porządku z dziećmi i pani zdrowiem. Oczywiście pytam ponownie, aby dowiedzieć się, czy ktoś mnie szukał albo czy przechodził ktoś o nazwisku Camden? Bardzo doceniam pani raport. Przesyłam najszersze podziękowania.

Z poważaniem, Elsie Camden

Elsie straciła rachubę listów, które wysłała na zachód, do Juniper Down. W dzieciństwie pisała częściej, po tym, jak Ogden ją zatrudnił i nauczył czytać oraz pisać. Kolejny powód, by była mu wdzięczna. Gdyby pozostała w służbie u dziedzica, być może nigdy nie nauczyłaby się rozszyfrowywać listów Kapturów. Zaczęli je wysyłać kilka miesięcy przed jej trzynastymi urodzinami.

Martha wręczyła jej jednopensowy znaczek, a Elsie ostrożnie umieściła go na swoim liście. Wspomnienia zalały ją, gdy spojrzała na imię i nazwisko wypisane jej własną ręką na kopercie. W tę mroźną zimową noc Halloween oferowali schronienie rodzinie Elsie. Elsie nie pamiętała, dokąd zmierzali, nie mówiąc już o tym, skąd pochodzili, podobnie jak Halloween. Następnego ranka jej rodzice i rodzeństwo – Halloween potwierdzili, że miała dwóch braci i siostrę – zniknęli bez śladu. Zupełnie jak baron z opowieści sióstr Wright. Całe miasto zebrało się razem, aby ich szukać, bezskutecznie. Oczywiście Halloween nie znali Elsie. Mieli mało pieniędzy i pięcioro własnych dzieci, więc po utracie wszelkiej nadziei umieścili sześciolletnią Elsie w przytułku, gdzie pozostała do jedenastego roku życia, w którym ten przybytek spłonął. Tamtej nocy jej wybawicielka w kapturze cały czas zasłaniającą twarz zawiozła ją do prostej, jednopokojowej chaty oddalonej o wiele mil. Zostawiła ją tam z jedzeniem i kocami oraz poleceniem, by została na miejscu i nie czuła się winna udziału w pożarze. Ale Elsie gnębił ten temat, zwłaszcza że dni mijały bez żadnych wiadomości. Dokładnie cztery dni. Wzmocniona nadzieją, dobrym jedzeniem i przyprawiającym o zawrót głowy uczuciem, że naprawdę jest przez kogoś chciana, obudziła się piątego dnia i znalazła mapę, bilet na pociąg i adres przypięte do drzwi frontowych. Postąpiła zgodnie ze wskazówkami, bez narzekania i w ten sposób znalazła się na progu domu dziedzica Hughesa.

Chociaż nikt się jej tam nie spodziewał, okazało się, że potrzebują nowej pomywaczki, o czym Kaptury musiały wiedzieć. Nienawidziła tej pracy prawie tak samo jak dziedzica, więc rok później, kiedy Cuthbert Ogden ogłosił, że zatrudni pomocnika, od razu pobiegła do niego i błagała, żeby ją przyjął. Obiecała nawet, że będzie pracować za jedzenie i wyżywienie, bez dodatkowej pensji. Na szczęście Ogden wypłacał jej wynagrodzenie. Elsie nigdy nie powiedziała nikomu, nawet Ogdenowi, o chatce ani o pożarze. Nie chciała dawać powodu do odrzucenia.

– Panienko?

Elsie zamrużyła, wróciła do chwili obecnej i uśmiechnęła się.

– Tak, gdybyś mogła to nadać...

Podala list, a Martha dołożyła go do małego stosu na biurku.

– Nie ma dziś nic dla pana Ogdena – dodała.

– Dobrze, dziękuję.

Może Agatha Hall w końcu będzie miała wieści o rodzinie, której Elsie nie widziała od piętnastu lat. Być może pragnienie, poczucie winy lub ciekawość skłoniły w końcu któregoś z jej krewnych do zadania pytania „Co się stało z Elsie?”. Przekładając koszyk do drugiej ręki, Elsie w milczeniu przeprosiła i wyszła z powrotem na słońce, poświęcając chwilę na ogrzanie się w jego promieniach, dopóki inny klient poczty nie zmusił jej do przesunięcia się, by mógł się dostać do drzwi.

Kiedy Elsie wróciła do domu, Emmeline szorowała podłogę przy tylnych drzwiach, pogrążona w myślach, bo nawet nie podniosła wzroku i nie błagała Elsie o zdjęcie butów. Elsie i tak to zrobiła, niepewnie balansując koszykiem z zakupami, jednocześnie celując w suche miejsca, żeby nie zamoczyć pończoch.

– Ogden jest w środku? – spytała, gdy dotarła do schodów.

Emmeline potrząsnęła przecząco głową.

– Wyszedł zaraz po tobie. Sam pan Parker przyszedł po niego, chciał, żeby rzucił okiem na robotę w nowym murze czy coś w tym stylu.

Pan Parker pracował dla odrażającego dziedzica Hughesa. Elsie prychnęła z pogardą. Ale dziedzic dobrze płacił, co oznaczało, że Ogden mógł sobie pozwolić na zatrudnianie jej i Emmeline. W takim razie Elsie będzie musiała zająć się pracownią. Zwykle było to nudne zajęcie, gdyż w przeciwieństwie do poczty zakład kamieniarski nie należał do miejsc często odwiedzanych przez ludzi. Ale jej towarzyszką będzie powieść. Jeśli przeczyta ją ponownie uważnie, może odkryje wskazówkę, którą przegapiła za pierwszym razem. Wbiegając po schodach i korytarzem, Elsie zanurkowała do swojego pokoju i rzuciła czepek na łóżko. Ostatni odcinek powieści leżał schowany na małej półce w kącie. Kiedy jednak go wyciągnęła, na podłogę spadła szara kartka. Rozpoznała ją natychmiast, nawet jeśli pieczęć znajdowała się na spodzie. Chociaż korciło ją, żeby otworzyć list od razu, najpierw przeszła przez pokój, by zamknąć i zaryglować drzwi. Zrobiwszy to, uklękła, by podnieść złożony papier. Odwróciła go. Symbol łapy ptaka na półksiężycu spoglądał na nią odcisnięty w jaskrawym pomarańczowym wosku.

Tak szybko?, zastanawiała się. Notatki były ostatnio częstsze i bardziej intymne. Pozostawione na łóżku, pod kołdrą, teraz na półce z książkami. Co by było, gdyby nie zdecydowała się dziś ponownie przeczytać najnowszej części *Kłatwy rubinu*? Być może ta misja nie była pilna. Być może obserwowali ją uważniej, niż sądziła.

Elsie odwróciła się w stronę okna, które znajdowało się na wysokości drugiego piętra. Jakim absurdem byłoby, gdyby ktoś, zwłaszcza zamaskowany, unosił się w powietrzu, obserwując ją i ucząc się jej nawyków. Niemal roześmiała się na tę myśl.

A jednak list czekał. Paznokciem złamała pieczęć. Kilka szylingów upadło jej na kolana.

Władza skazi wszystko. Ktoś w posiadłości księcia Kentu zaczarował drzwi dla służby, zabraniając jej wychodzenia na zewnątrz po zachodzie słońca. To czar ciepła. Bądź przygotowana. Wynajmij dorożkę, ale bądź dyskretna. W sklepie z winami w Kencie poproś o koszyk pani Shaw.

To wszystko. Bez nazwiska, bez daty. Będzie musiała znaleźć sklep z winami w pobliżu książęcej posiadłości – w liście nie było adresu. Co zrobi, jeśli będzie więcej niż jeden? Ścisnął jej się żołądek. Prawdę mówiąc, sklep z winami był najmniejszym z jej problemów. To było najbardziej ryzykowne zadanie, jakie kiedykolwiek otrzymała. Miejmy nadzieję, że ten książę nie był również czarodziejem – ci mieli tendencję do zabezpieczania swoich posiadłości różnymi paskudnymi zaklęciami, środek ostrożności zachowany po buntach sprzed dwóch stuleci. I musiałyby wkroczyć na jego teren, a nie tylko musnąć palcami zewnętrzną ścianę. Przełknęła głośno ślinę, zapewniając samą siebie, że Kaptury nie poproszą jej o nic, czego nie byłaby w stanie zrobić. Może koszyk pani Shaw będzie pomocny. Elsie próbowała wyobrazić sobie, jak by to było, gdyby Ogden rzucił zaklęcie na zakład kamieniarski, by trzymać ją i Emmeline w zamknięciu. Notatka mówiła, że to zaklęcie ciepła... Czy paliło służących, gdy próbowali uciec? Co takiego było w bogactwie, że sprawiało, iż klasa wyższa traktowała innych ludzi jak bydło, które trzeba trzymać w zagrodzie? Zaciśnęła usta. Do Kentu nie było daleko. Gdyby wynajęła dorożkę, mogłaby obrócić tam i z powrotem przed zapadnięciem zmroku. Dziedzic byłby głupcem, gdyby nie zatrudnił Ogdena, co oznaczało, że jej pryncypał będzie prawdopodobnie zajęty przez kilka następnych dni.

W takim razie załatwione. Elsie pospiesznie wykonywała swoje zadania i przed wyjazdem upewniła się, że wszystko jest w porządku. Emmeline mogła nasłuchiwać pod drzwiami i doglądać spóźnionych klientów.

Odkładając czytaną powieść na półkę, Elsie przedarła srebrną kartkę na pół, a potem jeszcze raz na pół. Pomimo ciepłej pogody rozpałała w kominku w swoim pokoju i wrzuciła kawałki do ognia, upewniając się, że rozpadły się na popiół. Następnie zeszła na dół.

* * *

W niewielkiej odległości od Siedmiu Dębów, posiadłości księcia Kentu, znajdował się sklep z winami. Miał bardzo ładną witrynę, więc przed wejściem

Elsie wyprostowała ramiona i nałożyła kapelusz. Przywitał ją pulchny mężczyzna, którego zgodnie z poleceniem poprosiła o koszyk pani Shaw. Nie miała pojęcia, kim była pani Shaw ani czy w ogóle istniała. Mężczyzna wszedł do małego pokoju na zapleczu i przyniósł solidny kosz z dwiema butelkami drogiej madery, a także kilkoma kawałkami sera i ozdobnie ułożonymi kiśćmi winogron, które miały mocny, ziemisty zapach. Wszystko było z nimi w porządku, po prostu rzucono na nie zaklęcie czasowe, aby zachowały świeżość. Zapach był odpychający, dlatego Elsie rzadko jadła czasowo zaczarowane potrawy. Świąteczne indyki, które Ogden przynosił do domu, zwykle miały na sobie podobny znak runiczny, ale zawsze subtelnie go usuwała, zanim zaczęła jeść posiłek. Jedzenie było już opłacone, więc Elsie podziękowała mężczyźnie, przewiesiła ciężki kosz przez rękę i wyszła. Chociaż do koszyka nie włożono żadnej notatki, Elsie zrozumiała taktykę. Zaklęcie, o którym mowa, znajdowało się na drzwiach dla służby, więc Elsie musiała podejść do nich jak sprzedawca – a biorąc pod uwagę produkty w tym koszyku, prawdopodobnie miała coś, co byłoby potrzebne gospodyni. Zastanawiała się, ile kosztuje jedzenie i co powinna zrobić z tym, czego nie sprzeda. Czy Kaptury chciałyby, żeby to jakoś zwróciła? Nie zostawiły jej żadnych wskazówek w liście, ale zatrzymanie części towarów nie byłoby w porządku, kiedy ktoś inny mógł cieszyć się nimi o wiele bardziej niż ona.

Po drodze zatrzymała się przy kilku wybranych sprzedawcach, kupując używaną książkę za własne pieniądze i wymieniając kawałek sera na sprzączkę i pastę do butów. Najlepiej mieć zestaw towarów. Jeśli nie po to, by skusić służbę księcia, to żeby bardziej wyglądać na domokrążcę. Zerknęła na swoją sukienkę. Starła się nadążać za modą, ale zbyt modny wygląd mógł wzbudzić podejrzenia. Kiedy w końcu dotarła do ogromnej posiadłości, ramię bolało ją od ciężaru. Zmusiła się do zerwania ozdoby z czepka – schowała ją do kieszeni z postanowieniem, że naprawi później – i zrobiła, co w jej mocy, żeby pomiąć spódnicę. Czysta i godna zaufania, ale niezbyt zamożna. To powinno wystarczyć. Nie była pewna, po której stronie domu znajdowało się wejście dla służby. Dom – *nie gap się na dom* – musiał mieścić co najmniej dwadzieścia sypialni. Ale nie wypadało się ociągać. Chciała wyglądać jak miejscowa, jak ktoś, kto już to robił. Kobieta interesu. Podstęp byłby łatwiejszy, gdyby była mężczyzną, ale trzeba było radzić sobie z tym, co się miało. Dostrzegła wąską ścieżkę prowadzącą w lewo i szła nią, aż znalazła stosunkowo proste drzwi z tyłu. Chuda dziewczyna wylewała wodę z pobliskiej umywalni. Elsie dostrzegła delikatne smużki pomarańczowego światła emanujące z klamki. Sięgnęła po nią. Drzwi otworzyły się i stanęła w nich zaskoczona kobieta około czterdziestki o szerokiej twarzy.

Ręka jej pofrunęła do piersi. Spod czepka sterczały jej kawałki spoconych loków.

– Boże, dziewczyno, przestraszyłaś mnie na śmierć! – wykrzyknęła, mierząc Elsie od stóp do głów.

– Wybacz, już miałam zapukać. Przyszłam z nadzieją na sprzedaż.

Wskazała na swój koszyk. Kobieta, która wyglądała jak kucharka, już miała ją odprawić machnięciem ręki, ale znieruchomiła, gdy zobaczyła maderę.

– Po ile je sprzedajesz? – wskazała na butelki.

– Dwa funty i pięć pensów za obie – odpowiedziała, celowo podając niską kwotę. Oczy kucharki zabłyśły.

– Dwa funty i pięć pensów? Nie wiesz, że... Nieważne. Poczekaaj tutaj.

Odwróciła się, zostawiając uchylone drzwi. Wewnątrz znajdowało się wąskie pomieszczenie z haczykami na ścianach. Na podłodze leżała para brudnych butów. Poza tym Elsie widziała tylko wejście do spiżarni po jednej stronie i kuchnię po drugiej. Wydawało się jej, że gdy się pochyliła, poczuła mrowienie na twarzy – czy w pobliżu było jakieś zaklęcie umysłowe, czy to tylko nerwy? Być może ksiązę wystawił wielką iluzję w pobliskim pokoju albo ktoś mógł użyć mentalnego zaklęcia, by zachować ostrość pamięci. W miejscu tak bogatym jak to zaklęcie prawdopodobnie nie brakowało.

Odkładając koszyk, Elsie zerknęła przez ramię w poszukiwaniu pomywaczki. Zniknęła. W głębi domu rozległy się kroki. W pobliżu zarżał koń. Cofając się o pół kroku, Elsie położyła obie ręce na zaczarowanej klamce. To było małe fizyczne zaklęcie, ale wcale nie proste. Węzeł wykonany ze światła zamiast liny, mocno zaciągnięty, lśnił jasno. Był biały i lekko niebieski na brzegach, migotał jak nieśmiała gwiazda. Straciła na chwilę ostrość widzenia, gdy znalazła początek. Zaklęcie jej się oparło – było dobrze wykonane. Średniozaawansowane zaklęcie utworzone rękami mistrza. Poluzowała runę i rozbierała ją nić po nici, aż przestała istnieć, gasnąc jak ostatnie iskry fajerwerku. Kucharka wróciła chwilę później w pogodnym usposobieniu. Podała jej trzy złote monety.

– Wezmę obie butelki i kawałek tego sera – wskazała na jaśniejszy kawałek.

Elsie wręczyła jej towar i podziękowała. Kobieta nie miała pojęcia, że została uwolniona. Wkrótce to radosne usposobienie stanie się szczerą emocją, a nie ulotnym podnieceniem wywołanym zdobyciem wina w dobrej cenie.

Prawdopodobnie minie kilka dni, zanim praca Elsie zostanie odkryta. Nie będą pisać o tym w gazetach ani oznajmiać nowin z dachów, ale prestiż nigdy nie był jej celem.

Czując się spełniona, Elsie opuściła teren posiadłości, wymachując znacznie lżejszym koszykiem.

Miała nadzieję, że Kaptury to widzą.

ROZDZIAŁ 4

Londyńskie Ateneum Fizyczne mieściło się w jednym najbardziej przyciągających wzrok, prestiżowych i starożytnych budynków w Anglii. Wzniesiony w średniowieczu, wyglądał jak połączenie zamku z uniwersytetem i w pewnym sensie był i jednym, i drugim. Szczycił się największą biblioteką aspektorów na świecie. Ogromne okna zostały wyposażone w zaczarowane szkło, aby chronić zaklęcia wewnątrz i uniemożliwić im opuszczenie pomieszczenia bez odpowiednich pozwoleń. Bachus zostawił Johna i Rainera w Kencie, odesłał też swojego kierowcę. Garstka osób kłębiła się po zagospodarowanych z pietyzmem terenach z ogrodami, których pozazdrościć mogła nawet królowa. Tylko jedna z nich zdawała się go zauważać. Bachus nie utrzymywał z nią kontaktu wzrokowego. Zaimponowanie temu człowiekowi nie było dziś jego celem. W miarę zbliżania się, budynek ateneum stawał się coraz większy i gdyby Bachus nie dysponował wiedzą, oskarżyłby chodnik o wydłużanie się, gdy po nim kroczył. Znał zaklęcia powiększające przedmioty, ale żadne z nich nie działałoby na takiej ścieżce, nie bez wrywania kamieni z ziemi. Nie, to tylko jego nerwy, a Bachus zwykle się nie denerwował. Zbeształ podenerwowanie cichym warknięciem, ale przynajmniej dodało mu energii. Dwóch wartowników stało przy ciężkich podwójnych drzwiach prowadzących do wielkiej biblioteki. Skinął im głową i podał swoje imię. Prawie spodziewał się, że zostanie odprawiony, ale na szczęście strażnicy zostali powiadomieni o jego wizycie. Otworzyli prawe skrzydło drzwi i wpuścili go do środka.

Minęła chwila, zanim jego oczy przyzwyczyły się do zmiany z jasnego światła poranka na ciemniejsze wnętrze. Dywaniki i gobeliny maskowały połączenie kamiennych ścian i podłóg, ale powietrze przenikał delikatny chłód. Bachus poczuł się trochę jak podróżnik w czasie, wnętrze praktycznie oparło się modernizacjom.

Za krótkim przedsionkiem stał długi stół, ozdobiony jedynie wyszukаныmi srebrnymi świecznikami. Ich styl pasował do nisko zwieszających się żyrandoli, których czubki jarzyły się średnimi zaklęciami świetlnymi. Krótkie rzędy książek stały wzdłuż przeciwległych ścian, poprzedzielane gobelinami. Komnata była zwieńczona łukiem, a za nią zaczynała się prawdziwa biblioteka. Ogromne półki wypełnione nienakładnymi w cieniu tomami. Wydawało mu się, że usłyszał

ciche szepty odbijające się echem między kamiennymi ścianami. Zrobił krok do przodu, ale jeden ze strażników podniósł rękę, nakazując mu zaczekać. Bachus pozwolił, by zniecierpliwienie spłynęło mu od ramion do dłoni, gdzie zmiażdżył je zaciśniętymi pięściami. Po kilku minutach zza rogu wyłonił się nowy strażnik – w pokoju z żyrandolami musiał być ukryty korytarz.

– Pan Bachus Kelsey? – zapytał mężczyzna, mierząc go od stóp do głów. Bachus skinął głową. – Pana sala jest gotowa. Proszę za mną.

Bachus zrobił to bez słowa. Sala. Uważają, że mają prawo mieć salę tronową, czy też mam zostać skazany? Wyszli korytarzem otaczającym bibliotekę i przeszli przez mały pokój z regałami na książki, gdzie kilku adeptów było pogrążonych w pracy. Lampy unosiły się w powietrzu, prawdopodobnie zaklęte przez nauczycieli, by świeciły tam, gdzie były potrzebne. Ale nie było czasu, żeby coś jeszcze zauważyć, bo Bachus i jego przewodnik przecinali już kolejne słabo oświetlone, ogromne, wysokie pomieszczenie, zbliżając się do szerokich i krętych schodów. Były stare, ale w doskonałym stanie, co prawdopodobnie oznaczało, że zostały zahartowane i zmuszone do zachowania kształtu za pomocą magii. Być może wynajęto maga czasowego, by usunąć ślady wielowiekowego użytkowania, ale Bachus podejrzewał, że szefowie Ateneum Fizycznego byli zbyt dumni, by prosić o pomoc innych fachowców.

Strażnik poprowadził go przez drugie piętro, na którym najwyraźniej znajdowały się sale lekcyjne i sypialnie, na trzecie, gdzie przeszli przez długi korytarz, w którym portrety angielskich członków rodziny królewskiej wisały naprzeciwko portretów słynnych aspektorów. Mimo wczesnej godziny nogi Bachusa zaczęły odmawiać posłuszeństwa, ale szedł wyprostowany, nie dając po sobie poznać zmęczenia. Światło słoneczne sączyło się przez duże okna po jego lewej stronie, oświetlając podobizny aspektorów. Wszyscy byli Anglikami, z wyjątkiem jednego o francuskim imieniu. Sami mężczyźni. Kobietom, przedstawicielom klas niższych i obcokrajowcom nie pozwolono na uprawianie czarów do XVII wieku, aż do buntów. Mimo to społeczeństwo powoli nadrabiało zaległości. Jego przewodnik poprowadził go schodami przez jeszcze jedno piętro. *To miejsce to labirynt*, pomyślał. Jeszcze jedna klatka schodowa i Bachus odniósł wrażenie, że coś zostało zaczarowane – ateneum nie było aż tak duże.

Schody się skończyły i znalazł się w wąskim korytarzu przed drzwiami jeszcze masywniejszymi niż wejściowe, przed którymi dwóch kolejnych wartowników stało na baczność. Gdy się zbliżyli, jeden z nich wycofał się po schodach, być może po to, by zająć miejsce zwolnione przez Bachusowego przewodnika. Następnie przewodnik zapukał trzykrotnie, otworzył drzwi i wygłosił swoją kwestię.

– Pan Bachus Kelsey, zaawansowany aspektor zawodu fizycznego, Barbados, na spotkanie ze zgromadzeniem.

Nie było odpowiedzi. Strażnik cofnął się do sali i gestem zaprosił Bachusa do środka. Zrobił to z wyprostowanymi ramionami i wysoko uniesioną głową.

Było to chłodne pomieszczenie, choć nie tyle pod względem temperatury co estetyki. Ściany zdobiło kilka draperii, które rzucały cień, przez co komnata wyglądała jak jaskinia pełna atramentu. Nie było tu żyrandoli, kinkietów ani świeczników, całe światło pochodziło z okien w jednej ścianie. Jedynym dywanikiem był długi czerwony pasek, który prowadził bezpośrednio od drzwi do podwyższonego rzędu siedzeń osłoniętych nieco zbyt wysoką kamienną ścianką. Bachus mierzył sześć stóp i trzy cale wzrostu, ale zgromadzenie znajdowało się dziesięć stóp nad poziomem gruntu.

W sumie jedenastu aspektorów, najmłodszy mógł mieć czterdzieści kilka lat, a najstarszy wyglądał na krzepkiego siedemdziesięciolatka. Bardzo pasowali do portretów w tym długim korytarzu, z wyjątkiem jedynej kobiety w ich szeregach, która siedziała na przedostatnim krześle po prawej stronie. Bachus znał imiona ich wszystkich, ale nie wszystkie twarze. Mógł jednak zidentyfikować mężczyznę siedzącego pośrodku zgromadzenia, lekko wysuniętego do przodu. Miał bladoszare włosy i pomarszczoną twarz, jakby całe życie się krzywił. Mistrz Enoch Phillips, utytułowany hrabia i głowa tego ateneum. Bachus skłonił się głęboko.

– Dziękuję, że zgodziliście się ze mną spotkać.

– Przyjechałeś z daleka – powiedział Mistrz Phillips, w jego głosie brzmiało zarówno zadowolenie, jak i zniesmaczenie tym spotkaniem. – Witamy w Londynie.

Bachus skinął głową w podziękowaniu.

– Pańskie portfolio jest imponujące – powiedziała kobieta.

Jej imię było łatwe do odgadnięcia: Mistrzyni Ruth Hill. Przerzuciła kilka papierów, co Bachus słyszał, ale nie widział. Była po pięćdziesiątce i dobrze wyglądała jak na swój wiek. Białe kosmyki włosów wplecione miała w blond warkocze zaczesane do tyłu na karku.

– Zaczął pan w dobrym wieku i robił postępy, pomimo waszych ograniczonych zasobów – miała na myśli połowę życia spędzoną na Barbadosie. Wyspa była mała, a jej magiczna społeczność jeszcze mniejsza.

– I wszystkie swoje testy przeprowadził pan tutaj – dodał mężczyzna po jej lewej stronie. – Mądry wybór.

– Anglia to mój drugi dom – Bachus ułożył słowa z taką uprzejmością, na jaką tylko było go stać. Potrzebował tego i to nie tylko ze względu na swoje mistrzostwo. – Mam wielki szacunek dla kraju, jak również dla tego ateneum.

Nie wspominając o żmudnym wysyłaniu dokumentów tam i z powrotem przez morze.

– Tak – wtrącił Mistrz Phillips, pocierając spiczasty podbródek – to widać. I czysta historia twórców czarów. Cenię ludzi, którzy wiedzą, czego chcą. Czystość jest niezbędna dla długowieczności.

Mistrz Phillips rzucił znaczące spojrzenie na stojącego obok niego mężczyznę, który nie zareagował niczym poza lekkim ściśnięciem ust. A więc to był Mistrz Victor Allen. Chociaż i tak został mistrzem, pierwsze dwa lata nauki spędził pod kierunkiem aspektora duchowego, zanim przeszedł na oś fizyczną. Taka zmiana nie była niczym niezwykłym, ale magiczna siła, którą człowiek zdobywał w jednym rodzaju magii, nie mogła zostać przeniesiona do innego, a to przeszkadzało mu do końca życia. Rzeczywiście większość ludzi nie byłaby w stanie osiągnąć mistrzostwa w drugiej dyscyplinie po zużyciu części swoich umiejętności w pierwszej, co tylko pokazało, że Mistrz Allen był bardzo potężnym czarodziejem. Być może to był prawdziwy powód, dla którego Mistrz Phillips zdawał się go nie lubić.

– Znałem swoje pragnienia, odkąd byłem chłopcem, nawet zanim ujawnił się mój talent – wyjaśnił Bachus. – Nie zboczyłem z obranej przeze mnie ścieżki.

Walczył z pragnieniem drgnięcia pod spojrzeniem jedenastu par oczu.

– Rzeczywiście. Kolejna godna podziwu cecha – Mistrz Phillips skinął głową. Skrzyżował ręce na krawędzi kamiennego cokołu. – Pańskie CV i referencje mówią same za siebie, panie Kelsey. Zgromadzenie omówiło już wcześniej pańską petycję i zgodziliśmy się zatwierdzić pański awans na mistrza.

W piersi Bachusa nabrzmiała bańka dumy. Wszystko, co musiał teraz zrobić, to nauczyć się mistrzowskiego zaklęcia, udowodnić, że potrafi je przyswoić pod okiem członka zgromadzenia, a tytuł będzie jego.

– Jednak pańska prośba o mistrzowskie zaklęcie poruszania została odrzucona.

Bańka pękła i Bachus musiał wysilić całą wolę, by nie pozwolić, by jego ramiona opadły. Żeby nie wyglądał, jakby dostał cios w brzuch. By nie okazywać złości. Ścisnęło go w gardle, zanim znów się odezwał.

– Dziękuję uprzejmie za zgodę na mój awans – ukłonił się choćby po to, by kupić sobie kilka sekund na uporządkowanie splątanych myśli. – Wybaczcie moją impertynencję, ale dlaczego odmówiono mi tego zaklęcia? Nie prosiłem o inne.

Desperacja skłoniła go do zadania tego pytania. Byłoby praktycznie niemożliwe, aby ktoś odgadł słowa, które po pierwsze były łacińskie, a po drugie budowały bardzo długie zaklęcie. Niektóre zaklęcia można było zdobyć bezpośrednio od czarowników lub kolekcjonerów opusów, ale zaklęcia

mistrzowskie były najczęściej niebezpieczne i dlatego znacznie ściślej regulowane. Istniała oczywiście nielegalna droga, ale kara za niewłaściwe użycie magii w jakikolwiek sposób była surowa i natychmiastowa, a każdy przyłapany na tym aspektor natychmiast tracił licencję, jeśli nie głowę.

– Nie będę marnować żadnych zasobów ateneum. Nie podzielę się tą wiedzą z nikim, chyba że na łożu śmierci.

Jego mistrzostwo nic nie znaczyło, jeśli nie miał tego zaklęcia. Jego przyszłość też nic by nie znaczyła.

– To potężne zaklęcie. Rzadkie, cenne. Sam to dobrze rozumiesz – odparł Mistrz Phillips. Wyglądało na to, że patrzył ponad głowę Bachusa, a nie w jego oczy.

– Jestem tego świadomy – Bachus dokładnie cyzelował słowa. Nie mógł otworzyć zaciśniętych pięści, więc schował je za plecami. – Ale nie proszę o nie ze względu na jego rzadkość. Bardzo przydałoby się w mojej posiadłości – nie było to kłamstwo. – Hojnie zrekompensuję ateneum, a krople oczywiście będą pochodzić z mojej własnej kieszeni.

Nie można było opanować nawet najprostszego zaklęcia nowicjusza, nie płacąc za nie kroplami aspektorów – czarodziejską walutą wszechświata – ale Bachus oszczędzał od dawna. Był na to przygotowany.

– Nie wątpię w jego przydatność, młody człowieku – odparł Mistrz Phillips. – Ale mistrzowskie zaklęcie poruszania jest skarbem ateneum. Musi pozostać wśród swoich.

Jego brew drgnęła.

– Słucham?

Był uczniem tego ateneum od dzieciństwa.

Pan Phillips westchnął bardzo podobnie do rodzica zmęczonego strofowaniem dziecka.

– Chociaż nikt nie może zakwestionować pańskiego talentu, tak naprawdę nie należy pan do tego ateneum, panie Kelsey. Nie jest pan jednym z nas. Pańska prośba została odrzucona. Gdyby pan jednak przekazał znaczną darowiznę na rzecz ateneum, moglibyśmy opracować kolejne zaklęcie na poziomie mistrzowskim dla pańskiego repertuaru i dostarczyć niezbędnego świadka.

Mięśnie Bachusa napięły się jak stal. Rozumiał każde niewypowiedziane słowo.

– Mój ojciec był takim samym Anglikiem jak pan, panie Phillips. I jak stwierdziło zgromadzenie, moja linia twórców czarów jest czysta.

Chociaż prawdopodobnie wiedzieli, że jest draniem, nie miał wątpliwości, że plotkowali o tym przed jego przybyciem.

– Londyńskie Ateneum Fizyczne przeprowadziło wszystkie moje wcześniejsze testy – kontynuował.

Mistrz Phillips podniósł młotek i uderzył nim.

– Dziękuję, panie Kelsey. Jest pan wolny.

Jego stalowe mięśnie natychmiast zmieniły się w budyń. To tyle? Nie mógł się obronić? Jednak każda obrona pojawiająca się w jego chwiejnym umyśle nie zdobyłaby przychylności tego zgromadzenia. Nie, słowa cisnące mu się na język były podszyte gniewem, gdyby wypowiedział którekolwiek z nich, prawdopodobnie całkowicie straciłby szansę na awans. Dlatego milczał, gdy członkowie zgromadzenia powstali z miejsc i zaczęli wychodzić tylnymi drzwiami. Jediną osobą, która spojrzała na niego ponownie, była Mistrzynie Ruth Hill. Litość w jej oczach pozostawiła kwaśny posmak w jego ustach. Drzwi za nim otworzyły się, a strażnicy już na niego czekali. Zmusili go do odwrotu, jednak ta bitwa się nie skończyła. Tak czy inaczej Bachus dostanie swoje zaklęcie, a ateneum niech będzie przeklęte.

Będzie musiał powiedzieć księciu, że przedłuży swój pobyt.

ROZDZIAŁ 5

Pan Ogden zapomniał swoich kielni.

Emmeline odkryła ten błąd niecałe pół godziny po tym, jak wyszedł na kolejny dzień pracy w posiadłości dziedzica Douglasa Hughesa. Postawił poplamioną gipsem torbę przy drzwiach frontowych, a potem wyszedł tylnymi. Elsie nie była pewna, czy dzisiaj zamierzał gipsować, ale jeśli zadał sobie trud, by położyć torbę tam, gdzie myślał, że jej nie zapomni, to musiał jej do czegoś potrzebować. I chociaż nie miała ochoty zbliżyć się do dziedzica bardziej, niż było to absolutnie konieczne, jeszcze bardziej nie chciała, żeby Ogden stracił pracę i nie mógł już dłużej finansować jej własnej. Wzięła więc torbę, trzymając ją z dala od siebie, żeby nie pobrudzić sukni kawałkami zaschniętego gipsu, i przeszła przez Brookley do domu dziedzica. Dom Hughesa był bardzo podobny do niego samego – dystansujący się od pospólstwa i krzykliwy z wyglądu, znacznie większy, niż jakikolwiek dom powinien być. Zanim przybyła, zdążył rozboleć ją brzuch. Nie chcąc czekać w kolejce służących przy tylnych drzwiach, zdecydowała, że bezpośrednie podejście będzie najlepsze. Podchodząc do frontowych drzwi, uderzyła w nie żelazną kołatką. Zajęło to chwilę, ale kamerdyner otworzył, a pan Parker, zarządca dziedzica, podszedł, odprawiając lokaja skinieniem głowy. Pan Parker był starszym mężczyzną o siwych włosach i brzuchu świadczącym o dobrobycie. Ubierał się skromnie, choć trochę niemodnie, i miał dość symetrycznie cofniętą linię włosów. Był jednym z nielicznych znośnych ludzi na usługach dziedzica, chociaż Elsie nie widywała się z nim często w czasie, gdy pracowała tutaj jako pomywaczka.

Zamrugął zaskoczony.

– Panno Camden! Jak mogę pani pomóc?

Zdziwiła się, że ją pamięta. Wyglądała teraz inaczej niż tamta brudna jedenastolatka zmywająca naczynia, a widywała go w mieście bardzo rzadko.

– Obawiam się, że pan Ogden zapomniał swoich kielni – powiedziała, podnosząc torbę.

Nie musiała dalej wyjaśniać – zarządca ze zrozumieniem skinął głową i zaprosił ją do środka. Kiedy doszli do dobrze wypolerowanych schodów, spytał:

– Chcesz, żebym to poniósł?

Rzeczywiście, chciałyby, ale pomyślała, że nie miałyby powodu, by zostać, gdyby oddała torbę. Skoro przeszła całą drogę tutaj, równie dobrze mogła porządnie przyjrzeć się kwaterom dziedzica. Sprawdzić, czy coś zmienił albo ukrył. By zaspokoić ciekawość.

– Lubię to ćwiczenie, panie Parker – uśmiechnęła się. Wyglądał na tylko trochę zakłopotanego, gdy skinął jej uprzejmie głową i poprowadził ją przez budynek. Zdaniem Elsie dom był o wiele większy, niż zwykły dom dziedzica – bardziej odpowiedni dla barona. Skromny, ale kosztowny wystrój nie zmienił się ani nie zestarzał, chociaż patrzyła na to teraz inaczej, choćby dlatego, że w międzyczasie urosła o kilka cali. Uderzyło ją, że być może dziedzic pozostawił wszystko bez zmian, ponieważ nie udało mu się jeszcze przekonać żadnej kobiety, by wyszła za niego za mąż i odświeżyła to miejsce. Całe drewno było wypolerowane, wszystkie okna bez smug. Każdy element oświetlenia wydawał się usiany kryształami. W kuchni pieczono coś z tymiankiem, ale pan Parker zaprowadził ją na dziedziniec, zanim zdążyła określić, co to było. Dziedziniec był całkowicie zdominowany przez dom, mniej więcej dwa razy większy od pracowni Ogdena. Kamienna ścieżka wiała się przez ogrody pełne zieleni i wrzecionowatych drzew. Po drugiej stronie w cieniu stała ławka. Ściany domu od strony ogrodu zbudowane były z cegieł, a na szczycie muru znajdował się otynkowany brzeg. A raczej jego początek. Elsie wyobrażała sobie, że praca Ogdena zostanie wyrzeźbiona w tym tynku, zapewniając odwiedzającym coś do podziwiania podczas spaceru po kamiennej pętli. Elsie próbowała kiedyś przejść tę pętlę, ale gospodyni złapała ją i skarciła. Dostała za karę razy w rękę za „chodzenie tam, gdzie nie jej miejsce”, co sprawiło, że szorowanie garnków następnego dnia było co najmniej nieprzyjemne.

Ogden przykucnął w północno-wschodnim rogu, ledwo widoczny za dobrze przystrzyżonym dereniem.

– Panie Ogden, ma pan gościa – pan Parker mówił z lekką nutą radości. Elsie nie wiedziała, jak można być wesołym na usługach dziedzica Hughesa.

– Nie tyle gościa, co dostawcę – wyjaśniła Elsie, gdy Ogden się odwrócił. Jego oczy natychmiast powędrowały do torby z kielnią, a ulga rozjaśniła jego twarz. Przeszedł przez ścieżkę

– Jesteś aniołem – wziął od niej torbę.

– Raczej Emmeline. To ona ją zauważyła.

Ogden rzucił jej spojrzenie, które mówiło: „Znam cię i twoje pragnienie ciekawskiego rozglądania się”, co stanowczo zignorowała. Otrzeputując spódnicę i sprawdzając, czy nie ma na niej pozostałości gipsowego pyłu, Elsie dodała:

– Cóż, to by było na tyle. Boję się, że zgubię się w tym ogromnym domu, panie Parker – w końcu minęło dziesięć lat, a jej stanowisko było tak niskie, że

rzadko wchodziła na parter. – Odprowadzi mnie pan do drzwi?

Zarządca uśmiechnął się.

– Będzie to dla mnie przyjemność. Miłego dnia, panie Ogden.

Ogden skinął im głową i wrócił do swojej pracy.

– Czy to duży kłopot, nadążać ze wszystkimi pracami w tak dużym domu? – zapytała Elsie, kiedy już weszli do środka.

Pan Parker potrząsnął głową. Poruszał się wolno, co pozwalało na spokojną rozmowę.

– Zupełnie nie. Utrzymuję porządek we wszystkich księgach, a dziedzic nie jest lekkomyślny. To wiele ułatwia.

Elsie poczuła się pewnie, więc zapytała:

– Nie jestem pewna, czy cokolwiek jest łatwe, jeśli chodzi o dziedzica.

Ku jej uldze pan Parker tylko się zaśmiał.

– Rozumiem pani punkt widzenia, panno Camden. Ostatnio był nie w humorze z powodu odejścia wicehrabiego.

Wicehrabia?

Miała nadzieję, że jeśli wierzyć siostrze Wright, była mowa o człowieku, który przebywał z dziedzicem dwa lata temu, ale kim był ten wicehrabia? Żołądek Elsie lekko podskoczył na myśl o plotce. A jednak pan Parker powiedział to z założeniem, że będzie wiedziała, do kogo się odnosi. Nie ciągnął jej za język. Myśląc szybko, Elsie zapytała:

– Martwi się o niego?

– Oczywiście – weszli do długiego korytarza. – Między nimi była tylko pusta sypialnia. To się stało tuż pod jego nosem, ale nikt nic nie słyszał. Nie był sobą od powrotu z Londynu. Nie byli zbyt blisko, ale jest to świadectwo naszej własnej śmiertelności.

Jej umysł wirował, szukając brakujących elementów układanki. Gdy zbliżali się do holu wejściowego, zza rogu wyszedł sam dziedzic, wysoki i zamyślony. Elsie była tak pochłonięta własnymi myślami, że ją zaskoczył. Z jej ust, które szybko zamknęła, dobyło się krótkie westchnienie. Dobre maniery nakazywały, by nie odzywała się pierwsza, i była wdzięczna za ten pretekst, by go zignorować. Niestety, dziedzic Hughes nie zignorował jej. Zatrzymał się nagle, spoglądając na Elsie, jakby był jakimś bykiem, a ona czerwoną flagą. Jego ognisty wzrok powędrował do pana Parkera.

– Co, u licha, robisz ze swoim czasem, Parker? Kim jest ta kobieta i dlaczego jest w moim domu? – rumieniec gniewu wypłynął na szyję Elsie. Zmešla w zębach tyle ostrych ripost, że aż ją zaboląły. Tyle dobrego, że zdawał się jej nie rozpoznawać po ich krótkim spotkaniu w Londynie.

– To tylko pomocnica pana Ogdena, który wykonuje świetną robotę na waszym wewnętrznym dziedzińcu. Odprowadzam ją do wyjścia. Wydaje mi się, że Markson szukał pana w sprawie lunchu.

Usta dziedzica Hughesa wykrzywiły się w bardzo nieprzyjemny sposób. Zamiast odpowiedzieć, nikczemny mężczyzna po prostu przepchnął się obok nich i poszedł.

Nie odważyła się powiedzieć nic na głos, tylko skrzyżowała ręce.

– Przepraszam – pan Parker przeszedł przez przedpokój i chwycił za klamkę. – Dziedzic jest bardzo... staromodny – w jego oczach pojawił się błysk, którego Elsie nie potrafiła zinterpretować. – Proszę, prześlij pozdrowienia młodej Emmeline, dobrze?

Zatrzymała się o krok od framugi drzwi, przyglądając się starzejącej się, ale mądrej twarzy pana Parkera.

– Zna pan Emmeline?

Wygładził krawat.

– Moim zadaniem jest wiedzieć wszystko o Brookley, moja droga.

Mrugnął do niej czy tylko coś mu wpadło do oka? Czy wiedział o niej? O nich? Elsie powoli skinęła głową.

– Oczywiście. Dziękuję.

Wyszła, nasłuchując, czy drzwi się za nią zamkną. Nie usłyszała, jak kliknęły, ale kiedy się odwróciła, były zamknięte. Zatrzymała się na chwilę, przyglądając się frontowi domu.

Czy zarządca powinien wszystko wiedzieć? I co on wiedział? I dlaczego przekazał jej informacje o wicehrabim? Elsie zastanawiała się nad tymi pytaniami przez całą drogę do domu, nie znajdując ostatecznej odpowiedzi na żadne z nich.

* * *

– Jest taki od dawna... Od lat – Thom Thomas, znany lokalnie jako Podwójny Thom, trzymał małą gipsową figurkę Chrystusa w starych dłoniach, które lekko drżały. Część szaty postaci i jego lewa ręka były utracone. Stary parobek zaśmiał się lekko. – To stało się, kiedy mój syn jeszcze tu mieszkał. Widzisz, to on zrzucił ją z kominka. Od tego czasu nie wystawialiśmy jej.

Elsie skinęła głową, ostrożnie wzięła małą figurkę i jej odłamaną dłoń i złożyła je razem. Tego popołudnia ponownie wyszła do sklepu, gdzie robiła zakupy z nadzieją, że oderwie ją to od natarczywego myślenia o wizycie dziedzica w posiadłości. Thom najwyraźniej był w drodze do pracowni, kiedy dostrzegł ją na ulicy.

– To powinna być łatwa naprawa – prawdopodobnie mogłaby nawet sama jej dokonać, ale ręce Ogdena były o wiele zręczniejsze niż jej własne. – Nie sędzę, żeby zażądał więcej niż szylinga lub dwa, i to tylko dlatego, że będzie musiał uformować gips na szatę. Podwójny Thom uśmiechnął się, odsłaniając dwie szczyby w dolnej szczęce.

– Tak może być – wyłowił z kieszeni dwa zmatowiałe szylingi i wręczył je jej. – Będzie taka zaskoczona. W przyszłym tygodniu jest nasza rocznica. Czterdzieści trzy lata.

Wspomniał już o rocznicy, ale Elsie się uśmiechnęła.

– To bardzo wyszukana rzecz. Zaniósę ją do warsztatu jak własne dziecko. Możesz odebrać gotową figurkę dzień przed uroczystością, dobrze? Albo mogę ją przynieść.

Podwójny Thom potrząsnął głową.

– Przespaceruję się. Mogę się w ten sposób oderwać.

Uściskała jej dłoń. Elsie zdjęła rękawiczki i zawinęła w nie gipsowe kawałki, zanim włożyła je do koszyka. Wracając do domu, schowała szylingi do torebki i koniuszkami palców musnęła złożoną tam kartkę papieru. Jej pierwszą myślą było, że musi wstąpić na pocztę i wysłać list. Drugą, że przecież nie napisała dziś listu.

Wypuściła monety z palców i ścisnęła brzeg papieru, wyciągając go. Nie była to nawet cała kartka, ale ćwiartka, o srebrzystym odcieniu, ciasno złożona i zapieczętowana półksiężycem i ptasią łapką.

Serce jej podskoczyło i odwróciła się tak szybko, że gipsowy Chrystusomal nie wypadł jej z koszyka. Podwójny Thom przeszedł już przez drogę prowadzącą do Clunwood. Ale nigdy nie znalazł się blisko jej portmonetki. Nikt nie był na tyle blisko. I... cóż, nie mógłby być Kapturem, chyba że byłby fantastycznym aktorem. Podwójny Thom mieszkał w Clunwood przez całe życie i był tak prosty, jak tylko człowiek mógł być. A jednak była pewna, że jeszcze rano jej portmonetka nie zawierała żadnych notatek! Gdzie jeszcze dziś była, poza... Przemknął jej przez myśl pan Parker, ale on nie dotykał torby. Mimo to wiedział o niej tak dużo, więcej niż powinien, biorąc pod uwagę ich słabą znajomość. Próbowała sobie przypomnieć, jak blisko siebie stali... Spekulacje tylko przyspieszyły bicie jej serca. Jej fantazje szły razem z nią. Musiała się skupić, a nie zastanawiać się, co by było, gdyby.

Ale gdyby to był pan Parker... Gdyby w końcu poznała choć jedną osobę, która ją prowadziła... Nie mogła przeczytać tej notatki. Nie w miejscu, gdzie ktoś mógłby ją zobaczyć. Schowała więc kartkę z powrotem do swojej małej torebki i przycisnęła ją do siebie, schodząc z drogi i przecinając dziką trawę za sklepem mięsny. Wyskoczyła na ślepią uliczkę z domami otaczającymi studnię.

Zauważyła Aleksandrę Wright idącą w kierunku Main Street pod ramię z rudowłosym mężczyzną...

Serce zabiło jej mocniej, a potem podeszło do gardła i zapomniała o notatce w sakiewce. To niemożliwe... Nie tutaj...

Mężczyzna odwrócił głowę w stronę panny Wright i zachichotał z czegoś, a w jego profilu Elsie zobaczyła kogoś zupełnie nieznanego.

Ulga była natychmiastowa, choć serce wolno wracało na swoje miejsce. Po prostu wyglądał jak Alfred. Jej były adorator nie zaszczycił Brookley swoją obecnością od prawie dwóch lat. Dlaczego miałby to zrobić teraz? Mimo to nie lubiła być atakowana wspomnieniami o tym mężczyźnie, nawet jeśli nie była to wina towarzysza panny Wright.

Idąc dalej, Elsie wybrała jeszcze jeden skrót, zanim minęła pocztę i siodlarza w drodze do warsztatu murarskiego. Weszła bocznymi drzwiami i nie zdjęła butów, po czym udała się na górę do swojego pokoju. Zamykając drzwi i opierając się o nie, Elsie rozdarła list.

To pilne, żebyś przełamała zaklęcie w Kencie.

To wszystko. Zamrugła i wbiła wzrok w papier. Żeby złamała zaklęcie w Kencie? Ale już je złamała! Niecałe dwa dni temu. Z pewnością wiedzieli, że kosz z winem został zabrany. Czy uznali, że poniosła porażkę? Pod dopasowanymi rękawami Elsie pojawiła się gęsia skórka. Nigdy nie zawiodła Kapturów. Za bardzo bała się, ile może ją to kosztować. Nie bała się ich samych, ale tego, że zostanie odrzucona, uznana za bezużyteczną. Bała się utraty celu. Nigdy nie poznała tożsamości tych, którzy potajemnie ją zatrudniali. Z pewnością każda misja była testem, a kiedy się sprawdziła... Nie było sposobu, aby odpowiedzieć na list. Nie miała jak się obronić. Żadnego dowodu i możliwości jego przedstawienia, nawet gdyby go miała. Podarła list i wrzuciła go do kominka, chociaż jej ręce trzęsły się, gdy zapalała zapalną. Musiała wrócić do Kentu. Musiałaby sama kupić maderę – a to z pewnością dużo kosztowało! Czy byłoby podejrzane, gdyby tak szybko wróciła do drzwi dla służby? Czy będą chcieli więcej, niezależnie od ceny?

Przygryzła wargę i chodziła po pokoju, podczas gdy płomień pochłaniał list. Uznała, że ponowne przebranie się za sprzedawczynię byłoby zbyt podejrzane. Rozejrzała się za lepszą wymówką. Szukać pracy? Kucharka by ją rozpoznała, ale to nie byłoby takie złe. Większą przeszkodą była potrzeba listu referencyjnego. Mogłaby go sfalszować. Ale co się stanie, jeśli ktoś rozpozna fałszerstwo? Jedyną rzeczą, której Elsie musiała unikać, był wymiar

sprawiedliwości. Niezarejestrowanym aspektorom, w tym łamaczom zaklęć, groziły surowe i wymyślne kary. Najczęstszą był stryczek.

Myśl, myśl! Mogła po prostu podejść, odczarować drzwi i odejść. Mogła pozostać niezauważona. Ale to było wtargnięcie, prawda? Coś takiego było dozwolone tylko wtedy, gdy miała w ręce koszyk z towarami.

Będzie musiała iść w nocy. Wcześniej zdarzało się, że wykonywała misje dla Kapturów nocą, ale rzadko. Tak, pójdzie w nocy, a jeśli zostanie złapana... Pomyślała o pannie Wright, idącej ramię w ramię z tajemniczym mężczyzną. Elsie mogłaby umówić się na romantyczną schadzki z jednym z lokajów. Była tam, żeby się z nim zobaczyć. Gdyby poprosili o jego imię, mogłaby odrzucić prośbę, nalegać, że chce go chronić. Albo uświadomić sobie, że trafiła do niewłaściwej posiadłości. Albo że jej adorator kłamał w sprawie jego zatrudnienia. Mogła udawać złamane serce i płakać. Z pewnością zostałaby odesłana bez kary, gdyby płakała!

A jednocześnie to było gospodarstwo domowe, które więziło własny personel, więc może nie. Nie miała już innych pomysłów. Wymknie się zaraz po kolacji, wróci przed świtem. Może Ogden nie zauważy jej nieobecności...

Pukanie do drzwi wyrwało jej z gardła pisk. Zerkając na kominek i widząc, że żalosne płomienie już zgasły, podeszła do drzwi i otworzyła je z większą siłą, niż było to konieczne.

Emmeline zamrugła ze zdziwieniem.

– Pan Ogden cię prosi.

Elsie odwróciła się w stronę okna. Dzień dobiegał końca – czy minęło już tyle czasu? Ogden musiał właśnie wrócić z domu dziedzica.

– Dziękuję, Em – chwyciła koszyk stojący przy drzwiach i zbiegła na dół.

– Pracownia! – zawołała za nią pokojówka.

Ogden oparł się o blat w pobliżu frontowego wejścia do studia, unosząc się nad szkicownikiem. Nadal miał na sobie spodnie robocze, poplamione tynkiem.

– Ach, tu jesteś – powiedział, gdy się zbliżyła.

– Podwójny Thom zatrzymał mnie w mieście – próbowała rozluźnić ciało, żeby nerwy nie wkradły się w jej mowę. Postawiła przed nim Chrystusa i wyjęła dwa szylingi. – Poprosił o naprawę do przyszłego tygodnia.

Ogden przerwał na chwilę, po czym odłożył ołówek i przyjrzał się posążkowi.

– Łatwe do zrobienia – spojrzał na nią. – Wszystko w porządku, Elsie?

Poczuła, że się rumieni.

– Tak. Spacer mnie rozemocjonował, to wszystko.

Ogden postawił figurkę na półce pod ladą.

– Pamiętasz ten mały sklepik z zaopatrzeniem w Westerham?

Elsie przetarła oczy, zmuszając mózg do przełączenia się z jednego trybu na drugi.

– Tak, ten z wiśniami?

Ogden uśmiechnął się.

– Ten. Potrzebuję tej metalicznej farby, którą sprzedają. Miałem nadzieję, że wybierzesz się tam i przyniesiesz trochę. Byłoby szybciej niż czekać na dostawę – potrząsnął głową i po raz pierwszy Elsie zauważyła, jak bardzo wygląda na zmęczonego. – Dziedzic jest zawziętym człowiekiem, ale potrzebuję tej farby dla innego klienta. A teraz, Elsie, trzymaj język za zębami.

Znał ją tak dobrze. Przełknęła słowa „dziedzic to łajdak” i skinęła głową, po czym się wyprostowała.

Westerham leżało na południe od Brookley, a Kent na południowy wschód... Czy w drodze powrotnej nie mogłaby wpaść do księżęcej posiadłości?

– Mogę iść wieczorem, jeśli chcesz – rozciągnęła usta w radosnym uśmiechu.

– Mam przyjaciela w... – *pomyśl* – Knockholt. To trochę długa wycieczka, może mogłabym pójść dziś wieczór i wrócić rano?

– Możesz wziąć dorożkę – powiedział. – Ale tak, powinno być dobrze, o ile wrócisz rano, aby pomóc klientom. Nie będzie mnie tu przez większość dnia. Powiedz Emmeline. Dostałaś te kotlety?

– Powiem i dostałam.

Ogden posłał jej ojcowski uśmiech.

– Jesteś skarbem, Elsie.

Wrócił do swojego szkicownika. *I masz nienaganne wyczucie czasu*, pomyślała, wybierając w głowie swój najciemniejszy strój na dzisiejszą wyprawę. Opatrzyła ją małą modlitwą – będzie potrzebowała każdej pomocy, jaką tylko mogła uzyskać.

* * *

Farbę schowała za stosem drewna w piekarni. Kilka gwiazd rozbłysło na niebie, gdy Elsie zbliżała się do księżęcej posiadłości. W ciemności wydawała się o wiele większa i bardziej złowieszcza. Otaczał ją ciężki, kamienny mur, który z przodu chronił posiadłość od ulicy, ale z tyłu wychodził na las. Las, w którym mogli polować tylko książę i jego goście, choć to była przeszkoda na inny wieczór.

Elsie nie przepadała za włóczeniu się po lesie po ciemku, ale nie miała wyboru. Mogła się tylko modlić, żeby nikt nie wziął jej za kłusownika.

Szła cicho, trzymając w dłoniach spódnicę. Współczesna moda nie uwzględniała kobiecej potrzeby skradania się przez jeżyny. Księżyc świecił

jasno, ale drzewa i chmury igrały z nim, zmuszając Elsie do bardzo powolnego poruszania się, inaczej ryzykowała upadek. Czy to nie byłoby coś, utknąć w lesie księcia Kentu ze skreconą kostką? Czy jej opowieść o sekretnym romansie wyciągnie ją z tej trudnej sytuacji? Na szczęście wycieczka przez las przebiegła bez przygód. Drzewa przeredziły się, teren wyrównał, a przed nią rozciągał się wypielęgnowany trawnik. Z westchnieniem ulgi weszła na ścieżkę myśliwską prowadzącą z tyłu posiadłości. Zrobiła tylko kilka kroków, kiedy jej stopa została wessana przez ścieżkę. Nie było to błoto – przez ostatnie kilka dni nie padało. Nie było tu też korzeni ani dziur. Błysk runy ujawnił prawdę, jej słaby blask uniósł ziemię, która otoczyła jej but, chwytając go w żelaznym uścisku. Zaklęcie nie różniło się od tego, które odczarowała na kłamce, ale było bardziej złożone, z kilkoma ciasnymi, zazębiającymi się pętlami. *Więcej zaklęć, aby utrzymać twoje służki na swoim miejscu?*, zastanawiała się, bez przekonania próbując uwolnić nogę. Kucnęła, obserwując otoczenie i dotknęła zaklęcia. Nie rozpoznała go – zaklęcie fizyczne, ale nie takie jak te, które wcześniej odczarowała. Pociągnęła za węzeł w jedną stronę, potem w drugą, zanim znalazła luźny koniec i rozplątała runę kawałek po kawałku. Zaklęcie rozbłysło – pomyślała, że niemal zmieniło się w dym – po czym zniknęło, a ziemia, która ją trzymała, rozsypała się z powrotem w pył.

Elsie oczyściła but i kontynuowała ostrożnie marsz. Runy nie należały do śmiałych ani odważnych, nie mogła po prostu zerknąć na ścieżkę przed sobą, żeby zobaczyć, gdzie leżą jakieś kopie tej, którą dopiero dezaktywowała. Ujawniały się dopiero, gdy się zbliżała. Te bardziej mistrzowskie pokazywały się dopiero, gdy była wystarczająco blisko, żeby ich dotknąć. Elsie zeszła ze ścieżki i przeszła ostrożnie na palcach, zauważając kolejną pułapkę kilka metrów dalej. Przeszukała cienie, czekając na ruch. Wysłuchiwała najmniejszego dźwięku. Czuła zapach stajni, ale nie słyszała koni. Wydawało się, że wszystko jest w porządku. To dobrze.

Przed nią majaczyły drzwi dla służby. Mogłaby je przegapić, gdyby nie dostarczyła tu przesyłki z winem dwa dni temu, cienie dobrze je ukryły. Z sercem łomoczącym w uszach podkrađła się bliżej i przycisnęła plecy do chłodnej ściany rezydencji. Nie była daleko od lasu. Może uda jej się uciec w bezpieczne miejsce, nie dając się złapać. W młodości nieźle się wspinała. Gdyby coś ruszyło za nią w pościg, mogłaby zwinąć spódnice między kolanami i schować się na drzewie. Dłonie jej się pociły, a usta wyschły. *Załatw to i odejdz*. Kaptury będą wiedzieć, że tym razem to zrobiłaś.

Drzwi wydawały się tak daleko. Elsie zrobiła krok w bok, przeklinając światło księżyca, który wyglądał spomiędzy zamglonych zasłon chmur. Sięgnęła do klamki, zaklęcie ciepła lizało jej palce. Zostało aktywowane – Elsie cofnęła

rękę, gdy metal przypalił jej opuszki palców. Ilu służących w tym domu miało pęcherze od tej przeklętej rzeczy? Zaatakowała je paznokciami. Tym razem odprężenie przyszło łatwiej. Znała wzór, wiedziała, za którą nić pociągnąć. Zajęło jej to tylko kilka sekund. Nagle czyjaś dłoń chwyciła ją za ramię. Elsie ledwie miała dość rozsądku, by zdusić krzyk, gdy ktoś odciągnął ją od drzwi.

– Więc to ty jesteś łobuzem, który łamie moje zaklęcia! – warknął szorstki baryton. Jego właściciel zdecydowanie nie starał się być cicho.

Elsie obróciła się w uścisku napastnika, stając twarzą w twarz z wyjątkowo dużym mężczyzną, którego uchwyt był mocniejszy niż runy na zaczarowanej myśliwskiej ścieżce. Zatoczyła się i wykręciła, desperacko próbując się uwolnić. Puls wybijał jej szybki rytm pod czaszką.

– Kobieta – warknął. – Kim jesteś? Jak masz na imię?

Elsie nie odpowiedziała, tylko walczyła. Wymierzyła mężczyźnie kopniaka w goleń, szarpała rękaw paznokciami. Teraz całkowicie spanikowała. Zapomniała o wszystkich celach, z wyjątkiem desperackiej potrzeby ucieczki. *Nie odpowiadaj, nie odpowiadaj!* Gdyby to zrobiła, poznałby jej głos i być może mógłby użyć go przeciwko niej. Miała osłonę ciemności. Musiała po prostu uciec... Mężczyzna szarpnął ją do przodu, w stronę tylnej części domu.

– Dobrze. Jestem pewien, że władze wyciągną od ciebie odpowiedzi – warknął.

– Nie! – zawołała, opadając ciężko w dół. Porywacz potknął się, gdy jej kolana uderzyły o ziemię. – Nie, proszę! – mówiła ochryple z desperacją. – Zrobię wszystko, ale nie wzywaj policji!

Mężczyzna prychnął.

– Powinnaś była pomyśleć o konsekwencjach, zanim złamałaś prawo.

Podniósł ją, ale Elsie znowu się osunęła, wywołując przekleństwo z ust mężczyzny. Zobaczyła słaby błysk, zanim jej sukienka stwardniała i zakołysała się wokół niej, utrudniając jej ruch.

Aspektor fizyczny.

Odwrócił się, by chwycić ją za drugie ramię. Kiedy to zrobił, Elsie oparła się o niego sztywnym ciałem i wciąż poruszającym się nadgarstkiem rozwiązała zaklęcie stwardnienia w pobliżu swojego biodra.

Jej sukienka znów się rozluźniła, a ona z całej siły uderzyła butem w napastnika.

Nie przyniosło to pożądanego efektu – nie zraniło przeklętego mężczyzny, tylko go zaskoczyło. Zrobiła dwa kroki, zanim jego ogromne ręce znów chwyciły ją za ramiona. A Elsie mogła odczarować tylko fizyczne zaklęcia, nie siłę.

– Mówisz mi o moralności, ale zabraniasz swojej służbie wychodzić z domu!

Odepchnęła się od ziemi, próbując go przewrócić. Zrobił pół kroku do tyłu, zanim podniósł ją do pionu.

– To zakęcie jest środkiem bezpieczeństwa przed złodziejkami takimi jak ty.

Pociągnął ją w stronę tylnego wejścia.

– Nie jestem złodziejką!

Spróbowała skrócić w jedną stronę, potem w drugą. Próbowała wydłubać mu oczy. Ale jego siła z łatwością przewyższyła jej. *Walcz magią i spraw, by było sprawiedliwie, ty przerośnięty głupku!*

– Kto cię przysłał? – mówił szczecliwie.

– Nikt mnie nie przysłał! Proszę, miej litość!

On tylko chrząknął. Drzwi były w zasięgu wzroku. Z pewnością ktoś ich zaraz usłyszy, a wtedy jej szansa na ucieczkę znacznie się zmniejszy. Wystarczyłby jeszcze jeden człowiek, żeby ją schwytać, a potem...

– Nie jestem zarejestrowana! – syknęła. Zatrzymał się tylko na chwilę. Z pewnością wiedział, że kara za uprawianie jakiegokolwiek magii bez rejestracji jest poważna. To sprawiło, że oskarżenie o kradzież brzmiało jak popołudniowa herbatka. – Proszę – naciskała. – Nie jestem przestępcą. Chciałam tylko pomóc służbie.

Kawałki rozpuszczonych włosów opadły jej na twarz. Kolejne warknięcie zabrzmiało nisko w gardle mężczyzny.

– Kto cię przysłał? – Elsie zacisnęła usta. Jego uścisk się wzmocnił. – Kto. Cię. Przysłał.

– Nie mogłabym ci powiedzieć, nawet gdybym chciała – wymamrotała. Czy Kaptury odbiją ją, jeśli pójdzie do więzienia? Ale gdyby jej zdolności łamania zaklęć zostały upublicznione, nigdy więcej by jej nie użyli. – Moją jedyną zbrodnią jest uwolnienie zwykłych ludzi!

– To środek bezpieczeństwa – odpowiedział jej porywacz, a Elsie wychwyciła w oświadczeniu nieznany tembr. Coś w tym dźwięku przywołało jej zmysły na miejsce. Ktokolwiek ją trzymał, nie był księciem – Elsie wiedziała, że jest starszy, poza tym chyba nie był aspektoem. W padającym na nich świetle księżycy Elsie zauważyła ciemne dłonie napastnika. Był cudzoziemcem.

– Nie popełnię więcej żadnego wykroczenia, jeśli po prostu pozwolisz mi odejść – błagała, gdy wola walki ją opuściła. Nie mogła go przechytrzyć. Gdyby nie mogła się z tego wygrzebać, wpatrywałaby się we wnętrze więziennej celi przez resztę swojego życia, które mogło być raczej krótkie. Powieszają ją? Ale czarodziej zdawał się rozważać jej słowa. Z niesmakiem. Gorycz wylała się z niego jak smród brandy.

– Zwykłych ludzi – zadrwił. – Nie wierzę ci. Jak zabezpieczenie na drzwiach miałyby zranić ludzi w środku? Są wolni i mogą iść, jeśli chcą. Przyzwójcie żyją

w społeczeństwie. To coś, czego powinnaś się nauczyć.

Ruszył w stronę drzwi.

– Przepraszam! – Elsie sapnęła, gdy mężczyzna ciągnął ją ku zagładzie. Milczenie nie miało już znaczenia, podobnie jak próby uspokojenia bestii. – Wnoszę wkład w społeczeństwo! Czy ja ci wyglądam na zbója?

Znowu się zatrzymał. Obejrzał ją od góry do dołu. W świetle dnia mogłoby to wywołać u niej skrępowanie.

– Lepiej się wytłumacz.

Jego głos był niski, jak groźba. Ale odrobinę rozluźnił uścisk.

– Proszę. Jestem pomocą kamieniarza. Byłam w pobliżu po farby. Ktoś mi powiedział, że służba jest źle traktowana. Przyszłam im pomóc. Błagam – głos jej się załamał; to nie była gra, ale prawdziwy strach dusił jej gardło. – Puść mnie. Pozwól, że zapłacę za zakłęcie. Albo odpracuję jego cenę. Podpiszę umowę, że nigdy więcej nie stanę na tych ziemiach!

Mężczyzna zastanowił się.

– Jesteś łamaczką zakłęb.

Oczywiście. Skinęła głową, pełna nadziei. Cofnął lewą rękę, trzymając ją prawą. Pogładził brodę, którą Elsie mogła dostrzec w słabym świetle.

– Powiedz, jak się nazywasz.

Elsie zacisnęła usta.

– Powiedz mi szczerze albo konstabl to z ciebie wyciągnie.

W jej umyśle kłębiły się kłamstwa. Betty. Jestem piekarką. Nie był aspektem duchowym – nie mógł wykryć kłamstwa. Czy jednak mógłby? A co, jeśli to zrobi? Wypuściła powietrze.

– Elsie Camden. Możesz mnie poszukać. Nie skłamałam.

– Odpracujesz dług – powiedział. – Mam zadanie, które trzeba wykonać, a łamacze zakłęb są trudni do znalezienia i drodzy. Pracuj dla mnie. Albo żeby ocalić życie. Jakkolwiek zdecydujesz się na to patrzeć.

Elsie gapiała się. Puścił ją, ale nie uciekła. Była zbyt uczciwa, by uciekać.

– Pracuję już na pełny etat – odparła. I to nie obejmowało jej misji dla Kapturów. Wzruszył ramionami.

– Nie mój problem.

Elsie wyprostowała się.

– Rano muszę być w domu. Ale mogę wrócić jutro.

Miejmy nadzieję, że robota u dziedzica jeszcze trochę potrwa, a Ogden nie zauważy jej nieobecności. Trzech pracodawców... Jak miałyby sprawić, żeby to zadziałało?

Ale jakoś musiały.

– O świcie.

– Nie jestem stąd.

Wskazał tylne drzwi. Na drugim piętrze ktoś zapalił świecę. Nerwy pełzały po skórze Elsie jak chrząszcze.

– Dobra. Dobra. Zrobię co w mojej mocy. O kogo mam pytać?

– Podejź do drzwi dla służby i zapytaj o Kelseya – odwrócił się teraz do tylnych drzwi, ale już bez niej. – Jeśli nie przyjdiesz, znajdę cię i zapewniam, że będziesz ścigana z całą surowością prawa.

Elsie przełknęła ślinę i splotła palce u rąk. Mężczyzna nic więcej nie powiedział, tylko zniknął w domu. Kolejna świeca zapaliła się w oknie na trzecim piętrze. Z podskakującym sercem Elsie pobiegła, unikając myśliwskiej ścieżki. Pochłonał ją las. Nie chciała rozgniewać Kapturów, ale bardzo wierzyła w groźby pana Kelseya. Jeśli nie wróci, jego kara będzie szybsza niż ich.

ROZDZIAŁ 6

– Elsie, czy mogłabyś mi podać ten dzban? Elsie?

Elsie zamruwała, wydostając się z mentalnej dziury, w którą wpadła. Oparła się o ścianę w kuchni, wpatrując się ślepo w pustkę. Zauważyła Emmeline stojącą nad piecem i obserwującą ją. Zauważyła dzban z wodą w pobliżu zlewu.

– Przepraszam.

Podniosła dzban i podała go Emmeline, która wlała jego zawartość do garnka, w którym mieszała. Galaretka z cielęcych nówek, jedna z ulubionych potraw Ogdena.

– Nie było cię dziś rano – powiedziała pokojówka. Elsie tylko skinęła głową. Była zmęczona. Zeszłej nocy wydała niebotyczną sumę pieniędzy na powóz, który miał ją wysadzić na skraju Brookley i chociaż wślizgnęła się do swojego pokoju na kilka godzin snu, musiała znowu wyjść, zanim domownicy się obudzili, żeby udawać, że przybyła na umówioną godzinę. Zaczęła od porządkowania ksiąg finansowych Ogdena, ale liczby wirowały jej przed oczami. Mózg miała wypełniony myślami o tym, co wydarzyło się w Kencie. Czy pan Kelsey naprawdę mógł ją wyśledzić? Jej nazwisko nie było wymienione w żadnym katalogu, była tego pewna. Akta jej przytułku dawno temu spłonęły na popiół. Co by zrobił, sprawdził w każdym urzędzie pocztowym w kraju, czy nie pojawia się jej nazwisko?

W końcu powinna była skłamać, ale był taki poważny, taki ponury, że podejrzewała, że w jakiś sposób się dowie. Czy Kaptury będą złe, gdy zobaczą, że zakłęcie ciepła wciąż jest nienaruszone? Czy pan Kelsey kłamał na temat środków bezpieczeństwa? Elsie miała wrażenie, że tonie w basenie i desperacko próbuje znaleźć oparcie na śliskich porcelanowych ścianach.

To tylko na chwilę. Jakoś to rozwiąże. Wiedziała, że Kaptury mogą nie poprosić o kolejną przysługę przez wiele miesięcy. Ogden często był zajęty i pobłażliwie odnosił się do jej planu dnia – zasłużyła na to po tylu latach dobrej służby. Kent nie był daleko. Dałaby sobie z tym radę przez tydzień lub dwa. Z pewnością wystarczyłoby tej pracy, by spłacić jej rzekomy dług, a pan Kelsey pozwoliłby jej odejść. Nie mógł być taki straszny, skoro pozwolił jej odejść. W kuchni zadzwonił dzwonek, zaskakując Elsie i Emmeline. Ogden rzadko używał dzwonka, tylko wtedy, gdy był bardzo zajęty lub chciał zrobić dobre

wrażenie na gościu w swoim salonie. Elsie i Emmeline wymieniły spojrzenia, zanim Elsie powiedziała.

– Załatwię to.

Emmeline podziękowała skinieniem głowy. Podnosząc bordową spódnicę, Elsie wbiegła po schodach do salonu. Drzwi były uchylone i nie mieli gości, więc nie zawracała sobie głowy pukaniem.

– Panie Ogden?

Zapytała, chociaż nie musiała. Ogden siedział na stołku przy nieoświetlonym kominku, trzymając w dłoni pędzel z cienką końcówką. Niebieskim atramentem rysował łacińskie litery na ramieniu. Uczył się nowego zaklęcia.

– Moje krople, Elsie, jeśli możesz – rzucił przez ramię. Elsie pospieszyła do pokoju Ogdena. Był prosto umeblowany i pachniał bardzo podobnie do człowieka, który w nim mieszkał – kremem do golenia, gipsem, przyprawami. Dobrze się stało, że to Elsie zareagowała na dzwonek. Emmeline nie wiedziała, gdzie Ogden trzymał krople. Była zatrudniona w zakładzie kamieniarskim od prawie dwóch lat, ale tak cenne informacje można było powierzyć tylko wybranym osobom. Kucając, Elsie szukała pod nocnym stolikiem Ogdena ukrytego tam małego kluczyka, po czym poszła z nim do przysadzistej szafki w pobliżu zamkniętego okna. Kluczyk pasował do małych drzwi z boku szafki i Elsie wyjęła ze środka niewielką skórzaną torebkę. Krople pobrzękiwały o siebie. Otworzyła torbę, wracając do salonu.

Wewnątrz znajdowało się siedem kropli, z których każda była warta więcej niż wynosiła jej waga w złocie. Chociaż były mniej więcej wielkości szylingów, nie były idealnie okrągłe – dziwne, piękne połączenie kwarcu, wody różanej i złota. Były półprzezroczyste, zaokrąglone, ale nie gładkie, i lśniły w słońcu. Krople były walutą, której wszechświat – a może Bóg – potrzebował do rzucania zaklęć. Nie wymagały magii do stworzenia, aspektor mógł stworzyć je sam, ale pomiary były tak precyzyjne, a proces tak kosztowny, że łatwiej było po prostu kupić je za monety w najbliższym ateneum. Za dużo monet. Im bardziej zaawansowane zaklęcie, tym wyższa cena. Krople były jednym z wielu powodów, dla których ktoś ubogi rzadko kiedy mógł pomnożyć swój majątek za pomocą magii.

Oczywiście złamanie zaklęcia nic nie kosztowało, wystarczyło się go nauczyć.

– Potrzebuję siedmiu – powiedział Ogden, kiedy Elsie wślizgnęła się do pokoju.

– Wystarczy – Elsie wysypała krople na dłoń i stanęła za Ogdenem, czekając, aż skończy pracę. Słowa zaklęcia, zawsze po łacinie, musiały być dokładnie wypisane na jego ramieniu, a Elsie nie chciała mu przeszkadzać. Jeśli zaklęcie

zadziała – jeśli wystarczy wrodzony talent Ogdena – słowa wchłoną się w jego skórę, czyniąc zaklęcie częścią jego samego. Strona w jego przyszłym dziele. Krople wtedy też znikną. Niektórzy mówili, że stawały się częścią ciała, generując moc dla magii. Inni twierdzili, że ponownie wchłaniały się do wszechświata lub wpadały do skarbca samego Boga. Gdziekolwiek się podziwiała, nie można ich było użyć po raz drugi. Krople były jedną z najbardziej fascynujących tajemnic magii, być może rywalizowały z nimi jedynie same zaklęcia. Człowiek, który napisał pierwsze zaklęcie, był tak samo owiany tajemnicą jak ten, który napisał ostatnie. Żaden z autorów nie był znany, a zaklęcia we wszystkich czterech aspektach magii już zostały stworzone. Wielu studiowało język i styl rzucania zaklęć, starając się je objaśnić lub tworzyć nowe, i żadnemu się to nie udało. Magia była tak samo osadzona w kamieniu, jak same zaklęcia.

Odręcznie napisane przez Ogdena zaklęcie było niebieskie, ponieważ należało do aspektu fizycznego. Czerwony atrament był używany do aspektu umysłowego, żółty do duchowego, a zielony do czasowego. Nie wiedziała dlaczego. Tak po prostu Bóg to stworzył.

Usiadła na pobliskiej kanapie, a krople rozgrzały się w jej dłoniach. Jej wzrok spoczął na leżącej obok złożonej gazecie – porannej lekturze Ogdena. Otworzyła cienki papier, a jej wzrok natychmiast padł na główny tytuł.

Wicehrabia aspektor trafiony piorunem w pogodny dzień.

Podtytuł brzmiał: *Opusu nie odzyskano.*

Marszcząc brwi, Elsie zbliżyła gazetę do twarzy. Wicehrabia Byron został rażony piorunem w Londynie po posiedzeniu parlamentu w późnych godzinach wieczornych. Chociaż nie było burzy, błyskawica uderzyła z nieba, przebiła okno i trafiła prosto w niego. Świadek, który prosił o zachowanie anonimowości, wybiegł z domu z krzykiem, ale kiedy rodzina – a później władze – przybyły na miejsce zdarzenia, nie było śladu po wicehrabim ani jego opusie.

Po plecach Elsie przebiegł dreszcz, gdy zrozumiała słowa pana Parkera: „Ostatnio był nie w humorze z powodu odejścia wicehrabiego... Tuż pod jego nosem, ale nikt nic nie słyszał”. Zaszło jej w ustach. Czy zarządca miał na myśli wicehrabiego Byrona? Czy to dziedzic Hughes jest tym anonimowym świadkiem? Jej myśli szalały. Według sióstr Wright dziedzic był również powiązany z zmarłym baronem. Całkowitym zbiegiem okoliczności znał obu mężczyzn, którym zabrano opusy. I skąd nagły wzrost przestępczości związanej z opusami? To nie był XVII wiek...

– Elsie?

Odłożyła gazetę i zmusiła myśli do powrotu do terażniejszości, zatrzymując informacje do późniejszego przestudiowania. Podeszła do Ogdena i umieściła

krople w jego wyciągniętej dłoni. Z początku wydawały się takie jasne, ale to tylko sztuczka słońca, bo kiedy Ogden poruszył ręką, świeciły, ale słabo. To był kolejny aspekt kropli – reagowały na magiczny hart ducha danej osoby. Świeciły. Im silniejszy czarodziej, tym jaśniejsza kropla. Nie reagowały jednak na magię łamacza zaklęć. Jeśli Elsie trzymała je w dłoni, pozostawały nieoświetlone i przezroczyste. Ogden miał pewne zdolności, ale niewielkie. Zaklęcia, które napotkała w posiadłości księcia, byłyby daleko poza jego zasięgiem. Ale próbował i czasami mu się udawało.

– Co to za zaklęcie?

– Zmieniające temperaturę – Ogden wyciągnął przed siebie pomalowane ramię. – Ułatwiłoby mi to trochę pracę. Może pomogłoby przy garncarstwie.

Elsie cofnęła się, a Ogden skandował łacinę. Rozumiała tylko kilka słów starego języka, ale żadnego z tych, które padły z ust jej pracodawcy. Próbowwała nadażyć za słowami na jego ramionach, bo to właśnie przeczytał, ale owłosienie na ciele Ogdena było gęste, a on odwrócił od niej czubek przedramienia. Kiedy skończył, zacisnął pięść wokół kropli. Pojaśniały lekko, a potem zmatowiały.

Ogden westchnął. Zaklęcie się nie wchłonęło.

– Może spróbuj jeszcze raz – zasugerowała Elsie. – Mogę sprawdzić twoje pismo, pędzel mógł się ześlizgnąć.

– To średniozaawansowane zaklęcie – Ogden opuścił ramię, wyglądał na zmęczonego. – Od początku miałem marne szanse. Wygląda na to, że muszę zadowolić się naukami dla nowicjusza.

Elsie położyła dłoń na jego ramieniu.

– Nadal znasz więcej magii niż ja.

Była to zarówno prawda, jak i kłamstwo.

Posłał jej słaby uśmiech i poklepał ją po dłoni.

– W porządku. Jestem artystą, nie aspektozem. To naprawdę tylko hobby.

– Przynajmniej będziesz musiał kupować tylko białą farbę.

Najczęściej używanym przez Ogdena zaklęciem było to zmieniające kolor, chociaż nie mógł naśladować metalicznych błysków w farbie, którą Elsie przyniosła mu zeszłej nocy.

– Położyłam nową farbę w twojej pracowni.

– Dziękuję. Przyniesiesz mi ściereczkę do naczyń, żebym mógł to zmyć? Emmeline nie znosi spierania atramentu z moich koszul.

Skinęła głową i odwróciła się, ale zaraz się zatrzymała.

– Przeczytałeś już gazetę?

– Tak.

– Co myślisz... o morderstwach? I co z opusami?

Opusy, które zostały skradzione, pochodziły od mistrzów magii, ludzi znających najpotężniejsze zaklęcia. Te księgi były warte każdych pieniędzy, a w niepowołanych rękach mogły być niewiarygodnie niebezpieczne. Podczas zamieszek pod koniec XVII wieku użyto opusowych zaklęć, by generał zapomniał, po której stronie walczył, i zaatakował własnego króla. Inny podpalił ateneum. Ogden zmarszczył brwi.

– Mam nadzieję, że to tylko historie podsycone sensacją przez dziennikarzy, aby sprzedawać więcej gazet. Módlmy się, żeby wicehrabia był ostatnim, o którym słyszymy.

Elsie skinęła głową, po czym zbiegła na dół, by zrobić, o co ją poproszono, ale jej myśli krążyły między morderstwami, opusami i Kentem.

* * *

Kiedy drzwi do pracowni się otworzyły, Elsie podskoczyła i upuściła pędzle, które wcześniej ułożyła. Prawie spodziewała się, że będzie tam stał duży, mroczny mężczyzna. Mógłby powiedzieć, że przychodzi w sprawie wydarzeń z dzisiejszego poranka, a potem odsunąłby się, ukazując zgromadzoną za nim policję, gotową zaciągnąć ją do najbliższego ateneum w celu ukarania.

Ku jej uldze był to tylko młody chłopak, nie miał więcej niż czternaście lat. Niski, ubrany w szary strój służącego. Całkowicie nieszkodliwy. Na wszelki wypadek wyciągnęła rękę, by sprawdzić, co jest za nim, ale wyglądało na to, że Bóg nie chciał, żeby dzisiaj tego doświadczyła. Odetchnęła z ulgą, zebrała pędzle i skierowała się do lady, gdzie czekał chłopiec.

– W czym mogę ci pomóc?

– Szukam Elsie Camden.

Podrapał się po piegopatym nosie. Odłożyła pędzle.

– To ja. Co mogę dla ciebie zrobić?

Jego oczy biegały po pracowni, choć wydawało się, że wynika to bardziej z ciekawości niż ze zdenerwowania. Przypominając sobie, po co tu przyszedł, skierował wzrok z powrotem na nią.

– Och. Przysłał mnie pan Parker z posiadłości dziedzica Hughesa. Powiedział... – przerwał, próbując sobie przypomnieć. – Powiedział, że potrzebuje twojej pomocy przy dodawaniu, a pan Ogden nie ma dokumentów.

Pan Parker. Jej puls przyspieszył na dźwięk tego nazwiska. Po co po nią posłał, skoro mógł po prostu poczekać do jutra i poprosić Ogdena, by sam przyniósł dokumenty? Dlaczego mężczyzna, którego wcześniej wyraźnie nie było w jej życiu – prawie tak, jakby próbował się ukryć – teraz nagle pojawia się raz za razem?

Czy może mieć rację co do jego powiązań z Kapturem? A jeśli tak, czy to oznaczało, że w końcu przygotowywali się do wtajemniczenia jej? Czekala tak długo...

Chłopiec ją obserwował, więc wydusiła potwierdzające „Ach”. W końcu metaliczna farba nie była jeszcze potrzebna. Gdyby dziedzic chciał dodać Ogdenowi więcej pracy, ten nie miałby już czasu na użycie tej farby. Nie dzisiaj. Pozostaw szlachcicowi wrażenie, że tylko jemu warto służyć.

– Poczekaj na mnie chwilę, dobrze?

Chłopiec skinął głową, a Elsie sięgnęła po księgę, w której zapisywała otwarte zamówienia Ogdena, starając się nie dopuścić do tego, by z ekscytacji trzęsły jej się dłonie. Księga zawierała nazwiska, daty, rodzaj pracy, szacunki i ostateczne ceny. Prace dla dziedzica Hughesa były na osobnej stronie. Ogden, będąc mądrym człowiekiem, chciał, aby dodatkowe prośby były rejestrowane od razu, aby zostały odpowiednio policzone, gdy nadejdzie czas. Elsie kazałaby nawet panu Parkerowi podpisać stosowną stronę w księdze. Nie pozwoliłaby temu dziedzicowemu szczerowi, żeby im zapłacił za mało.

Może uda jej się skłonić go do napisania swojego imienia. Sprawdziłaby, czy pasuje do pisma z listów, które otrzymywała. Chociaż zawsze szybko je niszczyła, wszystkie były pisane tą samą ręką. Była pewna, że rozpozna charakter pisma.

Po znalezieniu czepka wsunęła księgę pod pachę i gestem wskazała chłopakowi, by ruszył przodem. Zrobił to bez słowa, ale szedł zbyt wolno jak na gust Elsie. Chciała pobiec od razu. Musiała wiedzieć. Dzisiaj było trochę pochmurno, ale słońce wyglądało na tyle często, że nagrzewało powietrze. Siostry Wright skuliły się przed warsztatem siodlarza. Bez wątpienia plotkowały, co sprawiło, że Elsie zarówno przewróciła oczami, jak i zapragnęła podejść bliżej, aby zobaczyć, co wzbudziło ich zainteresowanie. Levi Morgan, jej najbliższy sąsiad, przechodząc obok z zawiniątkiem pod pachą, uchylił przed nią kapelusza. A Elsie odpowiedziała mu skinieniem głową

Przeszli przez ulicę i minęli zakład krawcovej, gmach sądu i dom konstabla. Szli dalej drogą, która stała się węższa i pokryta kurzem, minęła strumień i skrawek lasu, aż doszła do domu dziedzica. Elsie była zdyszana, kiedy dotarli na miejsce. Jej przewodnik był na tyle łaskawy, że zaprowadził ją do gabinetu pana Parkera, zanim ruszył w dalszą drogę. Drzwi były uchylone, a pan Parker siedział za biurkiem, z delikatną parą okularów na czubku nosa, przez co wyglądał dość staro. Nabazgrał coś na kawałku papieru. Elsie weszła do środka. Nie zachowywała się cicho, jednak kiedy zarządca podniósł wzrok i ją zobaczył, natychmiast opuścił lewą rękę, zakrywając to, co napisał. Elsie oczywiście od razu zainteresowała się jego pismem, ale szeroka dłoń pana Parkera

z powodzeniem zasłoniła wszystko. Z pewnością rozmazał atrament! Co było tak prywatne, że czuł potrzebę ukrycia tego? I tak oczywiste?

Kiedy podniosła wzrok z dłoni zarządcy, zobaczyła po jednej stronie laskę wosku. Tętno jej przyspieszyło. Był to intensywnie pomarańczowy wosk. Zupełnie jak ten, którym Kaptury pieczętowały swoje listy. Rozchyliła usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Oczywiście więcej niż jedna osoba mogła mieć pod ręką pomarańczowy wosk. Elsie o tym wiedziała. Ale pomarańczowy wosk i zasłonięcie listu... Czy pan Parker próbował ukryć charakter pisma? Bała się, że usłyszy łomotanie jej serca w piersi. *Jeśli to on, to nie jest gotowy, by się ujawnić.* Wymagało to od niej wiele siły woli, by nie rzucić się na biurko i nie podnieść jego ręki z notatki, żeby mogła ją przeczytać albo po prostu nie wyrzucić z siebie: „Czy to ty kierowałeś mną przez cały ten czas?”. To miało sens. Jego wiek, wygląd, zainteresowanie nią i wiedza o niej, łatwość, z jaką dostała tę pierwszą pracę w domu dziedzica. Wszystko do siebie pasowało, ale Elsie nie mogła nic z tym zrobić, dopóki on nie zrobi pierwszego kroku.

Wszystkie te myśli przemknęły jej przez głowę w ciągu kilku sekund, pozostawiając ją oszołomioną.

Pan Parker zwrócił jej uwagę.

– Panno Camden, dziękuję za przybycie w tak krótkim czasie. Dziedzic Hughes chciał dodać trochę kamienia do zewnętrznej ściany i, jak rozumiem, pan Ogden ma na to sposób.

Elsie napotkała niebieskie oczy zarządcy i głośno przełknęła ślinę.

– Uhm, tak, oczywiście.

Wyciągnęła księgę, starając się powstrzymać drżenie dłoni. *Zachowuj się normalnie. To tylko spekulacje. Ale wosk, tajemnica...* A pan Parker specjalnie wspomniał jej o wicehrabim Byronie podczas jej ostatniej wizyty. Bo coś wiedział? Bo ją znał? „Moim zadaniem jest wiedzieć wszystko o Brookley”, powiedział. Odchrząkując, Elsie otworzyła księgę na stronie z rachunkiem dziedzica.

– Gdybym mogła pożyczyć pióro i atrament.

– Och tak, oczywiście – pan Parker wsunął pod biurko to, nad czym pracował, i przesunął tackę z piórem i atramentem w jej stronę. Wskazał krzesło. Elsie przysunęła je i usiadła. Była tak zdenerwowana, tak podekscytowana, tak zdezorientowana, że nie mogła powstrzymać pytania, które cisnęło jej się na usta.

– Nad czym pan pracował? To znaczy, mam nadzieję, że nie przeszkodziłam. Nie chciałabym, żeby musiał pan to przepisywać.

Czy mówiła za szybko? *Zwolnij, Elsie. Inaczej będzie wiedział, że coś podejrzewasz.* Czy to źle, żeby myślał, że ona wiedziała? Ale musi być jakiś

powód, dla którego Kaptury ukrywały przed nią swoją tożsamość. Jakby na coś czekali. Jakby musiała się wykazać. Zapewnili jej już tak wiele – uratowali ją przed przytułkiem i ujawnieniem jako nielegalnej łamaczki czarów, za co z pewnością została surowo ukarana pomimo swojego wieku. Załatwili jej dobrą pracę – przynajmniej taką, która powinna być dobrą pracą. Zawsze się zastanawiała, czy rozzłościło ich, kiedy odeszła, by zatrudnić się u Ogdena, ale przecież wciąż była dzieckiem. Z pewnością nie mogli mieć jej tego za złe!

Zwyczajni wysyłać listy uzupełniające, mówiąc jej o dobru, które zrobiła, o wynikach jej tajnej działalności, ale zaprzestali tej praktyki lata temu. Prawdopodobnie dlatego, że dwukrotnie więcej listów oznaczało większą szansę na złapanie, a poza tym z dziecka wyrosła już na kobietę. Mimo to tęskniła za ich pochwałami, bo przekazywali je w najlepszy możliwy sposób.

Wykorzystywali jej umiejętności. Częściej dawali jej bardziej skomplikowane i ważniejsze prace. Coś miało się wydarzyć. Elsie czuła to. A wtedy w końcu poznałaby rozwiązanie tajemnicy, która towarzyszyła jej przez połowę życia.

– Po prostu pisałem list – pan Parker brzmiał wesoło, ale jego ton nie był szczery.

To jeszcze bardziej ją zainteresowało.

Skup się.

Zanurzyła podane jej pióro w atramencie.

– Może pan podać szczegóły dodatkowej pracy, o którą prosi dziedzic Hughes?

Zrobił to, a Elsie wszystko zapisała, chociaż jej charakter pisma nie był taki, jak powinien. Pióro drżało w niespokojnej dłoni. Miała nadzieję, że pan Parker tego nie zauważył. Obliczyła koszty i zapisała je w pierwszej kolumnie liczb, a następnie na dole strony narysowała X i linię prostą po nim. Pod spodem napisała: Pan Gabriel Parker. Odwracając księgę w jego stronę, powiedziała:

– Jeśli mógłby pan przejrzeć i podpisać, pan Ogden będzie mógł zacząć od razu.

Zarządca poprawił okulary i pochylił się nad księgą. Skrupulatność – dobra cecha u zarządcy. Elsie poświęciła chwilę, żeby mu się przyjrzeć, jego siwym włosom, odciskom na dłoniach. Rozmazany atrament na lewej ręce. Zniszczył list. Co zawierał, że zmusił go do zrobienia czegoś takiego? Czy naprawdę mógł być jednym z Kapturów?

Czy pan Parker może pracować dla dziedzica, żeby go pilnować i zniszczyć jego gospodarstwo od wewnątrz?

W dodatku jego mowa o wicehrabim i plotki sióstr Wright o baronie, który kiedyś przebywał w tym domu. Czy dziedzic Hughes może być odpowiedzialny

za śmierć aspektorów?

Nie był czarodziejem, ale nie trzeba nim być, żeby użyć zaklęcia opusu. Nawet paż mógł rzucić zaklęcie, jeśli pochodziło z opusu mistrza.

Myśli Elsie wirowały tak szybko, że przyprawiały ją o zawrót głowy. Desperacko potrzebowała stąd wyjść i pomyśleć o wszystkim spokojnie. Pan Parker podpisał. Elsie zerknęła na jego podpis, kiedy zwracał księgę, ale oczywiście bazgroły nie pasowałyby do jego naturalnego charakteru pisma. Z całych sił pragnęła zobaczyć, co ukrywał pod biurkiem. Ale, niestety, nie mogła go zmusić, by jej to pokazał, a gdyby okazała coś więcej niż naturalne zainteresowanie, zaryzykowałaby ujawnienie się. Elsie wstała i podziękowała panu Parkerowi. Nie podniósł się, żeby odprowadzić ją do drzwi – ale oczywiście był zajęty i miał ten list – więc poszła sama. Nerwy miała napięte jak postronki i wróciła do warsztatu kamieniarskiego w jeszcze szybszym tempie niż w drodze do rezydencji. Przez resztę dnia była rozkojarzona, próbując połączyć w całość to, co wiedziała o panu Parkerze, z tym, co wiedziała o Kapturach. Żałowała, że nie zachowała listów, żeby porównać je z jego sposobem mówienia. Dopiero gdy zapadła noc i położyła się do łóżka, przypomniała sobie o wiele bardziej naglącą sprawę. O świcie musiała zgłosić się do Siedmiu Dębów i mężczyzny, który znał jej najpilniej strzeżony sekret.

* * *

Dlaczego za każdym razem, gdy Elsie wracała do posiadłości księcia Kentu, ta pod jej nieobecność stawała się coraz większa? Stojąc teraz przed nią, myślała, że wygląda jak groźny zamek.

Wymknięcie się nie było trudne. Ogden znów był zajęty w posiadłości dziedzica – co sprawiło, że myśli Elsie powróciły do tajemniczego pana Parkera – a Emmeline tak skupiona na swoich obowiązkach, że często nie zauważała, kiedy Elsie wychodziła z domu. Po skompletowaniu dostaw i dokonaniu inwentaryzacji w warsztacie Elsie zabrała ze sobą księgi finansowe i wypełniła je w powozie, pisząc nieco chwiejnym pismem. Będzie wykonywała pracę dla pana Kelseya i szybko wracała, zostając do późna, by naostrzyć narzędzia kamieniarskie, których Ogden potrzebował do pracy w domu dziedzica. Nadal będzie miała wystarczająco dużo czasu na sen, by funkcjonować, i nikt niczego nie będzie podejrzewał. Może będzie tak użyteczna, że pan Kelsey wybaczy jej po pierwszym dniu. To jednak brzmiało nierealnie nawet dla niej. Czy gdyby pan Parker wiedział o jej położeniu, wkroczyłby do akcji i ją uratował? Oczywiście nie miała pewności, że to Kaptur. Nie mogła mu nic powiedzieć. Jeszcze nie. Weszła na teren tak jak za pierwszym razem – przez frontową bramę. Księżę nie

był ani królem, ani aspektozem, nie postawił strażników, chociaż miał wokół siebie kilku lokajów. Kiedy szła do drzwi dla służby, nie widziała żadnych ludzi, i bardzo dobrze. Cokolwiek zaplanował dla niej pan Kelsey, nie mogła pozwolić nikomu innemu, nawet pomywaczce, wiedzieć, kim jest. Zapukała, zauważając z przerażeniem, że jej ciężka praca została już zniweczona. Zakłęcie wróciło do klamki, chociaż było nieaktywne. Minęło kilka sekund, zanim jakaś dziewczyna (czyżby była to ta, która zmywała podczas jej poprzedniej wizyty?) wyjrzała tylko po to, by natychmiast zamknąć drzwi przed nosem Elsie. Zaciskając zęby, odczekała pełną minutę, potem kolejną, zanim podniosła rękę, by ponownie zapukać. Drzwi otworzyły się wystarczająco szybko, by zrobić przeciąg. Duży mężczyzna wypełniał cały otwór drzwiowy.

– Spóźniłaś się.

Elsie gapiła się przez chwilę. Sprzeczką z cieniem w nocy to jedno. Czym innym było zobaczyć ten cień w jasnym porannym słońcu.

Miał ponad sześć stóp wzrostu, był barczysty i dobrze ubrany. Jego skóra była mocno opalona, w kolorze jasnej sepji, a usta otaczała ciemna broda. Falujące, orzechowe włosy były długie i nosił je spięte z tyłu głowy w ogon. Kilka pasemek było rozjaśnionych słońcem, jakby kolor nie mógł się zdecydować, czy chce być ciemny, czy jasny. Oczy miały dość niezwykły odcień zieleni. Elsie szybko się opanowała i wyprostowała ramiona.

– Jestem wykształconą kobietą, *monsieur*. Mam pewne poranne rytuały pielęgnacyjne, których nie można pominąć, zwłaszcza jeśli mam pojawić się w domu księcia.

Gdyby nie stawiała oporu, czarodziej zdeptałby ją bez skrępowań. Wydawało jej się, że przyłapała pana Kelseya na przewracaniu oczami. Wszedł na zewnątrz, zmuszając Elsie do cofnięcia się. Zamknął za sobą drzwi. Elsie zerknęła tęsknie na lśniąca zakłęcie, które już dwa razy odczarowała. Z pewnością Kaptury wiedziały, że próbowała. Pan Kelsey bez słowa ruszył na tyły posiadłości, więc podążyła za nim, prawie truchtając, by dotrzymać mu kroku.

– Na terenie posiadłości jest kilka niefortunnych zaklęć, które chciałbym unieważnić – pan Kelsey patrzył prosto przed siebie. – Stworzyli je poprzedni najemnicy księżnej. Niektóre są stare, inne to kilka pośrednich zaklęć, które lepiej byłoby zastąpić pojedynczym zaawansowanym – zerknął w stronę Elsie, przyglądając się jej przez chwilę. – Zakładam, że nie jesteś wyszkolona.

– Jestem więcej niż zdolna do łamania zaklęć, panie Kelsey. Ufam, że dotrzymał pan swojej części umowy?

Skinął głową, a strużka ulgi spłynęła wzdłuż kręgosłupa Elsie.

– Rodzina wyjechała, zaś większość personelu dostała dzień wolny. Reszta wie, że lepiej nie węszyć za mną. A jeśli któryś z nich to zrobi, założą, że zatrudniłem cię z renomowanego źródła.

Elsie zmarszczyła brwi. Przynajmniej zapewnił jej bezpieczeństwo.

Poprowadził ją na wschodnią stronę posiadłości, do dużego kamiennego muru otaczającego główne tereny. Ściana była usiana zaklęciami wzmacniającymi – jedno co dwadzieścia stóp! – i Elsie rozwikłała je jedno po drugim. Zrobiła to dość szybko, a pan Kelsey podążał za nią, zastępując zaklęcia własnymi – ich węzły były większe i bardziej zawile niż te, które rozpadały się na kawałki pod rękami Elsie. I jaśniejsze. Nie wypowiedział żadnych magicznych słów – aspektorzy nie musieli tego robić, kiedy wchłonęli zaklęcie. Słowa stawały się ich częścią, częścią ich dzieła. Po prostu kładł dłonie na ścianie i umieszczał swoje runy. Runy, które mógł zobaczyć tylko łamacz czarów. I Elsie widziała je, każde schludne, lśniące i symetryczne, chociaż znikwały z pola widzenia, im bardziej się od nich oddalała. Mogła co najwyżej oglądać trzy na raz, jeśli się skupiła, i tylko dlatego, że wiedziała, gdzie patrzeć.

Powiedział, że chce dodać zaawansowane zaklęcia, co sugerowało, że jest zaawansowanym aspektozem fizycznym, choć jeszcze nie mistrzem. Wyglądał, jakby brakowało mu kilku lat do trzydziestki. Musiał być wychowany w magii, ale nie był szlachcicem. W każdym razie nie tutejszym. Być może dostał sponsora, ale sądząc po sposobie, w jaki się ubierał, jego sponsor musiałby być bardzo hojny. Najprawdopodobniej był zagranicznym właścicielem ziemskim. Wątpiła, by był kupcem, biorąc pod uwagę jego ponury wygląd. Zanim dotarła do frontowej bramy, nadgarstki zaczęły ją mocno swędzieć. Drapanie niewiele pomogło, by złagodzić dyskomfort, więc Elsie przerwała i podciągnęła rękawy, spodziewając się zobaczyć paskudną wysypkę. Ale jej skóra była nieskazitelna, z wyjątkiem zaróżowienia spowodowanego przez jej własne paznokcie.

– Czy wykonywałaś już taką pracę? – zapytał pan Kelsey z obojętnością.

– Tak, odczarowywałam już ściany.

Była nieco urażona, ale mężczyzna potrząsnął głową.

– Mam na myśli powtarzalność – Elsie spojrzała na niego. Wskazał na jej nadgarstki. – Nadmierne wykorzystywanie magii zbiera żniwo. Swędzenie, bolesność, zmęczenie... Różnie, w zależności od aspektora.

Elsie podciągnęła rękaw.

– Wiem.

Wcale tego nie wiedziała. Pracowała przez kolejne pół godziny, starając się nie drapać, zanim pojawił się służący z małym koszykiem jedzenia. Kelsey skinął głową i mężczyzna wycofał się z powrotem do domu, zostawiając prowiant. Kelsey zaproponował jej kanapkę. Zawahała się, a on westchnął.

– Nie będę cię głodził. W tym miejscu jest więcej niż wystarczająco jedzenia. Elsie przyjęła zaproszenie, choćby po to, by dać odpocząć swoim zaognionym nadgarstkom.

– Dziękuję.

Pan Kelsey mruknął coś i rozpakował własny posiłek. Znajdowali się na murawie bez bezpośredniego cienia, a najbliższa ławka była usytuowana w odległości krótkiego spaceru, więc Elsie jadła tam, gdzie stała.

– Ty tu nie mieszkasz – stwierdziła. – Znaczy na stałe – zwróciła się do niego w sposób nieformalny, a spojrzenie, które jej rzucił, mówiło, że to zauważył. – Biorąc pod uwagę naturę naszej relacji – dodała – nie wydaje mi się konieczne zwracanie się do ciebie w sposób właściwy. Jeśli jesteś tylko zaawansowanym aspektozem, nie masz tytułu, a zatem nie jesteś ode mnie lepszy.

Jego usta drgnęły.

– Być może, ale ja działałam legalnie, a ty nie.

Elsie zbladła.

– Zostaję u rodziny księcia, dopóki nie zdobędę tytułu mistrzowskiego. Mój ojciec był przyjacielem rodziny – kontynuował.

– Och – wtedy z pewnością byłby od niej lepszy, ale nie dała mu satysfakcji, mówiąc to na głos. – Więc książe każe ci wykonywać podrzędne prace na terenie swojej posiadłości?

Uniósł ciemną brew.

– Bez względu na to, w co zdecydowała się pani wierzyć, panno Camden, książe to dobry człowiek. Pracuję chętnie. Z wdzięczności.

– Ja pracuję niechętnie, aby zachować głowę na karku.

Spojrzał groźnie. Elsie wzruszyła ramionami i ugryzła kęs kanapki. Chleb był wyśmienity. Żuła, przełykała i pozwoliła, by jej ramiona opadły.

– Cóż – kontynuowała. – Brzmi sprawiedliwie. Ale jak długo muszę się trudzić, aby zasłużyć na twoją przychyłność? A raczej twoje milczenie?

– Dopóki praca nie zostanie wykonana.

Elsie zmarszczyła brwi.

– Jak na mężczyznę przystało, dokładny do bólu.

Kolejne drgnięcie ust. Przynajmniej cham doceniał humor.

– Majątek i posiadłości księcia są rozległe. Jeszcze nie obszedłem ich wszystkich.

– Posiadłości? – powtórzyła Elsie, opierając się o ścianę, gdyż kolana się pod nią ugięły. – Drogi panie, zaorzesz mnie na śmierć. Mam pracę – dwie, biorąc pod uwagę, jak często Kaptury kontaktowały się z nią ostatnio – narażam się na wielkie ryzyko.

– Nie muszę ci przypominać, że sama podjęłaś to ryzyko.

Elsie pociągnęła nosem i ponownie zaatakowała kanapkę. Zjadła połowę w milczeniu i choć przeszkadzał jej brak rozmowy, pan Kelsey wydawał się tym zupełnie niewzruszony. Śmieszny człowiek. Kiedy nie mogła już dłużej znieść ciszy, wyrzuciła z siebie:

– Więc skąd jesteś? Turcja?

Jego oczy zwęziły się.

– To jest twoje pierwsze założenie? Turcja?

– Nie jestem księżną, panie Kelsey. Nie podróżuję zbyt daleko, chociaż bardzo wątpię, żebyś był Francuzem.

Włożył ostatni kęs do ust i otrzepał ręce. Wrócił do ściany i przejechał po niej dłonią. Było tam pęknięcie i bez słowa zaczarował kamienie po obu jego stronach, powiększając je, aż wypełniły dziurę.

To było tylko trochę imponujące.

– Jestem z Barbadosu, jeśli koniecznie musisz wiedzieć – spojrzał wymownie w stronę tego, co zostało z jej posiłku. – Nie guzdraj się.

Elsie również posłała mu znaczące spojrzenie i jadła niespiesznie. W tym czasie pan Kelsey dogonił ją swoimi wzmacniającymi zaklęciami. Mimo posiłku wyglądał na nieco zmęczonego, zwłaszcza widoczne było to wokół oczu. Kontynuowali pracę z drugą połową muru, odczarowując ją i ponownie nakładając runy, aż dotarli do lasu. Swędzenie rozeszło się aż na ramiona, ale Elsie drapała się tylko wtedy, gdy była pewna, że Kelsey nie patrzy. Po skończonej pracy bolały ją kolana i dół pleców. I bardzo tęskniła za kąpielą.

– Wystarczy na dzisiaj.

Spojrzał na swoją pracę. Ramiona mu opadły i jakby się postarzał. Zastanawiała się, czy przyczyną było nadużywanie magii, ale pan Kelsey wydawał się tak wykończony, że swędzenie, które odczuwała, wydawało się jej zaledwie lekkim dyskomfortem

– Jutro jest szabas.

Spojrzał na nią. Jego spojrzenie z pewnością nie straciło energii.

– Nie wyglądasz na bogobojną kobietę.

Splatając dłonie, odparła:

– Boję się Boga, gdy tylko nadchodzi niedziela.

Kelsey się roześmiał. Cicho, ale nie na tyle, by nie było słyhać, jednak mimo wszystko był to śmiech. Chcąc, nie chcąc, Elsie uznała, że to bardzo przyjemny i męski dźwięk.

– Jak większość.

Elsie rozluźniła ramiona.

– Poniedziałek to dzień dobry jak każdy inny. Mój pracodawca jest daleko, pracuje nad jakimś wielkim projektem kamieniarskim dla naszego dziedzica.

Wykorzystuję ten czas najlepiej, jak tylko mogę.

– Jego imię?

Elsie spiorunowała go wzrokiem.

– Mogę się dowiedzieć na własną rękę.

– Zrób tak – Elsie złożyła mu kpiący ukłon. – Dobrego wieczoru, panie Kelsey. Było cudownie.

– Jeśli zechcesz zaczekać – powiedział, odwracając się, gdy go mijala – każę lokajom przyprowadzić karetę.

– Nie, dziękuję – zatrzymała się trochę za blisko niego, po czym wzięła się w garść i cofnęła. Jej myśli wirowały, przeskakując od wąskiego kroju jego koszuli do czegoś innego... czegoś ciekawego... Ale je zdusiła. – Byłoby lepiej, gdybym nie przyjeżdżała do Brookley w książęcej karecie.

– Brookley – powtórzył z nieznośnym uśmieszkiem. Zacisnęła usta. Następnym razem po prostu będzie milczeć i zniesie ciszę tak, jak znosiła to irytujące śwędzenie. Koronka na jej mankietach sprawiała, że było intensywniejsze.

– Sama się odprowadzę, dziękuję.

Odwróciła się i zrobiła, jak mówiła. A kiedy dotarła do drogi, w końcu pozwoliła myślom płynąć. W ciągu ostatnich kilku minut wyczuła w Kelseyju coś dziwnego.

Zakłęcie. Pachniał nim. Mniej doświadczony łamacz zakłęb mógłby pomyśleć, że to jego ulubione piżmo, ale Elsie wiedziała lepiej. Wiedziała, że zapach świeżo ściętego drewna i cytrusów jest zapachem naturalnym – i wcale nie nieprzyjemnym – ale ziemisty zapach pod nim, podobny do grzybów, wskazywał na zakłęcie. Czasowe zakłęcie rzucone na niego.

Ale co to może być?

ROZDZIAŁ 7

Ogden ogłosił, że pojedą do kościoła w Londynie. Konkretnie do Camberwell, gdzie kiedyś uczęszczali. To było dziwne w jego przypadku – nie był zbyt religijną osobą, a mimo to nalegał, by co niedzielę chodzili do kościoła. Świątynia zaś, w której się modlili, zmieniała się częściej niż pory roku. Kaplica w Brookley znajdowała się w takiej odległości od warsztatu kamieniarskiego, że oznaczało to przyjemny spacer, ale Elsie nie przeszkadzała podróż do Londynu, nawet jeśli siostry Wright znów plotkowały o „drodze do piekła” Ogdena i jego „rodziny”. W końcu dziedzic Hughes chodził do kaplicy w Brookley, ilekroć nie był w Londynie, i miał bardzo oczywisty oraz irytujący sposób owijania pastora wokół swojego grubego palucha. Gdyby dziedzic postawił na swoim, napisałby na nowo całą Biblię. Szkoda jednak, że nie będzie miała okazji do poobserwowania choć z daleka pana Parkera.

To był szary dzień. Gęste, złowrogie chmury rozciągały się po niebie, sprawiając, że powietrze było wystarczająco chłodne, by założyć szal. Cała trójka jechała razem powozem – Elsie, Ogden i Emmeline. Elsie wyjrzała przez okno, obserwując tętniące życiem ulice i stojące ciasno domy. Minął ich powóz bez konia, napędzany zaczarowanymi przez aspektora kołami, a kilka minut później przejechali obok młyna, stojącego z dala od jakiegokolwiek źródła wody, który zaczarowano tym samym zaklęciem obracającym jego turbinę. Takie zaklęcia były powszechne w mieście, ale w Brookley widywano je okazjonalnie. Plotka głosiła, że ludzie zaczęli wykorzystywać energię z takich rzeczy do zasilania lampek w szklanych żarówkach, które nie miały nic wspólnego z magią, ale Elsie uwierzy w to, kiedy zobaczy te lampki na własne oczy.

Kościół był starym, ale pięknym budynkiem, utrzymanym w dobrym stanie. Ogden poprowadził ich na przód kaplicy. Ten kościół, tak jak wiele innych, zatrudniał aspektora duchowego. Aspektorzy tego rodzaju byli zaznajomieni z teologią, nie należeli do duchowieństwa, byli raczej przez wiernych traktowani jak narzędzia do czynienia cudów. Niektórzy wierzyli, że zaklęcie przywołujące wewnętrzny spokój w rzeczywistości przywołuje Ducha Świętego, chociaż Elsie podejrzewała, że to nic więcej niż zaklęcie poprawiające samopoczucie. Aspektorzy duchowi mogli również przywoływać prawdę i uniemożliwiać kłamanie, co mogło sprzyjać religijności. Z pewnością przydawało się

w egzekwowaniu prawa. Nie każdy kościół zatrudniał duchowego aspektora, ale ich liczba pomagała zagwarantować podstawowe błogosławieństwo na koniec kazania. Jakieś proste życzenia szczęścia czy roztropności, które nie mogły się zepsuć ani zostać źle zinterpretowane. Jeśli ktoś chciał większego błogosławieństwa, cóż, musiałyby za nie zapłacić, tak jak za każde inne zaklęcie. Elsie przełknęła ślinę i poprawiła kołnierzyk sukienki, czując, że jej gorset jest trochę za ciasny. Gdyby pan Kelsey ją wydał, czy wysłaliby duchowego aspektora, żeby zmusił ją do wyjawienia każdego sekretu, który skrywała od niemowlęctwa?

– Och, jaka śliczna – powiedziała obok niej Emmeline, a Elsie podążyła za jej spojrzeniem w stronę kogoś, kto na pierwszy rzut oka wyglądał jak anioł. Ale bliższe przyjrzenie się ujawniło, że półprzezroczysty obraz był po prostu człowiekiem. Raczej normalnie wyglądającym, mimo że był przezroczysty. Zaklęcie projekcji astralnej – zaklęcie duchowe na poziomie mistrzowskim, jeśli Elsie dobrze pamiętała. Pochylając się w stronę Ogdena, zapytała:

– Kto to jest?

– Myślę... Tak, myślę, że to Mistrz Allen. Jest z Ateneum Fizycznego. Inny aspektor musi robić za niego projekcję. Duch Mistrza Allena skinął głową wikariuszowi i usiadł na niewidzialnym krześle, gdy wikariusz zbliżył się do podium.

– Jeśli mieszka w Londynie – ciągnęła Elsie – to dlaczego trzeba go projektować? I dlaczego tutaj?

Ogden wzruszył ramionami.

– Nie wiem, ale to ciekawe.

Interesujące, doprawdy. Elsie obserwowała mistrzowskiego aspektora przez kilka chwil po rozpoczęciu kazania, studiując jego wyblakłe rysy. Mężczyzna był jednocześnie obecny i nieobecny. Człowiek o mglistych motywacjach. To sprawiło, że Elsie pomyślała o Kapturach. Nie kontaktowali się z nią od nocy, kiedy została przyłapana. Jakaś część niej martwiła się, że nie będą jej więcej wykorzystywać – dlatego, że zawiodła albo może dlatego, że zidentyfikowała pana Parkera. A jednak łamacze zaklęć byli cenni. Może nadal jej potrzebowali. Miała nadzieję, że tak. Martwiło ją coś jeszcze. Pan Kelsey upierał się, że zaklęcie ciepła było jedynie środkiem bezpieczeństwa. Kucharka, z którą rozmawiała Elsie, nie wyglądała na niezadowoloną, chociaż być może była podekscytowana możliwością zdobycia przychylności apodyktycznego pracodawcy. Czy Robin Hood kiedykolwiek popełnił błąd? Cicho odchrząkując, Elsie zmusiła się do spojrzenia na wikariusza i chłonięcia jego słów, choć jego niski głos szybko ją uspił. Emmeline zaczęła się chwiać po pół godzinie, ale

Ogden zachował czujność, przenosząc uwagę z księdza na duchowego aspektora, który stał obok podium.

Elsie pomodliła się w duchu, aby dziedzic dał Ogdenowi zajęcie na cały następny tydzień, żywiąc nadzieję, że stary kościół pomoże spełnić jej prośbę.

* * *

– Nowy hrabia podobno sprzedaje kolekcję swojego ojca, żeby spłacić długi – mówiąc to, Rainer zatarł ręce. – Zbiór zawiera opus jego pradziadka.

Bachus przesunął kciukiem i palcem wskazującym po brodzie. Stał w jednym z balkonowych okien galerii, z którego roztaczał się ładny widok na książęce ogrody. Słońce kryło się za budynkiem, dlatego w zacienionej łoży było jak dla niego zbyt zimno.

– Bardzo mało prawdopodobne, aby ateneum zezwoliło na aukcję tak cennego opusu. Nie powinienesłuchać plotek.

Rainer rozłożył ręce, jakby chciał przeprosić.

– Racja. Londyńskie Ateneum Fizyczne chce położyć na nim łapę, ale hrabia pozwał ich do sądu, a sam Wysoki Trybunał Sprawiedliwości orzekł na jego korzyść. Może sprzedać kopię, chociaż ktokolwiek ją kupi, będzie musiał mieć porządek w papierach. Prawdopodobnie zostaną również poproszeni o podpisanie umowy o nieudostępnianiu zaklęć. Lord Bennett był aspektozem fizycznym. Z tego, co udało mi się wywnioskować, jest bardzo prawdopodobne, że znał zaklęcie, którego szukasz.

Bachus wyprostował się, a jego nadzieja dostała skrzydeł. Poprosił wcześniej swoich ludzi, aby pomogli mu obejść zgromadzenie. Czy to może być takie łatwe? Nie potrzebował samego opusu – kopia dałaby mu dokładnie to, czego potrzebował.

– Wspaniale, Rainerze – uśmiechnął się. – Załatw mi miejsce na tej aukcji, a przez resztę dnia będziesz mógł robić, co zechcesz.

Rainer wzruszył ramionami.

– Tutaj niewiele mnie interesuje.

– A może zainteresuje cię kilka funtów do wydania przy stolikach?

Rainer uniósł z zaciekawieniem brew. Kobieta za nimi odchrząknęła. Bachus odwrócił się i zobaczył drugiego służącego, Johna, stojącego obok panny Elsie Camden. Pomimo że był wyższy, John wydawał się przytłoczony przez tę kobietę. Stała wyprostowana z wysoko uniesionym podbródkiem, jakby była córką księcia, i chociaż jej ubranie nie należało do najbardziej eleganckich, było dobrze dopasowane i niezbyt tanie. Kamieniarz dobrze jej płacił – przynajmniej ta część jej historii była prawdziwa. Rainer już to potwierdził.

Elsie spojrzała na niego z rozbawieniem. Wyraz twarzy miała zrozumiwały i dziwnie atrakcyjny. W każdym razie jak na Angielkę.

– Dziękuję, Johnie. Jesteś wolny.

Bachus skinął głową Rainerowi i obaj służący odeszli. Ściany były ciemnoszare, ozdobione portretami rodziny książęcej i czerwonymi aksamitnymi zasłonami. Elsie patrzyła, jak dwaj mężczyźni oddalają się, zanim przemówiła, a kiedy otworzyła usta, położyła równocześnie ręce na biodrach.

– Czy oni o mnie wiedzą?

Bachus potrząsnął głową i przeszedł przez galerię, zmuszając Elsie do podążania za nim, by usłyszeć odpowiedź.

– Nie, zgodnie z obietnicą. Jeśli ktoś cokolwiek wie, to tylko to, że jesteś konsultantem.

Rozważała to przez chwilę.

– Mam niezwykły gust.

Była dziwnie pewna siebie jak na pomoc kamieniarza. Bachus normalnie lubił pewność siebie u kobiet, ale w tym przypadku wzbudziło to jego podejrzenia. Nadal nie powiedziała mu dokładnie, dlaczego była na terenie posiadłości tamtej nocy – nie wierzył w opowieść o pomaganiu służącym. Kilka razy w życiu zatrzymywał się w Siedmiu Dębach i służba zawsze była tam dobrze traktowana.

– Będziemy pracować w sali balowej.

Zwolniła kroku.

– A gdzie są domownicy?

Pewność siebie zniknęła tak szybko, jak się pojawiła.

– Książę jest w swoim gabinecie i ma lepsze rzeczy do roboty niż łażenie za nami – zauważył, że panna Camden nieomal truchtała, by za nim nadążyć, więc nieco zwolnił kroku. – A księżna zabrała córki do miasta.

– A synowie? – nacisnęła.

– Nie ma żadnych.

– Tylko córki? – jej ton zmienił się na kpiący. – Jak przykro.

Bachus nie odpowiedział.

– Dlaczego udajesz? Mam na myśli twój akcent – powiedziała po chwili.

To go zaskoczyło i zwolnił jeszcze bardziej.

– Słucham?

Rozbawiony wyraz powrócił na jej twarz. Przypominała mu żonę handlarza cukru przez sposób, w jaki jej wyraz twarzy tak łatwo zmieniał się z powagi w przebiegłość.

– Kiedy rozmawiałeś ze swoim sługą, mówiłeś inaczej niż do mnie.

Mówił inaczej? Nawet nie zauważył. Skręcił za róg i zobaczył drzwi do sali balowej.

– Mam dość powtarzania się. Wielu mężczyzn wydaje się niezdolnych do zrozumienia angielskiego, jeśli nie mówi się do nich w taki sposób, do jakiego przywykli. Krótko mówiąc, jestem tak samo Anglikiem co mieszkańcem Barbados czy Algarve.

Zabrzmiało to trochę defensywnie.

– Algarve? – zatrzymała się. – Cóż, pomyślałam, że mówisz całkiem intrygująco.

Znowu zwolnił, przyglądając się jej kątem oka. Co dziwne, komentarz brzmiał autentycznie.

– W takim razie należysz do rzadkości, panno Camden.

– Rozumiałam cię doskonale.

Zatrzymał się przy drzwiach. Nie przekonała go tym pochlebstwem.

– A jak długo tam stałaś, zanim się odezwałaś?

Tylko się uśmiechnęła. Zignorował jej zaczepkę i pchnął drzwi do ekstrawaganckiej sali balowej. Podłoga była dobrze wypolerowana i wykazywała jedynie minimalne zużycie stopami tancerzy. Wzdłuż długich ścian ciągnęły się dwa rzędy białych kolumn, a na reszcie widniały misternie rzeźbione panele, pomalowane w kwiatowe wzory, oddzielone czerwoną draperią. Z sufitu zwisały trzy nieoświetlone żyrandole, a do ogrodu prowadziły szklane drzwi.

– Księżna poprosiła mnie o zmianę wystroju tego pokoju na bordowy.

Westchnął w duchu na tę prośbę, wystrój nie był jego mocną stroną. Ale aspektor każdego typu magii musiał od czasu do czasu podjąć się pracy, której nie lubił, więc to była dobra praktyka. Jeszcze raz wyjął instrukcje księżnej z kieszeni kamizelki, żeby je przejrzeć.

– Mogę pokryć istniejące zaklęcia – szybciej i sprawniej byłoby użyć magii do pomalowania ścian zamiast samej farby. – Ale praca będzie bardziej spójna, jeśli zaczniemy z czystą tablicą, jeśli można to tak nazwać.

Odwrócił się. Panna Camden gapiała się na otaczającą ją wspaniałość. Powoli podziwiała salę, odchylając głowę do tyłu, by zobaczyć anielskie malowidło ścienne na suficie. Bachus rozumiał jej zdumienie – czuł się bardzo podobnie, kiedy jako chłopiec po raz pierwszy ujrzał bogaty dom. Jego posiadłość na Barbadosie nie była powodem do szyderstwa, ale wyspa była mała, a dom na plantacji nie był nawet w przybliżeniu tak wyszukany jak domy przodków należące do elity Anglii. Kiedyś nienawidził tego wszystkiego. Teraz znosił to całkiem dobrze.

– Zaklęcia? – zapytał.

Panna Camden otrząsnęła się i podeszła do nieoświetlonego kominka po drugiej stronie pokoju. Przesunęła dłonią po gzymsie, a potem po rzeźbionym panelu aż do czerwonej zasłony. Zatrzymała się.

– O tak. Widzę je – szybko zdjęła zakłęcie i zasłona zmieniła kolor na niefortunny turkusowy. – Hmm – pochyliła się bardziej, poruszając palcami, i zasłona znów zmieniła kolor, tym razem na niebieski. Cofnęła się i przyjrzała swojej pracy. – Jeśli ktoś ma zmieniać materiał za pomocą zakłęb, dlaczego nie zacnie od czerni lub bieli? Czegoś neutralnego?

Bachus przetarł oczy.

– Błagam, nie dyskutuj ze mną na temat wyboru dekoracji, ponieważ jest to rozmowa, w której nie chcę uczestniczyć – opuścił rękę i ponownie uchwycił ten rozbawiony uśmieszek na jej twarzy. – Kontynuuj, dopóki nie wróci księżna.

Elsie zbladła. Kiwnęła krótko głową i przeszła do następnej zasłony, odrzucając nałożone na nią zakłęcia, aż ona również powróciła do koloru niebieskiego. Bachus tymczasem użył prostych zakłęb, aby zmienić kolor pierwszej zasłony na burgund. Zakłęcia zmieniające kolor były jednymi z pierwszych, których nauczył się jako nastolatek. Miejmy nadzieję, że księżnej chodziło o ten odcień, bo chyba oszalałby z nudów, gdyby poprosiła go o zrobienie tego jeszcze raz.

Po zasłonach przyszła kolej na kolumny i ściany, aż wszystko stało się bordowe i kremowe zamiast czerwieni i bieli. Silny ból zaatakował środek czoła Bachusa, a zwykłe wyczerpanie zaczęło obezwładniać jego kończyny mimo wczesnej pory. Przyszło mu na myśl kilka osób, w tym jego zmarły ojciec, które nieźle by się uśmieły, słysząc, jak spędził dzień. Gdzieś w domu otworzyły się i zamknęły drzwi, a ich trzask odbijał się echem po korytarzach. Panna Camden zamarła na ten dźwięk, a jej niepokój był na tyle wyraźny, że Bachus zlitował się nad nią. Odszedł na bok i wskazał dwuskrzydłowe drzwi prowadzące na zewnątrz.

– Wyjdź tędy. Jest jeszcze sporo do zrobienia z dzierżawcami.

– Z dzierżawcami? – powtórzyła, ale szybko przeszła przez drzwi i nie zwolniła, dopóki jej stopy nie znalazły się na kamiennej ścieżce prowadzącej do ogrodów. – Panie Kelsey, musi być już druga po południu. Muszę wracać do Brookley. Mam ograniczoną liczbę wymówek na swoją nieobecność, a niektóre z nich muszę zachować na przyszłe wycieczki.

Bachus splótł ręce za plecami.

– A jakie miałyby być te przyszłe wycieczki?

Panna Camden zarumieniła się, dodatkowy rumieniec na jej policzkach dawał cudowny efekt, choć jej czoło marszczyło się z irytacji.

– Takie, które cię nie dotyczą.

– W takim razie nie powinnaś była mnie tym niepokoić.

Tupnęła nogą jak dziecko, a Bachus miał wielką ochotę się roześmiać.

– Jest pan niemożliwy, panie Kelsey – stwierdziła i dodała, zniżając głos: – Gdybym była zarejestrowaną łamaczką zaklęć, zażądałabym od ciebie dobrej sumy za wykonaną pracę. Z pewnością wystarczająco dużo, by pokryć grzywnę za moje wtargnięcie.

– Ale za mało na kaucję, jeśli dobrze rozumiem.

Znów zbladła, ale tym razem efekt nie był tak wyraźny.

– Łatwiej byłoby mi wrócić jutro, niż zostać dziś dłużej. Proszę o wyrozumiałość w mojej trudnej sytuacji. Proszę – powiedziała, podnosząc się.

Pęknięcie w jej uporze rozczuliło go i skinął głową.

– W takim razie tylko krótka konsultacja.

– A jak mam pracować z dzierżawcami, żeby nie zauważyli, kim jestem?

– Nie interesują mnie ich domy tylko pola.

Niewielu właścicieli ziemskich płaciło za to, by aspektorzy fizyczni lub czasowi czarowali domy ich dzierżawców. Jeśli były wystarczająco dobrze zbudowane, technicznie zaklęcia nie były potrzebne, chociaż Bachus poświęcił czas na wzniesienie fortyfikacji dla większości dzierżawców księcia.

– Może uda ci się udawać zarządcę.

Zacisnęła usta, zastanawiając się nad tym.

– Ach, Bachusie, tutaj jesteście!

Czarodziej odwrócił się na dźwięk głosu księcia, który schodził po schodach do sali balowej. Jeśli jego wygląd wprowadził pannę Camden w zakłopotanie, nie dała tego po sobie poznać. Oczy księcia zatrzymały się na łamaczce zaklęć na krótką chwilę, po czym wróciły do Bachusa.

– Wygląda cudownie, jeśli mogę wyrazić swoją nieprofesjonalną opinię. Jestem pewien, że księżna się ze mną zgodzi. Dziękuję, że ulegasz jej zachciankom.

Bachus skinął głową.

– Przynajmniej tyle mogłem zrobić.

Książę uśmiechnął się i zwrócił do panny Camden.

– Na pewno przedstawiś mnie tej młodej damie?

W oku miał błysk, który Bachusowi się nie podobał. Odchrząknął.

– Oczywiście. Panno Camden, to jest Izajasz Scott, książę Kentu. Wasza Miłość, to jest panna Elsie Camden.

Panna Camden wykonała dobrze wyćwiczony dyg.

– Miło mi panią poznać, panno Camden – książę teraz się uśmiechał. I oczywiście, że było mu miło. Bachus nie odwiedzał Anglii poza niefortunną wizytą w Ateneum Fizycznym, a teraz przyłapano go na spacerze po ogrodach

z dobrze ubraną młodą kobietą. Miał ochotę puknąć się w głowę. – Moja droga – kontynuował książę – ostatnio brakuje nam gości na obiedzie...

Nie.

– I byłoby cudownie zobaczyć nową twarz przy stole.

Bachus zmrużył oczy, patrząc na księcia, ale było jasne, że mężczyzna nie da się odwieść od tego zamiaru. Księżna zagroziła mu swataniem w swoich ostatnich listach, zanim wszedł na statek płynący do Europy, ale nie sądził, by myślała o tym poważnie, nie mówiąc już o zwerbowaniu męża do tego zadania. Zawsze zamierzał poślubić kogoś z wyspy, gdyby znalazł tę jedyną.

– Może jutro, jeśli nie masz innych planów? – skończył książę.

Panna Camden znów się zarumieniła.

– Ja... ja... To znaczy, dziękuję za propozycję, ale nie jestem nikim ważnym...

– Nonsens. Przyjaciółka Bachusa jest moją przyjaciółką.

Panna Camden wyglądała na chorą. Po chwili, która była prawie niezręczna, skinęła głową ze sztywnym karkiem.

– Dziękuję, Wasza Miłość.

Bachus milczał.

Książę był wesoły.

– Doskonale! Ale nie będę wam już przeszkadzał – skinął głową obojgu, po czym wrócił do domu.

Z ust Bachusa wydobyło się westchnienie.

– Może uda mi się znaleźć dla ciebie wymówkę.

Panna Camden bezmyślnie skinęła głową, ale kiedy doszła do siebie, powiedziała:

– Bachus – a kiedy spojrzał na nią, uśmiechnęła się. – Bóg zniw i wiecznej konsumpcji. Hmm, tak, myślę, że to bardzo do ciebie pasuje.

Jego twarz pociemniała

– To nie jest niezwykle imię.

Wyjęła torebkę i otworzyła ją. Nic nie wyjęła, może po prostu potrzebowała czegoś, czym mogłaby zająć ręce.

– Myślę, że jest już za późno na konsultację, o którą pan prosił, panie Kelsey. Wyślij wiadomość, gdy poinformujesz księcia o mojej absolutnej nieważności. W przeciwnym razie spotkamy się jutro rano, aby spłacić moje długi.

Ukloniła mu się niedbale i znów sama się odprowadziła, nie dając mu nawet szansy na zażądanie dodatkowej godziny pracy lub zaproponowanie skorzystania z powozu. Nie żeby w tej chwili czuł się szczególnie miłosierny.

Odwrócił się w stronę domu, zastanawiając się, jak wytłumaczyć księciu sytuację, nie zdradzając zaufania panny Camden. Nie uważał jej za osobę

szczególnie godną zaufania, ale złożył obietnicę i dotrzyma jej. Miał jednak nieodparte przeczucie, że książę będzie go nadal nakłaniał, a jego uparty umysł stanie się przeciwnikiem nie do pokonania.

ROZDZIAŁ 8

Elsie właśnie przygotowywała się na kolejny dzień poza domem i sięgała już do klamki tylnych drzwi, kiedy Ogden szarpnął ją z drugiej strony, strasząc ją tak, że aż pisnęła. Z ręką na piersi i torebką w dłoni, powiedziała:

– Panie Ogden! Nie jest pan dzisiaj u dziedzica?

Przygotowywała się do ponownego wyruszenia do posiadłości księcia Kentu, zastanawiając się, jak dostosować trasę, żeby załatwić dwie sprawy. Przygotowała już kilka zamówień w pracowni, które Nash miał odebrać. Ogden wyglądał na sfrustrowanego.

– Jestem, ale jeszcze nie teraz. Mówię ci, Elsie, praca kamieniarza w takim mieście jak to to powolne zajęcie na trzysta sześćdziesiąt cztery dni w roku! – przemaszerował obok niej jak człowiek z misją i wszedł do pracowni. Otworzył szufladę pod ladą. – Gdzie są moje granitowe narzędzia?

Elsie podbiegła do niego ze zmarszczonymi brwiami i zajrzała do szuflady. Pusta. Sprawdziła szufladę obok i kolejną.

– Położyłam je tutaj.

– Emmeline! – ryknął Ogden. – Potrzebuję moich granitowych narzędzi!

– Czy wszystko w porządku? – zapytała Elsie, podążając za Ogdenem jak cień.

Ogden przeszukał szafkę.

– W porządku – uderzył głową w szafkę i ból zaparł mu dech. Odsuwając się, westchnął. – W porządku, naprawdę. Tylko... ludzie...

Elsie przeniosła ciężar na jedną nogę.

– Zawsze lubiłeś ludzi.

Ogden prychnął.

– Nie daję wiary plotkom, Elsie, ale dziedzic wplątuje się w różnego rodzaju nikczemne interesy, które przynoszą ujmę jego domowi. Emmeline!

Nikczemne interesy?

Zwiesiła ramiona.

– Czy siostry Wright coś mówiły?

Może oszczędzi jej trudu rozwiązywania zagadki dziedzica, barona i wicehrabiego. Ogden nie odpowiedział. Emmeline wybiegła z za rogu, wycierając ręce w fartuch.

– Tak, chyba wiem, gdzie są...

Rozległo się pukanie do frontowych drzwi. Postawiwszy torebkę, Elsie pospieszyła do drzwi i stanęła twarzą w twarz z pastorem.

– Panie Harrison, jak się pan ma dzisiaj rano?

Serce waliło jej zbyt szybko jak na tak krótki bieg. Pastor zdjął kapelusz.

– Całkiem dobrze, całkiem dobrze, dziękuję. Przyszedłem oficjalnie zlecić wykonanie płytek. Omówiliśmy to z panem Ogdenem jakiś czas temu... może w marcu. Dla kościoła – podkreślił, że dla kościoła, tak jakby to miało załatwić mu zniżkę. – Czy pan Ogden jest dostępny?

Ale Ogden już zniknął. Gdzieś w głębi korytarza coś – więcej niż jedno coś, sądząc po dźwięku – upadło na podłogę. Elsie przypuszczała, że to Emmeline przewróciła jakieś rzeczy pod schodami.

– Niestety jest zajęty.

Elsie uśmiechnęła się, wcielając się w pomocną sekretarkę. Wyjęła księgę spod wąskiego kontuaru oddzielającego ją od pastora i otworzyła na pierwszej pustej stronie, zerkając na zegar. Pan Kelsey bez wątpienia skomentowałby jej opieszałość, ale nie mógł wiecznie trzymać jej pod kloszem... A może mógł?

– Proszę opowiedzieć mi o zleceniu i o czym konkretnie rozmawiał pan z panem Ogdenem.

Wydawało jej się, że pamięta, jak pryncypał wspominał o czymś w rodzaju mozaiki do kaplicy, ale nie przypominała sobie żadnych szczegółów.

Pastor pogrzebał w kieszeniach w poszukiwaniu złożonej kartki, otworzył ją i wręczył Elsie. Widniał na niej prosty projekt naszkicowany kilkoma ruchami. Elsie nie potrafiła tego tak naprawdę opisać inaczej, więc tylko pomyślała, że wygląda bardzo ogdenowo. Ciemne kafelki kontrastowały z białymi, dając złudzenie dwóch kół, jednego wewnątrz drugiego. Było w tym coś znajomego, czego nie potrafiła określić. Palce ją swędziały, żeby dotknąć rysunku. Pastor zaczął opowiadać o swoich rozmowach z Ogdenem. Trzymała ołówek gotowy do zapisania istotnych informacji, więc umieściła liczby w skrajnej prawej kolumnie, od czasu do czasu dopytując o więcej szczegółów.

– Niebiesko-biały – powtórzyła.

– Pawi niebieski. To znaczy stonowany pawi błękit. Nie chcę odwracać uwagi od nabożeństwa. Elsie napisała „stonowany” i podkreśliła.

– Będziemy w kontakcie w sprawie terminu i kosztów.

– Omówiliśmy budżet – kontynuował pastor.

– Zapewniam, że pan Ogden ma nienaganną pamięć.

Drzwi otworzyły się ponownie i wzrok Elsie przykuł błysk blond włosów. Zerknęła na Abła Nasha, ale on tylko przeszukał oczami pokój, wesoło skinął

głową i znowu wyszedł, ignorując dostawy, które przygotowała. Czy spodziewał się, że mu je wręczy?

Westchnęła.

– Dziękuję, panie Harrison.

Pastor wyszedł, a Elsie znalazła Emmeline i Ogdena, który miotał się po korytarzu, otoczony stosem pudeł i bibelotów wyciągniętych z szafki pod schodami.

– Czy nie ma ich w kuchni? – zapytała i została zignorowana. – Wikariusz przyszedł w sprawie mozaiki w kaplicy. A, i Nash tu był.

Ogden znów zaklął.

– Czeka?

– Wikariusz czy Nash?

– Nash, do cholery!

– Panie Ogden – Emmeline wyglądała na zakłopotaną, chociaż Elsie nie sądziła, że było to spowodowane jego tonem.

– Nie – odpowiedziała Elsie. – Wyszedł.

– Oczywiście, że tak.

Elsie rozejrzała się po bałaganie.

– Może twoje granitowe narzędzia zgubiły się w pracowni?

Ogden przerwał poszukiwania i zwiesił ramiona.

– Sprawdź, Elsie.

Skinęła głową i wróciła drogą, którą przyszła, odkładając księgę z powrotem na półkę, zanim zaczęła szukać narzędzi. Przeszukała trzy czwarte pracowni, kiedy Ogden krzyknął z korytarza:

– Eureka!

Chwilę później wpadł do pracowni z ciężką skórzaną torbą w rękę. Elsie założyłaby się o szylinga, że torba cały czas była w kuchni.

– Mam w segregatorze szczegóły dotyczące tych kafelków w kaplicy – otarł czoło. – Chcę, żebyś poszła do kamieniołomu i poprosiła o materiał.

Elsie przełknęła ślinę, ale skinęła głową. Najprawdopodobniej zajmie jej to kolejne dwie godziny. Być może pan Kelsey nie zatrzyma jej długo, a może zdąży załatwić to w drodze powrotnej? Ale nie otrzymała żadnej wiadomości w sprawie odrzucenia książęcego zaproszenia na kolację, co prawdopodobnie oznaczało, że musiała tam pójść. Może mogłaby pójść po godzinach do domu pracownika kamieniołomu i przeprosić.

– Oczywiście – wydusiła.

Ogden odprężył się.

– Dziękuję. Wrócę.

Przeszedł przez pracownię i wyszedł frontowymi drzwiami, zostawiając je uchylone. Elsie zamknęła je za nim. Nigdy nie dotrze do Kentu w przyzwoitym czasie. Czy pan Kelsey będzie się na nią gniewał? Ale przecież powiedziała mu, że musi pilnować swojej pracy! Przycisnęła czoło do chłodnego drewna drzwi. To był jakiś pokręcony koszmar. Szantażowana przez aspektora i zaproszona na obiad przez księcia. To ostatnie było niespotykane. Przecież nie była damą! Nawet jej najlepsza suknia nie pasowałaby do ich stołu. Z pewnością mężczyzna nie pomylił jej z kimś z wyższych sfer, więc o co mu chodziło? Książę będzie zadawał pytania. Zaatakuje ją nimi. Osądzi. Cała jego rodzina będzie ją oceniać.

– Elsie, o co chodzi? – odrywając czoło od drzwi, Elsie odwróciła się i zobaczyła bardzo zatroskaną Emmeline stojącą w drzwiach pracowni. Zwiesiła ramiona.

– Och, chciałabym ci powiedzieć. A do tego wszystkiego mam zaproszenie na kolację.

Zignorowanie zaproszenia byłoby niewiarygodnie niegrzeczne. Mężczyzna tak naprawdę jej nie znał, ale był księciem, na litość boską! Elsie wciągnęła powietrze nosem. *Patrz na pozytyw. Będzie to okazja do ustalenia, jakie zakłęcie skrywa w sobie pan Kelsey.* Być może potajemnie jest starszy od księcia i po prostu używa magii, by sprawiać wrażenie surowego i męskiego.

Głupi czarodziej i jego głupi bogaci przyjaciele.

Emmeline promieniała jak dziecko w świąteczny poranek.

– Zaproszenie na kolację? Do kogo, do wikariusza?

Elsie prychnęła.

– Nigdy byś nie uwierzyła.

Emmeline przebiegła przez pokój i chwyciła Elsie za rękę.

– Powiedz mi.

– Muszę odwiedzić kamieniołom.

– Och, Elsie, na pewno masz chwilę, żeby mi szybko opowiedzieć. Proszę.

Przez chwilę przygryzała wewnątrz policzka.

– Cóż, spotkałam w mieście aspektora... I najwyraźniej pracuje dla księcia Kentu...

– Księcia Kentu! – Emmeline pisnęła. Elsie mogłaby zrobić to samo, gdyby zamieniły się miejscami. Ale plotki z udziałem samej siebie nie były nawet w przybliżeniu tak interesujące jak zagłębianie się w czyjeś interesy.

– I mam przyjść na kolację, a jeśli odmówię...

Kto odmawia księciu? Elsie prawie się rozplakała.

– Książę! – oczy Emmeline lśniły jak gwiazdy. – To jest absolutnie niesamowite! – dziewczyna obróciła się. – Czy ten mężczyzna był bardzo przystojny?

Elsie zarumieniła się.

– Przystojny? Jest dość stary...

Jej przyjaciółka przewróciła oczami.

– Nie księżę, głupia. Aspektor! Jakiego aspektu?

– Och... – Elsie rozejrzała się po pracowni, choćby po to, by oderwać wzrok od Emmeline. – No cóż, nie jest źle wyglądającym facetem.

– To takie ekscytujące. Musisz iść i musisz mi wszystko opowiedzieć. Udasz się do kamieniołomu od razu, a ja uwinę się z pracami domowymi, żeby zdążyć zrobić ci fryzurę. Elsie dotknęła upiętych loków. Emmeline od dawna nie układała jej włosów. Nie odkąd Alfred...

Alfred może się udławić zgniłą tartą, powiedziała sobie, ale to nie złagodziło ssania w brzuchu. Zesztywniała.

– Z pewnością nie szukam uczucia, Em.

A pan Kelsey z pewnością nie miałby dla niej żadnych uczuć, gdyby pojawiła się za późno, by wykonać swoje karne zadania.

Pokojówka puściła rękę Elsie. Oczywiście Emmeline wiedziała wszystko o Alfredzie i to było bez sensu. Elsie nie musiała na nią warczeć. Ale wrodzona wesołość jej przyjaciółki przebiła się przez zakłopotanie.

– Ale to nic złego mieć powód do fantazjowania.

Elsie skrzyżowała ramiona.

– Nie mam nic wystarczająco pięknego, żeby mogło pasować do księżęcego stołu.

– Myślę, że ty jesteś piękna – Emmeline promieniała.

Elsie uśmiechnęła się. Zastanowiła się. Westchnęła.

– Masz rację, równie dobrze mogłabym to wykorzystać.

Może kilka dobrze ułożonych słów wprowadziłoby pana Kelseya w zakłopotanie z powodu ich słownego kontraktu.

– Czy ty... widziałas może dziś jakichś posłańców lub roznosicieli telegramów?

Chociaż było to mało prawdopodobne o tak późnej porze, wciąż modliła się o odwołanie.

– Oczekujesz czegoś z Juniper Down?

Nazwa miejsca, w którym ostatnio widziała swoją rodzinę, była dla niej prawie fizycznym uderzeniem. Czas zagoił tę ranę, ale wciąż tam była, wyblakłe wspomnienie, które sprawiło, że Elsie poczuła się mała. Tego popołudnia była w dziwnym stanie umysłu, jakby miała silne przeziębienie, które uczyniło ją wrażliwą na wszystko wokół.

– Coś w tym stylu – mruknęła.

Emmeline skinęła głową. Elsie wzięła torebkę, znalazła odpowiedni kapelusz i odważyła się wyjść na ulicę w poszukiwaniu kamieniołomu. Po drodze wymyślała wymówki.

* * *

Z rezydencji księcia nie nadeszło żadne odwołanie, więc Elsie znalazła się wieczorem w swojej najlepszej sukni na progu Siedmiu Dębów.

Czy to nie było wszystko, czego nienawidziła? Wszystko, czemu się przeciwstawiała? Bogacze zajadający się kołaczami w zaciszu swoich rezydencji, podczas gdy biedni gotowali kapustę na kolację? W przytułku łatwiej było policzyć dni bez kapusty niż te, w które była.

Niech Bóg błogosławi Cuthberta Ogdena. Ostrożnie wysiadała z dorożki, jakby zanurzała się w zbyt gorącej kąpieli. Posiadłość księcia Kentu znów zrobiła tę rosnącą sztuczkę. Od wczoraj z pewnością podwoiła swój rozmiar. Być może to pan Kelsey rzucił jakieś niesamowite zaklęcie, by posiadłość rosła. By ją zastraszyć. Aby ukarać ją za przyjęcie zaproszenia na kolację. Ale to nie była za bardzo jej wina, prawda? Powinna była odmówić. Powinna była wysłać telegram bezpośrednio do księcia i powiedzieć mu dokładnie, co myśli o nim, o jego towarzystwie i złym traktowaniu sług. Z drugiej strony jej praca z jego cholernym aspektem nie została zakończona, a taka komunikacja sprawiłaby, że wszelkie przyszłe spotkania, jakkolwiek przypadkowe, byłyby niesamowicie niezręczne. Elsie nie podobało się uczucie skrępowania.

– Czy to właściwe miejsce, panienko? – zapytał za nią dorożkarz, prawdopodobnie zastanawiając się nad jej wahaniem. Z pewnością trudno było pomylić jakiegokolwiek inne miejsce w Kencie z Siedmioma Dębami. Ale Elsie nie mogła wydobyć głosu, więc tylko skinęła głupio głową. Woźnica zwlekał jeszcze chwilę, po czym gwizdnął i machnął lejcami. Potem zniknął, a ona stała samotnie w Siedmiu Dębach. Ale była prawie wystarczająco dorosła, by być starą panną, prawda? Jeszcze tylko kilka lat.

Zacisnęła palce, a koronka rękawiczek zaczęła ją obcierać. Miała na sobie bordową sukienkę, tę, którą nosiła do kościoła w te dni, kiedy jej szczególnie zależało na wyglądzie, a Emmeline kunsztownie upięła jej włosy z tyłu i zakręciła krótsze pasma z przodu. Na szczycie tego wszystkiego siedział kapelusz jak odpoczywający ptak. Nie założyła biżuterii – ta, którą miała, to imitacja i była pewna, że księżę i jego rodzina zauważą to i źle ją osądzą. Poza tym kołnierz sukni był wysoki.

Wyglądało, że rezydencja szczerzy na nią zęby.

– Panna Camden?

Elsie drgnęła, widząc po raz pierwszy zbliżającego się do niej lokaja. Z pewnością eleganckiego lokaja, ale za młodego na kamerdynera. Posłała mu nieśmiały uśmiech i zastanawiała się, jak dobrze traktowano tego mężczyznę. Czy Kaptury rzeczywiście się myliły, czy też książę i księżna byli po prostu znakomici w zachowywaniu pozorów?

– Wyszedłem zobaczyć, czy przyjechałaś, panienko. Pan Kelsey martwił się, że się zgubiłaś.

Jestem pewna, że tak, pomyślała. Czy czarodziej ukarze ją za to, że nie mogła dziś przyjść do pracy? Co, jeśli wykorzysta kolację, by publicznie wyjawic jej sekret? A może będzie nalegał, żeby pominęli kolację, żeby Elsie mogła przemierzać ziemie dzierżawców w swoich najpiękniejszych ubraniach? Rozważała ucieczkę z powrotem do Brookley. Słońce zachodziło, może do rana zdąży. To byłaby niezła plotka: Elsie Camden wpada do miasta w nieładzie, w najlepszej sukni podartej na brzegach. Mogła praktycznie usłyszeć tę historię opowiedzianą głosami sióstr Wright. Uśmiechnęła się sztucznie.

– Trochę się zakręciłam, dziękuję.

Lokaj skinął głową i wskazał na monstrualny dom. Nogi Elsie były tak sztywne, że prawie zastanawiała się, czy znowu nie utknęła w jednym z zaklęć pana Kelseya. Udało jej się jednak podążyć za pokojówką aż do wejścia, gdzie drugi lokaj trzymał otwarte drzwi.

Znów uderzyło ją, że służący z pewnością wyglądali na dość zadbanych. To było dobre. Pomyśleć, że Elsie mogłaby sama być służącą, gdyby została w przytułku. Oczywiście nie w takim miejscu. W jakimś bardziej tłoczonym, zawilgoconym. Arystokraci nie zatrudniali ludzi z przytułków.

Lokaj poprowadził Elsie przez kilka korytarzy, minął kolejnych służących i wspiął się po schodach do przestronnego salonu. Połączone obrazy zdawały się tańczyć w świetle świec, meble były delikatne i w żywych kolorach, a w porcelanowym wazonie na niskim stoliku znajdował się największy bukiet, jaki kiedykolwiek widziała. Starła się zachowywać tak, jakby przypadkowy pokaz bogactwa nie robił na niej wrażenia. Nie znała czterech kobiet w pokoju, wszystkie były odświętnie ubrane, z wyjątkiem jednej, której suknia wydawała się nie odbiegać od stroju Elsie. Najstarsza, szczupła kobieta, która wyglądała dobrze jak na swój wiek, podeszła do niej pierwsza. Jej szyja lśniła szafirami. Elsie czuła się bardzo nie na miejscu. Przebiegała wzrokiem między krzesłami i sofami, próbując znaleźć jakiś ką, w którym mogłaby usiąść cicho i dyskretnie, dopóki nie podadzą jedzenia.

– Ty musisz być Elsie Camden! – kobieta podeszła do niej z otwartymi ramionami, a jej twarz rozjaśnił olśniewający uśmiech. – Kochanie, przepraszam

za formę, w jakiej się zaprezentowaliśmy. Mężczyźni potrafią być tacy nieporadni.

Wzięła Elsie za ręce, jakby były dawno niewidzianymi przyjaciółkami. Szczęka Elsie opadła. To była szlachcianka, prawda? Ale była taka... ładna. Dama wykorzystała zdumienie Elsie i subtelnie ją obejrzała. Elsie zarumieniła się, pewna, że kobieta mierzy jej wzrokiem strój, ale ku jej zaskoczeniu powiedziała:

– Jesteś wysoka. To dobrze.

Szczęka Elsie wróciła na swoje miejsce. Dlaczego to, że jest wysoka, jest dobre? Ale odpowiedź przyszła do niej, zanim zdążyła się odezwać, prawie ją dusząc. Nieznajoma odnosiła się do jej wzrostu w stosunku do wzrostu pana Kelseya.

Było widać, że kobieta usiłuje zapanować nad emocjami.

– Nazywam się Abigail Scott. Księżę jest moim mężem.

Elsie trzymała za rękę księżną.

– To – księżna puściła ją i wskazała na dwie dziewczyny, obie młodsze od Elsie, pierwsza miała jakieś szesnaście lat – moje córki: Ida i Josie. – Josie wyglądała na młodszą od Idy. – A to jest Mistrzynie Lily Merton, którą również zaprosiłam na dzisiejszy wieczór na kolację.

Mistrzynie Merton, która wyglądała na trochę starszą niż Ogden, podbiegła do niej. Była utytułowana w dziedzinie rzucania zaklęć, ale nie wyglądała na typową dobrze sytuowaną damę. Była niska i pulchna, miała okrągłą twarz, która wyglądała, jakby nieustannie się uśmiechała. Miała kręcone włosy i trochę staroświecką fryzurę, a ubrana była skromnie, w prostą fioletową sukienkę, dzięki czemu Elsie czuła się mniej nie na miejscu.

– Moja droga, wspaniale cię poznać. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko mojemu wtargnięciu. Rodzina księżnej jest taka kochana, a panna Ida jest tak obiecująca w aspektach!

Elsie zamrugała i odwróciła się w stronę starszej córki księżnej.

– Jesteś uczennicą?

Ale Ida potrząsnęła głową.

– Jeszcze nie, być może za jakiś czas. Ale zapowiadam się obiecująco – Mistrzynie Merton energicznie skinęła głową.

– Muszę ją tylko przekonać, żeby dołączyła do duchowego aspektoratu!

Ida uśmiechnęła się nieśmiało. Chociaż Elsie nie знаła dziewczyny, miała nadzieję, że skorzysta z okazji, by studiować aspekty. Było tak mało kobiet w tej dziedzinie, zwłaszcza w Europie. Tylko uprzywilejowani, którzy wykazali się naturalnym talentem, mogli spróbować swoich sił wraz z niewielką grupą sponsorowanych biedaków, którzy często byli odkrywani tylko wtedy, gdy

profesorowie rzucania zaklęć organizowali wydarzenia rekrutacyjne i nie pobierali opłat za udział w nich ich pierworodnych dzieci. To sprawiło, że wielu potencjalnych aspektorów się się zniechęciło i wróciło na pola kapusty.

Gdyby Elsie była kimś innym niż łamaczką zaklęć, nie osiągnęłaby niczego. Kaptury z pewnością nigdy nie znalazłyby dla niej zajęcia.

– Jestem pewna, że ci się uda – powiedziała, a oczy Mistrzynie Merton zabłyśły z zadowolenia. – Myślę, że to bardzo dobry zawód dla młodej damy.

– Całkiem możliwe – powtórzyła księżna. Poderwała się na dźwięk kroków w korytarzu. – Oto i są. Moja droga panno Camden, pan Kelsey będzie cię eskortował. Mistrzynie Merton, byłabym zaszczycona, mając cię po mojej lewej ręce.

– Co za przyjemność, milady – zachwyciła się Mistrzynie Merton, klaszcząc w dłonie. Miała tak zaraźliwy dobry humor, że Elsie też nie mogła powstrzymać uśmiechu. – Och, mamy tyle do omówienia!

Drzwi po bliższej stronie pokoju otworzyły się, ukazując pana Kelseya. Przytrzymał je dla księcia, który zauważył Elsie i uśmiechnął się, po czym skierował uwagę na Mistrzynie Merton i serdecznie ją powitał.

Kelsey od razu poszedł w stronę Elsie. Wyglądał na trochę zirytowanego, ale gdy do niej podszedł, zmarszczki na jego opalonym czole wygładziły się. Boże, łatwo było zapomnieć, jaki był duży, nie porównując go do zwykłych ludzi. Jego oczy omiotły jej sukienkę od góry do dołu, ale Elsie nie mogła powiedzieć, czy mu się podobała, czy nie. Nie żeby to miało znaczenie. Właściwie z całą pewnością nie. Elsie wyprostowała się, ponieważ gorset ją uwierał. Księżę, księżna, ich córki i główny aspektor. Pan Kelsey był jedynym elementem, który wypełniał ziejącą przepaść klasową między Elsie a resztą, i nawet ten most wydawał się nie do pokonania. Elsie odezwała się pierwsza, cicho:

– Nie mogłam uciec dziś rano. Wszystko się wydarzyło naraz, nie dając mi prawie żadnej szansy na złapanie oddechu. Jutro dam z siebie wszystko.

Pan Kelsey zastanowił się przez chwilę, zanim zaoferował jej ramię.

– Słusznie.

Elsie spojrzała na niego, wahając się, czy podnieść rękę.

– Słusznie? Tak po prostu? Żadnych przytyków ani gróźb?

– Gdybyś nie zamierzała dotrzymać słowa, nie przysłabyś.

Zmarszczyła brwi i ujęła go pod ramię, gdy księżę prowadził księżną w stronę jadalni z Mistrzynie Merton obok nich. Kiedy na nich patrzyła, poczuła na sobie muskularne ramię Kelseya. Kto by wygrał, gdyby walczył z Ogdenem na rękę?

Na jej szyję wpełzło ciepło, ale zignorowała je, rozluźniając uścisk, by skupić się na tym, czego potrzebowała.

– Chciałam tylko spróbować eleganckiego jedzenia, które z pewnością uświetni książęcy...

Zaklęcia.

Dwa. Pierwsze, które zauważyła wcześniej, o ziemistym zapachu, który prawie, ale nie całkiem, mieszał się z jego zwykłym zapachem świeżo ściętego drewna i pomarańczy. Znajdowało się na ciele Kelseya, dokładnie na jego torsie. Ale pod nim leżało inne zaklęcie, spokojne i wyciszone, ledwo zauważalne. Nie mogła go zidentyfikować, pierwsze z nich było zbyt ostre. Ale na pewno były dwa. Drugie było tak potężne, że nie mogła go wykryć zwykłymi zmysłami – po prostu wyczuła jego istnienie, podobnie jak uczucie, którego doświadcza się, gdy jest się obserwowanym. Jedynym powodem, dla którego je zauważyła, było to, że stała tak blisko niego. Dlaczego? I dlaczego były dwa?

– ...stół – dokończyła, ledwie przypominając sobie, o czym rozmawiali. Boże, dopomóż, musiała wiedzieć, czym były te zaklęcia, ale nie sądziła, by udało jej się je rozgryźć bez uwodzenia pana Kelseya. Teraz naprawdę musiała się rozproszyć, ponieważ jej błędne myśli sprawiały, że płonęła jak krwawe palenisko. Odsunęła myśl o sekretnych zaklęciach na dalszy plan i intensywnie myślała o śniegu.

Kelsey poprowadził ją w stronę drzwi, a siostry podążyły za nimi. Gdyby to była prawdziwa kolacja, eskortowałyby ich dwóch panów. Ale tak nie było, zaś książę już udowodnił, że jest niezwykle, zapraszając ją na obiad.

Jest wysoka. Prawie prychnęła. A jednak przekomarzanie się złagodziło jej nerwy.

Jadalnia była oczywiście równie okazała jak salon, choć nieco mniej ozdobna. Stół nie onieśmielał wielkością i Elsie zastanawiała się, czy jest rozsuwany, czy może to mniejsza z dwóch jadalni. Książę siedział na jednym końcu, a księżna na drugim. Mistrzynie Merton zajmowała eksponowane miejsce po lewej stronie księżnej, a Bachus po jej prawej stronie, obok niego siedziała zaś Elsie. Naprzeciw niej usiadła Ida, a jej siostra Josie obok. Lokaje wnieśli pierwsze danie. Elsie nie wiedziała, co to jest, ale pachniało cudownie. *Kapusta*, przypomniała sobie. *Wszyscy inni jedzą kapustę.*

– Bachus mówił mi, że jesteś z Brookley – zaćwierkał książę. – Przejeżdżałem przez to miejsce. Ma w sobie pewien urok.

Elsie skinęła głową, niepewna, co sądzi o przekazywaniu prywatnych informacji o niej. Ale oczywiście pan Kelsey musiał coś ujawnić.

– Tak jest, Wasza Miłość. Mam wielkie szczęście, że tam mieszkam – wymierzyła sobie w myślach kuksańca. Gdyby wyjawiała swoją przeszłość związaną z przytułkiem, z pewnością zostałaaby wyrzucona z za stołu. Księżna dodała:

– Jest bardzo małomówny, jeśli chodzi o ciebie.

Dopiero po chwili Elsie zdała sobie sprawę, że mówi o Bachusie. Przełknęła ślinę, powstrzymując westchnienie ulgi.

– Cóż, tak naprawdę jesteśmy tylko znajomymi.

Księżna posłała księciu spojrzenie, które nie spodobało się Elsie. Wiedzące spojrzenie.

Pan Kelsey powiedział:

– Panna Camden ma nienaganny gust, jeśli chodzi o sale balowe – i podniósł łyżkę do ust. Elsie obserwowała, czy nie kapie mu z niej na brodę, ale okazał się całkiem biegły w jedzeniu mimo zarostu. Irytujące.

– Ach, tak? – zapytała księżna.

– Mistrzynie Merton – zaczęła Elsie, czując, że powoli traci apetyt. – Kiedy po raz pierwszy zauważyłaś potencjał w panie Idzie?

– Och, nawet nie byłam pierwszą, która to zauważyła! To był Mistrz Thompson.

Ponieważ żeńska forma tytułu mistrzowskiego dla aspektorów była rzadko używana, Elsie początkowo nie była pewna, czy Mistrz Thompson był mężczyzną czy kobietą.

– Chodził na uniwersytet z bratem księcia – kontynuowała aspektor. – Podobnie jak ojciec pana Kelseya, jeśli dobrze pamiętam?

Kelsey skinął głową, bardziej zainteresowany zupą niż rozmową. Elsie zazdrościła mu milczenia. Jako osoba nowa przy tym stole nie mogła sobie pozwolić na zbyt dużo.

– Najwyraźniej miał przecucie. Podobieństwa się przyciągają, tak sędzę – paplała dalej Mistrzynie Merton. – Byłam tam, kiedy ją testował. Tuzin kropli w jej dłoni zaświecił się jak słońce!

Panienka Ida zarumieniła się.

– Jakie to interesujące – powiedziała Elsie. – Przyznaję, że sama niewiele wiem o magii... – *Nie patrz na pana Kelseya.* – Ale moim pracodawcą jest aspektor. Oczywiście nie na twoim poziomie.

– Naprawdę? – zapytała księżna.

Prześlan mówić o swoim życiu prywatnym!

Elsie skinęła głową.

– A panienka Josie? – *Czym zajmują się wytworne młode kobiety?* – Czy ty... śpiewasz?

Po długiej rozmowie o muzyce wniesiono drugie danie i Elsie stwierdziła, że ma nieco większy apetyt. Ida wspomniała o kradzieżach opusów, co od razu przykuło uwagę Elsie, ale rozmowę przerwała księżna.

– Nie mówmy o strasznych rzeczach, nad którymi nie mamy kontroli – odezwała się stanowczo.

Elsie zastanawiała się, czy perspektywa, że jej najstarsze dziecko zostanie aspektozem, niepokoi księżną, biorąc pod uwagę ostatnie wiadomości w gazetach.

Zamiast tego ksiązę opowiadał o rasach psów, a Mistrzynie Merton konwersowała z entuzjazmem. Elsie zadowolila się jedynie słuchaniem, dopóki nie nadeszło trzecie danie, i znowu stała się tematem zainteresowania.

– Wspomniałaś o pracy dla aspektoza? – zapytał ksiązę. Elsie zacisnęła dłonie pod stołem.

– Ja... Tak. Tak naprawdę dla nowicjusza. Jest artystą...

– Bardzo dobrze sobie radzi – wtrącił pan Kelsey, jego głos był gładki i pewny siebie. – Podobnie jak panna Camden.

Zastanowił ją ten komplement. Co wiedział Kelsey? Tak czy inaczej, była to delikatna próba wzmocnienia jej pozycji i była za to wdzięczna.

– Ależ oczywiście – księżna skinęła głową. – Przypomnij mi, jak się poznaliście?

Kelsey powiedział:

– Musiałbym ci to powiedzieć po raz pierwszy, zamiast przypomnieć, Wasza Miłość.

Księżna machnęła ręką w powietrzu.

– Mówiłam ci o formalnościach, Bachusie.

– Ale jemy – wtrąciła się Josie, odnosząc się do oficjalnej okazji. Księżna rzuciła swojej najmłodszej córce znaczące spojrzenie, a ta skupiła się na posiłku.

– Na rynku – Elsie próbowała sobie przypomnieć, co mówiła Emmeline. – Miałam... jakieś kłopoty z drzwiami. Pan Kelsey łaskawie mi pomógł.

Jego usta wykrzywiły się na myśl o bliskiej prawdzie.

– O tak – Mistrzynie Merton entuzjastycznie skinęła głową. – Dni stają się coraz cieplejsze i bardziej wilgotne. Drewno pęcznieje od razu! Ale zna pan na to zaklęcie, prawda, panie Kelsey?

Kelsey odłożył widelec.

– Tak, ale nie będę zaklinać cudzych drzwi. Najczęściej mocne pchnięcie wystarczy.

– Jaki pragmatyczny – zaczęła księżna. Otarła usta serwetką. – Całe to gadanie o muzyce. Josie, zagrasz dla nas po obiedzie, prawda?

– Oczywiście! – odpowiedziała.

– Ja... – zaczęła Elsie, a jej umysł uporczywie szukał wymówki. Mogłaby pójść spać trochę później, żeby dokończyć pracę dla Ogdena, prawda? Bez

wątpienia będzie miał dla niej listę po kolejnym długim dniu u dziedzica. Wcześniej wydawał się taki zagoniony. Zupełnie jak nie on.

– Panna Camden nie jest miejscowa i robi się późno – odezwał się Kelsey. Elsie nie była pewna, czy powinna go pobłogosławić, czy też obrazić się, że chciał, żeby tak szybko wyszła. – Byłoby najlepiej, gdyby już poszła.

Potem, gdy dotarło do niego, co powiedziała, dodał:

– Ale podobała mi się twoja muzyka, panno Josie.

Josie uśmiechnęła się.

– Och, kochanie, oczywiście. Jestem pewna, że twój powóz już czeka – powiedziała księżna.

Elsie starała się nie zarumienić. I prawie jej się to udało.

– Tak, będzie tu lada chwila.

Zapłaciłaby dodatkowo, gdyby woźnica musiał na nią czekać.

Biorąc pod uwagę wszystkie dorożki, które wynajmowała, Elsie zapewne wkrótce trafi do przytułku. Reszta posiłku przebiegła gładko, a Mistrzynie Merton mówiła o emocjach związanych z aspektami i Ateneum Duchowym w Londynie. Kiedy zabrano ostatnie talerze, pan Kelsey wstał, by odprowadzić Elsie do jej wymyślanego woźnicy.

Dorożki nie było.

– Poprosiłam go, żeby wrócił o jedenastej.

Elsie stała w wyrwie w kamiennej ścianie, wykręcając ręce. Jej głos mógł brzmieć nieco defensywnie.

Kelsey spojrzał na nią tak, że zrobiło jej się gorąco.

– Dobrze sobie poradziłaś.

Wyprostowała się.

– Nie jestem pomywaczką – *Nigdy więcej nią nie będę*. – Znam dobrze zasady etykiety – dzięki niech będą Ogdenowi i czytany przez nią powieściom. Szybko złagodniała. – Dziękuję za ochronę mojej prywatności.

– To nie jest trudne. Książę i księżna również znają etykietę. Na jutro mam inne plany, ale w czwartek pojedziemy na działkę dzierżawców. Podejrzewam jakieś klątwy.

– Klątwy?

Zaklęcia duchowe.

– Równie dobrze mogę się mylić – potarł brodę z jednej strony. – Przyprowadzę ci powóz.

– Jak już powiedziałam, najlepiej będzie, jeśli nie przyjadę do domu książęcą karetą.

– Musisz mieć w domu bardzo zdeterminowanych podglądaczy, jeśli cię to martwi o tej porze – stłumił ziewnięcie. Albo był przyzwyczajony do wczesnego

wstawania, albo rozmowa z Elsie była nudna. Oczywiście chodziło o to drugie. Wrócili do domu, gdzie Elsie czekała w przedsionku, podczas gdy pan Kelsey odbierał karete. Zastanawiała się, ile książek ich ma. W końcu Kelsey wrócił i odprowadził Elsie do drzwi, oferując nawet pomoc w wejściu do pojazdu. Jego dłonie były duże, ale nie niezgrabne. Ciepłe. Wyciągnęła swoją, gdy tylko odzyskała równowagę.

– Do czwartku – kiwnął głową i zamknął drzwi powozu. Konie szarpnęły do przodu, a Elsie chwyciła się siedzenia, żeby nie upaść. Coś szorstkiego znalazło się pod jej ręką. Na siedzisku leżała kartka papieru. Podniosła ją, dostrzegając w świetle księżyca odcisk ptasiej łapy.

Kaptury.

ROZDZIAŁ 9

Bachus słyszał o wzroście liczby zabójstw aspektorów w Europie, zwłaszcza w Anglii, ale rojący się od ochrony dom aukcyjny Christie's wzbudziłby zazdrość Pałacu Buckingham. Umundurowany funkcjonariusz przepchnął się przez gromadzący się tłum, machając rękami na przechodniów. Inny oficer, stojący w pobliżu drzwi, poprosił o nazwiska przybywających oferentów, zanim wpuścił ich do środka. Rainer, który walczył z tłumem, podczas gdy Bachus czekał na ruch kolejki, pojawił się ponownie u jego boku.

– Rozmawiałem z lokajem. Zeszłej nocy miała miejsce próba kradzieży. Stąd taka ochrona.

W takim razie plotki miały pewne znaczenie. Najwyraźniej przestępca lub przestępcy byli tak samo zadowoleni z kradzieży opusu zmarłego już aspektora, jak z zabicia maga. Bachus spojrział w stronę prostokątnych okien domu aukcyjnego.

– Tutaj?

Rainer skinął głową.

– Nie złapali tej osoby, więc są ostrożni.

Ciekawe. W pobliżu policjant gwizdnął ogłuszająco.

– Ruszać się! – krzyknął sfrustrowany oficer z góry. Jego wzrok spoczął na Rainerze i Bachusie. – Nie mówisz po angielsku? Ruszać. Się.

Brwi Bachusa złączyły się w jedną linię.

– Wydaje mi się, że stoję we właściwej kolejce.

Oficer wyglądał na autentycznie zmieszanego. Bachus starał się, by irytacja nie odbiła się na wyrazie jego twarzy – taka była kolej rzeczy. Nigdy nie zostałby w pełni zaakceptowany przez angielskie wyższe sfery z powodu tego, jak wyglądał.

Im szybciej opuści Anglię, tym lepiej. Przy odrobinie szczęścia dostanie na tej aukcji to, czego potrzebuje. Zdobędzie mistrzostwo i zarezerwuje drogę do domu, upragnione zakłęcie przenoszenia wypisane na jego duszy.

– To jest kolejka do domu aukcyjnego – stwierdził tępo oficer.

– Wiem – odparł Bachus. Oficer przerwał na chwilę, po czym zajął się starszą parą, która stanęła, gapiąc się na trąbki.

– Ruszać się!

Tłum się poruszył i Bachus w końcu dotarł na początek kolejki. Rainer odezwał się w jego imieniu.

– Bachus Kelsey – potężny mężczyzna z księgą przyglądał im się przez chwilę, po czym przejrzał papiery. Narysował ołówkiem linię w poprzek strony. Skinął głową w stronę towarzysza. Drugi, niższy mężczyzna powiedział:

– Proszę opróżnić kieszenie.

Bachus zacisnął zęby. Nie przypominał sobie, żeby ktoś przed nim był o to proszony. Nie nosił ze sobą wiele, a Rainer miał swoją monetę. Ogromną ilość pieniędzy zaoszczędzonych przez lata właśnie na ten cel. Pieniądze, które chętnie dałby zgromadzeniu Londyńskiego Ateneum Fizycznego, gdyby nie byli nadętymi dupkami. Jego rzeczy zostały przeszukane, a Bachus patrzył na każdą dłoń w rękawiczce, upewniając się, że nic nie wślizgnęło się do niewłaściwej kieszeni. Następnie oficer polecił Bachusowi podnieść ręce do przeszukania. Kusiło go, żeby pokazać temu człowiekowi, gdzie jest jego miejsce. Zamrozić go zaklęciem lub zazielenić. Ukarąć go za to, że nie szanował lepszych od siebie, chociaż nienawidził tego pomysłu. Gdy zdobędzie tytuł, łatwiej mu będzie unikać takich sytuacji, ale zwlekał z przystąpieniem do egzaminu na mistrza. Dopóki tego nie zrobi, zawsze jest szansa, że członkowie zgromadzenia zmienią zdanie i pozwolą mu użyć zaklęcia przenoszenia, by uzyskać prawa do awansu. Mała szansa, to pewne, ale jednak szansa. Miał nadzieję, że nie będzie musiał na niej polegać. Opus Mistrza Bennetta miał być jednym z pierwszych przedmiotów wystawionych na aukcję.

Bachus poddał się więc w milczeniu rewizji, a ochrona szybko wykonała swoje zadanie. Zwrócono mu jego rzeczy opatrzone niebieską tabliczką z numerem 18, oznaczającą go jako aspektora. Tylko osoby z niebieskimi numerami mogły licytować magiczne przedmioty. Powstrzymując westchnienie, Bachus wszedł do środka. Usiadł pośrodku sali aukcyjnej, dużego pomieszczenia o szarych ścianach ozdobionych kilkoma portretami i gustownymi dekoracjami, podczas gdy Rainer wraz z innymi służącymi czekał z tyłu. Bachus chciał się wtopić w tłum, ale musiał mieć pewność, że aukcjoner go zauważy. Obracając numerek w dłoniach, obserwował podium, dopóki aukcjoner z długimi siwiejącymi wąsami nie podszedł do niego. Pierwszym przedmiotem był obraz przedstawiający czajniczek, który poszedł za zaskakującą kwotę. Drugie były dzienniki Mistrza Bennetta, w sumie pięć, mocno zniszczone i z tłoczonymi literami. Można by pomyśleć, że osobiste przemyślenia ojca będą przechowywane w rodzinie, ale jeśli istniała jakakolwiek szansa, że Mistrz Bennett ujawnił na tych stronach choćby jedno zaklęcie, byłyby one wiele warte. Nic dziwnego, że oprawione książki kosztowały dwukrotnie więcej niż obraz.

Bachus zeszywniał, gdy pojawił się następny przedmiot. Jeszcze zanim zostało to ogłoszone, wiedział, że to opus, którego szukał. Gruba księga oprawiona w wypolerowaną czerwoną skórę, z pół tuzina wstążek w kolorze burgund spływających po grzbiecie. Strony, ściśnięte między okładkami, miały szorstkie krawędzie, które błyszczały, gdy książkę umieszczano na sztaludze. To było dzieło prawdziwego mistrza, i to bogatego.

– Dzieło nieżyjącego już lorda Mistrza Cassiusa Bennetta, aspektora fizycznego, zmarłego w roku 1894. Cena wywoławcza wynosi pięćset osiemdziesiąt funtów.

Cena, która może doprowadzić człowieka do płaczu. Ale to było dzieło mistrza.

Dłoń Bachusa zacisnęła się na jego numerku, gdy zmusił się do czekania. Mężczyzna w szarym ubraniu z przodu uniósł swój. Pięćset osiemdziesiąt funtów. Sześćset. Sześćset dwadzieścia pięć.

– Sześćset pięćdziesiąt? Czy usłyszę sześćset pięćdziesiąt?

Numerek Bachusa wystrzelił w powietrze.

Pióro aukcjonera odnotowało jego ofertę.

– Sześćset siedemdziesiąt pięć? Naprawdę wspaniały opus. Nie? Sześćset siedemdziesiąt.

Mężczyzna w szarym uniósł numerki. Bachus podniósł swój. Kobieta z tyłu też podniosła rękę. Pot kłuł linię włosów i kręgosłup Bachusa. Licytacja toczyła się szybko, ale on ćwiczył cierpliwość, czekając na ciszę.

– Tysiąc dwadzieścia?

Podniósł tabliczkę. Mężczyzna w szarym też. Zaczęły mu się pocić dłonie. Z ceną wywoławczą w wysokości pięćset osiemdziesięciu funtów był pewien, że licytacja nie przekroczy jego limitu. Ani obraz, ani dzienniki nie potrzebowały dużo czasu, aby znaleźć nabywcę. Ta konkurencja zaczęła się jednak przeciągać, a kwota pięła się coraz wyżej. Kobieta, szepnąwszy coś do towarzysza, podniosła tabliczkę na tysiąc siedemset pięćdziesiąt funtów. Bachus podniósł swoją.

– Dwa tysiące trzysta.

Jego niski głos poniósł się po sali. Z rzędu za nim rozległo się ciche sapnięcie. Niemal natychmiast mężczyzna w szarym uniósł numerki, a serce podeszło Bachusowi do gardła.

– Dwa tysiące pięćset.

Ta cena była dla Bachusa za wysoka, nie mówiąc już o jej przebicciu. Nie bez podejmowania głupich kroków, popadania w długi i ranienia tych, którzy na nim polegali.

– Po raz pierwszy – zawołał licytator.

Kusiło go. Z pewnością mógłby sprawić, że da sobie radę. Wystarczyło małe pchnięcie, odrobina dyskomfortu i księga byłaby jego. Może być jego. Nie miał pojęcia, jak majętny jest mężczyzna w szarym ubraniu. Jego ramię drgnęło, gdy ścisnął tabliczkę. Potrzebował tego zaklęcia. Jeśli nie dostanie tego opusu, nie wiedział, gdzie mógłby się zwrócić.

– Po raz drugi – groźba odbiła się echem od ścian. Chciał powiedzieć, że desperacko potrzebował zaklęcia, ponieważ potrzebował go dla swoich najemców, swojej własności, swoich posiadłości. W pewnym sensie to była prawda – pomogłoby mu to im służyć – ale oni go nie potrzebowali. W końcu zaklęcie było dla niego. Palce Bachusa rozluźniły się.

– Sprzedany panu z numerem jedenaście!

Ale jeszcze nie został pokonany. Kilka narzekających osób wstało i skierowało się do drzwi, gdy następna pozycja została wystawiona na licytację. Nie chcąc zwracać na siebie uwagi, Bachus pozostał na miejscu przez resztę aukcji, która przeciągnęła się o wiele za długo z powodu zbyt wielu drobiazgów wystawionych na sprzedaż. Przez cały czas miał oko na mężczyznę w szarym ubraniu. Wyglądał na czterdziestolatka, zadbanego. Lekko łąsiał i trzymał się prosto. Pozostał też na miejscu cały czas trwania aukcji, licytując jeszcze dwa inne przedmioty i kupując jeden z nich.

Kiedy oferenci zostali ostatecznie odrzuceni, Bachus przepchnął się przez tłum na skraj sali, nie spuszczając oka z mężczyzny w szarym ubraniu. Nie było to trudne zadanie, biorąc pod uwagę jego wzrost.

Rainer go znalazł.

– Powiedz mi, że znasz imię tego człowieka – odezwał się Bachus, zanim Rainer zdążył złożyć mu kondolencje.

– Felton Shaw – odparł bez wahania Rainer. – Jest właścicielem kilku klubów dla dżentelmenów.

– Aspektor?

– Tak, ale plotka głosi, że spada ze szczytu.

Spada ze szczytu? To znaczy, że osiągnął już swoje magiczne ograniczenia. Niektórzy ludzie, bez względu na to, ile płacili i ile studiowali, po prostu nie mogli stać się potężnymi aspektorami, ponieważ ich ciała nie były w stanie utrzymać wystarczającej liczby zaklęć. Doładowanie było zwykle utrzymywane w tajemnicy. Shaw albo był ledwie mistrzem, albo sownie zapłacił za swój niebieski numer. Czy w ogóle miał dokumenty uprawniające do posiadania kopii opusu? W tej chwili powody mężczyzny nie miały znaczenia. Pan Shaw nie spieszył się ze znalezieniem wyjścia, wybierając boczne drzwi zamiast przedzierać się przez tłum z tyłu. Bachus schował swoje maniery do kieszeni

i przepchnął się przez tłum, sadząc długie kroki, gdy już uwolnił się ze ścisku. Spotkał pana Shawa na zakręcie korytarza. Ukłonił się.

– Panie Shaw, gratuluję wygranej. Mam nadzieję ubić z panem interes.

Starszy, mniejszy mężczyzna podniósł monokl do oka i przez chwilę przyglądał się Bachusowi.

– Słucham – brzmiał niepewnie.

– Opus, który pan wylicytował... – zaczął Bachus.

– Masz na myśli kopię. Tak, wykonałeś dobrą robotę, podbijając cenę.

Tak działają aukcje.

– Zapłaciłbym uczciwą sumę za przeczytanie tylko jednego z zawartych w nim zaklęć. Jestem gotowy i chętny do dostarczenia odpowiednich certyfikatów.

Brwi pana Shawa wspięły się na rondo jego kapelusza.

– Doprawdy? Pamiętaj, że nie znam każdego zaklęcia, które zawiera, tylko to, co było wymienione w opisie.

Opis, który został opublikowany dopiero po wejściu Bachusa do domu aukcyjnego.

– Szukam mistrzowskiego zaklęcia poruszania.

Twarz Anglika zbladła.

– To nielegalne.

– Zapewniam pana, że to absolutnie legalne. Jestem zarejestrowanym aspektozem i posiadam niezbędne zezwolenia.

– Nie sprzedam żadnego z mistrzowskich zaklęć.

Pan Shaw zrobił krok do przodu, ale Bachus powstrzymał go, unosząc rękę. Puls walił mu w nadgarstkach.

– Pozwól mi je jedynie zapamiętać. To dla mojego własnego postępu. Zapłacę sownie – podawał mężczyźnie srebrną tacę do herbaty z filiżankami pełnymi złotem. Oddałby wszystko, żeby tylko wiedzieć, co sprawiło, że to zaklęcie zadziałało. Potrzebował tego. – Dwa tysiące...

– Nie – Shaw zlekceważył tę zbyt hojną ofertę. – Mam plany dotyczące mistrzowskich zaklęć, plany, które są bardziej lukratywne niż wasze skarbcze. Muszę odmówić – ominął Bachusa.

Ten obrócił się.

– Jest pan człowiekiem interesu. Z pewnością musi pan widzieć powód...

Shaw zatrzymał się tylko na chwilę, by splunąć.

– Odezwij się do mnie jeszcze raz, a zaalarmuję ochronę.

Bachus zamarł i patrzył, jak rozdrażniony bogaty Anglik odchodzi. Chęć podniesienia go i rzucenia nim o ścianę – żadna magia nie była mu do tego potrzebna – płonęła w jego ramionach. Puls gwałtownie przyspieszył, aż czuł go

uszech. Najpierw zgromadzenie, a teraz to! Nie mógł ogarnąć umysłem tych wszystkich rzeczy i nonsensów. Czy Anglia tak bardzo się zmieniła w ciągu tych kilku lat od jego ostatniej wizyty? Czy był jakiś wątek polityczny, którego nie znał? Dlaczego to było tak cholernie trudne?

Dodatkowo frustrowało go, że czuł się coraz bardziej zmęczony. Przesunął dłoń do przepony, do zakęcia wyrytego na skórze. To nie będzie trwało wiecznie. Bachus miał określony czas. Czas, który przelatywał mu przez palce jak piasek.

Odrywając rękę, zacisnął ją w pięść. Nie podda się. Choćby miał podróżować po całej Europie, przeszukać Amerykę... Jakoś znajdzie sposób. Wytoczył się z domu aukcyjnego z Rainerem za plecami, ignorując szept, które za nimi podążały.

ROZDZIAŁ 10

Gdyby wszyscy trzej pracodawcy Elsie kiedykolwiek zażądali naraz jej uwagi, byłaby w nie lada tarapatach. Na szczęście zarówno pan Kelsey, jak i Ogden byli zajęci, a zakład kamieniarski pracował nad zamówieniem, co dawało Elsie rzadką szansę na zrehabilitowanie się w oczach Kapturów.

List, który znalazła w powozie po obiedzie w rezydencji księcia, ku jej zaskoczeniu w ogóle nie wspominał o zakłęciu na drzwiach. Dostała inne zadanie. Miała odczarować powóz wynajęty do przewożenia miejscowych kłusowników do sądu. Zależało im na czasie, więc Elsie działała szybko, nawet jeśli oznaczało to przebijanie się przez ścisk na drogach lub przepłacanie dorożkarzowi, który doprowadzał swoje konie do szaleństwa. Jej własne fundusze były na wyczerpaniu, a Kaptury nie wysłały w swoim ostatnim liście pieniędzy na podróż. Może to miała być kara? Nie żeby to miało znaczenie. Gdyby nikt nie interweniował, mężczyźni i chłopcy zostaliby powieszeni za polowanie na zwierzęta na ziemi należącej do bogaczy. Chcieli po prostu wyżywić swoje rodziny, a jednak szyja człowieka była wyceniana tak samo jak szyja bażanta. Gdyby Elsie pomogła im uciec, wykonałaby swoje zadanie. Bez względu na koszty. Ziewnęła, ostatnie zarwane noce ją wykańczały, ale sen nie był ważny.

Pojechała do Londynu i znalazła wskazaną wozownię. Mężczyzna, który wydawał się ją prowadzić, siedział na zewnątrz z gazetą w dłoniach i cygarem w ustach, z kapeluszem nisko nasuniętym na oczy, by osłonić się przed słońcem. Elsie minęła go swobodnie, po czym obejrzała się przez ramię i wśliznęła do wozowni.

Prawie wpadła na hak na ścianie, szybko go ominęła, chowając się wśród pojazdów stojących w budynku. Pierwsze zakłęcia, które wyczuła, znajdowały się na kołach wzmocnionej dorożki typu *hansom*. Wątpiła jednak, by Kaptury wysłały ją na interwencję, gdyby powóz, o który chodziło, był pojazdem samojezdnym. Unieruchomiony przez łamacza zakłęcz, nie byłby w stanie opuścić wozowni, a tym bardziej nie mógłby być używany do transportu kogokolwiek. Ruszyła więc dalej, szukając pojazdu ze wzmacniającymi zakłęciami, kratami, czymkolwiek, co wskazywałoby na rodzaj pojazdu, który

mógłby wozić „przestępców” na śmierć. Im dalej wchodziła do wozowni, tym robiło się ciemniej i wszystko zaczynało wyglądać tak samo. I to był problem.

Elsie nie ustawała w poszukiwaniach, wiedząc, że woźnica i władze mogą przyjść w każdej chwili. W końcu go znalazła – powóz uzbrojony świecącymi runami ochrony i umocnienia, które rozerwała jak gorące cukierki wstążkowe. Zapulsowały raz, zanim zgasły, jak ostatecznie zaciągnięcie się papierosem. Głosy przed wozownią sprawiły, że jej ramiona pokryły się gęsią skórką. Schowała się za powozem i wstrzymała oddech. Ku jej uldze, nie podeszli bliżej. Wyciągnięto i odwieziono pojazd, a zarządzający wozownią wrócił do lektury gazety. Trzymając spódnicę wysoko, by jej nie popłamić, Elsie ostrożnie ruszyła na palcach ku wolności. Jednak gdy tylko wyszła na światło dzienne, dozorca podniósł wzrok, a jego paciorkowate oczy patrzyły pytająco. Elsie oparła ręce na biodrach.

– Chyba nie wynajmujesz omnibusów?

Patrzył na nią, jakby była szalona.

– Omnibusów? Czy to ci wygląda na stację kolejową?

Urażona Elsie odwróciła się na pięcie i odeszła, okrążając tył wozowni, by dostać się do drogi prowadzącej do domu. Skoro już wspomniała o omnibusach, przypomniała sobie, że korzystając z jednego z nich, może oszczędzić pensa czy dwa, więc skierowała się w stronę rynku, szukając wzrokiem omnibusów.

Właśnie dotarła do grupki kupujących, kiedy doszedł ją znajomy głos i zatrzymał w miejscu. Odwróciła się powoli, przeszukując tłum, aż zobaczyła jego twarz.

Alfred.

Alarm przeszył jej kończyny niczym rój termitów. Nie widziała go od prawie dwóch lat. Niczym się nie wyróżniał, poza włosami. Rude loki były nieco dłuższe, inaczej wystylizowane. Był tylko jeden sklep dalej i szedł do powozu z dwiema ciężkimi torbami na ramieniu. Uśmiech rozjaśnił jego piegowatą twarz, który był jak ostrze noża rzucone w sam środek piersi Elsie.

– *Nie musisz tego nosić.*

Przystojny nieznajomy, który później przedstawił się jako Alfred, przebiegł przez ulicę, wyciągając rękę, proponując, że weźmie worek wyładowany płótnem. Elsie zarumieniła się, gdy się zbliżył, i napuszyła.

– *Drogi panie, jestem w stanie sama udźwignąć własne rzeczy, inaczej bym ich nie kupiła.*

Ale pozwoliła mu nieść swoje torby. I zaprowadzić ją do powozu. I zapytać ją, jak się nazywa i gdzie mieszka, rozpoczynając coś, co równie łatwo miał skończyć kilka miesięcy później. Elsie zamrugała, wracając do terażniejszości

w samą porę, by zobaczyć towarzyszkę Alfreda, co tylko sprawiło, że metaforyczne ostrze przebijające jej pierś wykonało obrót.

Wdowa. Ta, którą poznali, kiedy Alfred zabrał Elsie na kolację z okazji jej urodzin. Ale... już nie wdowa. Nie przez sposób, w jaki się dotykali, dzielili powóz i... to była obrączka na jej palcu, prawda? Ciepło rozlało jej się pod żebrami, drapiąc po nogach i ramionach, zanim zamieniło się w lód. Więc ta kobieta nie była przelotnym zauroczeniem. Nie zostawiła go, mimo że był podły. Ożenił się z nią.

Ożenił się z *nią*.

Alfred odwrócił się nagle, spotykając wzrok Elsie na ułamek sekundy. Spanikowała. Nie było sensu się ukrywać. Co by powiedziała? Co by...

Ale on wszedł do powozu i zamknął drzwi.

Jej usta się rozchyliły. On... On ją zobaczył. I nie dbał o to. Nie skinął jej nawet głową. Nie dotknął kapelusza. Wiatr rozwiewał jej włosy, gdy powóz przejeżdżał. Elsie wydawało się, że słyszy za sobą „przepraszam”, ale nie mogła się ruszyć, więc stara kobieta prychnęła i obesza ją.

Przeszłość bulgotała jak gorąca smoła. Och, jak boli bycie porzuconym. Została porzucona przez matkę, ojca, rodzeństwo i nigdy – ani przez jeden dzień – o tym nie zapomniała. Wszyscy ją zostawili, dziecko niezdolne do dbania o siebie, z nieznanymi, którzy byli głupi, okazując jej odrobinę dobroci. Żadne z nich nigdy nie próbowało jej znaleźć. Widzieli w niej coś, czego Elsie wciąż nie odkryła, co było nie do przyjęcia, i od tego uciekli.

Alfred zrobił to samo. On i Elsie miesiącami zabiegali o swoje względy. Mówili o małżeństwie, rodzinie. O przyszłości. A potem odszedł, równie nagle jak jej rodzice. Pewnego dnia dostrzegł w niej coś, co sprawiło, że wydała mu się obrzydliwa. Wpadł prosto w ramiona innej kobiety, która teraz żyła życiem, jakie Elsie ośmieliła się sobie wymarzyć.

Wniosek był nieunikniony. Nie dało się jej kochać.

Łzy zamgliły jej obraz, ale odpędziła je mruganiem. Odgłos kłusujących koni przerwał jej zadumę. *Cholera!*

Wzrok wyostrzył się w samą porę, by zobaczyć, jak omnibus odjeżdża, a konie ogromnego powozu wjeżdżają na główną ulicę. Był wypełniony po brzegi, ludzie tłoczyli się w środku i na górze, ale dwie małe platformy z tyłu były wolne.

W jakiś sposób Elsie zdobyła się na tyle rozsądku, by pobiec za nim i chwycić tyczkę na końcu wozu, stawiając stopy na właściwej platformie. Ściskając drążek, aż zbieleły jej knykcie, jechała z twarzą omiataną wiatrem, pozwalając, by wyschła, a oczy jej płonęły.

* * *

Zanim dotarła do Brookley, poczuła się sztywna jak kłoda, wdzięczna, że warsztat kamieniarski znajduje się na obrzeżach miasta, a nie w jego centrum. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnęła, była uwaga. Głowę miała pustą, a ręce obolałe.

Zobaczyła kabriolet dziedzica stojący przy drzwiach wejściowych. Nie. Za wszelką cenę chciała uniknąć spotkania tego człowieka w swoim domu. Przechodząc obok powozu, zatrzymała się, gdy usłyszała zakłęcie na boku zaprzęzonego do niego konia – ćwierkające zakłęcie duchowe, które pozwalało aspektorowi rozmawiać ze zwierzęciem, aby lepiej je szkolić. To samo zakłęcie było używane przez pocztę do szkolenia psów. Elsie rozwiązała je jednym ruchem palca i weszła do środka bocznymi drzwiami. Niech pomyśli, że zakłęcie zostało rzucone niechlujnie i samo się rozwiązało. Nie był to rzadki przypadek.

– Elsie! Gdzie byłeś? – zawołała do niej Emmeline, gdy Elsie zaczęła wchodzić po schodach. – Krawcy przygotowali nową wystawę i pomyślałam, że fajnie byłoby wpaść i... Coś jest nie tak?

Elsie nie mogła zebrać sił, by udawać, że wszystko jest w porządku. Jeszcze nie. Kręcąc głową, odpowiedziała:

– To nic takiego. Ja tylko... Muszę chwilę pomyśleć.

Wślizgnęła się do swojej sypialni, wdzięczna Emmeline, że nie próbowała za nią podążać. Zamknęła drzwi, zdjęła kapelusz i zaczęła grzebać w torebce. Monety i wachlarz wysypały się na podłogę, zanim znalazła chusteczkę.

Złapała lzy tuż przed tym, nim popłynęły jej po twarzy.

Siedząc na skraju łóżka, Elsie zbesztala się za płacz. Już się z tego otrząsnęła. To nie strata Alfreda ją martwiła. Było jej lepiej bez niego, chociaż noc, kiedy ją zostawił, wciąż bolała. „To nie jest to, Elsie – powiedział. – Ty i ja. Było fajnie, ale znalazłem kogoś, kto naprawdę do mnie pasuje”. I zabrał ze sobą parasol, żeby zostawić ją mokrą w ulewie na ulicy za jego domem, wiele mil od jej własnego. Potem przez dwa tygodnie miała gorączkę, a jeszcze dłużej chorowała z powodu złamanego serca. Ale Elsie była silną kobietą. Kaptury o tym wiedziały. Ogden wiedział. Nawet pan Kelsey to wiedział. Jednak nawet najlogiczniejsza logika na świecie nie mogła uleczyć jej starych ran. Nie mogła uciszyć głosu, który upierał się, że nie można jej kochać. Jej nie da się kochać. Nie da się kochać. Szłochała w chusteczkę, aż nie było na niej suchego skrawka, a w pokoju zaczęło się ściemniać. Kiedy zabrakło jej sił, opadła na poduszkę i wpatrywała się w ścianę, oczy miała suche i obolałe, a gardło jej się zacisnęło.

Nie odezwała się, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Nie protestowała też, kiedy się otworzyły, ukazując stojącego w nich Ogdena.

– Och, Elsie – powiedział ciepło i smutno. – Co się stało?

Tylko pokręciła głową. Nie mogła mówić, nawet gdyby sam Bóg tego od niej wymagał. Łatwiej byłoby zrozumieć żabę, niż ją w tej chwili. Ogden wszedł do jej pokoju, zostawiając uchylone drzwi i przesunął jej kolana, żeby móc usiąść na brzegu łóżka. Tak jak wtedy, gdy przyjechała tu po raz pierwszy. Odgrywał rolę ojca, którego nie pamiętała, czytając jej bajki na dobranoc i opowiadając jej stare historie. To jego wina, że była uzależniona od powieści.

Zastanawiała się wtedy, czy jest tak samo samotny jak ona. Ukryła twarz w poplamionej chusteczce.

– Ktoś ci coś powiedział? – domyślił się słabo. Elsie nie miała skłonności do hysterii, zwłaszcza w obecności innych ludzi. Nie chciała być powodem czyichś plotek. – Siostry Wright? – spróbował ponownie.

Potrząsnęła głową.

– Równie dobrze możesz mi sama powiedzieć albo zostanę tu całą noc, a sąsiedzi będą gadać – bolesny chichot podszedł jej do gardła. Każdy, kto naprawdę znał Ogdena, wiedział, że nie jest z tych, co wywołują skandale. Dotknął jej łokcia. – Nie dziedzic?

– Nie – jej głos był surowy i dziecinny. Nienawidziła tego. Ogden czekał. Po kilku prawie płynnych oddechach odpowiedziała. – Widziałam Alfreda.

Nie musiała dalej wyjaśniać. Pracowała tu, tak jak teraz, podczas ich zalotów. Emmeline, nowa i podekscytowana, niemal codziennie podsuwała pomysły na kolację weselną i suknię. Ogden stresował się znalezieniem jej zastępstwa. Oni też byli zszokowani, gdy skończyło się to z dnia na dzień. Od tego czasu poświęciła się Kapturom bardziej niż kiedykolwiek. To było tylko bolesne przypomnienie o jej lojalności.

– Och, Elsie.

Wzruszyła ramionami.

– Tylko na chwilę. To bez znaczenia. N...nawet się nie obejrzał.

Energicznie potarł jej ramię, jakby miała na nim siniaka.

– Każę Emmeline przynieść ci kolację do pokoju.

Chciała powiedzieć, że wszystko w porządku, ale jej gardło płonęło od kłamstwa.

– Z odrobiną ciepłego mleka – dodał.

Boże, dopomóż, naprawdę znowu miała jedenaście lat.

Jego ręka znieruchomiała.

– Jesteś bystrą młodą kobietą, Elsie. Nie masz pojęcia, co cię jeszcze czeka w życiu.

I dziwne... Poczula się lepiej. Były to proste słowa, ale miały w sobie dziwną moc. Stanowcze zapewnienie, którego do końca nie rozumiała. Myślała, że czuje... Ale nie, to był włos łaskoczący ją w twarz. Odsunęła go dłonią.

Wyciągnięcie wsuwek z fryzury, którą sobie zrobiła, zajęłoby jej wiele godzin. Ogden poklepał ją po łokciu i wstał z łóżka. Słyszała, jak zatrzymał się przy drzwiach przez kilka sekund, zanim je zamknął. Elsie zasnęła, zanim Emmeline zdążyła przynieść jej tacę.

ROZDZIAŁ 11

– Przypuszczam, że zamierzasz zapłacić mi, kiedy zrobię, co trzeba – zapytała Elsie, omijając błotnistą kałużę utworzoną przez poranny deszcz. Przemierzała szeroką gruntową drogę, która ciągnęła się od Siedmiu Dębów w kierunku ziem dzierżawców księcia, i chociaż niebo nad głową było obecnie czyste, ponure chmury czające się na horyzoncie zapowiadały więcej deszczu. Bachus Kelsey, który szedł właśnie o pół kroku przed nią, prychnął, słysząc jej słowa. Był w podłym nastroju i gdzieś zniknęła charakterystyczna dla niego pogoda ducha. Poruszał się trochę sztywniej niż zwykle, a w jego głosie było więcej chłodu. Elsie była zdania, że nie ma to nic wspólnego z pogodą. Przeszła nad leżącym na drodze kamieniem, zadowolona, że przezornie pomyślała o włożeniu porządnych butów na dzisiejszą część robót. Miała na sobie prostą lnianą sukienkę, którą też bez strachu mogła zabrudzić. Do rąbka materiału już przywierały grudki błota. Elsie będzie wolała sama ją wyprać, niż wyjaśniać Emmeline, skąd się wzięło to błoto. W takim razie przed nią kolejna długa noc. Przynajmniej udawało jej się zasnąć. Mimo to wiedziała, że nie może już dłużej prowadzić potrójnego życia. Jeśli będzie spędzała znacznie więcej czasu z dala od Brookley, wpakuje się w kłopoty. Boże, czuła się jak bohaterka jednej z czytanych przez siebie powieści, a jeśli czegoś się nauczyła z tych sensacyjnych historii, to tego, że wszystko kończy się dramatycznym wydarzeniem, które ma zabawić kogoś innego – być może w tym przypadku Boga – jej kosztem.

Powinna kiedyś spróbować swoich sił jako pisarka. Może być w tym dobra.

Mogę mieć więcej czasu, niż myślę. A co, jeśli to zarządca zajmuje pana Ogdena, a nie dziedzic? A jeśli to pan Parker daje mi czas, którego tak potrzebuję? Może i były to pobożne życzenia, ale miała nadzieję, że spełnią się chociaż w części.

Kiedy wspięli się na niewielkie wzgórze, a przed nimi zaczęły pojawiać się pierwsze domy, pan Kelsey przerwał ciszę.

– Uprawy są bardzo słabe. Rosną dobrze w prywatnych ogrodach dzierżawców, ale pola są podmokłe i wszystko gnije.

– Dzisiaj padało.

Rzucił jej miazdzące spojrzenie.

– Cóż, z pewnością mogę rzucić okiem – westchnęła.

Nie odpowiedział, więc po prostu poszła za nim do małej wioski, odwracając głowę, żeby uniknąć rozpoznania. *Wybrałam się na wieczorny spacer, powiedziałyby, gdyby ktoś ją pytał. Jestem konsultantką, ciekawą posiadłości księcia. Pragnąc jedynie towarzystwa pana Kelseya, nic więcej.*

Chociaż dzisiaj wcale tego nie pragnęła. Ten człowiek wyglądał jak chmura gradowa. Może on też wpadł na byłą kochankę. Jaki typ kobiety byłby zainteresowany takim mężczyzną jak pan Kelsey?

– Może królowa uzna, że jest zbyt ponuro i zatrudni ateneum do oczyszczenia nieba z chmur, co? – zaproponowała Elsie. To nie był do końca żart, takie sytuacje zdarzały się już wcześniej. Dzięki możliwości kontrolowania temperatury i wilgotności potężni aspektorzy fizyczni mogli zarówno wywoływać, jak i rozpędzać burze. W przypadku miasta tak dużego jak Londyn wymagałoby to pracy wielu aspektorów jednocześnie. Elsie nie była pewna, ilu dokładnie. Ale Kentowi by się to przydało.

Jeśli pan Kelsey coś odpowiedział, nie usłyszała go. Przeszli między dwoma domami, Kelsey skinął głową kobiecie, która uciszała trzymane na rękach niemowlę. Po prawej stronie Elsie dostrzegła fizyczne zaklęcie, małe i lekko niebieskie, drżące jakby było mu zimno pośrodku kamiennej ściany. Zniknęło równie szybko, jak się pojawiło.

– Chyba nie chcesz, żebym zdjęła wzmacniające zaklęcia także z domów? – powiedziała, kiedy znaleźli się poza zasięgiem uszu przechodniów. Spojrzał na nią, jego zielone oczy kontrastowały z ciemną karnacją. Wzruszyła ramionami. –

Uczyniłoby to ich bardziej zależnymi. Łatwiejszymi do wykorzystywania. I w ogóle.

– Nie wiem, dlaczego przyszło ci do głowy, że książę zamierza zrobić sobie wrogów z własnych dzierzawców – brzmiał na zmęczonego. – Poza tym te zaklęcia są nowe.

Zatrzymała się na chwilę. Tylko na chwilę, bo z powodu długich kroków pana Kelseya natychmiast została w tyle, a wolałaby nie biec za nim w obecności tyłu gapiów. Zatem pan Kelsey rzucił zaklęcia. Ostatnio. Aby wzmocnić domy. To mogło być pomocne tylko dla ludzi, którzy tu mieszkali. Być może uczynił to w celu zaoszczędzenia pieniędzy księcia, ale mimo wszystko było to miłe. Nie żeby o tym wspominała. Elsie ujrzała przed sobą pole, o którym mówili – rzędy młodych roślin, być może kukurydzy. Nigdy nie zajmowała się roślinami, ale rzeczywiście wyglądały na chore i przelane, bardziej brązowe niż zielone, a ich liście pokrywały plamy wyglądające jak brązowe piegi. Zatrzymała się na krawędzi pola i przykucnęła, dotykając ziemi. Nie była bardziej wilgotna niż w pozostałej części hrabstwa.

– Widzisz coś? – zapytał pan Kelsey.

Wstała i obejrzała się przez ramię, czując na plecach mrowienie odległych spojrzeń gapiów.

– Wkrótce stracą zainteresowanie – zapewnił ją. Podniosła brzeg spódnicy, podciągając ją do czubków butów, żeby nie ciągnęła się po ziemi.

– Mogę?

Kelsey wskazał przed siebie. Szła wzdłuż rzędu roślin, starając się nie zranić smutnych plonów u jej stóp. Kilka straciło nadzieję i leżało bezużytecznie na ziemi, z łodygami zbyt słabymi, by się podnieść.

Proszę, niech tu będzie zakłęcie, pomyślała, przygryzając wargi. Nie mogę tego naprawić, jeśli nie ma zakłęcia. A wtedy ci ludzie nie zbiorą z własnych pól nawet kapusty.

Przeszła przez cały rząd, nie znajdując ani jednego błysku, dźwięku czy zapachu zakłęcia. Pan Kelsey stał w jednej trzeciej drogi na pole i obserwował ją. Elsie pominęła kilka rzędów, więc cofnęła się ostrożnie, szukając. Wąchała, słuchała. Utrzymywała zmysły otwarte, żeby wyczuć wszystko wokół. Znowu nic. Być może dzierżawcy będą musieli przenieść uprawy gdzie indziej. Nie było jeszcze za późno na ponowny wysiew, ale przygotowanie kolejnego kawałka ziemi tej wielkości byłoby trudnym zadaniem. Minęła jeszcze kilka rzędów roślin i ponownie przypatrzyła się polu. Była w jednej czwartej drogi, kiedy wydawało jej się, że coś słyszy – dźwięk przypominający śpiew świerszcza, uderzający w powietrze, zanim zupełnie zniknął. Cofnęła się. Nic tu nie było. Przykucnęła.

Tam!

Delikatnie rozsunęła dwie rośliny. Tym razem usłyszała to wyraźniej, subtelne ćwierkanie, ale zupełnie niepodobne do głosu ukrywającego się w trawie owada. Zatem zakłęcie duchowe. Zdjęła rękawiczki i schowała je za kołnierz, porzucając nadzieję na posiadanie wypielęgnowanych paznokci, i zaczęła grzebać w ziemi, zaś ćwierkanie stawało się coraz mocniejsze, aż znalazła je prawie stopę pod powierzchnią. Malutkie, ale silne, jego piosenka brzęczała jej w uszach, dźwięk był teraz na tyle wyraźny, że oczyma wyobraźni zobaczyła węży. Pan Kelsey zbliżał się od zachodu.

– Znalazłaś coś?

– Słyszysz to? – potrząsnął głową. Dotknęła zakłęcia. – Tam. To duchowe zakłęcie, ale go nie rozpoznaję. Czy księżę lub ktokolwiek z tutejszych ludzi używa zakłęcia na polach, żeby pomóc roślinom rosnąć?

– Często tak. Nie znalazłaś ich?

Elsie potrząsnęła głową, zastanawiając się, czy ostatnio był tu obecny łamacz zakłęcia, czy może aspektor zatrudniony do stworzenia zakłęcia zwiększającego plony nigdy nie dotarł na swoje stanowisko.

– To może być klątwa, którą pan podejrzewał, panie Kelsey.

Zastanawiała się, czy Kaptury o tym wiedzą, ale wątpiła. Było bardzo dobrze ukryte.

Kelsey zaklął. A przynajmniej tak sądziła. Powiedział coś pod nosem i było to trudne do rozszyfrowania, ale brzmiało ostro jak przekleństwo. Nie czekając na jego polecenie, Elsie szturchnęła zaklęcie, szukając jego końców. Znalezienie pierwszego zajęło jej całą minutę. Wyraz koncentracji na jej twarzy musiał być oczywisty, ponieważ Kelsey nie przeszkadzał jej, dopóki nie skończyła. Wstała i otrzepała spódnicę, po czym zamrugła, gdy krew napłynęła jej z powrotem do głowy. Mężczyzna ujął ją za łokieć.

– Nic mi nie jest – powiedziała, ale nie odsunęła się, dopóki nie była pewna, że nie upadnie, niszcząc sobie sukienkę. Miał silny, ale delikatny uścisk, w przeciwieństwie do tego, w którym trzymał ją tydzień temu. To nie tak, że jej się nie podobało, jak ją dotykał. – Ciekawe, czy jest ich więcej.

– Popatrzmy – powiedział. Elsie spodobało się, że włączył się w pracę, chociaż jego nieumiejętność dostrzegania zaklęć czyniła go całkiem bezużytecznym. Przyjrzała się jego twarzy.

– Wiesz, kto to zrobił?

– Mam podejrzenia graniczące z pewnością.

Uwielbiała plotkować.

– Kto?

Zacisnął szczęki i rozluźnił je po chwili. Potarł czoło.

– Księżę East Sussex. Jego żona jest mistrzynią zaklęć duchowych i zazdrosną krową.

– No proszę – Elsie wyjęła rękawiczki zza kołnierza. – Jaki masz cięty język.

– Nazywałabyś ją gorzej, jestem tego pewien. Jej zaklęcia są jak ciężkie perfumy. Pryska nimi swobodnie wszędzie tam, gdzie pozwala na to prawo, a jak nikt nie patrzy, to jeszcze dalej.

Zmarszczyła brwi.

– Jaki ma interes w tym, żeby ta farma upadła?

Pan Kelsey potrząsnął głową.

– Jest zawistna. Bardzo zazdrości księżnej Abigail. Być może jest zła z powodu zainteresowania Mistrzyni Merton panną Idą. Plotka głosi, że wyczerpała swój magiczny potencjał i to sprawiło, iż stała się zgorzkniała. Wypalona.

Elsie pomyślała o zmaganiach Ogdena, by nauczyć się nowego fizycznego zaklęcia. Był dopiero początkującym aspektem, a już był wypalony. Rozumiała, że omawianie czyjegoś magicznego potencjału było tematem tabu w dobrym towarzystwie.

– O ile mi wiadomo – kontynuował Kelsey – Ateneum Duchowe o niej zapomniało. Szczerze mówiąc, nie przychodzi mi na myśl nikt inny, kto miałby powód, żeby zrobić coś takiego.

– Musiałaby mieć silną motywację, żeby przyjść tutaj i pakować się w to błoto.

– Już to robiła, w ten czy inny sposób – potarł kilkudniowy zarost. Chociaż wyszedł już z mody, Elsie pomyślała, że całkiem do niego pasował. Jakie były w dotyku te baczki? – Jestem pewien, że mam coś w swoim repertuarze, aby się jej odwdziaczyć.

Dlaczego, u licha, myślisz o jego zaroście?

Skupiła się na prowadzonej rozmowie.

– Nie uważałam cię za człowieka małostkowego.

Skrzywił się.

– Jeśli ci ludzie rozumieją tylko brudne polityczne zagrywki, to będę mówił ich językiem.

– Przynajmniej całkiem dobrze ich naśladujesz – zrobiła krok nad kilkoma roślinami, żeby stanąć stabilniej. – Obawiam się, że jakakolwiek podobna zemsta zaszkodzi tylko dzierzawcom tej pani, a jestem pewna, że oni trzymają się z dala od politycznych zagrywek.

Spojrzał na nią, grymas zniknął. Uniosła brwi pytająco.

– Masz rację, oczywiście – westchnął.

Z rękami na biodrach Elsie rozejrzała się po polu. Była prawie pośrodku. Wyobrażała sobie, że gdyby było więcej zaklęć, znajdowałyby się na obu końcach. Sprawdziła niebo. Gdyby odeszła stąd w ciągu najbliższej pół godziny, mogłaby powrócić do domu bez konieczności wyjaśniania swojej nieobecności. A jednak odkryła, że nie lubi tego duchowego aspektora, który zamienił zazdrość w broń przeciwko niewinnym. Nie potrzebowała dyrektywy od Kapturów, by sprawiedliwości stało się zadość.

– Przypuszczam, że księżę East Sussex jest w Londynie z resztą parlamentu, skoro z jego posiadłości nie jest tak łatwo dojechać do miasta?

Skrzyżował ramiona.

– Tak mi się wydaje.

– Wtedy księżna też by tam była.

Zmrużył oczy.

– Do czego zmierzasz?

– Zakładam, że twoja wzmianka o rzucaniu przez nią zaklęć oznaczałaby zaklęcia próżności? Może fizyczne i czasowe? To raczej proste zaklęcia. Dość łatwe do rozplątania. Wystarczy, że na nią wpadnę, a ona może nawet nie

zauważyć, co zrobiłam – uśmiechnęła się. – To może być wystarczająco czytelna wiadomość.

Elsie poczuła zew przygody. I bardzo chciała być dzisiaj zajęta, choćby po to, by zatrzymać myśli tam, gdzie chciała, i nie pozwolić im podryfować do Alfreda albo rodziców. *Nie da się mnie kochać*. Potarła dłonie, czyszcząc je najlepiej, jak potrafiła, zanim włożyła rękawiczki.

– Zrobię to nawet za darmo.

Będzie musiała znaleźć wymówkę dla swojej nieobecności, jeśli Ogden ją zauważy. Naprawdę powinna być bardziej ostrożna. Chociaż wątpiła, by Ogden ją wyrzucił, chciała, żeby był zadowolony, że ją ma. Usta pana Kelseya zadrżały.

– Brzmimy jak dzieci, prawda?

– Czy nigdy nie zauważyłeś, że dzieci są o wiele szczęśliwsze niż dorośli? Może wiesz, gdzie przebywa nasza niegrzeczna księżna East Sussex?

Rozważał to przez chwilę.

– Sprawdźmy resztę pola. A potem pojedzie pani w książęcej karecie, panno Camden.

– A ty pojedziesz konno, poza kareta – posłała mu swój najbardziej fałszywy uśmiech. – W imię przyzwoitości.

Przyjął ofertę skinieniem głowy, choć, co dość dziwne, Elsie żałowała, że nie walczył z nią o to.

* * *

Elsie stała w wąskim słonecznym zaułku, czując się, jakby znowu miała osiem lat. Być może zachowywała się głupio i niedojrzale, a nawet lekkomyślnie, ale nie mogła zaprzeczyć, że była podekscytowana. Jej praca z Kapturem była zawsze precyzyjna, potajemna i bezosobowa. Mogła zostać złapana. Chociaż gdyby ryzyko związane z zadaniem było zbyt duże, nie podjęłaby się go. Drobną zemstą z pewnością nie była warta stryczka, niezależnie od tego, jak bardzo ta kobieta zasługiwała na to, co ją spotka. Ale jeśli zaklęcia były wystarczająco proste, mogła działać szybko, niezauważalnie. Robiła to już wcześniej. Szczerze mówiąc, była to łagodna kara dla kobiety, która próbowała zagłodzić całą wioskę.

– Tam – Bachus wyjrzał na główną ulicę obok niej. Słowo zabrzmiało wyjątkowo w jego ustach i Elsie zdała sobie sprawę, że wypowiedział je z barbadoskim akcentem. Starła się nie uśmiechnąć, kiedy subtelnie wskazywał drogę. Stali blisko, na wpół zasłonięci przez mały sklep z używanymi książkami. Ze sklepu ze wstążkami, który wskazał Bachus, wyszła wysoka, ale pulchna kobieta, ubrana w szkarłat, zbyt jaskrawy, by był gustowny. Czy to był aksamit?

Boże, sam żakiet kosztowałby fortunę. Czarne kręcone włosy miała upięte pod pasującym do reszty stroju kapeluszem. Jej rysy były całkiem ładne, duże oczy i mały nos, usta czerwone nawet bez pomocy szminki. Wyglądała zbyt młodo jak na kobietę po pięćdziesiątce, bo na tyle Bachus ją oceniał.

Elsie wyznaczyła sobie cel: księżna Matylda Morris, zhańbiona aspektorka duchowa, niszczycielka plonów, twarzowa oszustka. Kaptury z pewnością by jej nie polubiły.

Lady Morris szła obok znacznie niższej, pulchniejszej kobiety z siwymi lokami sterczącymi spod czepka. Po tonie ich głosów można było się domyślić, że rozmawiają o czymś absolutnie nadzwyczajnym. Plotki szlacheckie. Jak rozkosznie. Chociaż, skoro księżna miała towarzyszkę, plan mógłby się nie powieść. Elsie wyszła na ulicę, rozglądając się za powozami, zanim pospieszyła dalej. Wydawało jej się, że usłyszała, jak Bachus rzucił coś o ostrożności. Ale nie było potrzeby biec. Obie kobiety weszły po schodach prosto do zakładu modystki. Zwalniając kroku, Elsie podążyła za nimi, łapiąc drzwi tuż przed ich zamknięciem. Udawała głębokie zainteresowanie wystawą tuż przy wejściu.

– Nadal uważam, że to z powodu wyjazdu. Ale zaczynam się martwić. To nie była długa podróż – lady Morris zerknęła na kilka czepków, wykrzywiając usta z pogardą.

– Alma jest aspektozem, nic jej nie będzie – kobieta o rumianych policzkach podniosła szpulę wstążki i położyła ją na dłoni, oglądając, jak kolor wygląda na jej skórze. W jej głosie było coś znajomego. Odważyła się przyjrzeć bliżej. To była Mistrzynie Lily Merton, którą poznała na kolacji w Siedmiu Dębach. Elsie odwróciła się szybko, żeby jej nie rozpoznała. Ale czy to było najlepsze wyjście? A może mogłaby zbliżyć się do lady Morris, gdyby najpierw nawiązała rozmowę z Mistrzynie Merton? Czy ona wie wystarczająco dużo o łamaniu zaklęć, by zauważyć, co robi Elsie?

Ogarnęły ją wątpliwości. Ale jeśli to, co robi, poprawi nastrój Bachusa Kelseya, może pozwoli jej odejść wcześniej. Koniec z kłamstwami i skradaniem się bez wynagrodzenia. Już nie będzie trzymał jej w garści. Elsie nie podobało się ciągle bycie czyimś dłużnikiem.

Poza tym byłoby miło ujrzeć go w lepszym humorze.

– A co ona robi, jeśli napadnie ją jakiś rozbójnik? Pobłogosławi go? To ja namówiłam ją na wakacje. Co za okropny początek – lady Morris załamała ręce. – Powinna już tu być. Telegram jej siostry był niemal maniakałny. Och, to miejsce nie jest lepsze od poprzedniego.

Elsie patrzyła kątem oka. *Czy dziedzić też zna tę Almę?*, zastanawiała się.

Właściciel sklepu stał tuż obok, marszcząc brwi na zniewagę kobiety. Lady Morris machnęła lekceważąco ręką i ruszyła w stronę drzwi.

– Poślę po nią Marie. To jest strata czasu – Mistrzynie Merton zwróciła wstążkę i skinęła głową w podziękowaniu niezadowolonemu kapelusznikowi, ale jej wzrok przykuł inny drobiazg. Odeszła, zostawiając lady Morris czekającą przy drzwiach. Mistrzynie Merton i sklepikarz byli rozkojarzeni, co oznaczało brak świadków.

Elsie uspokoiła się, biorąc głęboki oddech. Musiała tylko trafić w odpowiedni moment. Poczekala, aż lady Morris się zniecierpliwi i ruszy do wyjścia, po czym gwałtownie się odwróciła.

– Och! – wykrzyknęła, wpadając prosto na nią. Obie straciły równowagę, uderzając w stół z towarami, który ledwo uchronił je przed upadkiem na podłogę. Kilka małych run temporalnych pachniało tak silnie, że Elsie się zakrztusiła, a fizyczna runa, której nie знаła, zamigotała w jej stronę, już postrzępiona na brzegach. Doskonale. Zostały wykonane byle jak i same wkrótce by się rozwiązały, więc nikt nie mógł oskarżyć Elsie o ich zniknięcie. Udając próbę wstania, przesunęła dłonią po twarzy kobiety, łapiąc kciukiem fizyczną runę. Rozpadła się tak łatwo, że nawet inny łamacz zaklęć mógłby tego nie zauważyć.

– Złaż ze mnie, niezdaro! – lady Morris warknęła sfrustrowana. Odepchnęła Elsie w chwili, gdy ta rozerwała nitki drugiej runy. Tylko dwie – nie miała czasu na więcej, a na samej twarzy księżnej musiało ich być co najmniej pół tuzina.

– Ojej! – sprzedawca chwycił Elsie i podniósł ją do pionu.

– Panna Camden? – zapytała Mistrzynie Merton z szeroko otwartymi oczami. Widząc, że Elsie nic się nie stało, właściciel sklepu szybko ofiarował pomoc ważniejszej kobiecie.

– Droga pani, czy wszystko w porządku?

Uwaga Mistrzynie Merton skupiła się na księżnej.

– O, Matyldo! Co za kłopot! – wzięła lady Morris pod ramię i pomogła się jej wyprostować. – Co za pech.

Elsie spuściła głowę.

– Przepraszam! Nie pomyślałam.

– Najwyraźniej – lady Morris wyprostowała się i poprawiła spódnice. Jej brwi ściągnęły się, ale nie pozostawiły żadnych zmarszczek ani linii na jej czole – musiało je ukryć zaklęcie. Ale jej nos, jej prawdziwy nos, sterczał jej z twarzy jak ostrze tasaka, spiczasty i pewny siebie. W kąciку ust pojawiły się drobne zmarszczki – ale tylko w jednym kąciку. Drugi był gładki jak pupa niemowlaka. Elsie przygryzła wewnętrzną stronę policzka i dygnęła. Kapelusznik gapił się na nią. Mistrzynie Merton, która najwyraźniej jeszcze nie zauważyła zmiany na twarzy lady Morris, zwróciła się do Elsie.

– Czy wszystko w porządku, moja droga?

Lady Morris prychnęła i chwyciła Mistrzynię Merton za nadgarstek.

– Doprawdy, Lily – i zaciągnęła ją do drzwi.

Elsie została z tyłu i pozbierała przedmioty, które zrzuciła ze stołu, składając kolejne przeprosiny właścicielowi, tym razem szczerze. Kiedy uznała, że jest bezpiecznie, ona również wyszła na ulicę.

Bachus podszedł do niej, obserwując plecy dwóch odchodzących kobiet.

– Jest pani naturalnie utalentowana, panno Camden.

Jego wcześniejszy smutek się rozplynął. Wycieczka zakończyła się zatem sukcesem z dwóch powodów.

– Ależ oczywiście – poprawiła szpilkę swojego kapelusza. – Jeśli zechciałby pan mnie odwiedzić do domu, panie Kelsey...Mam coraz większą listę obowiązków, które wymagają mojej uwagi.

Prawie się uśmiechnął.

ROZDZIAŁ 12

W domu, zostawiwszy kapelusz i torebkę w pokoju, Elsie przewiązała fartuch w talii. Skończyła ustawiać serwis do herbaty w kuchni, po czym zaniósła go na górę. Przekładając tacę do jednej ręki, lekko zapukała i czekała, aż Ogden zaprosi ją do salonu. Wylegiwał się na kanapie z ramieniem przerzuconym przez oparcie. Wyglądał nieźle, chociaż widać było po nim ślady zmęczenia. Naprzeciw niego siedział Abel Nash, ubrany w to samo ubranie, które miał na sobie, kiedy Elsie widziała go po raz ostatni. Zerknął na nią pobieżnie i uśmiechnął się, po czym odwrócił się z powrotem do Ogdena. Elsie ostrożnie postawiła tacę na stoliku najbliższym Ogdenowi. Zaczął napełniać swoją filiżankę. Wtedy to zobaczyła i zamarła. Tam, pod nieotwartym listem na skraju kanapy, leżała następna część powieści. Kontynuacja *Klątwy rubinu*. Pisnęła i stuknęła imbrykiem o filiżankę, rozlewając kilka kropel. Obaj mężczyźni spojrzeli na nią.

Odchrząknęła.

– Jak zwykle?

Ogden uniósł brew.

– Od kiedy o to pytasz?

Elsie pospiesznie wsypała do filiżanki pół łyżeczki cukru, a potem wlała zdecydowanie za dużo śmietanki. Ogden był jednak w świetnej formie, więc nie wyglądało na to, żeby mu to zaszkodziło. Odstawiła przygotowaną filiżankę i chwyciła pustą, zerkając na powieść. Mogła odczytać większość słów na okładce:

Odkryj prawdę... w czasach, gdy ciemność... i musi dokonać wyboru.

O Boże!

– Elsie.

Szybko napełniła drugą filiżankę.

– Przepraszam. Herbata jest gotowa. Chyba że już nie lubi jej pan bez niczego, panie Nash?

Potrząsnął głową, jego zbyt długie blond włosy dotknęły rzęs.

– Nigdy nie mógłbym nie lubić czegoś, co pani zrobiła, panno Camden. Bardzo dziękuję.

Nic dziwnego, że wprawiał Emmeline w zakłopotanie, skoro był tak czarujący.

Najpierw podała herbatę Ogdenowi, potem Nashowi.

– Och, zabierz to, Elsie – Ogden starał się brzmieć na zirytowanego, ale kiepsko mu to wyszło. – List także jest do ciebie.

– Tak? To znaczy, o! Poczta. Ależ dziękuję, panie Ogden.

Chwyliła odcinek powieści i leżący na nim list obiema rękami. Pod spodem zauważyła złożoną gazetę, a jej uwagę przykuło słowo „kłusownik”. *Ciąg dalszy ze strony drugiej: „...Nalega, aby zbiegli kłusownicy zostali złapani i postawieni przed wymiarem sprawiedliwości. »Tu nie chodzi tylko o bazanta«, powiedział Bamber. »Chodzi o zwykłą przyzwoitość i szacunek«”.*

Usta Elsie rozchyliły się. Zbiegli kłusownicy! To musieli być ci z powozu! Odniosła sukces, a teraz chłopcy będą wolni...

– Elsie? – odezwał się Ogden pytająco.

– Czy to wszystko? – zapytała, podnosząc głowę.

Ogden odprawił ją bezwładnym ruchem ręki, a Elsie chętnie zostawiła mężczyzn ich sprawom.

Okno w jej pokoju było zamknięte, przez co w pomieszczeniu było zauważalnie duszno, ale nie zadała sobie trudu, aby je otworzyć. Miała tendencję do głośnego reagowania na czytane historie, a przechodnie na ulicy nie musieli tego słuchać.

Położyła się szybko na łóżku na brzuchu, gorset wpił się w jej biodro, gdy układała się w wygodniejszej pozycji.

Zobaczymy, czy baron się domyśli...

Och, list.

Przerwała, zwracając uwagę na szorstki papier, zapieczętowany kropką bezbarwnego wosku ze świecy, przyciśniętą kciukiem. Czasopismo wyslizgnęło się jej z dłoni, gdy chwyciła kopertę. Odwróciła ją. Przeczytała swoje imię, napisane równym pismem. Znała ten charakter – należał do naczelnika poczty, który obsługiwał Juniper Down. Miejsce, gdzie ostatnio widziała swoją rodzinę. Ten list był od Agathy Hall. Podnosząc się, Elsie złamała wosk i otworzyła krótki list. Jej nadzieja natychmiast prysła – to będzie kolejna wiadomość z informacją, że nie przejeżdżali przez Camden i nikt o nich nie słyszał. Ale w tych słowach nie było znajomej mantry.

Elsie,

wiem, że masz nadzieję. Wiem, że czujesz się zobowiązana. Ale Camdenowie nie wrócą. Czas się poddać, dziewczyno. Nic się nie zmieni, a kosztujesz nas

opłaty pocztowe, na które nas nie stać. Cieszyłem się wtedy, że mogłem ci pomóc. Teraz nadszedł czas, aby zostawić sprawy takimi, jakie są, i żyć dalej.

*Z poważaniem,
Henry Hall*

Mąż Agathy.

Elsie wpatrywała się w list, nie do końca rozumiejąc jego znaczenie. Przeczytała go ponownie, powoli. *Nic się nie zmieni.* Te słowa wyraźnie wyróżniały się na tle taniego papieru. *Nic się nie zmieni. Nic się nie zmieni.*

Camdenowie nie wrócą.

Chcieli, żeby przestała pisać. Przestała pytać. Przestała marnować ich szylingi. Zmiała list w dłoni. Podeszła do niezapalonego kominka i wrzuciła papier do środka. I co z tego? Czy naprawdę spodziewała się czegoś innego po tylu latach? Miała przyjaciół tutaj, w warsztacie kamieniarskim, i miała Kaptury. Ich praca miała znaczenie. Rola, którą odgrywała, coś zmieniała. To wystarczyło, prawda? Elsie złapała się na tym, że od dłuższej chwili wygląda przez okno. Próbowwała dojść do siebie, ale jej myśli nie były... tam gdzie powinny. Była czystą kartą. Ale to było w porządku. To lepsze niż płynący atrament, którym była poprzedniej nocy. Musiała się czymś zająć, to wszystko. To nie tak, że brakowało jej zajęć! Musiała nadrobić zaległości w pracy. Zeszła więc na dół do pracowni, zostawiając zapomniany odcinek powieści na łóżku.

* * *

Od Siedmiu Dębów w hrabstwie Kent dzieliła ją tylko godzina drogi, ale tego ranka Elsie wydawało się, że jedzie prosto do Liverpoolu. Wyszła bladym świtem, zaraz po tym, jak Ogden wyruszył do domu dziedzica. W jego głosie słychać było nadzieję, że wkrótce ukończy zadanie, co oznaczało, że Elsie musiała znaleźć sposób na posprzątanie bałaganu, który pojawił się w jej kalendarzu.

Wybrała się w podróż wcześniej, ponieważ potrzebowała błyskotki, którą mogłaby jutro podarować Emmeline na jej osiemnaste urodziny. To był jedyny raz, kiedy musiała znaleźć coś takiego. Na szczęście Emmeline łatwo było zadowolić. Na nieszczęście, większość funduszy Elsie trwonila na przejazdy dorożkami.

Woźnica wysadził ją na ulicy, przy której mieściły się sklepy, a ona zapłaciła i podziękowała mu w milczeniu machnięciem ręki. Idąc, pocierała dolną część pleców. Miasto dopiero budziło się do życia, jeszcze nie było tłoczno, nie było głosów zachwalających towary, ale wokół kręcili się ludzie, rozkładali swoje

dobra i zajmowali miejsca. Kilku mężczyzn skinęło jej głowami, kiedy przechodziła, a ona dwukrotnie odwzajemniła ten gest, po czym przypięła kapelusz nieco niżej. Przy jej szczęściu Kaptury wysła ją na kolejną misję do Kentu i ktoś na ulicy ją rozpozna. W bocznej uliczce znalazła mały romski wózek. Kupiła od nich spinkę wysadzaną polerowanym kwarcem. Emmeline mogłaby ją założyć do kościoła. Normalnie Elsie byłaby zadowolona z takiego znaleziska, ale dzisiaj nie mogła zmusić się do odczuwania dumy. Wkładając spilkę do torby, ruszyła w stronę Siedmiu Dębów.

– Panna Camden?

Odwróciła się na dźwięk znajomego głosu w chwili, gdy obok niej pojawił się Bachus Kelsey. Jego ciemniejsza karnacja i niebieski surdut sprawiały, że idealnie wtapiał się w oświetloną bladym świtem ulicę, jakby namalował go tam artysta. Artysta o bardzo dobrej ręce. Jego oczy były niesamowicie zielone, jak niekończące się falujące wzgórza tuż przed zapadnięciem zmierzchu. Szczypiąc się, by odzyskać głos, skinęła mu głową.

– Dzień dobry, panie Kelsey.

Jest miły tylko dlatego, że mu pomagasz. Tylko dlatego, że zmusza cię do pomocy. Ha!

– Jesteś wcześniej – stanął obok niej. W dłoniach trzymał dwie staroświeckie księgi, ale Elsie nie próbowała czytać tytułów. Nie dzisiaj. Skoro zajęła się już prezentem dla Emmeline, jej myśli skierowały się gdzie indziej, osiadły na jakiejś zapomnianej sztaludze, czekając, aż artysta sobie o niej przypomni.

– Nie sądzę, żebyśmy byli umówieni na konkretną godzinę – zaprotestowała, patrząc, jak bruk znika pod jej stopami.

Pomyślał chwilę.

– Wydaje mi się, że byliśmy.

Kiwnęła głową. Droga do księżęcej posiadłości nie była długa, chociaż nie miałyby nic przeciwko dłuższemu spacerowi. Byłby dobry dla ciała i umysłu. Zwłaszcza spacer po burzy, ale ani wczoraj, ani ostatniej nocy nie padało.

– Dobrze się czujesz?

Spojrzała na niego i magazynek jej myśli obrócił się na chwilę przed strzałem.

– Wydaje mi się, że rozmawialiśmy tylko przez kilka sekund, panie Kelsey. Wątpię, czy miałeś wystarczająco dużo czasu, aby ocenić mój stan zdrowia. Ale tak, czuję się dobrze.

– Hmm – to był dźwięk niedowierzania.

Ulica handlowa skręcała pod koniec, prawie jak rzeka, i razem skręcili z jej nurtem. Innego dnia Elsie mogłaby się martwić, że ktoś przyjrzy im się i będzie za nią podążał, za młodą kobietą przechadzającą się z mężczyzną, ale nikt nie

zwracał na nią uwagi, poza okazjonalnym skinieniem głowy. Nawet nie zauważyli pana Kelseya albo może już się do niego przyzwyczaili. Kiedy opuścili ulicę i dotarli do drogi prowadzącej do posiadłości, Kelsey zapytał:

– Czy masz kłopoty ze swoim pracodawcą?

Z którym? , prawie zapytała, ale zamiast tego powiedziała:

– Nie.

– Dobrze cię traktuje?

Zamrugła kilka razy, czując potrzebę przebudzenia.

– Pan Ogden traktuje mnie bardzo dobrze. Jak córkę.

Córka. Słowo siedziało jej w piersi jak ołowiana kula.

– Wydaje mi się, że mnie okłamujesz.

Spojrzała na niego.

– Pan Ogden...

Uniósł wolną rękę.

– O twoim stanie umysłowym, a nie o pracodawcy.

Elsie uniosła podbródek.

– Nigdy pan mnie nie pytał o mój stan umysłu, panie Kelsey. Kwestię dobrego samopoczucia postrzega się ogólnie w odniesieniu do ciała.

– Teraz brzmiś bardziej jak ty.

Skrzyżowała ramiona.

– Doprawdy?

– Tak. Jesteś skomplikowana.

Powiedział to z odrobiną humoru. Jej ramiona opadły na boki tak szybko, jak je podniosła.

– Przepraszam. Nie chcę być.

– A teraz przepraszasz, co naprawdę mnie niepokoi.

Westchnęła. Przez drzewa widziała już wierzchołek księżęcej posiadłości. Ołowiana kula w jej klatce piersiowej doprowadzała ją do szału.

– Skoro już uważasz mnie za przestępcę – spróbowała, ponownie skupiając się na drodze – myślę, że mogę ci powiedzieć.

Chciałaby komuś powiedzieć o liście pana Halla, o śmierci jej głupich nadziei, ale już wystarczająco zmartwiła Emmeline i Ogdena swoim dramatem z Alfredem. Kelsey milczał. Słuchał. Wyprostowała plecy, jakby to dodało jej godności. Zaczęła już żałować swojej propozycji powiedzenia mu, ale dobrze by jej zrobiło, gdyby to z siebie wyrzuciła. A kim był dla niej Bachus Kelsey? Znał już jej największy sekret.

– Przyjechałam do pracy u pana Ogdena... – pominęła swój czas z dziedzicem – ...z przytułku.

Kelsey zawahał się.

– To... Nie jest... Chyba że wprowadzono zmiany w systemie dotyczącym pomocy potrzebującym.

Elsie wzruszyła ramionami.

– Byłam w przytułku, ponieważ straciłam rodzinę. Albo mnie zgubili. Przypuszczam, że celowo

Zacisnęła usta. Nigdy nikomu o tym nie mówiła, nie ze szczegółami. Ogden znał niektóre detale, ale powiedziała mu tylko dlatego, że musiała udowodnić, że ma tyle samo doświadczenia, co wielu jego starszych kandydatów. Mówienie o tym teraz było równie dziwne co recytowanie poezji po niemiecku.

– To znaczy, spędziliśmy jedną noc u pewnej rodziny w małym miasteczku na zachód stąd i rano byłam tylko ja. Dlatego od czasu do czasu piszę do tej rodziny, aby dowiedzieć się, czy nie otrzymali wiadomości o moich rodzicach lub rodzeństwie. A wczoraj odpisali mi, żebym przestała marnować ich pieniądze na listy.

Kiedy Kelsey nie odpowiadał, oderwała wzrok od bruku i spojrzała na niego. Jego wzrok był nieobecny, jakby się zastanawiał.

– Przypuszczam, że właśnie dlatego jestem włóczęgą – spróbowała, ale już nie miała nastroju. – I byłabym wdzięczna, gdybyś zachował to dla siebie. Wiesz, że mam dobrą opinię w Brookley.

Kelsey potrząsnął głową.

– Nie, ja... To znaczy, wyrazy współczucia. Ja nie... nie jestem pewien, co powiedzieć.

Wzruszyła ramionami.

– Doceniam tę próbę.

– Jeśli to jakieś pocieszenie, sam jestem bękartem – kiedy gapiła się na niego w odpowiedzi na to wyznanie, zbył je machnięciem ręki. – Mój ojciec nie traktował mnie z tego powodu inaczej, ale nigdy nie ożenił się z moją matką. Pochodziła z klasy pracującej Algarve i moi dziadkowie jej nie akceptowali. Ale twoja historia nie jest jedną z tych, które słyszałem wcześniej. A słyszałem wiele.

Przyglądała mu się przez chwilę, ale jego słowa były szczerze.

– Czy Barbados jest ekscytujący?

– Przypuszczam, że to zależy od twojej definicji ekscytacji – to nie był żart. – Ale je składam. Znaczący, moje wyrazy współczucia. Przykro mi, że ta rodzina nie jest bardziej wyrozumiała.

Wzruszyła ramionami.

– Mają mało pieniędzy, a minęło już piętnaście lat! Trudno ich winić.

Uważała, że nieźle wyszło jej nadanie lekkości swojemu głosowi.

Dotarli do kamiennego muru posiadłości księcia, tego, który wciąż sprawiał, że Elsie swędziały nadgarstki, kiedy na niego patrzyła.

Kelsey zatrzymał się nagle.

– Panno Camden – zaczął bardzo poważnie i nagle stał się dziwnie wysoki. – Zdecydowałem, że twój dług został spłacony. Dwukrotnie, biorąc pod uwagę wszystko, co się wydarzyło. Nie musisz się już tu pojawiać, żeby zapewnić moje milczenie. Twój sekret został zapomniany.

Elsie wpatrywała się w niego przez chwilę. Tak po prostu?

– Cóż, jeśli wystarczy trochę litości, powinnam była opowiedzieć ci historię mojego życia znacznie wcześniej!

Podniósł rękę.

– To nie jest litość.

Przerwała, patrząc na niego. Coś głupiego i pełnego nadziei zatrzepotało w jej piersi.

– Podjąłem tę decyzję, zanim zobaczyłem cię dziś rano – powiedział. – Poza tym nie potrzebuję więcej twoich usług.

Wzdrygnęła się na te słowa, po czym przygryzła wewnętrzną stronę policzka i zmusiła się do rozluźnienia wyrazu twarzy. *Nie potrzebuje mnie*. Starła się tego nie rozpamiętywać. Ledwo знаła tego mężczyznę, a jednak w jej piersi pojawiło się coś ciężkiego w odpowiedzi na jego wyznanie. Frustracja – dzięki Bogu, potrafiła radzić sobie z frustracją – parowała pod skórą. Nie frustracja z powodu pana Kelseya, ale z własnego powodu, że poczuła się zraniona jego decyzją! Powinna być zadowolona. Była zadowolona. Koniec z wymykaniem się do Kentu, koniec pracy do późnych godzin nocnych, koniec z szylingami wydawanymi na dorożki. Ale tak naprawdę wcale się nie cieszyła. Pod jej żebrami nie kryło się rozczarowanie, tylko zaskoczenie. Zaskoczenie i ulga. Z całą pewnością.

– W porządku – przerwała, by dać mu szansę na wycofanie się. Nie żeby tego chciała. Wreszcie wolność! – Nie przypuszczam, że zwrócisz mi koszty podróży tutaj dziś rano.

Spodziewała się, że odmówi, ale ku jej zaskoczeniu sięgnął do portfela i wręczył jej kilka szylingów. Więcej, niż potrzebowała, żeby wrócić do Brookley.

Elsie czuła się niezręcznie, przyjmując pieniądze, ale bardziej krępująca byłaby nagła zmiana zdania, więc schowała monety do torebki. Brakowało jej słów po ich nieoczekiwanym rozstaniu. Nie mogła mu podziękować – szantażował ją, na litość boską! Ale dotrzymał słowa. A ona by mu za to nie podziękowała. Tego oczekiwano od dżentelmena.

– Chyba wrócę do domu – zamknęła portmonetkę, którą nadal trzymała w dłoniach. – Dobrego dnia, panie Kelsey.

Pokiwał głową. Ruszyła w dół drogi, odsuwając na bok płataninę uczuć. Ale przyszła jej do głowy nowa myśl, zatrzymała się i odwróciła.

– Gdybym mogła zadać ci osobiste pytanie... – to oświadczenie go zaskoczyło. Wyglądał mniej surowo, gdy został zaskoczony. Zmiękczenie jego rysów sprawiło, że stał się jeszcze przystojniejszy. Nie żeby uważała go za przystojnego. Ledwie. – Skoro jesteśmy ze sobą tak szczerzy... – zaczęła, zanim zdążył odpowiedzieć. Jego oczy zwężyły się.

– Niech będzie.

Przez chwilę zastanawiała się, jak powiedzieć to taktownie... Z pewnością było to zbyt osobiste, by zapytać go tak po prostu. Ale ciekawość ciążyła jej i nie było okrzężnej drogi, by to zrobić. Jeśli chciała wiedzieć, musiała być szczerą.

– Czy nosisz na sobie jakieś zaklęcia? – wypaliła. To naprawdę go zaskoczyło. Jego twarz otworzyła się, jakby właśnie powiedziała mu o pochodzeniu wszechświata. Rozłożyła ręce w geście przeprosin. – Mam talent do ich wyczuwania.

Poruszył się sztywno, niezdarnie, zanim zdecydował się zająć wolną rękę gładzeniem brody.

– Oczywiście, że tak – czekała. Jeśli jej nie powie, niepewność doprowadzi ją do szaleństwa. Odwracając się, Kelsey oparł się o kamienną ścianę. – Myślę, że nie zaszkodzi ci powiedzieć. Ufam, że zachowasz moje sekrety, choćby dlatego, że ja znam twoje.

– Tak. Proszę, przypomnij mi o tym jeszcze raz.

Studiował jej twarz. Elsie położyła dłoń na karku – raczej nieskuteczna próba ostudzenia rumieńców. Po chwili odepchnął się od ściany, poprawił kamizelkę i podszedł trochę bliżej.

– Kiedy byłem chłopakiem, zacząłem wykazywać objawy polio – czegokolwiek Elsie się spodziewała, to nie było to. Jej usta rozchyliły się, ale nie odważyła się odezwać. Kelsey odwrócił wzrok. – Mój ojciec przywiózł mnie tutaj, ponieważ na wyspie nie ma mistrzów czasowych aspektów. Zaklęcie, które wyczułaś, spowalnia rozwój choroby – wyglądał na zakłopotanego, ale jego głos pozostał spokojny. – Oczywiście nie będzie to trwało wiecznie. Zaklęcia nie mogą zatrzymać czasu, jedynie spowalniają jego działanie. Prawdę mówiąc, przyszedłem tu nie tylko po to, by sprawdzić, czy jestem mistrzem, ale po to, by zdobyć zaklęcie, które pomoże mi, gdy choroba się rozwinie.

– Rozumiem – jej wzrok padł na jego tors. *Jak byłem chłopakiem...* Jak długo trzymało się to zaklęcie? Dziesięć lat? Piętnaście? Magia może wiele zdziałać dla zdrowia, zwłaszcza jeśli ktoś ma na to pieniądze. Ale nie może wyleczyć

czegoś tak poważnego jak polio, tak jak nie mogła powstrzymać procesu starzenia, jedynie go spowolnić.

– Wyrazy współczucia.

– Nie zmuszę cię do składania niechcianych wyrazów współczucia, jeśli odwdzięczysz się mi się tym samym.

Skinęła głową.

– Oczywiście – zawahała się. – A co z tym drugim?

– Słucham?

– Drugie zakłęcie.

Jego brwi się złączyły.

– Nie wiem, co masz na myśli.

Jej ręce powędrowały do bioder.

– Naprawdę, Bachusie. A ja myślałam, że jesteśmy przyjaciółmi.

Zrobił kolejny krok w jej stronę, wystarczająco blisko, by wywołać dyskomfort. Wystarczająco blisko, by mogła wyczuć czasowe zakłęcie pod jego ubraniem.

– Co masz na myśli? – zapytał ponownie.

Gapiała się na niego.

– Przecież wiem, że je czułam – w jego oczach błysnęło zmieszanie. Zacisnęła wargi i przełknęła ślinę. Uniosła dłoń w rękawiczce. – Czy mogę?

Chwilę zajęło mu zrozumienie, ale kiwnął głową. I tak Elsie, po sprawdzeniu ulicy w poszukiwaniu gapiów, sięgnęła do przodu i rozłożyła dłoń na jego piersi, tuż nad przeponą. *Cóż, jest... twardy*, pomyślała, ignorując ciepło pełzające po jej szyi. Było tam zakłęcie czasowe, jego zapach przypominał oświetloną słońcem leśną ściółkę. Ale pod tym była jeszcze jedna warstwa magii. Ciasno splecione zakłęcie, które przywodziło jej na myśl runy zasiane na polach. Ukryte, poza zasięgiem wzroku. Tak jak poprzednio, nie mogła tego zobaczyć, usłyszeć, powąchać ani dotknąć, ale wyczuła je w sposób, którego nie potrafiła opisać. Cokolwiek to było, wołało do niej w taki sposób, iż wiedziała, że jest potężne, skoro potrafiło ukryć swój typ. Zabrała rękę.

– Nie czujesz tego? – potrząsnął głową i westchnął. Czyżby wstrzymywał oddech? – Na twoim ciele ciąży dwa zakłęcia, Bachusie Kelsey – spotkała jego wzrok. – Jedna warstwa pod drugą. Nie mogę rozszyfrować, czym jest to pierwsze, bez usunięcia zakłęcia czasowego, ale jestem pewna, że tam jest.

Pan Kelsey podniósł rękę i położył ją tam, gdzie przed chwilą była ręka Elsie.

– Musisz się mylić.

– Nie mylę się.

Potrząsnął głową.

– Nie ma na mnie innego czaru. Zakłóciłby on zakłęcie czasowe – brzmiał, jakby wąpił we własne słowa.

– Aspektor, który spowolnił polio, nie wyczułby tego. Nigdy wcześniej nie pracowałeś z łamaczem zaklęć? – zniżyła głos. – Mam na myśli legalnie pracowałeś?

– Nie – brzmiał prawie defensywnie. Albo po prostu był zdezorientowany. – Nie, nie pracowałem.

Wytarła ręce.

– Nie chciałam cię zdenerwować.

– Nie jestem... – odwrócił się jednak, nie kończąc wypowiedzi. Przetarł oczy. – Jesteś niewyszkolona.

Skrzyżowała ramiona.

– Ustaliłeś to na podstawie mojej szalenie nieudanej pracy, prawda?

Ścisnął swoje książki.

– Ja... przyjrę się temu. Dziękuję, panno Camden.

Po sposobie, w jaki przecinały powietrze, słowa Bachusa równie dobrze mogłyby być biczem. Elsie cofnęła się, jakby mogła uniknąć ich ostrza. Naprawdę nie wiedział. Zakłęcie czasowe miało tak delikatną naturę... Może nie powinna była mówić mu o drugim, nie w chwili, gdy czuł się bezbronny Ale teraz było już za późno, by cokolwiek z tym zrobić. Nie wiedząc, co jeszcze mogłaby powiedzieć, Elsie skinęła głową, a Bachus Kelsey skierował się w stronę posiadłości, znikając za jej murem.

ROZDZIAŁ 13

Nie wierzył, że Elsie Camden go okłamała. Ale też nie chciał jej ufać. Bachus stał w swojej sypialni, wyglądając przez okno na teren poniżej. Nie spędzał dużo czasu w tej przestrzeni; używał pokoju tylko do spania – czegoś, czego ostatnio potrzebował za dużo z powodu spowolnionego polio. Zawsze były rzeczy do zrobienia, zadania do wykonania. Stanie w miejscu było wystarczająco złe. Wkrótce będzie zmuszony siedzieć spokojnie. Ale oto był, zamyślony, wyglądając przez okno jak inwalida, pogrążony we własnych myślach. Wciąż pamiętał dzień, w którym ojciec przyprowadził go do Mistrza Pierrelo. Miał prawie siedemnaście lat i był już wyższy od swojego ojca. Właśnie wrócili z pogrzebu jego matki w Portugalii. Ojciec przez wszystkie lata dbał, by czuć się komfortowo, ale nigdy tak naprawdę nie zaangażował jej w życie Bachusa, poza jedną wizytą i kilkoma listami. Nie był pewien, czy chciała być częścią życia dziecka; ale jako bękart mógł wieść bardziej dostatnie życie z ojcem niż z matką. Bachus chorował nie tylko z powodu utraty matki, podróży przez morze, ale i początku polio. Pamiętał wszystko, co powiedział aspektor. Przypomniawszy sobie zakłęcie rozgrzewające mu skórę. *To nie jest lekarstwo*, ostrzegł Mistrz Pierrelo. *Tylko trochę czasu*. Bachus wziął sobie to ostrzeżenie do serca. Badał, studiował i pracował, dopóki nie miał planu. Plan, który obracał się wokół zakłęcia, którego jeszcze nie uzyskał. Zakłęcia, które może pomóc mu poruszać nogami, gdy pojawi się paraliż. Jeśli nie, będzie przedłużeniem jego rąk, pozwalającym mu pracować bez konieczności wstawania.

Gdyby litość kierowała członkami Ateneum Fizycznego, Bachus mógłby podzielić się z nimi swoją historią. Ale ludzi, którzy nie chcieli kierować się uczuciami, trudno było do tego przekonać.

Dotknął swojej klatki piersiowej. Wciąż czuł tam ucisk palców panny Camden. Nie sądził, że jej dotyk wpłynie na niego, ale ślad jej dłoni pozostał na nim, jakby rzuciła własne zakłęcie. W tej krótkiej chwili widział więcej niej, niż zwykle pokazywała – smutek zmrużył jej oczy, frustracja zmarszczyła brwi. Ale pewność, z jaką oświadczyła, że istnieje inne zakłęcie, którego nie pamiętał, rozwiała wszelkie czułe uczucia. Nie wiedział, jak duża jest runa, ale panna Camden zapewniała, że tam jest. Jak długo o niej wiedziała? Czy dowiedziała się o tym pierwszej nocy, kiedy przyłapał ją na rzucaniu zakłęcia? Podczas

ponownego zaklinania muru? A może podczas kolacji u Izajasza, kiedy odprowadził ją do jadalni. Być może stracił czujność, pozwalając, by światło i jej bystre niebieskie oczy uspokoiły go. Czy powiedziała mu o zaklęciu, żeby go torturować, pozwolić mu dusić się w zmartwieniu w ramach zemsty za zmuszenie jej do pracy? Czy zamierzała kontynuować pracę? Ale on jej nie zapłacił, do cholery. I prawdę mówiąc, nie wyglądała na taką kobietę. Chociaż dobrze to maskowała, Bachus podejrzewał, że mimo wszystko naprawdę troszczyła się o ludzi, pomimo swoich... skłonności do łamania prawa. Nie, nie wierzył, że skłamała, chociaż chciał, żeby tak było. Podszedł do wąskiego biurka w rogu pokoju. Przygotował pióro. Pisał energicznie, drapiąc papier, ignorując kilka miejsc, w których rozlał się atrament. Osuszywszy list, wytrząsnął piasek, złożył kartkę i nabazgrał na odwrocie *Mistrz Jacques Pierre*. Chociaż powiedziała mu, że mistrz nie wyczułby pierwszego zaklęcia, mężczyzna mógł coś wiedzieć.

Ktoś musiał coś wiedzieć.

Z listem w ręku, Bachus energicznie otworzył drzwi i znalazł zaskoczonego lokaja po drugiej stronie. Sługa skłonił się.

– Przepraszam, panie Kelsey, ale jest pan potrzebny w salonie – sapnął.

– Po co?

Mężczyzna skreślił się w poczuciu dyskomfortu.

– Może lepiej, żeby sam się pan przekonał. Spoglądając na służącego i nienawidząc sposobu, w jaki każdy Anglik unikał mówienia wprost, Bachus kiwnął głową, schował kartkę do kieszeni i ruszył w stronę salonu. Dwór był ogromny, ale jego pokój nie był daleko. Dotarł do salonu i wszedł. Księżę przechadzał się przed fortepianem, najwyraźniej z czegoś niezadowolony. Księżna stała odwrócona do niego plecami. Przy drugim wejściu stał wyprostowany konstabl.

– Co to ma znaczyć? – zapytał Bachus, zamykając za sobą drzwi. Izajasz powiedział:

– Chce cię tylko przesłuchać, Bachusie.

Bachus zwrócił się do konstabla.

– Co się stało? – *Dowiedzieli się o Elsie*. Żołądek mu się zacisnął. Złożył jej obietnicę i zamierzał jej dotrzymać. Poza tym myśl o kobiecie za kratkami napełniła go przerażeniem.

– Proszę usiąść, panie Kelsey – konstabl, niski, okrągły mężczyzna w pełnym umundurowaniu, wskazał mu jedno z krzesel. Bachus wybrał to, które pozwoliło mu widzieć wszystkie trzy osoby w pokoju. Nie spieszył się, próbując wymyślić wytłumaczenia zarówno dla siebie, jak i dla panny Camden, takie, które od razu

nie wydałyby na nią wyroku. Policjant wyciągnął blok papieru i ołówek. – Jaki jest pański związek z Feltonem Shawem?

– Z Feltonem Shawem? – powtórzył obce imię, starając się ukryć ulgę, która rozluźniła mu ramiona. – Ja nie... Zaraz... – czy nie tak nazywał się człowiek, który wygrał trzy dni temu na aukcji opus, licytowany też przez Bachusa? – Dżentelmen po czterdziestce, krótko obcięte brązowe włosy? Bogaty?

Konstabl skinął głową.

– Prawie go nie znam – *O co tu chodziło?* – Był na aukcji w Christie's w zeszłą środę. Ubrany w szary garnitur. Licytowaliśmy ten sam opus. On wygrał.

– I to był koniec waszej znajomości?

– Nie. Rozmawiałem z nim po aukcji na temat zakupu zaklęcia z opusu. Wydawał się zainteresowany, dopóki nie powiedziałem, że chodzi mi o mistrzowskie zaklęcie. Potem odprawił mnie nieco na siłę i wyszedł.

– Nie poszedłeś za nim?

Bachus zmrużył oczy.

– Nie. I mój sługa też nie.

Policjant kiwnął głową, wpatrując się w swój papier.

– Imię twojego sługi?

Nie podobał mu się sposób, w jaki mężczyzna zadawał pytania, jakby insynuował poczucie winy. *Współpracuj, Bachusie. Księżę będzie chronił Rainera.*

– Rainer Moor. O co tu chodzi? Czy pan Shaw złożył na mnie skargę?

– Pan Shaw jest w szpitalu w poważnym stanie – konstabl w końcu podniósł wzrok. – Został dźgnięty nożem zeszłej nocy, po tym jak napastnik włamał się do jego domu. Okradziono go – Bachus zeszywniał. – Wśród zabranych przedmiotów był opus Mistrza Bennetta. Jedyne świadek ma uraz głowy, po którym prawdopodobnie nie wyzdrowieje.

Księżna zgarbiła się, zakrywając twarz dłońmi.

– To... okropne – wykrztusił Bachus.

Konstabl zgodził się skinieniem głowy.

– Widziano cię podczas konfrontacji z nim w domu aukcyjnym.

– Nie nazwałbym tego konfrontacją.

– Gdzie był pan zeszłej nocy, panie Kelsey? Między pierwszą a trzecią nad ranem?

– Spałem – pozwolił, by oczywistość stwierdzenia przeniknęła do jego tonu.

– Gdzie?

– W swojej sypialni. Do północy piłem maderę z księciem w jego gabinecie, chociaż, prawdę mówiąc, nie przepadam za tym napojem, wolę rum. Wcześniej

jadłem kolację z rodziną Scottów i słuchałem, jak panna Josie ćwiczy grę na pianinie.

– Tak jak panu powiedziałem – wtrącił ksiązę.

Konstabl kiwnął głową.

– Ma pan doskonałych świadków, panie Kelsey – zrobił mały gest w kierunku księcia i księżnej. – Jeśli będę miał więcej pytań, wrócę. Radzę nie opuszczać kraju w najbliższym czasie.

Bachus rozluźnił się, ale tylko nieznacznie.

– Nie planuję.

Nie, dopóki nie miał zaklęcia, którego potrzebował. Przez chwilę zastanawiał się, czy to on trafiłby do szpitala, gdyby wygrał aukcję.

– A twój sługa?

– Rainer sypia z innymi służącymi w domu. Będzie wielu świadków jego obecności.

Konstabl zerknął na księcia.

– Mój panie, czy mógłbyś zabrać mnie na dół, abym mógł go przesłuchać?

– Oczywiście, że tak – ksiązę Kentu szybko przeszedł przez pokój, wskazując drzwi za policjantem. – Tędy – potem jego głos rozbrzmiał na korytarzu, kiedy prawdopodobnie zwracał się do lokaja. – Nie ma potrzeby, sam go odprowadzę.

Długi oddech wyrwał się z ust Bachusa. Odchylił się w fotelu.

– Zakładam, że nie odzyskano skradzionego towaru.

Księżna potrząsnęła głową zmartwiona.

– Nie. Och, mój drogi, nienawidzę, kiedy mój mąż siedzi do późna, pijąc, ale tak się cieszę, że zrobił to zeszłej nocy.

Bachus kiwnął głową. Izajasz Scott zaproponował kieliszek madery, gdy zauważył, że Bachus wydaje się nieobecny. Rozmyślał o Elsie Camden – i jej zapewnieniach o drugim zaklęciu – od czasu jej zwolnienia.

– Najpierw zaginęła Alma Digby, a teraz to – księżna dotknęła oczu opuszkami palców. – Nie wspominając o baronie Halseyu i wicehrabim Byronie! Och, ich biedne żony... Chyba przejdę się po ogrodach. Czy zechciałbyś do mnie dołączyć?

Bachus wstał.

– Może zobaczę, jak sobie radzi Rainer, jeżeli to nie będzie nietaktem.

– Oczywiście, że nie – machnęła do niego ręką. Skłaniając głowę na znak szacunku, Bachus opuścił pokój, kierując się do kwater dla służby. Niecałe pół godziny później konstabl odszedł, skreślając nazwisko Rainera z listy.

* * *

Elsie nie mogła dokończyć najnowszego odcinka powieści. Czasami słowa zlewały się ze sobą. Czasami jej wyobraźnia odpływała w inną stronę. Czasami wyobrażała sobie barona jako człowieka z Algarve i to odrzucało obrazy, które stworzyła w swojej głowie na potrzeby tej opowieści. Nawet tutaj, siedząc w małej kaplicy z broszurą z odcinkiem powieści włożoną do śpiewnika, nie potrafiła czytać. Słuchała więc, jak nieznany jej kaznodzieja przemawiał na temat pychy, i od czasu do czasu odwracała się, by podziwiać witraże. Powinna być szczęśliwa, skoro wszystko wróciło do normy. Ostatni tydzień był po prostu normalny. Żadnego wymykania się do Kentu, żadnych tajemnych listów od Kapturów. Mogła czekać na wiadomość od nich miesiącami. Nawet Ogden skończył pracę u dziedzica i częściej bywał w domu. Elsie lubiła mieć go w domu. Podobało jej się subtelne poczucie rodzinności, które przywarło do ścian warsztatu kamieniarskiego.

A mimo to była niespokojna.

Ogden zabrał ich dzisiaj do Dulwich. Kościół był mały, ale mimo to msze prowadził duchowy aspektor, tak młody, że musiał być co najwyżej średniozaawansowanym magiem. Elsie była pewna, że nie mógł jeszcze zapuścić brody. Z drugiej strony baron w *Kłótnie rubinu* z pewnością też jej nie miał. Zamknęła śpiewnik i położyła go na kolanach. Ogden kreślił krzywe gwiazdki na swojej nodze. Emmeline sprawiała wrażenie, jakby miała zaraz zasnąć, ale szpilka z kwarcową końcówką tkwiła w jej kołnierzu.

Elsie uszczypnęła ją, powodując, że zakrztusiła się cichym westchnieniem, po czym podała jej śpiewnik. Zwykle Elsie opowiadała Emmeline o powieści wieczorem, kiedy już rozpuściły włosy i schowały sukienki, ale w tym tygodniu po prostu nie mogła się skoncentrować. Biedna Emmeline tęskniła za tymi opowieściami, chcąc dowiedzieć się, co było dalej. Nie potrafiła czytać zbyt dobrze, ale na tyle płynnie, żeby przebrnąć przez tekst. Kiedy spojrzała na ukryty odcinek powieści, uśmiechnęła się i przewróciła kartki do początku. Doszła do strony siódmej, zanim kazanie się skończyło i wierni się rozeszli. Obecnych było sporo panów i pań, ubranych w najelegantsze stroje, machających materiałowymi wachlarzami, chociaż to nie był jeszcze nawet czerwiec. Ogden spotkał starego towarzysza lub kogoś w tym stylu, z kim mógł pogadać, a Emmeline siedziała na swoim miejscu, pochłonięta lekturą odcinka, więc Elsie przepchnęła się obok wszystkich zamożnych i wyszła na światło wczesnego popołudnia. Wyciągając ręce nad głowę, ruszyła ulicą, chcąc rozprostować nogi, zanim zostanie wepchnięta z powrotem do powozu. Słyszała wokół siebie rozmowy o niedawnym balu, polowaniu i jakimś głosowaniu. Co dziwne, nie chciała dzisiaj słuchać plotek. Poszła więc na koniec ulicy, gdzie znalazła wejście do małego parku. Okrążyła go, podziwiając drzewa, zanim ruszyła

z powrotem. Najprawdopodobniej ani Ogden, ani Emmeline nie zauważyli jeszcze jej nieobecności.

Pulchna kobieta po drugiej stronie drogi potknęła się o wystający bruk, wysypując stos książek, papierów i ksiąg rachunkowych, które trzymała w ramionach. Szybko przechodząc przez ulicę, Elsie pospieszyła z pomocą.

– Och, dziękuję, kochanie – powiedziała kobieta, kiedy Elsie podała jej pergamin zapisany diagramami. Elsie zamarła.

– Mistrzynie Merton?

Kobieta podniosła wzrok.

– Och! Jaki zbieg okoliczności, że znów na siebie wpadamy! Tylko tym razem to ja się potykam. Elsie podała jej księgę.

– Powinna pani mieć ze sobą służącego do noszenia tych rzeczy.

– O nie, nie mogę znieść hałasu ludzi podczas pracy, nawet krzątających się służących. Emmo, czy mogłabyś mi to podać? – wskazała na leżący ołówek.

– Elsie – poprawiła delikatnie Elsie, chwytając ołówek.

– O Boże, no tak, przecież wiedziałam – wstała, a Elsie jej pomogła, upewniając się, że nic więcej nie spadło ze stosu. – Cóż, nadal miło jest zobaczyć znajomą twarz!

– Nie jest pani z Dulwich? – zapytała Elsie.

Starsza kobieta potrząsnęła głową.

– Nie, w ogóle – zmarszczyła brwi. – Och, moja droga panno... Camden, prawda? – Elsie kiwnęła głową. Mistrzynie Merton wypuściła powietrze, przez co jej policzki opadły. – Ateneum właśnie zwolniło trzech swoich akolitów. Mamy taki bałagan – pochylając się do przodu, dodała: – I to delikatnie mówiąc.

– Ateneum rozwiązało swoje kontrakty? – zapytała Elsie, nie mogąc stłumić ciekawości.

– Zabrała ich policja – powiedziała mistrzyni konspiracyjnym szeptem. Ponownie zniżając głos, dodała: – Podejrzewa się, że ukradli lub zgubili opusy. Kilka z nich zaginęło już jakiś czas temu. A teraz pozostali, w tym starsi członkowie ateneum, musimy się spieszyć i przejąć ich zadania. Byłam dzisiaj już w dwóch kościołach i mam pracę, którą muszę dokończyć – wskazała podbródkiem na swoje liczne kartki z notatkami. – Czuję to już w krzyżu, a to nawet nie jest pora lanczu.

– Jest mi strasznie przykro – Elsie zerknęła na księgi. – W ateneum brakuje jakichś opusów?

Wiedziała, że księgi zaklęć były zamknięte za sekretnymi drzwiami, więc nawet najbardziej przebiegłi złodzieje nie mogli ich znaleźć. Mistrzynie Merton potrząsnęła głową, jej krótkie loki zatańczyły wokół jej uszu.

– Nie mów o tym nikomu, proszę.

– Ostatnio dużo się dzieje z opusami – Elsie dopasowała głos do tonu aspektorki. – Słyszałam o... morderstwach.

Mistrzynie Merton ponuro skinęła głową.

– O tak. To nie jest ze sobą powiązane, oczywiście. Kilku naszych lekkomyślnych akolitów postanowiło narobić kłopotów lub wpakowało się w nie – cmoknęła. – Nie lubię czytać ani słuchać wiadomości, moja droga. To zbyt straszne. Jak człowiek może być wesoły, kiedy jest tym wszystkim przytłoczony?

Żołądek Elsie ścisnął się.

– Oczywiście. Dokąd pani idzie? Proszę pozwolić mi sobie pomóc.

– Och nie, po prostu tędy przechodziłam, naprawdę. Wyobrażam sobie, że musisz wrócić do swojej rodziny.

Ukłuło ją w piersi.

– Tak, muszę.

Uśmiech powrócił. Wesołość bardziej pasowała do mistrzyni.

– Dziękuję skarbie. Przekaż ode mnie pozdrowienia rodzinie księcia.

Nie sądzę, że znowu ich kiedyś zobaczę. Ale kiwnęła głową.

Kiedy wróciła do kościoła, Ogden i Emmeline czekali na nią na zewnątrz. Ogden sprawdzał swój srebrny zegarek kieszonkowy.

– Przepraszam – powiedziała Elsie, gdy do nich dotarła. – Poszłam na spacer i musiałam pomóc znajomemu pozbierać materiały z biblioteki, bo mu wypadły.

Ogden skinął głową.

– Słusznie. Zjadłbym obiad. Idziemy?

Podał jedno ramię Emmeline, a drugie Elsie. Zmuszając się do uśmiechu, Elsie skręciła w lewo i pozwoliła pracodawcy poprowadzić ich do wynajętej dorożki. *Rodzina*, jak nazwała ich Mistrzynie Merton. W pewnym sensie byli rodziną, ale prawdę mówiąc, gdyby Emmeline znalazła inną posadę albo wyszła za mąż, nie miałyby żadnego powodu, by utrzymywać z nimi kontakt – Emmeline miała własną rodzinę. Trzy siostry i oboje rodziców. Nawet Ogden miał krewnych. Nie miał dzieci, a jego rodzice już nie żyli, ale miał kilka siostrzenic i siostrzeńców, których widywał w okresie Bożego Narodzenia. Czasami z Elsie w holu, czasami bez. Bo chociaż Ogden naprawdę był dla niej jak ojciec, nie był jej prawdziwym ojcem. On i jego rodzina nie mieli wobec niej prawdziwych zobowiązań. Droga do domu przebiegła spokojnie, zwłaszcza że Emmeline była teraz całkowicie pochłonięta lekturą powieści i nie podniosła głowy, by spojrzeć znad liter, dopóki nie dotarli do Brookley. Dopiero gdy znaleźli się w domu, Emmeline oddała broszurkę i chwyciła fartuch. Elsie obserwowała ją zdezorientowana.

– Czemu się uśmiechasz?

Pokojówka zachichotała.

– Jest całowanie.

Elsie zamruwała i otworzyła magazyn, próbując odgadnąć, na której stronie Emmeline przerwała. Całowanie? Jakie to skandaliczne! Uszy jej się zaczerwieniły, co oczywiście było głupie. Całowała się już wcześniej, chociaż to było jakiś czas temu.

Na zewnątrz rozległ się tętent końskich kopyt, ale Elsie nie zwróciła na to większej uwagi. Schowała książeczkę i chwyciła drugi fartuch.

– Pozwól, że ci pomogę. Jestem głodna.

I muszę się czymś zająć.

– Dzisiaj podamy chyba tylko wędliny i ziemniaki – Emmeline trzymała w dłoni obieraczkę. – Czy mogłabyś nastawić wodę?

Elsie wzięła garnek i napełniła go przy zlewie z pompą, postawiła na kuchni i rozpałała ogień.

– W tym momencie mogłabym zjeść je na surowo.

Emmeline parsknęła śmiechem.

– Nie zajmie to zbyt dużo czasu, jeśli pokroję je na bardzo małe kawałki.

Rozległo się pukanie do drzwi wejściowych.

– Emmeline! – krzyknął Ogden z góry. Po kościele zawsze szedł prosto na górę. Nienawidził odświętnego stroju.

– Rozumiem – zdejmując fartuch i wycierając w niego ręce, Elsie pospieszyła do pracowni. Była niedziela, więc frontowe drzwi były zamknięte, ale od czasu do czasu zdarzało się, że wpadał niezapowiedziany gość. Ogden mógł zaprosić kogoś na herbatę. Schowała fartuch pod ladą, zanim podeszła, żeby otworzyć drzwi. Po drugiej stronie stał Bachus Kelsey.

ROZDZIAŁ 14

Elsie gapiła się na niego przez dłuższą chwilę. Potem odepchnęła go od progu, wyszła za nim na zewnątrz i zamknęła za sobą drzwi.

– Co ty tutaj robisz? – spytała twardym szeptem. Jej serce biło zbyt szybko, by można to było wytłumaczyć wysiłkiem pchania ciężkich drzwi, a jej przekłete uszy płonęły. Odgarnęła kilka loków, próbując ukryć rumieniec.

– Potrzebuję twojej pomocy – jego głos brzmiał ostrożnie.

Był zadbany, ale oczy miał zmęczone, a rysy spięte, jakby nie odpoczywał od wielu dni. Był na tyle blisko, że poczuła zapach drewna, cytrusów i grzybów. Mogła też wyczuć delikatny zapach zakłęcia pod jego ubraniem.

– Co jest nie w porządku? – zapytała, puszczając klamkę.

– Nic, co wcześniej było w porządku – splótł ręce za plecami. – Ale muszę wiedzieć, jakie jest drugie zakłęcie. To doprowadza mnie do szału.

Kiwnęła głową, powoli. Ją też doprowadziłoby to do szału.

– Może najpierw będę musiała zdjąć zakłęcie czasowe. Leżą jedno na drugim.

– Wiem – zerknął w stronę ciężkiego powozu przed domem. To w ogóle nie zwróci uwagi sąsiadów. – Dlatego chciałbym, żebyś spotkała się z aspektorem, który je umieścił, żeby mógł je wymienić, kiedy już to załatwimy. Nie ośmielę się pozwolić, by minęło zbyt wiele czasu bez niego.

Elsie otworzyła usta i po chwili zamknęła je z powrotem. Żołądek zawiązał jej się w supeł. Wychylając głowę w stronę tylnej części domu, wyszła za róg, by tam na niego zaczekać. W chwili, gdy pojawił się pan Kelsey, powiedziała:

– Widzę w tym wszystkim dwa bardzo duże problemy. Po pierwsze, Ateneum Czasowe znajduje się w Newcastle nad Tyne. To ile, osiem, dziewięć dni drogi? Nie mogę tak po prostu wyjechać na dwa tygodnie. Po drugie, jak wspomniałam wcześniej, nie mam gotowej przyzwoitki.

I nie będzie jej miała. O ile trudniej byłoby ukryć jej zdolności łamania zaklęć, gdyby stara opiekunka śledziła każdy jej ruch?

– Mogę ci zapłacić.

To wzbudziło jej zainteresowanie.

– Cóż, to z pewnością lepsza oferta niż szantaż.

Wyglądał na zadowolająco upokorzonego.

– Elsie...

– Poza tym co mam zrobić, ukryć się w zaroślach, dopóki nie zdejmie zaklęcia? A potem usiąść na tyłku, a ty wbiegniesz i wymienisz zaklęcie?

Wypuścił długi oddech.

– Mistrz Pierrelo nie poprosi o pokazanie twojej rejestracji. Nikt tego nie zrobi. To w złym guście. Zaciskając usta, Elsie zastanowiła się.

– To nie przesuwaj Newcastle nad Tyne bliżej Londynu.

– Nie, ale Mistrz Pierrelo odwiedza rodzinę w Ipswich.

Każde słowo wypowiadał ostrożnie, jego zielone oczy wpatrywały się w jej. Boże, miał niezwykle rzęsy.

– Ipswich – powtórzyła Elsie, skupiając się. – To wciąż trzydniowa podróż.

– Możemy ją przebyć w dwa dni.

– Może nie jestem wysoko urodzona, ale nie wydaje mi się mądrym pomysłem spędzenia w zamkniętym powozie z kawalerem dwóch... nie... czterech dni.

Przewrócił oczami.

– Sprawiasz, że brzmi to jak obowiązek.

– Nie, żeby twoje oschłe usposobienie nie było przyjemne, prawie Mistrzowi Kelsey, ale mam reputację – odparła, krzyżując ręce na piersi.

– Pojedziemy osobnymi powozami.

Elsie zatrzymała się. To mogłoby zadziałać, gdyby udało mu się to zorganizować, ale...

– A jak mam wytłumaczyć panu Ogdenowi tak długą nieobecność? Nikt w tym domu nie wie o moim sekrecie.

– Powiedz mu, że odwiedzasz rodzinę... – przerwał, ale ta sugestia już ukłuła jej i tak obolałe serce. Dzisiejszy dzień miał być okropny, czuła to. – Czy masz jakichś dalekich krewnych, przyjaciół, kogoś, kogo możesz użyć jako przykrywkę?

– Użyłam wszystkich moich przykrywek na wycieczki do Kentu.

Pan Kelsey potarł brodę, zastanawiając się.

– Znajdę sposób.

Opuściła ramiona.

– A jak to zrobisz?

– Zaufaj mi.

Dwa proste słowa, ale sprawiły, że Elsie się zatrzymała. *Zaufaj mi*. Czy mogłaby? Bachus Kelsey był cierniem w jej oku, ale wcześniej dotrzymał danego jej słowa. Nie była mu teraz nic winna. Błagał o pomoc. Chciała mu ją dać. Przyglądała się jego twarzy. Nowe linie zmartwień na jego czole, ładny zarys nosa... *Och, przestań*.

– Niech będzie – ulga była jasno widoczna na jego twarzy. – Jeśli możesz to załatwić, pojedę z tobą. Ale musisz być bardzo przekonujący. A teraz idź, zanim będę musiała tłumaczyć, dlaczego przed warsztatem murarza stoi książęca kareta.

– Dziękuję, Elsie. Dziękuję.

Machnęła lekceważąco ręką, a Kelsey, zgodnie z poleceniem, odszedł. Elsie została za domem, dopóki nie usłyszała tętentu kopyt. Potem wyjrzała zza rogu i zobaczyła, jak powóz znika na drodze.

Cztery dni z Bachusem – dwa tam, dwa z powrotem. Podobało jej się, jak wymawia jej imię, chociaż wolałaby usłyszeć je w jego ojczystym języku. Próbowwała sobie wyobrazić, jak by to brzmiało. *Elsie. El-sie.*

– Och, cicho – szepnęła do siebie.

Chociaż nie można było zaprzeczyć, że ból w klatce piersiowej zniknął. Teraz nadszedł czas, by poczekać i zobaczyć, jaki plan mógłby stworzyć zaawansowany fizyczny aspektor. Z pewnością miała nadzieję, że mu się uda.

* * *

Półki Ogdena sprawiały wrażenie, jakby brakowało na nich tylko dziada z babą. Odkładał rzeczy przypadkowo, czasem na najbardziej dostępnej półce, czasem na najwyższej. Zrozumiałaby lepiej ten nawyk, gdyby po prostu zawsze odkładał rzeczy w najdogodniejsze miejsce, ale najwyższe półki były dość trudno dostępne. Trzeba było się natrudzić, żeby coś tam schować. To nie miało sensu. Elsie od czasu do czasu próbowała rozmawiać z Ogdenem o jego zwyczajach organizacyjnych, a on zawsze kiwał głową, jakby słuchał, ale jej zachęty nic nie zmieniały. Nadal odkładał farbę w trzech różnych miejscach, tu i tam rzucał dłuta, a czasami jego pojemnik na drugie śniadanie znajdował się niemal na podłodze. Nic dziwnego, że z trudem pamiętał, gdzie są jego narzędzia. Wziąwszy drabinę, Elsie rozpoczęła swój projekt reorganizacji, zajmując się najwyższymi półkami i ściągając rzeczy w dół, aby je posortować. Nie zaszkodzi odkurzyć całą ścianę; strzępki kurzu utkwili jej pod paznokciami.

Kiedy wspięła się na palce, by zdjąć książkę z półki, wszedł winowajca.

– Elsie, właśnie dostałem niezmiernie ciekawy list.

Chwyciła książkę i położyła ją na niższej półce, takiej, do której mogła sięgnąć z ziemi.

– I co w nim jest?

– W Ipswich jest nowa szkoła dla kobiet... – Elsie zachwiała się i chwyciła drabiny, żeby się nie przewrócić – ...do szkolenia w zakresie księgowości

i prowadzenia sekretariatu. Dziwię się, że w ogóle wiedzą, kim jestem, ale oferują tygodniowy kurs dla moich pracowników za raczej niedużą sumę.

Elsie odchrząknęła z niedowierzaniem.

– Naprawdę?

Sprytnie, Bachusie. Otrzepując ręce, zeszła po drabinie i przeszła przez pokój. Ogden wręczył jej list.

– Rachunkowość. Znam się już na liczbach – przyjrzała się prostemu charakterowi pisma. Czy on sam to napisał? Ilu miał powierników? – Och, ale ten program jest zaawansowany... Hmm. Ale całkiem niedrogi. Sama bym za to zapłaciła.

Ogden oparł ręce na biodrach w taki sam sposób, jak wtedy, gdy w studiu pojawiał się przystojny mężczyzna. Zawsze się o nią troszczył, tak było.

– Czy jesteś zainteresowana? – Elsie zastanawiała się, jak najlepiej to rozegrać. Nienawidziła okłamywać Ogdena, ale to kłamstwo było w dobrej wierze. To nie tak, że szła na jakąś schadzkę.

– Tydzień? – udawała, że rozważa propozycję. Zadania Kapturów nauczyły ją przekonywania. – Ale przydałoby się być bardziej pomocną przy księgach.

– Już jesteś całkiem pomocna przy księgach.

Wziął list z powrotem, przeglądając go. Zaczynał wątpić, więc Elsie dodała:

– Praca u dziedzica jest skończona. Jeśli kiedykolwiek był czas, by pojechać... może mogłabym zobaczyć, o co chodzi, a jeśli kurs jest rzeczywiście dobry, moglibyśmy wysłać Emmeline na następny.

– Musiałabyś wyjechać jutro, żeby zdążyć na te zajęcia – powiedział cicho pod nosem.

Elsie zawahała się przez chwilę, zanim powiedziała:

– Ja... ja... chyba nie muszę jechać. Zostanę. Mam półki do uporządkowania.

Zobaczyła, jak między brwiami Ogdena pojawia się cień poczucia winy. Marszcząc brwi, spojrzał na półki.

– Zapłacę za połowę.

Elsie uśmiechnęła się.

– W takim razie załatwione – pocałowała Ogdena w policzek. – To będzie przygoda.

I dopilnuje, żeby Bachus jej się odplacił.

* * *

W ten szary dzień Elsie czekała na przedmieściach Brookley na swój transport. Słońce jeszcze nie wzeszło, a nawet gdyby wzeszło, poszarzałe niebo ukryłoby

całą jego radość. Kropiło lekko, ale nie na tyle, by był sens wyjmować parasol. Jak dotąd nie była to zbyt przyjemna zapowiedź. Duży powóz zaprzężony w cztery konie zatrzymał się na błotnistej drodze, a Elsie cofnęła się, żeby błoto nie ochlapało jej fioletowej sukienki. To była jedna z jej ładniejszych sukienek. Nie żeby miała jakiś szczególny powód, żeby ją nosić. Błoto nie ochlapało też nikogo innego, ponieważ Elsie uparła się czekać sama, używając pogody jako wymówki. Ogden zaakceptował to wystarczająco dobrze, ale miała wrażenie, że Emmeline niecierpliwie zerkała za nią przez okno na górze domu. W tym samym momencie zauważyła, że Bachus ma rozpuszczone włosy i jednak nie ma drugiego powozu. Kopniakiem otworzył drzwi tego powozu, którym przyjechał.

– Nie mogłem przekonać księcia, żeby dał mi dwa.

W jej żołądku pojawiły się ćmy, które zaatakowały jej gardło, szukając wyjścia. Przypuszczała, że nie było to całkiem niewłaściwe – czasy się zmieniały – ale... Zresztą, co miałyby mu powiedzieć? *Przepraszam, nalegam, żebyś jechał na dachu ze względu na moją reputację, o którą oczywiście nikt tak naprawdę nie dba.*

Poza tym fajnie byłoby nie siedzieć tu cały czas samotnie. Pan Kelsey potrafił być miły, kiedy chciał.

Jeden ze służących, chyba John, podbiegł, żeby zabrać jej walizkę. Podnosząc spódnicę, powiedziała:

– Będę się upewniać, że zasłony są zaciągnięte, żeby zapobiec plotkom.

Ukryła uśmiech, kiedy wyszedł na deszcz, żeby pomóc jej wsiąść.

* * *

Jechali przez jakieś dziesięć minut, a Elsie nie mogła już dłużej tłumić swoich myśli.

– Czy na Barbadosie jest dużo przestępstw? – zapytała.

Bachus, którego muśnięte słońcem włosy opadały ciasnymi falami na ramiona, spojrzał na nią z zaciekawieniem.

– Niewiele. Dlaczego pytasz?

– Być może jestem coraz lepsza w podsłuchiowaniu lub czytaniu wiadomości, ale wygląda na to, że tutaj dzieje się całkiem sporo. – Zaplatała i rozluźniała trzymane na kolanach dłonie. – W niedzielę znowu spotkałam Mistrzynie Merton.

– Czy ma się dobrze?

– Wystarczająco dobrze. Była trochę oszołomiona. Kilka opusów zostało skradzionych lub zagubionych przez niektórych akolitów w Ateneum Duchowym. Zostali oczywiście zwolnieni, a ona, jak sądzę, kryła jednego z nich.

Bachus, to znaczy pan Kelsey, zmarszczył brwi.

– Ciekawe.

– Prawda?

Skrzyżował ręce na szerokiej piersi.

– W zeszłym tygodniu dom księcia odwiedził konstabl i zadawał pytania na temat niejakiego pana Shawa, który niedawno wygrał kopię opusu na aukcji. On również został okradziony. Chociaż nadal żyje, w przeciwieństwie do innych.

– To niefortunne – powiedziała. – Czy był przyjacielem rodziny?

– Nie, ale widziano, jak z nim rozmawiałem, więc byłem podejrzany.

– Zostałeś skreślony z listy podejrzanych?

– Najwyraźniej tak.

Kiwnęła powoli głową. Pociągnęła za zasłonę, mając nadzieję na więcej światła. Dostała niewiele. Deszcz bębnił o dach powozu.

– Czy twojemu słudze nic nie będzie?

– Upiera się, że nie. Nie lubi ciasnych miejsc.

Uśmiechnęła się na to.

– Byłeś na tej aukcji? Po opus czy po coś innego?

Z gardła Bachusa wydobył się cichy warkot.

– Po to samo dzieło, które mu ukradziono. Zawierało mistrzowskie zaklęcie, którego chcę się nauczyć.

– Zdawałeś już testy? – coś ją ścisnęło w brzuchu. Mistrzowscy aspektorzy kwalifikowali się do tytułów. Byli klasą wyższą. Tak jak reszta snobów. Ale Bachus potrząsnął głową.

– Jeszcze nie. Chciałbym posunąć się naprzód w szczególności z tym zaklęciem. Ponieważ wiem, że zapytasz, to zaklęcie przenoszenia.

– Przenoszenia?

– Pozwoliłoby mi przesuwać przedmioty wokół mnie bez ich dotykania.

Zamrugła.

– To... fascynujące – pomyśleć, o ile łatwiej byłoby uporządkować półki! Nie potrzebowałyby nawet drabiny. Ale żadne aspiracje nie zapewniłyby Elsie takiego zaklęcia. Łamacze zaklęć nie byli w stanie nauczyć się aspektu. – Przykro mi, że przegrałeś – dodała.

Wzruszył ramionami.

– To jest coś, do czego wrócę po spotkaniu z Mistrzem Pierreło.

Oblizła usta. Zerknął do przeciwległego okna.

– Jesteś pewien, że nie zapyta o moją rejestrację?

– Czy ktoś pyta o nią pana Ogdena?

– Cóż, nie...

– Będzie dobrze. Zapewniam cię.

– Dziękuję – spojrzała na niego; na sposób, w jaki wypełniał dobrą połowę powozu. – Dlaczego masz rozpuszczone włosy?

Jego brew drgnęła.

– Dlaczego martwisz się o moje włosy?

Zjeżyła się, zawstydzona, odrywając wzrok od długich, ciemnych, pozłoconych słońcem fal.

– Cóż, ty z pewnością się nimi nie martwisz. To niezbyt modna fryzura.

Prychnął.

– Spinanie ich podczas długich podróży jest irytujące. Nie mogę oprzeć głowy o ścianę.

Elsie odchyliła głowę, by sprawdzić to stwierdzenie. Zanim jednak włosy zaczęły przeszkadzać, uderzyło w nie tylne rondo kapelusza. Tak, to będzie irytujące w przypadku tak długiej podróży, prawda? Elsie nie była w wielodniowej podróży powozem, odkąd spłonął przytułek. Wyciągnęła szpilkę z kapelusza i zdjęła go, kładąc ją na ławce obok siebie. Oparła się. Nie było tak źle, ale szpilka do włosów dźgnęła ją w głowę.

– Rozumiem, co masz na myśli.

– Hmm – Bachus wyjrzał przez okno. Mijali małą, przysadzistą wioskę ze smutnymi domami. Elsie zastanawiała się, pod czyją pieczę była.

– Dziękuję – dodał. – Jeszcze raz, że zgodziłaś się na to.

– Oferta szkoły dla kobiet była całkiem sprytna. Ale jeśli mają nam wierzyć, będę musiała wykazać się jakąś nową umiejętnością matematyczną, kiedy wrócę. Jesteś mi też winien pięć szylingów.

Jego usta uniosły się w półuśmiechu.

– Zobaczę, czego mogę cię nauczyć, i otrzymasz zwrot kosztów. Tym razem jestem więcej niż chętny, aby zapłacić za twoje usługi.

Uśmiechnęła się, słysząc to.

– Tym razem bardzo dziękuję – wyciągnęła nogi na tyle, na ile pozwalała na to ciasna przestrzeń. – Przyznaję, że sama jestem ciekawa, co to za zaklęcie. Naprawdę nie masz pojęcia, co to może być?

– Ani trochę – westchnął. – Nie pozwalało mi to zasnąć w nocy, kiedy próbowałem uporządkować myśli. Jeśli to jest pod zaklęciem czasowym, to stało się to w mojej młodości, przed... – dotknął swojej klatki piersiowej.

– Wyglądasz na zmęczonego.

– Zwykle jestem. To objaw – jego oczy przybrały zamyślony wyraz, gdy opuścił rękę.

– Przepraszam.

– Nie przepraszaj.

– Mogę przeproszać, jeśli chcę, panie Kelsey. Poza tym to miła odmiana mieć przewagę.

Jego usta znów się wykrzywiły.

– Myślę, że to jest to. Jestem teraz twoim dłużnikiem.

Drżenie poczucia winy zaczęło rozpychać się gdzieś w jej piersi.

– Nie miałam tego na myśli. Ja... chcę ci pomóc. Naprawdę. Nawet cię za to nie policzę.

Zerknął na nią, a jego oczy były prawie tego samego koloru co żywopłot na zewnątrz.

– Jest pani skomplikowaną kobietą, panno Camden.

Zastanowiła się nad tymi słowami.

– Myślę, że jeśli pominiesz część o wtargnięciu na teren posesji, raczej łatwo mnie zrozumiesz.

Zachichotał.

– Muszę się zgodzić.

Zadowolona Elsie przeszukała swoją torbę w poszukiwaniu broszury z odcinkiem powieści. Było wystarczająco dużo światła, by odczytać słowa.

W końcu udało jej się doczytać historię.

ROZDZIAŁ 15

Aspektowanie różniło się od innych zawodów w większości krajów europejskich. Był to jedyny sposób, aby biedny człowiek mógł całkowicie odmienić swój los. Oznaczało to, że niewielu członków klasy niższej mogło sobie pozwolić na naukę, nie mówiąc już o kosztach każdego zaklęcia. Ale jeśli ktoś zapowiadał się obiecująco i pokazał to właściwym ludziom, mógł zdobyć sponsora. A jeśliby osiągnął mistrzostwo, mógłby nieźle zarobić na magii, a nawet zdobyć tytuł. *On*, pomyślała Elsie, ponieważ kobiety z niższych klas nigdy nie miały takich możliwości. Do aspektowania dopuszczano tylko wysoko urodzone damy, tak jak w przypadku córki księcia Kentu. Zastanawiała się nad tym, gdy weszli do skromnego domu na obrzeżach farmy buraków cukrowych w Ipswich. Mistrz Jacques Pierrelo był głównym aspektoem w Ateneum Czasowym. Oznaczało to, że był bogaty. Ale to nie był dom bogatego człowieka. W okolicy nie było nawet zaklęć ochronnych, które by go osłaniały – a biorąc pod uwagę niedawny wzrost przestępczości przeciwko czarodziejom, było to nierozsądne. Posiadłość należała do brata Mistrza Pierrelo, który budował powozy, a nie zajmował się magią. Bachus – pan Kelsey – zakładał, że brat odziedziczył ją po zmarłym ojcu. Co oznaczało, że prawdopodobnie był to dom, w którym dorastał Mistrz Pierrelo. Budynek nie był zniszczony ani mały, nie tak jak domki rozsiane po ziemiach księcia Kentu. Był tylko trochę mniejszy niż warsztat kamieniarski i chociaż jego wystrój był stary, wszystkie jego pomieszczenia i stojące tam meble były ładne i zadbane. Elsie nie mogła oprzeć się wrażeniu, że to mistrz był za to odpowiedzialny.

To sprawiło, że polubiła go trochę bardziej.

Ich przewodniczka, wesoła kobieta po pięćdziesiątce, przedstawiła się jako pani Pierrelo, ale Elsie podejrzewała, że jest raczej szwagierką aspektora niż jego żoną.

– O tak – poprowadziła Elsie i Kelseya w głąb salonu. – Wspomniał, że możecie przyjść. Kiedy to mówiła, spojrzała na Bachusa, ale jej oczy powędrowały do Elsie, w milczeniu oceniając powód jej obecności. Pierwotnie zawarte w nich pytanie zmieniło się w coś w rodzaju wesołego ciepła. Prawdopodobnie doszła do wniosku, że są małżeństwem. Cóż, Elsie nie

zamierzała zawracać sobie głowy poprawianiem jej. Lepiej pozwolić kłamstwu być, niż wyjaśniać prawdę, zwłaszcza że nie mieli przyzwoitki.

– Jest na zewnątrz – powiedziała pani Pierrelo. – Rozgośćcie się w salonie, a dam mu znać, że tu jesteście.

Jeśli rodzina miała dzieci, to były już dorosłe i mieszkały gdzie indziej. Salonik, do którego wprowadziła ich pani Pierrelo, wyglądał jak mała sypialnia przekształcona w miejsce, gdzie można posiedzieć. Sypialnia Elsie była trochę większa, ale ta przestrzeń była wygodna. Używano jej niedawno, ponieważ w małym palenisku płonął czerwony żar, odganiając chłód deszczu. Pani Pierrelo wrzuciła do kominka dwa kawałki drewna, zanim wyszła.

– Przytulnie – Elsie wybrała do siedzenia drewniany fotel bujany. Czy pani Pierrelo używała tego fotela do kołysania swoich dzieci do snu? Bachus spojrział na nią. – Co? – zapytała.

– Próbuję ustalić, czy żartujesz czy nie.

Elsie napuszyła się.

– Myślę, że jest przytulnie. Wygodnie. Osobliwie, w najlepszy możliwy sposób. To nie ja mieszkam w książęcej rezydencji, panie Kelsey.

Skinął głową, zdezorientowany. Po spędzeniu razem dwóch dni i nocy w powozie – poprzedniej nocy zatrzymali się w małej gospodzie w oddzielnych pokojach – Elsie zaczynała rozumieć jego subtelne tony i niuanse. Na przykład trzy dni temu mogłaby nie przetłumaczyć jego dość stoickiego wyrazu twarzy jako oszołomionego.

Nie powiedziała mu, ale gdzieś między Colchester a Highwoods przyzwyczała się do jego akcentu. Konsternacja Kelseya szybko minęła. Chodził po pokoju, zacierając ręce, jakby było mu zimno. Denerwował się.

– Zrobimy to szybko – Zauważyła luźną nitkę na mankiecie swojego lewego rękawa. – Zobaczę, co to za zakłęcie, zdejmę je, jeśli będzie taka konieczność, a zakłęcie czasowe wróci, zanim zdążysz mrugnąć.

Spodziewała się, że odpowie, że jest tego świadomy albo że nie jest dzieckiem, ale jego jedyną odpowiedzią było ledwie dostrzegalne kiwnięcie głową. Brak reakcji z jego strony tylko bardziej ją denerwował. Serce Elsie podskoczyło, gdy na schodach rozległy się kroki. Wstała z krzesła, zaciskając ręce przed sobą. Rozluźniła je i znowu ścisnęła, tym razem za plecami, gdy do pokoju wszedł dobrze ubrany mężczyzna mniej więcej w wieku pani Pierrelo. Jego włosy były wyblakłe i przerzedzone, a oczy ciemne i duże. Za młodu musiał być przystojny. Bachus natychmiast do niego podszedł, wyciągając rękę na powitanie.

– Mistrzu Pierrelo, dziękuję za spotkanie.

– Oczywiście. I tak miałem tutaj pewne plany. To dla mnie niewielka niedogodność – mówił z lekkim francuskim akcentem, co jeszcze bardziej zaciekało Elsie. Zerkając na nią, dodał: – Widzę, że ożeniłeś się, odkąd cię ostatnio widziałem.

Elsie odwróciła wzrok, ale Kelsey nie był zaniepokojony.

– Nie, mylisz się. To łamaczka zaklęć, którą wynająłem do pomocy.

Elsie uśmiechnęła się i zaoferowała swój najlepszy płytki dyg.

– Miło mi pana poznać, Mistrzu Pierrelo. Nie przejmuj się moją sukienką. Obawiam się, że jestem jedyną osobą, którą instytucja mogła udostępnić w tak krótkim czasie.

Starszy mężczyzna zatrzymał się na chwilę, zanim kiwnął głową.

– Oczywiście, panienko...

– Camden – powiedziała, starając się, by jej głos nie brzmiał szorstko. Było mniejsze prawdopodobieństwo, że albo ona albo pan Kelsey popełniliby pomyłkę, gdyby nie użyła własnego nazwiska, a poza tym ten mężczyzna nie zamierzał jej sprawdzać. Nie miał powodu.

– Drugie zaklęcie, tak sądzisz? – zwrócił się do Kelseya.

– Tak. Zauważył to łamacz zaklęć odwiedzający księcia Kentu. Ale nie możemy ustalić, co to jest, dopóki twoje zaklęcie nie zostanie usunięte – zawahał się. – Jesteś pewien, że to nie jedno z twoich?

Mistrz Pierrelo potrząsnął głową.

– Jak napisałem w liście, rzuciłem tylko jedno zaklęcie – potem dodał, patrząc Kelseyowi w oczy: – Twój ojciec nie zapłacił mi już za nic więcej, chłopcze. Chociaż przypuszczam, że wyrosłeś już z tego określenia, co?

Uśmiechnął się z własnego żartu. Bachus był o całą głowę wyższy od głównego aspektora i dużo potężniejszy.

– W porządku – Mistrz Pierrelo strzelił dwoma knykciami. – Przypuszczam, że to nie powinno zająć dużo czasu. Wolisz siedzieć czy stać?

– Na stojąco będzie w porządku, dziękuję.

Odsunął się od ognia. Spojrzał na Elsie. Było coś nowego w jego spojrzeniu, chociaż nie mogła do końca rozszyfrować, co to znaczyło.

– Jasne – wymamrotała, stając przed nim. Kiwnął głową na zgodę, a Elsie dotknęła jego piersi. Jego serce waliło; był zdenerwowany. I...

– Ojej – policzki jej zapłonęły. Chyba nie do końca to przemyślała.

– Coś jest nie tak? – zapytał Mistrz Pierrelo.

Opuszczając rękę, Elsie odchrząknęła.

– Cóż, wcześniej o tym nie pomyślałam, panie Kelsey – pociągnęła za luźną nitkę na rękawie. – Ale obawiam się... Musisz zdjąć koszulę.

Jej uszy zrobiły się ciepłe. Cofnęła się, by zrobić mu miejsce.

– To znaczy, zakładam, że zakłęcie jest na skórze.

– Oczywiście – powiedział Mistrz Pierrelo.

Po raz kolejny Bachus poruszał się z łatwością wraz ze zmianą sytuacji. Jeśli czuł się niezręcznie, nie okazywał tego. Zdjął płaszcz i położył go na najbliższym krześle. Potem rozpiął kamizelkę i odłożył ją w to samo miejsce. Elsie chciała odwrócić wzrok, ale nie mogła się do tego zmusić. *Ponieważ jestem profesjonalistką*, przypomniała sobie. A przynajmniej udawała, że jest. Zdjął kamizelkę, a potem lnianą koszulę, chwytając za kołnierz. O Boże. Elsie położyła obie ręce na karku, żeby ostudzić rumieniec. Gdyby pozwoliła, by jej policzki się zarumieniły, wyglądałaby na kompletną idiotkę przed tymi dwoma! Jedynym mężczyzną, którego Elsie widziała bez koszuli od czasu przytułku, był Ogden. On jednocześnie był tęgi i zdrowy... Ale to nie było to samo. Bachus Kelsey wcale nie wyglądał źle.

Wbiła wzrok w podłogę, dając sobie kilka sekund na uspokojenie. Kiedy wydawało jej się, że się udało, wyprostowała plecy i wcisnęła nonszalancję w każde skrawek swojej osoby.

– Przepraszam – wyszeptał Bachus.

Jej spojrzenie przemknęło do jego twarzy i znów uciekło. Machnęła lekceważąco ręką.

– To wszystko jest częścią mojej pracy, panie Kelsey.

Zrobiła pół kroku do przodu, próbując wyczuć zakłęcie. Męski zapach Bachusa, ten z nutą cytrusów, był mocny, podobnie jak ziemistość czasowego zakłęcia. Z pewnością było to zakłęcie na poziomie mistrzowskim. I choć nie widziała tego na własne oczy, wiedziała, że to duża runa, która zaczynała się w połowie jego klatki piersiowej i kończyła cal nad pępkiem. Początek pasma ciemnych włosów znajdował się tuż nad pasem jego spodni. *Dobry Boże, kobieto, skup się!* Położyła dłoń na runie. Bachus drgnął tylko nieznacznie – jej ręce musiały być zimne. Skupiła się na chłodzie w palcach, żeby nie myśleć o cieple jego ciała ani o jego jądrach, bo gdyby zwróciła na to uwagę, rumieniec tylko by się pogłębił. Ale oczywiście myśli Elsie błąkały się, jak zwykle, jej umysł przechodził od temperatury jej palców do hipnotyzującego kontrastu odcieni ich skóry – jej jasnej i prawie brzoskwiniowej, jego w kolorze głębokiego brązu. Zakłęcie brzęczało pod jej dotykiem, jakby wiedziało, że jego koniec jest bliski. Pod nim leżało kolejne. Uczucie, jakby ktoś ją obserwował, ale jeszcze go nie widziała, nie słyszała ani nie czuła.

– Fachowo wykonane, Mistrzu Pierrelo – skupiła swoją uwagę na wykonywanej pracy. – Niemal żałuję, że je usuwam. – Komplement spełnił swoje zadanie. Mistrz uśmiechnął się. – Gotowy? – wyszeptała. Bachus kiwnął głową, nie spuszczając z niej wzroku.

Przesunęła palcami wzdłuż runy, testując metaforyczny węzeł i szukając początku wzoru, który by go rozwinął. Skóra Bachusa zmatowiała pod jej dotykiem.

Nie myśl o tym. Skup się.

Zajęło jej to chwilę. Tam. Na dole po lewej. Następnie dół, środek, lewy górny róg, potem prawy górny. Znalezienie każdej nitki zajęło jej kilka uderzeń serca i zatrzymała się między szóstą a siódmą – w końcu to było mistrzowskie zaklęcie, a Kaptury nigdy nie zatrudniły jej do pokonania czegoś aż tak złożonego. Zaklęcie oparło się jej, zagnieżdżone na skórze Bachusa. To było tak, jakby mrucało: *Nie, przestań, pomagam mu. Widzisz? Ale Elsie skubała je, podnosząc drugą rękę, by dokończyć pracę. W oczach dwóch aspektorów prawdopodobnie wyglądało to tak, jakby bawiła się w udawanie. Ale odwijanie zrobiło swoje – zapach runy stał się kwaśny, zanim zaczęła pulsować słabym blaskiem, który ledwie mogła dostrzec, gdy oddawała swoje życie. Pod nią pojawił się drugi, ciemniejszy symbol, wyblakły niebieski zabarwiony na zielono od pigmentów skóry Bachusa. Żadnego połysku, jakby ktoś ułożył go odwrotnie, a blask był pod skórą, a nie nad nią.*

– Och – zrobiła pół kroku do tyłu, patrząc na to. Nie przypominała żadnej runy, jaką kiedykolwiek widziała. Wyglądała prawie jak rysunek dziecka, którego nie udało się zmyć. Była wielkości jednej trzeciej zaklęcia czasowego. Elsie nie musiała go dotykać, żeby zobaczyć, że to zaklęcie na poziomie mistrzowskim. A fakt, że mogła to zobaczyć, oznaczał, że było fizyczne.

– Co to jest? – zapytał Bachus zduszonym głosem. Wydawało jej się, że słyszy teraz bicie jego serca.

– Nie wiem – wyznała. – Nigdy wcześniej nie widziałam czegoś takiego. I nie ma... Nie ma w tym światła.

– Światła? – zapytał Mistrz Pierrelo, a Elsie skinęła głową.

– Fizyczne runy mają w sobie coś w rodzaju blasku. Ta wygląda jakby była narysowana mokrą kredą. Ja... Masz coś, czym mogę pisać?

– Fizyczne? – zapytał Bachus, dotykając runy, której nie mógł zobaczyć, Elsie o tym wiedziała.

Mistrz odsunął się od niej, ale nie podążała za nim wzrokiem. Nie chciała odwracać oczu od runy. Nie stanowiła dla niej żadnego zagrożenia, ale była dziwna. Nie podobało jej się to.

– Co jest nie tak? – zapytał Bachus.

Potrząsnęła głową, próbując zebrać myśli. Zanim Mistrz Pierrelo wrócił, wyszeptała:

– To tak, jakby ktoś nie chciał, żebyś to znalazł.

Jego mięśnie napięły się.

– Tutaj – Mistrz Pierrelo wręczył jej kartkę papieru listowego i węgiel drzewny. Cofając się do krzesła, na którym przewieszona była połowa garderoby Bachusa, oparła się o podłokietnik i naszkicowała runę najlepiej jak potrafiła.

– Rozpoznajecie to? – uniosła rysunek tak, żeby obaj mężczyźni mogli go zobaczyć. Obaj zmarszczyli brwi.

– Nie – powiedział Bachus.

Mistrz Pierrelo potrząsnął głową.

– Nie trzeba znać run, żeby używać magii. Są tylko niewidzialną siłą, aby zaznaczyć, że to się stało. Przypuszczam, że to język samej magii.

– Informacje o nich są swobodnie udostępniane? – zapytała Elsie. – Mogłabym to sprawdzić?

Mistrz Pierrelo kiwnął głową.

– Myślę, że tak. W jednym z ateneów.

Ateneów, do których Elsie nie miała dostępu. Zagryzając wargę, Elsie odłożyła rysunek i ponownie podeszła do Bachusa. Tym razem nie zawracała sobie głowy pytaniem o pozwolenie i położyła obie ręce na tej ciemnej runie. Stanowczo. Zawahała się.

– Co jest nie tak? – głos Bachusa zdradzał szczerą troskę.

– To jest cholernie trudny węzeł – powiedziała. Mistrz Pierrelo cmoknął językiem z dezaprobatą na jej słowa. – Może powinniśmy wrócić do Londynu i dowiedzieć się, co to jest, zanim spróbuję to usunąć.

Spróbuj. Chociaż była całkiem pewna, że może. Elsie nigdy nie napotkała zaklęcia, którego nie potrafiła rozwiązać. Niektóre po prostu wymagały od niej więcej wysiłku niż inne.

– Nie – głos Bachusa był ostry. – Nie, chcę, żeby to zniknęło. Zostało ukryte i umieszczone bez mojej wiedzy. Nie widzę, w jaki sposób miałoby być dla mnie korzystne.

Mistrz Pierrelo wzruszył ramionami.

– Być może zostało ustanowione przez twoich rodziców z ważnego powodu, kiedy byłeś dzieckiem.

Ale Bachus potrząsnął głową.

– Chcę, żeby to zniknęło. Elsie spojrzała na niego. Tak blisko, z dłońmi wciąż przyciśniętymi do jego skóry czuła się intymnie. Ale nie przeszkadzało jej to. Nie, wręcz przeciwnie. Ale widząc drżenie na twarzy Bachusa, wyrwała się z zadumy i zabrała się do pracy, szturchając runę, szukając jej końca. Był dobrze ukryty, niech to szlag. Ostrożnie przesunęła palcami w kierunku środka, badając. Pewnie wyglądała jak nowa kochanka, która nie wie, co robi, ale musiała znaleźć koniec. Spróbowała jeszcze raz, tym razem wolniej. Tam. Nici były cienkie jak kosmyki włosów, a ostatnia została umiejętnie wsunięta pod pozostałe. Aspektor,

który je umieścił, znał się na runach i stworzył zaklęcie, aby celowo ukryć jego początek i koniec. To potwierdziło jej podejrzenia: ktokolwiek rzucił to zaklęcie, nie chciał żeby zostało znalezione. Zatrzymując się, ponownie spojrzała w oczy Bachusa. Przyglądał jej się uważnie.

– Jesteś pewny? – zapytała.

– Tak – jego puls był jak koliber pod jej dłońmi. – Proszę.

Pociągnęła za nitkę. Równie długo zajęło jej znalezienie drugiej, a potem trzeciej, ale im więcej rozwijała, tym łatwiej było zlokalizować następną pętlę. Gdy doszła do końca węzła, runa w końcu zabłysła.

Potem zniknęła. Bachus sapnął i zatoczył się do tyłu.

– Co? – zapytała, cofając ręce, jakby rozgniewała węża. Jej oczy zwilgotniały. *O Boże, zabiłam go, zrobiłam coś strasznego, nigdy sobie tego nie wybaczę!* – Co, co jest nie tak? Czy cię zraniłam?

Mistrz Pierrelo rzucił się naprzód, by go podtrzymać. Grdyka Bachusa podskakiwała, gdy przełykał. Niesforne kosmyki włosów wypadły mu ze wstążki na karku. Odetchnął głęboko, jego nozdrza rozszerzyły się.

– Bachusie? – Elsie pisnęła. Ręce jej się trzęsły.

Unióś dłoń w geście otuchy.

– Nie jestem ranny, Elsie. Wszystko w porządku.

Wyprostował się i jakimś cudem był wyższy niż wcześniej. Jego plecy stały się prostsze, ramiona bardziej kwadratowe.

Przenosiła wzrok z Bachusa na Mistrza Pierrelo.

– Więc co się stało?

– To było jak... jakby mnie coś uderzyło – Bachus dotknął swojej przepony, dokładnie tam, gdzie było drugie zaklęcie. – Ale... w dobry sposób.

– A teraz już dobrze się czujesz? – zapytał Mistrz Pierrelo, dotykając nawet czoła Bachusa.

– Tak – strząsnął rękę aspektora czasowego. – Bardzo... bardzo dobrze.

Unióś ręce, rozprostował je. Wyglądały na ciemniejsze, ich kolor był pełniejszy. I... tak, to samo dotyczyło jego twarzy. Jakby właśnie spędził cały dzień w lipcowym słońcu. Oczy również były niezwykle jasne, tak jasne, tak zielone.

Myśli Elsie były splątane jak gałązki bluszczu.

– To znaczy?

– To znaczy... – Jeszcze raz podniósł ręce i je opuścił. – Czuję się w końcu wypoczęty. Jakby mój organizm do tej pory pracował na pół gwizdka. Nie jestem... Nie jestem już zmęczony.

Usta Elsie rozchyliły się. Bachus często wyglądał na zmęczonego, traktując to jako uboczny skutek choroby.

– Panie Kelsey – zaczął powoli Mistrz Pierrelo. – Nie jestem lekarzem, ale... Nie sędzę, żebyś miał polio.

Bachus odwrócił się do niego gwałtownie, zszokowany.

– Co?

Mistrz Pierrelo potarł brodę.

– Czy czujesz się chory? – przerwał.

– Nie. I... nie wydaje mi się, żebym kiedykolwiek w życiu czuł taką ulgę.

Przesunął dłońmi w dół klatki piersiowej, w górę ramion, jakby jego ciało było dla niego zupełnie nowe. Oczy miał okrągłe ze zdumienia, bardziej zdziwione niż oczy dziecka w Boże Narodzenie. Skóra Elsie mrowiała, jakby pod nią tańczyły piórka. To jej zasługa.

– Hmm – Mistrz Pierrelo zastanawiał się przez kilka sekund. – Ktokolwiek rzucił na ciebie to pierwsze zaklęcie, zrobił to, zanim otrzymałeś moje... Sugeruję, żebyś wziął rysunek tej młodej damy i zobaczył, czy możesz określić, co to było.

Desperacko potrzebując jakiegoś zadania, Elsie chwyciła swój rysunek i podała mu. Palce Bachusa drżały lekko, gdy brał kartkę i studiował narysowaną węglem drzewnym runę. Odetchnął głęboko, być może próbując zorientować się w tym nowym sposobie bycia.

– W takim razie wracamy do Londynu.

Powiedział my.

Elsie splotła dłonie. Z pewnością Bachus mógłby wprowadzić ją do Ateneum Fizycznego. Będzie mogła dotknąć tych run. Pomóc Bachusowi i być może jednocześnie doksztąpić się z kilku magicznych ksiąg. Wszystkiego, co umiała, nauczyła się sama.

– Myślę, że to rozsądne. Jeśli chcesz, żebym powtórzył zaklęcie... – zaproponował Mistrz Pierrelo, ale Bachus potrząsnął głową.

– Nie, jeszcze nie. Muszę wiedzieć, co to jest. Tak szybko, jak to możliwe.

Złożył kartkę i schował ją do kieszeni spodni, po czym chwycił koszulę i wciągnął ją przez głowę. Elsie podała mu resztę odzieży, odwracając wzrok. Coś w patrzeniu, jak się ubiera, wydawało jej się równie skandaliczne, jak patrzenie, jak się rozbiera. Jeśli to nie była dziejąca się w prawdziwym życiu akcja powieści, to nie wiedziała, co to jest. Bachus dokończył ubieranie i przerwał ciszę.

– Pozwól, że zapłacę ci za twój czas.

Mistrz Pierrelo powstrzymał go, unosząc rękę.

– Nie zająłeś mi nawet kwadransa. Przykro mi, że podróżowałaś tak daleko tylko po to, by nie potrzebować moich usług. Idź. I daj mi znać, co odkryjesz,

choćby po to, by zaspokoić moją ciekawość – przyjrzał się Bachusowi. – Ta tajemnica trwała ponad dziesięć lat.

Minęło więc dziesięć lat, odkąd Mistrz Pierrelo rzucił zaklęcie. Jak długo istniało to drugie? Bachus ponownie uściskał dłoń mistrza, a Elsie zrobiła to samo, mimo że był to męski gest. Dlaczego nie? Z tego, co wiedział, była profesjonalną łamaczką zaklęć, i nie było to nawet w przybliżeniu tak gorszące, jak położenie rąk na nagim torsie młodego mężczyzny, prawda? A ponieważ niecodziennie spotykała mistrza magii, pomyślała, że może też spróbuje zdobyć jakieś informacje.

– Mistrzu Pierrelo – odezwała się. – Co sądzisz o związanych z opusami zbrodniach, które miały miejsce w Londynie?

Czarodziej zmarszczył brwi i puścił jej rękę.

– Nie tylko w Londynie. Nie wiem zbyt wiele. Im mniej jestem w to zaangażowany, tym jestem bezpieczniejszy.

Wydawał się zdecydowany nie mówić więcej, więc Elsie kiwnęła głową i życzyła mu powodzenia. Być może strach przed atakiem był jednym z powodów, dla których Mistrz Pierrelo na jakiś czas wrócił do domu. Mimo to miło by było, gdyby powiedział: *Raczej podejrzewam pewnego dziedzica. Chcesz o tym posłuchać?*

Prawie musiała biec, by dogonić Bachusa. Sadził kroki dłuższe niż zwykle. Tak bardzo chciał wyjechać do Londynu, że prawie zapomniał podziękować pani Pierrelo za gościnność i zupełnie zapomniał podziękować jej mężowi, Mistrzowi Pierrelo, który siedział w kącie, czyszcząc buty. Elsie machnęła do nich przepraszająco ręką i poszła za Bachusem.

– Elsie – odwrócił się nagle, powóz stał zaledwie kilka kroków dalej. Rainera i Johna tam nie było; prawdopodobnie wyruszyli na zwiedzanie miasta. Elsie ledwie zauważyła ich nieobecność. Była zbyt zachwycona faktem, że Bachus po raz trzeci zwrócił się do niej po imieniu. Chwycił ją za ramiona i rozchylił usta w szczerym uśmiechu, zęby miał białe jak perły. – Uratowałam mnie, Elsie.

Uśmiechnęła się, a jej serce zrobiło fikołka.

– Nie mówiłabym tego tak szybko. Nie wiesz, co to było.

– Ale czuję różnicę.

Przez przerażającą chwilę myślała, że uniesie ją w powietrze, ale jego dłonie tylko zacisnęły się odrobinę mocniej, zanim ją puściły, i poczuła dziwny smutek z powodu rozstania. Bachus uniósł ręce, po czym chwycił się za włosy i spojrzał na mżące niebo, jakby patrzył w sam Eden.

– Czuję się niesamowicie. Cokolwiek to było, wyleczyłaś mnie.

Słyszając ten komplement, poczuła ciepło rozlewające się w piersi. Choć zrobiła wiele dobrego pod przewodnictwem Kapturów, nigdy nie spotkała się

z uznaniem. Nigdy wcześniej jej nie podziękowano.

– Nie ma za co, Bachusie.

Jej ton nie był zbyt radosny, więc przerwał świętowanie, by na nią spojrzeć.

– Coś jest nie tak?

Pociągnęła upartą luźną nitkę na rękawie.

– Wiesz, kto to zrobił? Kto mógł rzucić na ciebie tak okropne zaklęcie?

Niemal natychmiast otrzeźwiał, a Elsie pożałowała, że była tego przyczyną. Jego zielone oczy poruszały się w górę i w dół, jakby czytał swoje wspomnienia jak wiersze w książce.

– Nie, nie – zmarszczył brwi. – Cóż, wiemy, jak wyglądała runa. – Elsie pokiwała głową. – Londyńskie Ateneum Fizyczne powinno mieć to, czego szukamy.

– Powiedziałaś, *my* – wystawiła palec, jakby go oskarżała. – To znaczy, że idę z tobą. Dżentelmen nie wycofuje się ze swojego słowa, panie Kelsey.

Jego usta drgnęły. Nie był to jego ciepły normalny uśmiech, ale Elsie przyjęłaby wszystko.

– Oczywiście. Na pewno cię tu nie zostawię. Panno Camden, być może zawdzięczam pani życie.

– Och, wąpię w to – ale zarumieniła się pomimo swoich słów. – Mam dość tego powozu, ale chciałabym jak najszybciej wyjechać.

– Tak – zawrócił. – Jak tylko znajdziemy Johna i Rainera.

– Będziemy mieli wiele do zrobienia podczas oczekiwania – powiedziała, a kiedy się odwrócił, dodała: – Ma pan wiele rzeczy do nauczenia mnie z zakresu księgowości, panie Kelsey, jeśli po moim powrocie mają uwierzyć w naszą historię.

Uśmiechnął się do niej czymś w połowie drogi między wykrzywieniem ust a pełnym, promiennym uśmiechem.

– Masz rację. Jak dobrze radzisz sobie z prawdopodobieństwem?

Martwiła ją teraz nitka na rękawie, więc podeszła do walizki na tyle powozu, żeby wyjąć przybory do szycia.

– Nie używam ich często, więc chyba możemy zacząć od tego. W oczach pana Ogdena będę brzmiała na bardzo wykształconą.

Elsie otworzyła walizkę – ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowała, był Bachus zaglądający do środka i oglądający jej bieliznę lub coś w tym rodzaju. Zaczęła szukać swojego miniaturowego zestawu do szycia, a konkretnie nożyczek. Dotknęła palcem ostrej krawędzi i złapała ją, ale była zbyt cienka jak na zestaw. Broszura z odcinkiem powieści leżała na samym wierzchu. Zaciekawiona, chwyciła rzecz i wyciągnęła ją. Cała krew, która napłynęła jej do twarzy przez ostatnie pół godziny, odpłynęła. Znała ten szary pergamin. Nie musiała nawet

sprawdzać pieczęci przed otwarciem listu. Czy śledzili mnie aż tutaj? Nie widziała listu w gospodzie zeszłej nocy, ale grzebała w walizce głęboko, kiedy ubierała się dziś rano.

W Colchester jest magazyn z zakłętą bronią. Pracujący tam policjant jest niemiły w stosunku do tych, którzy nie dają mu łapówek. Byłoby lepiej, gdyby miał mniejszą władzę.

W liście był też adres i banknot pięcioletni – pięć funtów! Puls Elsie przyspieszył. Przejeżdżała już przez Colchester. Czy jej tajemniczy kontakt chciał, żeby to zrobiła? Będą przejeżdżali przez nie ponownie w drodze do domu, ale jaką wymówkę mogłaby dać Bachusowi, żeby się zatrzymał i nie towarzyszył jej? Pięć funtów... to mogło pokryć wszystkie jej prywatne wydatki.

Jej serce zamarło. Chciała dowiedzieć się czegoś o runie, którą miał Bachus. Chciała rozwikłać tajemnicę, która zdawała się go otaczać. Chciała dzielić z nim powóz. To było dziwne uczucie. W przeszłości zawsze była podekscytowana wykonywaniem rozkazów Kapturów. Ale teraz...

– Co to jest? – zapytał Bachus, zaglądając jej przez ramię.

Wepchnęła list pod pasek spódnicy.

– Och, panie Kelsey, obawiam się, że mimo wszystko nie będę mogła pojechać tam z panem. Rozczarowanie spływało w dół jej ciała jak ten mglisty deszcz dookoła.

Kelsey obszedł pojazd.

– Co masz na myśli? Co to był za list?

Wypięła pierś i oparła ręce na biodrach.

– To prywatna korespondencja.

– Ale dopiero teraz złamałaś pieczęć? – spojrzał ponad jej głowę. – Podążając za jego spojrzeniem, Elsie wypatrzyła Rainera na końcu drogi. Ignorując komentarz, powiedziała:

– Muszę jechać do... Hadleigh. Zapomniałam o tym wspomnieć. Wynikło to po twojej niedzielnej wizycie. – Wyciągnęła walizkę z powozu.

– Hadleigh? – zmarszczył brwi. – Gdzie to jest?

– Na zachodzie. Daleko – odwróciła się do niego, trzymając oburącz rączkę walizki. – Wezmę własny powóz. – Jego spojrzenie było niedowierzające.

– Jak daleko na zachód? Jestem pewien, że nie byłoby to zbyt kłopotliwe...

– Musisz dostać się do Londynu – upierała się ciszej, patrząc na niego w napięciu. *Po prostu to zrób*, błagała w myślach. – Musisz dowiedzieć się, co to za zakłęcie. I musisz to zrobić sam.

Zmarszczył brwi.

– Nie sądzę, żeby to było mądre.

– Nie wierzę, że masz w tej sprawie coś do powiedzenia.

Te słowa dodały twardej linii na środku jego czoła.

– Chodzi mi o to, że samotne podróżowanie nie jest bezpieczne.

– W takim razie pojedę omnibusem. Albo pociągiem.

– Nie rozumiem...

– Bachusie – jej głos był twardy, ale cichy. Podeszła bliżej, by upewnić się, że ją słyszy. – Proszę. Muszę to zrobić i nie mogę tego wytłumaczyć. Bezpiecznie dotrę do domu. Wyślę nawet telegram. Proszę cię, abyś nie walczył ze mną w tej sprawie.

Zawahał się, lustrując ją od góry do dołu.

– To ma coś wspólnego z kłamką, prawda?

Kłamka z zaklęciem ciepła. Tym, które rozplątywała, kiedy ją złapał. Nie odezwała się. Zrobił krok w tył, ściskając nasadę nosa, jakby wybuchł tam ból głowy.

– Elsie...

– Powiedziałaś, że zapłacisz mi za moje usługi, prawda? To jest zapłata, pozwolić mi odejść samej, bez narzekania i z pełnym zrozumieniem – zmusiła się do uśmiechu. – Nadchodzi Rainer. Nie ma potrzeby czekać. To tajemnica, która czeka na rozwiązanie od ponad dziesięciu lat, pamiętasz?

Odwróciła się od niego i obeszła powóz, kierując się w tym samym kierunku, z którego przybył Rainer. Przerwała, obejrzała się przez ramię z uśmiechem przyklejonym do twarzy.

– Dbaj o siebie, proszę. I daj mi znać, co znajdziesz.

Przyspieszając kroku, Elsie wykonała pierwszy zwrot, jaki mogła, nie gubiąc się beznadziejnie, tylko po to, by wyjść z jego pola widzenia. Bachus Kelsey na szczęście nie poszedł za nią.

ROZDZIAŁ 16

Przez jakiś czas wydawało się, że dorożka nie może jechać wolniej. Elsie była pewna, że zobaczy za oknem powóz księcia Kentu albo, co gorsza, że będzie jechał za nią. Ale Bachus spełnił jej prośbę i nie ścigał jej. Co w dziwny sposób sprawiło, że żałowała, iż tego nie uczynił.

To było już bez znaczenia. Zapłaciła za dorożkę pieniędzmi od Kapturów i teraz jechała nią, z walizką położoną na ławce naprzeciw niej. Dorożki nie zawsze pokonywały duże odległości, więc musiała przesiadać się jeszcze dwa razy, zanim znalazła pensjonat, w którym mogła zatrzymać się na noc, i następnego ranka wyjechała wcześniej, żeby zdążyć do Colchester. Tam poprosiła woźnicę, aby wysadził ją obok tutejszego hotelu, podejrzewając, że zostanie zauważona, jeśli wysiądzie w pobliżu adresu podanego w liście. Lepiej nie ryzykować. Zostawiła torbę w pokoju i poszła na spacer obejrzeć magazyn. Oczywiście nie był strzeżony przez zakłęcia – to byłoby zbyt proste – ale przez ludzi. Uświadomiła sobie prawdziwy powód, dla którego w kopercie było tyle pieniędzy. Będzie musiała zostać w Colchester, dopóki nie pozna harmonogramu pracy strażników. Może są szczególnie bogobojnymi ludźmi, ale nie mogła raczej liczyć na to, że z powodu szabasu pozostaną w swoich domach. Tego pierwszego dnia, w piątek, trzy razy przeszła obok magazynu. Za drugim razem, cztery godziny po pierwszym spacerze, przy wejściu pojawił się nowy strażnik i wieczorem został zastąpiony przez dwóch kolejnych. Nie rozpoznała strażnika pełniącego wartę następnego ranka, ale rozpoznała tego, który był przed nim.

Nigdy nie przyłapała ich na zmianie warty.

Kaptury nie przydzieliłyby ci zadania, którego nie jesteś w stanie wykonać. Nie bez wysłania ci pomocy.

Poranna msza w lokalnym kościele rozpoczęła się o dziewiątej rano. Trzydzieści minut później w oddali zawyła syrena. Jej wycie wywołało strach w sercu Elsie i dziewczyna zatrzymała się na dobre dziesięć minut. Kiedy nikt za nią nie przyszedł, zakradła się z powrotem do magazynu, zaskoczona, że nie jest pilnowana. Z pewnością nie był to przypadek. Kaptury musiały uruchomić alarm lub zwrócić ich uwagę na coś innego, wiedząc, że ona tam będzie. Kusiło ją, by pójść za dźwiękiem alarmu, znaleźć Kaptury lub może kogoś innego, kto dla nich pracował, ale czas był najważniejszy. Poruszała się szybko.

W pomieszczeniu było gorąco i ciemno, ale wzdrygnęła się na to, co zobaczyła. Na ścianach wisiała wszelkiego rodzaju broń oraz narzędzia do niej. Ile z nich zostało użytych przeciwko biednym, zwłaszcza tym, których do zbrodni doprowadziły głód i desperacja? Ta myśl przyprawiła ją o dreszcze. Niemal biegła wzdłuż ścian, przesuając dłońmi po uchwytych, unikając ostrzy. Szybko znalazła zaklętą broń, wisiała z tyłu pomieszczenia na jednej ścianie. Nie rozpoznawała rzuconych na nią zaklęć, z wyjątkiem czasowych run chroniących przed rdzą. Złamała wszystkie, rozwiązując węzeł po węźle, aż zaczęły ją swędzieć nadgarstki. Potem, z gorsetem przyklejonym do spoconych piersi, uciekła. Wydawało jej się, że usłyszała, jak ktoś za nią krzyczy, ale pobiegła, aż gorset zaczął ją dusić, a pot kapał jej z włosów, a kiedy zawróciła do hotelu, nikt za nią nie szedł. Wyjechała do Brookley tego samego dnia.

* * *

Ten tydzień był jednym z najbardziej stresujących okresów w życiu Bachusa.

Wszystkie te godziny, które spędził na zastanawianiu się nad drugim zaklęciem, niepewny, co ono może znaczyć, wykończyły go. Nienawidził też Ipswich. Pola uprawne buraków cukrowych kojarzyły mu się z domem w najgorszy możliwy sposób. Nienawidził plantacji trzciny cukrowej. Nienawidził tego, co reprezentowały – upadku i złego traktowania przodków jego przyjaciół i sąsiadów, dziedzictwa, które wciąż tkwiło w nich nawet sześćdziesiąt lat po wyzwoleniu. Z tego samego powodu nienawidził słodczy – najśłodszą rzeczą, jaką mógł zjeść, był owoc asyminy.

I nagle zaklęcie przedłużające jego życie zostało usunięte, a tajemnicze drugie zaklęcie złamane i... Czuł się cudownie. Był zdrowy, silny, pełen wigoru. Jakby miał znowu trzynaście lat. Zmiana była dezorientująca, a zarazem tak błoga. Otaczający go świat jakby rozszerzył się i pojaśniał. Mógł teraz łatwo zdobyć tytuł mistrzowski. Zaklęcie przenoszenia nie miało już znaczenia. Był w stanie zrobić wszystko, co chciał. A jednak jego radość była krótkotrwała, nie tylko ze względu na świadomość, że ktoś celowo sabotował go tym zaklęciem, ale także z powodu pustki panującej w powozie. Czuł nieobecność kobiety, która, musiał przyznać, była raczej sympatyczna.

Sympatyczna. Nawet on czuł, że to niewłaściwe słowo. Tak, była sympatyczna, ale przyciągało go do niej coś innego. Nadal czuł chłodny dotyk jej palców na swojej klatce piersiowej i brzuchu. Coś, co rozproszyło jego niepokój i podsyciło inne, bardziej irytujące uczucie. Coś, o czym wcześniej nie chciał myśleć, biorąc pod uwagę okoliczności ich relacji.

Teraz jej nie było, a on nie mógł być bardziej zdezorientowany.

Nie podejrzewał już Elsie o kradzież, ale tak pilnie strzegła swoich sekretów. Wydawała się wobec niego taka szczerą, tak bezpośrednią podczas ich podróży do Ipswich i równie szybko się przed nim zamknęła. Uciekła bez powodu. Porzuciła misję, w którą najwyraźniej się zaangażowała.

Co było w tym liście? Groźba? Szantaż? A może zaczął wymyślać? Chciał ją poprosić, żeby to wyjaśniła, ale jej oczy wyglądały na zamknięte, a usta na zacięte. Właśnie zerwała więzy, które nieświadomie nosił od czasu dorastania, więc pozwolił jej odejść i pozostał sam, przytłoczony pytaniami bez odpowiedzi.

Zamiast udać się prosto do Londynu, wrócił najpierw do Kentu, chcąc przekazać księciu najświeższe wieści i sprawdzić, czy dotarł obiecany telegram od Elsie. Przybył w niedzielę i stwierdził, że telegram nie dotarł, a księżę podczas jego nieobecności podupadł na zdrowiu. Nie zdarza się to po raz pierwszy, ale mimo to zmartwiło Bachusa. Cała rodzina księcia była na skraju wytrzymałości i martwiła się o niego. I tak Bachus spędził większość niedzieli, przemierzając długie korytarze posiadłości i zadreńczając się. To musiał być niezwykle widok, bo nawet Rainer i John zachowywali dystans. W poniedziałek rano pojechał do Londynu, do Ateneum Fizycznego. Napisał z wyprzedzeniem, prosząc o spotkanie w sprawie swojego awansu, ale kiedy przyjechał, pierwszym miejscem, do którego się udał, była biblioteka. Półki z książkami tworzyły tajemniczy labirynt. Gdy tak chodził między nimi, na pierwszy rzut oka nie wydawały się imponujące. W jednym z większych pomieszczeń zauważył starszego pomocnika i podszedł do niego.

– Ty, pracujesz tu? – zapytał ze zniecierpliwieniem.

Próbował się otrząsnąć, ale pytania nie dawały mu spokoju. Mógł teraz odpowiedzieć przynajmniej na jedno z nich: jaka runa naznaczyła jego skórę? Jeśli chodzi o bezpieczeństwo Elsie – panny Camden – musiał poczekać. Pomocnik spojrział znad okularów. Wydawało się, że marszczy brwi, ale być może tak po prostu wyglądała zwiotczała skóra na jego twarzy.

– Nigdy nie widziałem Hiszpana w tych stronach.

Bachus wątpił, czy kiedykolwiek widział Hiszpana w ogóle, ponieważ on nim nie był. Stłamsił zniecierpliwienie i postanowił nie poprawiać mężczyzny.

– Czy znasz jakieś księgi z runami?

Zamrugnął, okulary sprawiły, że jego oczy zrobiły się duże i przypominały ptaka.

– Z runami? Są tylko w książkach o łamaniu zaklęć. W piwnicy. Dlaczego pytasz?

– Dziękuję – odsunął się, ale po chwili się zatrzymał. – Czy mógłbyś łaskawie wskazać mi drogę do schodów?

Mężczyzna zrobił to, podnosząc krzywy palec, i Bachus przemierzył pomieszczenie długimi krokami. Półki z książkami zagradzały mu drogę jak strażnicy, ale w końcu znalazł klatkę schodową pogrążoną w cieniu z powodu wypalanej lampy. Stąpił ostrożnie, a z każdym jego krokiem spadała temperatura. Zapach pleśni wdarł mu się do nosa, gdy dotarł na najniższy poziom. Miejsce było słabo oświetlone, więc zdjął ze ściany jedną z lamp i zabrał ze sobą. Były tu jeszcze dwie osoby: kobieta prawie w wieku pomocnika i chłopiec, który nie mógł mieć nawet dwunastu lat. Kobieta zerknęła na Bachusa; chłopiec ze zmierzwionymi włosami ślęczał nad książką. Bachus podejrzewał, że był jej uczniem. Być może uczył się, by zostać łamaczem zaklęć. Miał nadzieję, że nie miał tomu, którego Bachus szukał. Mężczyzna nie powiedział, gdzie w piwnicy znajdzie księgi z runami, więc zmusił się do zwolnienia tempa i czytania grzbietów i etykiet, które były bardzo ubogie w informacje. Wyciągnął z kieszeni złożoną kartkę, by ponownie przestudiować rysunek Elsie. Symbol wyglądał prawie azjatycko, ale spirale na krawędziach nadawały mu bardziej francuską estetykę. Nie żeby to miało znaczenie. Magia była uniwersalna. Schowawszy papier – myśląc o Hadleigh, gdzie podobno udała się Elsie – przejrzał jeden rząd książek, a potem drugi, zapełniony zaledwie w jednej czwartej. Do następnej półki. W tym tempie musiałby zapytać starszą kobietę...

Encyklopedia run do 1804 roku, rzuciło mu się w oczy. Grzbiet był szeroki jak jego dłoń, a kiedy po nią sięgnął, stęknął przytłoczony ciężarem tomu. Równie dobrze mógł być wykonany z żelaza. Spodziewał się kurzu, ale znalazł go tam stosunkowo niewiele. Albo tom był często używany, albo pracownicy biblioteki traktowali swoją pracę bardzo poważnie.

Szukał stolika, ale jedyny wolny stał obok kobiety i jej ucznia, a wolałby mieć trochę prywatności. Wrócił więc do w większości wolnej półki, postawił lampę, położył księgę i otworzył ją. Na każdej stronie znajdowały się trzy lub cztery zaklęcia, ułożone w porządku alfabetycznym. Na szczęście rzecz została również podzielona na cztery sekcje: zaklęcia dla nowicjuszy, średniozaawansowanych, zaawansowanych i mistrzów. Przerzucił na ostatnią ćwiartkę i powoli przewracał strony, przysuwając lampę bliżej.

A więc tak wygląda zaklęcie przemieszczania, pomyślał, przesuując palcami po skomplikowanych zwojach zaklęcia, które tak bardzo starał się uzyskać. Zaklęcia, którego już nie potrzebował, dzięki Elsie. Żołądek mu się ścisnął. Zignorował to.

Runa przenoszenia nie pomogłaby mu w nauce zaklęcia po łacinie, a tylko to w rzeczywistości umożliwiłoby mu użycie go. Przy nazwie był znak plusa. Zaawansowane zaklęcie mistrzowskie. Przewrócił stronę. Po bliższym

przyjrzeniu dostrzegł, że kolor atramentu pasował do rodzaju zaklęć. Zaklęcia fizyczne były niebieskie, zaklęcia umysłowe – czerwone, zaklęcia duchowe – żółte, a zaklęcia czasowe – zielone. Żółty atrament wyblakł, przez co duchowe runy były trudne do odczytania w słabym świetle, ale Bachusa interesowały tylko runy fizyczne. Odrzucał zaklęcie za zaklęciem, przewracając stronę za stroną. Wydawało mu się, że słyszy, jak kobieta i chłopak przechodzą od swojego stolika do schodów. Zbliżył się do końca książki i przewrócił stronę. Natychmiast zobaczył właściwą runę. Wstrzymał oddech i uderzył dłonią w kartkę, jakby runa mogła z niej wyskoczyć.

Niebieski atrament wyblakł prawie do czerni, a obok nazwy widniały dwa plusy. Bardzo silne zaklęcie.

Litery przez chwilę wydawały się obce. Bachus przysunął lampę jeszcze bliżej. Dojrzał jedno słowo. Syfon.

Układał sylaby ustami. Syfon. Zaklęcie wysysające? A na następnej stronie runa została odwrócona. Zmrużył oczy, patrząc na wyblakły tekst pod obrazami, i przeczytał pod pierwszą runą *Dare*, a pod drugą *Accipere*. Łacina. Dawać i otrzymywać.

Fizyczny aspektor w jakiś sposób rzucił na niego mistrzowskie zaklęcie wysokiej rangi i... wysał z niego siły? Wywołując u niego objawy, które dwóch lekarzy zdiagnozowało jako wczesne stadium polio? Czy aspektor zachował skradzioną siłę dla siebie? Zabutelkował ją jakoś? Pozwolił jej spłynąć do morza?

Dlaczego?

Chwycił brzegi książki, aż jego paznokcie zostawiły ślady na okładkach. Jego jedyną pociechą była świadomość, że ktokolwiek skorzystał na osłabieniu jego siły, nie może jej już wykorzystać. Ale gdzie to się stało? Na Barbadosie? W Anglii? Był też w Nowym Jorku i we Francji, ale zupełnie nie pamiętał tego wydarzenia ani osoby, która to zrobiła. Czy obecny był również umysłowy aspektor, który wyczyścił jego wspomnienia?

To zaczynało brzmieć absurdalnie.

Syfon.

Wiedział mniej więcej, kiedy to się stało. Zanim jego rodzice sprowadzili pierwszego lekarza. Ale... Zamknął oczy, wyęzając pamięć. Jako chłopiec często przyjeżdżał do Anglii. Raz zachorował na chorobę morską w drodze powrotnej. Czy to był początek wysysania, czy też nastąpił on dopiero, gdy był w domu na Barbadosie? Ale Barbados nie słynął z aspektorów. Bachus był jednym z nielicznych, chociaż amerykańscy czarodzieje spędzali tam wakacje w miesiącach zimowych...

Zatrzasnął księgę. Nie mógł tego zrozumieć i musiał pogodzić się z tym, że może nigdy nie pozna prawdy. Mógł najpierw przeprowadzić śledztwo na Barbadosie, zapytać swoją starzejącą się nianię, ale ona nigdy nie towarzyszyła jemu i jego ojcu w podróżach. Martwiła się o niego. Płakała nad diagnozą! Gdyby cokolwiek wiedziała, z pewnością by mu o tym powiedziała. I pomyśleć, że jego ojciec nigdy nie pozna prawdy... Odsunął się od półki, biorąc ze sobą lampę. *Odpuść sobie*, usłyszał w głowie słowa ojca. *Nic ci nie da pozwolenie, żeby ta rana dalej się jątrzyła*. Często mu to powtarzał, najpierw, kiedy był jedynym obcokrajowcem na angielskich ulicach, a później, kiedy wzbierał w nim gniew z powodu błahych rzeczy. Tego nie mógł odpuścić, jeszcze nie. Ale schowa to wszystko w sobie, dopóki nie będzie mógł zbadać tego dokładniej.

W dodatku miał do zdobycia tytuł mistrza.

ROZDZIAŁ 17

Kiedy Elsie wróciła do Brookley, pierwszym miejscem, do którego się udała, była poczta, z której wysłała niejasny i niedrogi telegram do Kentu.

Wszystko w porządku.

Najpierw mimochodem zapytała Marthę Morgan, czy w gazetach nie pojawiły się jakieś nowe informacje o przestępstwach związanych z opusami, a potem, czy dziedzic jest w mieście. Martha twierdziła, że nie widziała żadnych wiadomości o zbrodniach na aspektorach, a dziedzic był tu zaledwie wczoraj. Żadnych morderstw, kiedy dziedzic był w domu. Ta informacja podsyciła rosnące podejrzenia Elsie. Gdyby tylko była zarejestrowaną łamaczką zaklęć... Wtedy miałyby dostęp do ateneum i mogłyby obracać się w najwyższych kręgach aspektorów i wypytywać ich, dostrzegając tajemnice, których dziennikarze nie umieszczali lub być może nie mogli umieścić w gazecie.

Ale nie była zarejestrowana i nigdy nie będzie. Co ona, Elsie Camden, mogła zrobić? To nie tak, że Ogden kiedykolwiek stanie się ich celem. Będzie musiała poczekać, aż odpowiedzi przyjdą do niej, tak jak do wszystkich innych. Odcinek powieści bez daty wydania.

Z walizką w ręku pospieszyła do domu. Nie dotarła nawet do drzwi wejściowych, kiedy Emmeline wystraszyła ją niemal na śmierć.

– Elsie! – wrzasnęła, prawie potykając się o kosz z praniem, które miała właśnie wieszać. Podbiegła do Elsie i przytuliła ją. – Jak było? Ekscytująco? Było tu tak nudno bez ciebie. I pojawił się kolejny odcinek twojej powieści! Ale pan Ogden powiedział, że nie mogę go przeczytać bez twojego pozwolenia. Szaleję, zastanawiając się, co będzie dalej. Czy to już ostatni numer?

Elsie się roześmiała, to wszystko rozbawiło ją w sposób, którego tak teraz potrzebowała.

– Może mogłybyśmy przeczytać go razem, jak będę odpoczywać. O ile Ogden nie potrzebuje mojej pomocy, oczywiście.

– Och – Emmeline wzięła walizkę Elsie. – Musisz być wyczerpana. Nawet o tym nie pomyślałam. Poczytamy jutro.

Elsie zabrała bagaż.

– Czuję się na tyle dobrze, żeby móc nosić własny bagaż. Gdzie jest Ogden?

– Ostatnio widziałam go w pracowni.

Elsie ścisnęła ramię Emmeline, po czym weszła do domu i postawiła walizkę na dole schodów. Po drodze zdjęła rękawiczki. Rzeczywiście, Ogden był w pracowni, której podłoga wyłożona była plandekami, a na wpół pomalowane na niebiesko płótno stało przed nim.

– Praca czy przyjemność? – zapytała Elsie.

Przestraszył się, na szczęście cofając pędzel, zanim zdążył zniszczyć obraz.

– Och, Elsie! Tak dobrze widzieć cię z powrotem w domu. Jak było?

Przećwiczyła swoje słowa w dorożce, więc wypłynęły z jej ust tak łatwo, jakby były prawdziwe.

– Szczerze mówiąc, było raczej okropnie. Wszyscy zaproszeni byli w sytuacji podobnej do mojej, łącznie z kilkoma sekretarkami. Ale traktowali nas jak bandę głupków, jakbyśmy ledwo umiały czytać, nie mówiąc już o rozróżnianiu prawej od lewej. Niewiele się nauczyłam – westchnęła. – Cieszę się, że jestem w domu.

Przynajmniej to było prawdą.

– Ojej – Ogden oparł pędzel na palecie. – Będę musiał napisać do nich o twoim rozczarowaniu.

Elsie kiwnęła głową.

– Dam ci adres – co znaczyło: *Poczekam, aż zapomnisz, że pytałeś*. Ziewnęła, zasłaniając usta pięścią i zapytała: – Co mogę ci podać, Ogden? Przypuszczam, że jadłeś już lunch.

Sięgnął do podłogi po butelkę białej farby.

– Idź odpocząć, Elsie. Rano będę miał dla ciebie mnóstwo pracy do nadrobienia.

– Jesteś pewien?

– Czy kiedykolwiek nie byłem?

Uśmiechnęła się.

– W takim razie pewna mała myszka powiedziała mi, że przyszedł kolejny odcinek mojej powieści.

Zachichotał.

– Ta mała myszka miała zostawić go dla ciebie na łóżku.

– Jeszcze nie byłam na górze, więc sprawdzę – zatrzymała się w połowie drogi do drzwi. – Panie Ogden, pan czyta gazety.

Wycisnął na paletę trochę farby.

– Tak...

– W takim razie wie pan, że doszło do niepokojącej liczby kradzieży i... morderstw... w ostatnim czasie.

Przerwał. Odłożył farbę i paletę.

– Tak, zauważyłem. Czasami zastanawiam się, czy lepiej być dobrze poinformowanym, czy pozostać ignorantem. Albo raczej dobrze poinformowanym i przygnębnym, czy być szczęśliwym ignorantem.

Elsie kiwnęła głową.

– Gdyby tylko można było być dobrze poinformowanym i szczęśliwym.

Wstając ze swojego stołka, Ogden powiedział:

– Ach, ale nie tak działa ten świat. Dziennikarze nie zarabiają na czynsz, informując o tym, jak dobrze się sprawy mają, chyba że dotyczy to królowej.

Splotła palce.

– Chciałabym tylko, żebyśmy mogli coś z tym zrobić.

– Ostrożnie, Elsie, bo zabrzmisz jak torys.

Posłała mu słaby uśmiech.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Większość przestępstw, o których pisano ostatnio, wymierzona była w klasę wyższą.

– To prawda – zaczęła ostrożnie. – Ale tak naprawdę po prostu nie warto okradać tych, którzy nie mają pieniędzy. Albo magii.

Ogden kiwnął głową. Usiadł, po czym podniósł pędzel i paletę. Zaczął nakładać białą farbę na płótno w pozornie przypadkowe miejsca: najpierw u góry, potem z boku, a potem po prawej. Ruchy nie miały sensu, nawet jeśli próbował namalować chmury, ale był w nich jakiś dziwny wzór. Elsie mogła prawie się domyślić, gdzie Ogden dotknie płótna pędzlem w następnej kolejności.

– Tak. Wydaje się, że przewija się w nich ten sam motyw. A może gazety skupiają się wyłącznie na lordach i aspektorach, bo dzięki temu historia jest bardziej interesująca.

Przygryzła paznokieć kciuka.

– Być może.

– Jeśli to pomoże – musnął środek płótna. – Dziedzic nie przejmuje się tym. Rozmawialiśmy na ten temat ostatniego dnia mojej pracy.

Elsie cmoknęła.

– Dziedzica nie obchodzi nic poza nim samym. Jeśli ktoś miałby polować na opusy, to właśnie on. Kocha władzę. A co jest potężniejszego niż magia, którą możesz rzucać za darmo?

– Uważaj, Elsie – opuścił pędzel. – Nigdy nie wiadomo, kiedy ktoś może podsłuchiwać.

Zesztywniała. Spojrzała na drzwi, potem na okno. Byli sami.

– Chcesz mnie przestraszyć.

Chociaż jeden kącik jego ust uniósł się w półśmiechu, Ogden potrząsnął głową.

– Nie. Ale nie musisz się bać. Nie masz opusu, który można ukraść, a mój nie zawiera więcej niż stronę.

Te słowa, na wpół żartobliwe, uderzyły Elsie do głębi. Ogden miał oczywiście rację – większą niż mu się zdawało. Łamacze zaklęć nie mieli opusów. Mogli tylko łamać zaklęcia, a nie uczyć się ich. Zastanawiał się chwilę.

– Jeśli kiedykolwiek będzie źle, wykradniemy się, ty, Emmeline i ja. Pojedziemy nad Tamizę, może nawet do doków Świętej Katarzyny i popłyniemy cichaczem łodzią do kanału. Jak twój francuski?

Elsie prychnęła.

– Doprawdy bardzo słabo. Miejmy nadzieję, że nie przyjdzie nam jechać, polegając tylko na moim francuskim.

Zostawiając Ogdena z jego pracą, przeszła przez kuchnię, żeby wziąć trochę chleba z masłem, po czym zniosła swoją walizkę do pokoju. Wszystkie jej ubrania wymagały prania i wyprasowania. Zajmie się tym dziś wieczorem, zanim pójdzie do łóżka. Powieść rzeczywiście leżała na kołdrze, ale Elsie przejrzała walizkę, zanim na nią spojrzała, upewniając się, że nie ma już żadnych więcej listów.

Jak w ogóle dostały się do jej torby?

Część niej żałowała, że tego nie widziała. O ile więcej mogłaby się dowiedzieć o Bachusie Kelseyu, gdyby wślizgnęła się z nim do Ateneum Fizycznego? Nie tylko poznałaby tajemnicę jego zaklęcia, ale znacznie więcej.

Nie żebyś miała prawo wiedzieć. Doprawdy, Elsie.

Zmusiwszy myśli do powrotu do bardziej racjonalnych spraw, podeszła do okna i wyjrzała na ulicę. Była pusta, jeśli nie liczyć kilku mężczyzn, którzy stali z dala od głównej drogi. Żaden z nich nie podniósł na nią wzroku ani nie okazał najmniejszego zainteresowania warsztatem kamieniarskim.

– Czy kiedykolwiek zdradzicie mi swoje sekrety, Kaptury? – szepnęła do szyby. – Czy uznacie mnie za godną wtajemniczenia?

Zastanawiała się, czy uznałyby ją za bardziej wartościową, gdyby zaczęła ignorować ich listy. Nie bała się, że odegrają się w jakiś paskudny sposób; zawsze były dla niej miłe. Pan Parker z pewnością był miły. Nie, jej największym lękiem było to, że w ogóle przestaną pisać. Sen zamykał jej oczy, więc przetała je. Naprawdę przydałaby jej się chwila odpoczynku. Odrywając wzrok od ulicy, spojrzała ponad Brookley w zielony horyzont. *Czy znalazłeś swoją runę, Bachusie? Powiesz mi, czy twoją cierpliwość też wyczerpałam?*

Martwienie się o to było bezowocne, ale to jej nie powstrzymało. Zaciągając jedną z zasłon, Elsie udała się na spoczynek, skupiając się na swojej powieści, by

odpędzić myśli.

Zasnęła w połowie trzeciej strony.

Elsie zamiatała właśnie werandę, kiedy podbiegł do niej pies pocztowy, wystawiając różowy język i dysząc.

– O, witaj – odstawiła miotłę pod ścianę i sięgnęła do torby przyczepionej do szyi psa. Wyciągnęła dwa listy, jeden zaadresowany do niej, a drugi do Ogdena. Przyjrzała się charakterowi pisma na pierwszym, ale nie pasował do pisma naczelnika poczty w Juniper Down. Jej serce zabiło szybciej – pan Hall trzymał się swoich postanowień, prawda? Nigdy więcej nie miała od niego dostać żadnych wiadomości. Ale kto inny napisałby do niej? Wstrzymała oddech, gdy nadzieja zapłonęła w jej piersi. Pogłaskała psa po głowie.

– Dzisiaj nie mam dla ciebie smaczka, Ruff. Uciekaj.

Pies odwrócił się i pobiegł z powrotem w stronę poczty. Zapominając o miotle, Elsie wbiegła do domu. Położyła list Ogdena na kuchennym stole i weszła na górę, pokonując po dwa stopnie na raz, i schowała się w zaciszu swojego pokoju. Rozerwała list i najpierw przeczytała jego dolną część:

Z poważaniem,

Bachus Kelsey.

Dziękuję za telegram. Właśnie go otrzymałem.

Serce zabiło jej mocniej. Znalazł runę. Albo przynajmniej bezpiecznie dotarł do domu.

Po prostu przeczytaj, zbeształa samą siebie.

Panno Camden, mam nadzieję, że ten list uda Ci się przeczytać na osobności, bo przeznaczony jest tylko dla Ciebie. Udało mi się znaleźć runę, którą narysowałaś. Miałaś rację – to kwestia natury fizycznej, znak zaklęcia wysysającego, o istnieniu którego nie miałem pojęcia. Wydaje się złożone i rzadkie.

Myślę, że to ono było przyczyną moich objawów. Nadal czuję się dobrze. Zawdzięczam to Tobie.

Jej skóra się rozpalila. Wbrew sobie uśmiechnęła się.

Jestem w kontakcie z Mistrzynią Ruth Hill z Ateneum Fizycznego. Zaproponowała mi wybór między zaklęciem klejnotów a zaklęciem substancji, aby dokończyć moje mistrzostwo. Kiedy już dokonam wyboru, resztę mojego repertuaru będę musiał zdobyć sam. Jeszcze raz dziękuję za pomoc podczas tej próby. Mam nadzieję, że masz się dobrze.

Z poważaniem,

Bachus Kelsey.

Dziękuję za telegram. Właśnie go otrzymałem.

Nie wspomniał o jej nagłym odejściu. Miło z jego strony. Więc dlaczego płakała? Opuszczając list, Elsie otarła oczy rękawem. Ani nie ziewnęła, ani w powietrzu nie było kurzu. Czy przeziębiała się podczas podróży? Ale nie czuła się słaba ani obolała. To znaczy nie obolała jak przy przeziębieniu. Nie, ten ból był skupiony w jej piersi. Ponownie przeczytała list. Pociągnęła nosem. W pewnym sensie było to pożegnanie. Nie miała już długu do spłacenia. Nie potrzebował już jej usług. I próbował zostać mistrzem. Kiedy to się stanie, dostanie tytuł, co wzniesie jego rangę znacznie wyżej niż jej. Co i tak nie miało większego znaczenia. Prawdopodobnie wróci na Barbados, gdy tylko zdobędzie to, po co przyjechał. Wtedy dzieliliby ich cały ocean.

Tak będzie lepiej, powiedziała sobie, ocierając kolejną łzę. Udało jej się nie rozplakać za mocno, płakała jak bohaterki w powieściach, zawsze pięknie wzruszone, ale to pozostawiło jej twardą gulę w gardle, jakby coś wbijało się w nie pazurami. Ale tak było lepiej. Ilekroć Bachus myślał o łamaniu zaklęć albo może o polio, myślał o niej. Myślał o niej życzliwie, o tym, jak mu pomogła, a może o jej humorze. Na zawsze pozostanie w jego pamięci jako sympatyczna znajoma. Lepiej, żeby odszedł, bo to oznaczało, że nigdy nie zbliży się do niej na tyle, by odkryć tę całkowicie niesympatyczną część jej, która odstraszyła wszystkich innych.

Camdenowie nie wrócą.

Pomyślała o Juniper Down i przytułku. O Alfredzie idącym ramię w ramię z inną kobietą. To cud, że Ogden jeszcze jej nie wyrzucił. Złożyła list i wsunęła go między książki na półce. Zbłąkana łza skapnęła z jej policzka na dłoń, ale wytarła ją w spódnicę. Tak, tak było lepiej.

Gula w gardle zaboląła mocniej.

Naprawdę, Elsie, pomyślała, ponieważ nie mogła mówić. Czego się spodziewałaś, romansu? Z mężczyzną, który myśli, że jesteś przestępczynią? Z tego co wiesz, mógłby za miesiąc zostać baronem? Pomyślała o jego szerokim śmiechu. O wrażeniu, jakie wywoływał w niej dotyk jego skóry pod palcami. *Nie.* Takie historie zdarzały się tylko w powieściach, a nie w prawdziwym życiu. To naprawdę było najlepsze wyjście. Utrata rodziny, rodzeństwa, Alfreda... Nadal bolało, a minęły lata. O ile gorszy byłby ten ból, gdyby w jej życiu pojawił się mężczyzna taki jak Bachus, tylko po to, by on również mógł ją odrzucić.

Wciągnęła gwałtownie powietrze, co złagodziło ból w gardle. Przeniósł się teraz trochę niżej, gdzie łatwiej było go ignorować. Miała dzisiaj zbyt wiele do

zrobienia, żeby siedzieć tu i użalać się nad sobą.

– Elsie? – Emmeline zawołała ze schodów.

Przetarła oczy ręką i odchrząknęła.

– Już idę! – głośna odpowiedź pomogła jej zachować spokojny ton. Nie musi dawać Emmeline powodu, by ją odrzuciła, chociaż pokojówka wydawała się lubić wszystkich poza Nashem. Pospieszyła do swojego małego stolika, wylała resztki wody z dzbanka do miski do mycia i przemyła nią oczy i policzki, chłodząc je. Potem wyprostowała się i zmusiła się do wzięcia dużego haustu powietrza. Upięła część włosów. Jeśli Emmeline zauważyła, że coś było nie tak, nie wspomniała o tym.

* * *

Elsie obudziło serce walące w jej klatce piersiowej. Macki najdziwniejszego snu zwijały się pod jej czaszką. Została uwięziona w pokoju pełnym przyborów kuchennych, a wszystkie wyjścia były zablokowane stosami misek. W swojej desperacji, by uciec, przewróciła największy stos... Ktoś krzyknął w korytarzu. To nie był sen. Wyskakując z łóżka, Elsie zawołała:

– Wszystko w porządku? – nie wiedząc, czy to była Emmeline czy Ogden. Jej wprawne ręce potarły zapalniczkę i zapaliły świecę. – Emmeline, czy to...

– Pomocy! – ryknął Ogden.

Coś ciężkiego uderzyło o podłogę. Dysząc, Elsie pobiegła do drzwi, prawie gasząc świecę w pośpiechu.

– Kto tam jest? – krzyknęła, omal wrzasnęła. Drzwi do pokoju Ogdena na końcu korytarza były lekko uchylone. Znowu coś uderzyło o ziemię. A potem doszły ją odgłosy bójki, rozbijanego szkła...

Elsie wpadła do pokoju w chwili, gdy cień wyskoczył przez okno. Jej świeca z trudem oświetlała pomieszczenie. Serce podskoczyło jej do gardła.

Spod ściany dobiegł jęk.

– Ogden! – krzyknęła, biegnąc w jego stronę. Jedno oko zaczynało mu się zamykać. Podniosła świecę, szukając krwi, ale znalazła tylko rozcięcie na jego czole.

– Co się dzieje? – w drzwiach pojawiła się Emmeline, wytrzeszczając oczy.

Stawiając świecę tak mocno, że prawie wyrzuciła ją z uchwytu, Elsie krzyknęła:

– Idź, obudź sąsiadów i wyślij pana Morgana po konstabla! Pospiesz się! On ucieka!

Emmeline zamarła na sekundę, po czym chwyciła dół swojej koszuli nocnej i zbiegła po schodach.

ROZDZIAŁ 18

– Moi ludzie teraz go szukają – konstabl Wilson obejrzał okno. Sprawca uciekł tamtędy, mimo że okno znajdowało się dwa piętra nad ziemią. Rozbił szybę w desperacji, by się uwolnić. – Wygląda na to, że miałaś szczęście.

– Słucham? – warknęła Elsie, owijając się ciasniej szalem. Wszyscy zajęli miejsca w sypialni Ogdena, oświetlonej świecami i lampami. Sam Ogden siedział na kufrze w nogach łóżka, przykładając do oka zimny kawałek mięsa, podczas gdy konstabl przechadzał się po pokoju, od czasu do czasu robiąc notatki. Elsie zatrzymała się przy oknie, chcąc zobaczyć wszystko, co konstabl zauważył lub napisał. Emmeline wierciła się przy drzwiach.

– Nie znaleźliście jeszcze nic, co mogło zostać skradzione...

– Sprawdziliśmy tylko jego szafkę! – wtrąciła się Elsie. Jego krople nie zostały dotknięte.

– ...a podbite oko jest lepsze niż to, co mogłoby się stać – konstabl Wilson spojrział na nią znacząco.

Elsie zacisnęła usta. Miał rację. Mogło być znacznie gorzej. Dzięki Bogu nie było. Konstabl wyjrzał przez okno.

– Dobrze, pali się światło.

– W całym mieście zapalają się światła – powiedziała Elsie.

Wskazał piórem na drugą stronę ulicy.

– Miałem na myśli pocztę. Pan Morgan wysłał telegram do Wysokiego Sądu Sprawiedliwości.

Elsie poczuła się, jakby ktoś uderzył ją w brzuch.

– Do Wysokiego Sądu? Po co?

– Pan Ogden jest aspektorem – zauważył rzeczowo, jakby Elsie o tym nie wiedziała. – Jej Królewska Mość wysłała pisma, aby dwór był informowany o wszelkich zamachach na życie i rabunkach dotyczących aspektorów.

Zamachy. Czy gdyby Elsie i Emmeline się nie obudziły, gdyby Ogden się nie poruszył i nie zdołał walczyć, byłby teraz martwy? Czy rozmawialiby z koronerem zamiast z konstablem? Czy Londyńskie Ateneum Fizyczne, w którym zarejestrowany był Ogden, oblażłoby ich jak termity, by odebrać jego skromny opus? Po plecach przebiegły jej dreszcze.

– Naprawdę wierzysz, że ma to związek z innymi przestępstwami?

– Mam zamiar wykonywać moje obowiązki, panno Camden.

Elsie potrząsnęła głową.

– Znasz go, Wilsonie. Nie byłby celem.

Zerknęła na Ogdena, ale nie wyglądał na urażonego. Konstabl kiwnął głową.

– Rzeczywiście. Jest pan dopiero na poziomie nowicjusza, zgadza się, panie Ogden?

Pokiwał głową.

– Nie z braku chęci.

– Co się teraz stanie? – zapytała Elsie napiętym głosem.

– Wyobrażam sobie, że natychmiast wyślą oddział zarówno do ścigania sprawcy, jak i do przesłuchania was.

Z progu Emmeline pisnęła:

– Przyślą poszukiwaczy prawdy?

Elsie szarpała szal, czując, jak zimny strach przenika ją do kości. Poszukiwacz prawdy był fantastycznym tytułem dla duchowych aspektorów, którzy pracowali dla Wysokiego Sądu Sprawiedliwości, najwyższego sądu w Anglii, który zajmował się przestępstwami związanymi z magią, z którymi atenea nie mogły sobie poradzić samodzielnie. Tytuł miał swoje korzenie w fakcie, że duchowi aspektorzy mieli swoje sposoby, które bardzo ułatwiały dochodzenie, a najważniejszym z nich była zdolność do wyciągania prawdy z gardła nawet najbardziej upartego mężczyzny.

Albo kobiety.

Jedno zakłęcie prawdy i duchowy aspektor może wydobyć na światło dzienne każdy sekret Elsie.

– Jesteśmy ofiarami – zaprotestowała, wiedząc już, że to nic nie da.

– Nie masz się czego obawiać. Ale będziecie musiały wrócić do swoich pokoi, dopóki nie przybędą. Elsie skostniały dłonie.

– Naprawdę uważasz, że to jest konieczne?

Mężczyzna był wystarczająco wyrozumiały, by obdarzyć ją współczującym spojrzeniem.

– Taki jest protokół.

Zaciskając szczęki, Elsie przepchnęła się obok niego do Ogdena i położyła mu dłoń na ramieniu.

– Wszystko w porządku?

– Tak, oprócz tego – przesunął się, by pokazać jej oko, po czym skrzywił się z bólu.

Odwracając się, Elsie zapytała:

– Wezwiesz też lekarza?

– Gdy tylko będę miał wolnego człowieka – odpowiedział konstabl Wilson.

Wskazał drzwi, a Elsie, powłócząc nogami, poszła z powrotem do sypialni.

Skóra Elsie cierpła z napięcia. *Nie będą pytać o twoje zdolności*, powiedziała sobie, spacerując po pokoju. *Dlaczego mieliby? Jesteśmy ofiarami*. Usłyszała kakofonię podkutych końskich kopyt i kół. Wyjrzała przez okno, ale nie dostrzegła nadjeżdżającego powozu, słyszała tylko odgłosy zmęczonych zwierząt. Dłonie miała spocone i śliskie. Było tyle pytań, które mogli jej zadać. Tak wiele, a Elsie nie mogłaby się oprzeć odpowiedzi, chyba że złamie zakłęcie, zanim się odezwie. Czy poszukiwacz prawdy to zauważy?

– Uspokój się – szepnęła. Odetchnęła głęboko i wyprostowała ramiona. Nie miała powodów do obaw. Jeśli zauważą, że jest zdenerwowana, zadadzą więcej pytań. Więcej pytań oznaczało więcej prawd.

I nie sądziła, że będzie w stanie zapłacić darmową pracą, aby uciszyć poszukiwacza prawdy.

Żal ukłuł ją w serce.

Na schodach rozległy się kroki. Elsie podbiegła do drzwi swojej sypialni i przyłożyła do nich ucho, nasłuchując. Wymieniono kilka uprzejmości – rozpoznała głos konstabla, ale nie rozróżniła żadnych słów – a potem drzwi się zamknęły. Zaczęli od Ogdena.

Kolejne kroki zbliżały się do jej drzwi. Elsie odskoczyła od nich i chwilę później rozległo się pukanie. Otworzyła i spojrzała na konstabla.

– Usiądź wygodnie, panno Camden – znowu wyglądał na współczującego. – To potrwa tylko kilka chwil.

Elsie podniosła głowę.

– Chyba nie mam czasu się ubrać.

Na szczęście mężczyzna nie zwrócił jej uwagi, że mogła to zrobić, czekając na przyjazd powozu sądowego.

– Obawiam się, że nie.

– Świetnie. I dziękuję za pomoc.

Pokiwał głową. Zamknęła drzwi. Otworzyła je ponownie, kilkanaście centymetrów szerzej. Przesunęła krzesło do okna i usiadła, patrząc w dół na upstrzone światłem cienie poniżej. Wyglądało na to, że pół miasta się obudziło. Myślała, że rozpozna siostry Wright. Gdyby była mniej wyrafinowaną kobietą, krzyknęłaby: *Idźcie do domu!* przez okno. Ale nie zrobiła tego. Była zbyt przerażona, by je otworzyć. Wciąż tam siedziała, załamując ręce, kiedy poszukiwacz prawdy zapukał do jej drzwi dziesięć minut później. Mężczyzna był mniej więcej w wieku Ogdena, może trochę starszy, chociaż zmęczenie mogło postarzyć jego rysy. Łysiał w bardzo niefortunny sposób, gubiąc włosy na czubku głowy, podczas gdy boki fryzury wciąż się trzymały. Nie miał niemiłej

twarzy, ale podejrzewała, że miał kiedyś złamany nos. Modliła się, żeby to był wypadek, a nie wynik ciosu.

Zerknęła na jego ręce. Jakich przestępców oczarowywał? Czy on miał... inne metody poszukiwania prawdy?

Przełknęła.

– Nie ma się co denerwować, panno Pratt. To tylko procedura.

Zamknął za sobą drzwi. Elsie wydało się to nieco zabawne, że była sama w pokoju z mężczyzną i nie uznano tego za niewłaściwe, ale absurdalność sytuacji nie poprawiła jej humoru.

– Panno Camden.

Nienawidziła tego, jak nieśmiało zabrzmiała.

– Przepraszam – podszedł do niej blisko i pomimo swoich najlepszych starań Elsie napięła się. O co miałby ją zapytać? *Jakie są twoje sekrety? Co ukrywasz? Czy jest jakiś powód, dla którego powinnaś być uwięziona?* – I wyrazy współczucia. Załatwimy to szybko.

Skinęła sztywno głową. Bez dalszych ceregieli poszukiwacz prawdy położył dłoń na jej czole. Czy czuł, jak było lepkie? Co jeśli zakłęcie nie zadziałało z powodu tego, kim była? A co, jeśli zostanie zdemaskowana... Poczowała formujące się zakłęcie, jak ziarenka piasku osypujące jej skórę. Piszcząco tak, jak czasami słyszała w uszach, gdy splatał je, a ono ciężko osiadało na jej skórze. Wbiło się w jej duszę. Skrzywiła się.

– Jak masz na imię? – zapytał poszukiwacz prawdy, wyciągając z torby ołówek i blok papieru.

– Elsie Camden.

– Twój wiek?

– Jeden i dwadzieścia.

Próbowała myśleć o czymś innym, na przykład o dwudziestu trzech, ale kiedy to zrobiła, jej umysł był pusty. Nie podobało jej się to. Pospiesz się, żebyś mógł to zdjąć!

– Opowiedz mi o wydarzeniach, które miały miejsce dzisiaj wieczoru.

– Położyłam się spać o dziesiątej... – język jej się zwinął, przerywając jej słowa. – Może później? O jedenastej? – to wyszło bez problemu. Najwyraźniej poszukiwacz prawdy potrafił wyłapać nawet te kłamstwa, których nie wypowiadała celowo. Skąd miała dokładnie pamiętać, kiedy poszła do łóżka? Aspektor tylko pokiwał głową.

– I spałam, dopóki nie usłyszałam odgłosów z korytarza. Myślałam, że to część snu – nie miała zamiaru tego powiedzieć. Czuła się zmuszona. – Zapaliłam świecę i pobiegłam za dźwiękiem, i znalazłam Ogdena na podłodze. Cień

zniknął za oknem. Powiedziałam Emmeline, żeby poprosiła o pomoc pana Morgana, naszego sąsiada.

Mężczyzna skinął głową, skupiony na swoich notatkach, nie na niej.

– A jak wyglądał sprawca?

– Jak cień – powtórzyła. – Nic więcej nie widziałam. Nie widziałam nawet, dokąd poszedł.

– Ani jak zszedł na dół?

Potrząsnęła głową. Mężczyzna zdawał się tego nie zauważać, więc powiedziała:

– Chyba skoczył. Wybił szybę.

– W jakich celach Cuthbert Ogden używa swojej magii?

Przesłuchanie przybrało irytujący obrót i chwilę zajęło jej udzielenie odpowiedzi.

– W sztuce. Zna bardzo mało zaklęć. Umie zmieniać kolory różnych rzeczy. Zmiękczać kamienie. Potrafi zmienić przezroczystość obiektu. To wszystko, co widziałam, żeby robił.

– Nie zna innych zaklęć?

– Stara się ich nauczyć. Zaledwie kilka tygodni temu męczył się z zaklęciem średniozaawansowanym.

Mężczyzna nucił do siebie i bazgrał w swoim notesie.

– Dziękuję, panno Camden. Myślę, że to wszystko.

Wybuchła fontanna ulgi, jakby została napełniona wodą przez samą królową.

Przeniósł się do korytarza. Wskazał ręką. Młody mężczyzna z potarganymi włosami – miał ledwie osiemnaście lat – wkroczył do jej pokoju z nieszczęśliwą miną. Chłopak, zrzędlawy po pobudce w środku nocy. Bezceremonialnie złapał Elsie za głowę i przesunął po niej palcami.

Zaklęcie zniknęło. Elsie wzięła głęboki oddech. Wpatrywała się w mężczyznę, który wyszedł z pokoju. Łamacz zaklęć. Nigdy wcześniej nie spotkała innego, a przynajmniej nie świadomie. Pytania pojawiły się w jej głowie i zebrały na języku. Tak bardzo chciała go zapytać! Czy ich metody były takie same? Kiedy zdał sobie sprawę, kim jest? Jakie szkolenie przeszedł? Jaką pracę wykonywał? Ile mu płacono?

Ale młody człowiek skręcił i zniknął z pola widzenia. Oczywiście Elsie nie mogłaby zaryzykować zadawania mu pytań, nawet gdyby został. Czekala dłuższą chwilę, nasłuchując głosów dochodzących z pokoju Emmeline. Nie widząc w tym nic złego, wstała i na palcach przeszła do pokoju Ogdena. Miała maść rozsmarowaną na oku i mały bandaż na czole. Pewnie odwiedził go lekarz. Posłał jej słaby uśmiech. Siedziała z nim, dopóki konstabl nie wrócił, a poszukiwacz prawdy i jego świta zeszli po schodach, aby wrócić do Londynu.

– Jeszcze kilka pytań do pana, panie Ogden – powiedział posterunkowy Wilson.

Ogden westchnął.

– Nie wiem, co jeszcze możesz ze mnie wyciągnąć, ale pytaj.

Elsie poklepała go po ramieniu i wyszła, próbując pocieszyć Emmeline – i dowiedzieć się, czy poszukiwacz prawdy zadał im obojgu te same pytania. Ale kiedy Elsie weszła do pokoju Emmeline, był pusty, a na stoliku nocnym paliła się pojedyncza świeca.

– Emmeline? – zapytała Elsie, podchodząc do okna. Zasłaniając oczy, wyjrzała na zewnątrz.

Pokojówka stała na ulicy i rozmawiała z siostrami Wright.

Elsie zakłęła i odwróciła się, zdecydowana uciszyć plotki, zanim się rozniosą.

* * *

Mistrzynie Ruth Hill zaproponowała Bachusowi dwie opcje uzyskania mistrzostwa; obie były mistrzowskimi wersjami zaklęć, które już znał. Pierwszym było zaklęcie utwardzające, którego można było użyć, aby drewno stało się mocne, a metal kruchy, ale wersja mistrzowska była znana jako zaklęcie klejnotu, ponieważ można było go użyć do utwardzenia skały w drogocenne kamienie. Było mocno regulowane przez rząd i jego nauka wymagała rejestracji. Drugim było zaklęcie zmieniające stany, którego najbardziej podstawowej formy mógł nauczyć się nowicjusz. Zaklęcie robiło zasadniczo to samo, co piec kuchenny: zmieniało wodę w parę. Albo odwrotnie – w lód. Im potężniejsze zaklęcie, tym łatwiej człowiek może zmienić stan dowolnej materii. Im bardziej uparta materia, tym mocniejsze zaklęcie było potrzebne do jej zmiany. Na poziomie mistrzowskim to zaklęcie nie tylko pozwoliłoby mu nagiąć więcej materiałów do swojej woli, ale także pomijać pośrednie czynności w przypadku pracy z innymi materiałami. Na przykład mógłby zmienić parę wodną bezpośrednio w lód.

Bachus wybrał to drugie zaklęcie.

Siedział w prywatnym salonie mistrzyni, który, choć niewielki, był bogato dekorowany niemal do granic nieładu. Była tu tapeta w róże i czerwone paski różnej szerokości, z akcentami hibiskusa; kremowy dywan, zaś meble zastawione bibelotami i książkami, jajkami Fabergé i brazylijską ceramiką. Albo pani Hill bardzo dużo podróżowała, albo sprawiała, że często podróżujący kupcy byli bardzo bogaci.

Sam byłby w stanie napisać po łacinie zaklęcie na swoim przedramieniu – mógł tak wiele teraz, kiedy nie wysysano z niego życia – ale nie protestował,

kiedy mistrzyni przyłożyła pędzel do jego ręki, a fiolkę niebieskiego atramentu trzymała delikatnie palcami, na których widać było jej wiek. Bachus podwinął w tym celu rękawy, a pociągnięcia pędzla Mistrzyni Hill były profesjonalne i delikatne. Ani razu nie popełniła błędu i zatrzymała się tylko na chwilę, by założyć za ucho niesforny kosmyk siwiejących blond włosów. Bachus czytał każde słowo, gdy kreśliła je wzdłuż jego przedramienia, zapamiętując zaklęcie. Po wchłonięciu zaklęcia nie będzie już potrzebował słów do rzucania czarów, ale może chce nauczyć go innego aspektora lub być może prowadzi zapis tego, jak zaklęcie zostało uzyskane. To był dar z jej strony, że pozwoliła mu patrzeć; nie było niczym niezwykłym, kiedy czarodzieje mieli związane oczy podczas otrzymywania nowego mistrzowskiego zaklęcia, aby zachować jego wartość. Kiedy Mistrzyni Hill skończyła i większość atramentu wyschła, podała mu tyle kropel, że ledwie mógł je wszystkie utrzymać. Kropel, za które sam zapłacił, ale to nie miało znaczenia. Gotów był zapłacić dużo, dużo więcej za zaklęcie przenoszenia, którego już nie potrzebował. Krople świeciły intensywnie, jaśniej niż świece. Bachus wciąż pamiętał, jak miał dziewięć lat i jego ojciec, który nie był czarodziejem, dał mu do ręki z czystej ciekawości jedną kroplę. Oświetliła pokój i w ciągu roku został zarejestrowany w Londyńskim Ateneum Fizycznym. Następnie Mistrzyni Hill podała mu starą książkę, aby mógł przeczytać na głos zaklęcie, ale nie potrzebował jej. Nauczył się już słów na pamięć.

– *Ut autem immutare naturam. Ut reiiciunt in via. Quod natura mutat. Via transferentis inquietabit. Ultimum et completum. Per et in. Et sine supra. Natura per vices occupantur. Via mutat. Ultima. Completum. Vi auribus percipite verba mea. Flectere voluntatem meam.*

„Mutare”.

Kropel w jego dłoniach zalsniły i zniknęły, pozostawiając jego pięść pustą. Jednocześnie atrament wchłonął się w jego skórę, jakby nigdy go tam nie było. Gwałtownie przepłynęło przez niego ciepło, gdy zaklęcie wpisało się w jego wewnętrzny opus, na zawsze stając się jego częścią. Nawet po śmierci.

– Dziękuję – Bachus opuścił rękę i wypuścił powietrze.

– Zasłużyłeś na to, Mistrzu Kelsey – Mistrzyni Hill miała pełen uznania uśmiech na twarzy. – Cieszę się, że do nas wróciłeś.

Mistrzu Kelsey. Brzmiało niezłe. Bachus wstał, czując się trochę wyższy. Miał wrażenie, że jest niezniszczalny. Potarł dłonie, w których przed chwilą trzymał kropel. Nie pozostał po nich żaden ślad. Nawet po tylu latach nadal uważał za dziwne, jak wszechświat po prostu domagał się swojej zapłaty za magię.

– Proszę.

Podniósł wzrok. Mistrzynie Hill trzymała świecę. Była prawie wypalona, wystarczyła może na kwadrans. Biały wosk i spalony knot. Przyjął ją.

– Nie lubi pani porannego światła?

Ignorując jego pytanie, podeszła do najbliższego okna i otworzyła je, po czym kazała mu iść za sobą.

– Wykazujesz wielką powściągliwość. Większość moich uczniów rwie się, by użyć swojej nowej magii, gdy tylko atrament zostanie wchłonięty.

Uśmiechnął się. Spojrzał na świecę. Zacieśnił uchwyt.

– Jeśli chcesz wystaw rękę za okno – kontynuowała Mistrzynie Hill z wyrazem rozbawienia na twarzy. – Lód zamieniający się w parę to jedno, ale większość ciał stałych zachowuje się raczej zaskakująco, gdy są zmuszane do przejścia w postać gazową. I zawsze musimy uwzględnić temperaturę.

Bachus skinął głową. Fizyka była jednym z wymaganych przedmiotów, które musieli studiować aspektorzy fizyczni. Wychylony przez okno, wyciągnął rękę. Zauważył, że Mistrzynie Hill cofnęła się o kilka kroków.

Myśli poruszały się o wiele szybciej niż mowa. W czasie potrzebnym na wypowiedzenie jednego słowa człowiek mógł pomyśleć sto rzeczy. Z czasem Bachus będzie w stanie pomyśleć to zakłęcie jeszcze szybciej niż dotychczas.

Świeca eksplodowała w jego rękach, wysyłając błysk palącego ciepła przez jego dłoń i ramię, wystarczająco gorącego, by krzyknął i upuścił cal knota, który wciąż trzymał w palcach. Wprawdzie wyobraził sobie, jak świeca po prostu gaśnie. Stwierdzenie, że magia jest zaskakująca, było ogromnym niedopowiedzeniem. Rozumiał również, dlaczego Mistrzynie Hill nalegała, by wypróbował tę umiejętność na czymś tak małym. Zapach świecy unosił się w powietrzu, gdy jej cząsteczki odpływały. Płatki róż i lawenda. Pachniało trochę jak Elsie. Mistrzynie Hill zamieniła się z nim miejscami i zamknęła okno.

– I jak?

Rozprostował rękę. Oparzenia nie były poważne, ale będą bolały przez następną godzinę. Czy mógłby dokonać tego wyczynu w rękawiczkach, czy wywołałoby to tylko wyparowanie rękawic?

– Niesamowicie. Dziękuję.

– Oczywiście jest ceremonia – odeszła od okna i odgłosów miasta za nim. – Ale nie wyglądasz na osobę lubiącą pompę i uroczystości.

– Bo nie lubię.

Ujęła jego większe dłonie w swoje blade i małe.

– Upominam cię zatem, żebyś się tu nie zatrzymywał. Sięgaj po więcej. Rozwijaj się. Wykorzystaj swój potencjał, bo widzę go w tobie bardzo dużo. Jest wielu na świecie, którzy będą próbowali go stłamsić, z zazdrości lub dlatego, że myślą, że nie powinieneś go mieć. Ale są w błędzie. Ty i ja jesteśmy bardziej

podobni, niż myślisz, Bachusie Kelsey. I chociaż dołączenie do Zgromadzenia Londyńskiego Fizycznego Ateneum może nie być twoim celem, zawsze powinieneś jakiś mieć. Rozumiesz?

Miała tak matczyne wyraz twarzy, taki upór w bladych oczach, że Bachus zastanowił się nad jej przeszłością. W Anglii, podobnie jak w większości krajów, tylko kobiety dobrze urodzone miały możliwość zostania aspektorami. Kobiety, które już coś osiągnęły. Bardzo chciał poznać jej historię.

– Rozumiem. I wierzę, że może mnie pani nauczyć znacznie więcej niż tylko zaklęć.

Uśmiechnęła się, poklepała go po dłoniach i puściła.

– Tak, jeśli mnie wysłuchasz. Wyślę po herbatę.

Podeszła do dzwonka na ścianie. Bachus przeszedł przez salon, spoglądając na proste, ale wyrafinowane dekoracje na kominku. Nad nim wisiało duże lustro, dzięki któremu mógł obejrzeć się od klatki piersiowej w górę. Włosy związał ciasno z tyłu i z przodu wyglądało to prawie tak, jakby nosił je krótko jak Anglicy. Odwracając się od lustra, podszedł do wygodniejszych mebli. Na czas przyjmowania zaklęcia Mistrzynie Hill posadziła go na twardym krześle w rogu pokoju. Znalazł wyściełane krzesło obok stołu, na którym leżał stos gazet z ostatnich trzech dni, z najnowszymi na górze. Znajome słowo przykuło jego uwagę i Bachus pochylił się, żeby przeczytać nagłówek.

Bandyta znów atakuje! Warsztat kamieniarski w Brookley najnowszym celem ataku.

* * *

– Dlatego właśnie nie rozmawia się z siostrami Wright! – Elsie splunęła, rzucając dzisiejszą gazetę na stół w jadalni. – Stawiam sześć pensów, że to one poleciały z jęzorami do prasy.

– Elsie! – głos Ogdena był stanowczy, ale zmęczony.

Pochylił się nad swoim lunchem składającym się z cynaderek w cieście, opierając głowę na zwiniętej dłoni. Emmeline, trochę zaskoczona, powiedziała:

– Cóż, czy to nie ekscytujące? Być w gazecie? Poza tym nasze nazwiska nie są wymienione. Nie powinnaś się tak denerwować.

Dzięki Bogu, że nie ma tam naszych nazwisk, pomyślała Elsie, opadając ciężko na krzesło i wbijając widelec we własny kawałek ciasta. Elsie miała być niewidzialna, nie wyróżniać się. To było ważne dla Kapturów. Nie pozostałaby długo niewidzialna, gdyby ludzie zaczęli interesować się jej miejscem pracy.

– Bardzo to podkolorowali – narzekała, wpychając placek do ust. Ciasto było ciepłe i kruche, co trochę rozproszyło jej frustrację. – Mówią tyle, by pobudzić

wyobraźnię, więc ludzie myślą, że to jakaś wielka bajka. I ani konstabl, ani poszukiwacze prawdy nie potwierdzili, że atak był powiązany ze zbrodnią złodzieja opusów! Reporterzy przedstawili Ogdena jako fascynujący okaz na równi z wicehrabią Byronem i baronem. Przy odrobinie szczęścia ludzie zaczęliby twierdzić, że jego ceny są zbyt wysokie, ponieważ najwyraźniej miał tyle pieniędzy, że warto było go okraść.

Zerknęła na Ogdena, czując nagły niepokój. A jeśli się myliła? Co, jeśli było coś więcej, niż myślała, a niedoszły złodziej wróci, by skończyć to, co zaczął? Myśl o utracie Ogdena była dla Elsie zbyt ciężka. Rozsypałaby się w nicość, gdyby kiedykolwiek został jej odebrany. Był jej najbliższą rodziną. Odsuwając się od destrukcyjnych myśli, dodała:

– Porozmawiam ze szklarzem i jak najszybciej wymienię okno. I zmienię zamki.

– Dziękuję – Ogden popijał herbatę. – Myślę, że tak będzie najlepiej.

Elsie udało się pozostać uprzejmą do końca lunchu. Prawdę mówiąc, trudno było złościć się na Emmeline – była jak młodsza siostra, której Elsie nigdy nie miała. A raczej młodsza siostra, której Elsie nie pamiętała. Jej rodzeństwo było niewyraźnymi cieniami w jej pamięci; większość tego, co o nich wiedziała, pochodziła od Agathy Hall, której pamięć też nie była szczególnie dokładna. Można by pomyśleć, że sześćioletnia dziewczynka zapamiętała swoją rodzinę i jak się nazywała, ale z jakiegoś powodu Elsie po prostu... nie mogła.

Coś w tym czasie, gdzieś pomiędzy przebudzeniem w domu Hallów a siedzeniem z innymi dziećmi w przytułku, zostało zaburzone. Zakryte ciemną, gęstą i ciężką mgłą w jej umyśle. Myślała, że ma brata o imieniu John, a może Jonathon. Oczywiście John Camden było tak popularnym nazwiskiem, że nigdy nie byłaby w stanie znaleźć żadnych konkretnych tropów. Czasami Elsie zastanawiała się, czy jej rodzina nie jest tylko fantazją, którą wymyśliła z samotności, a Hallowie po prostu się z nią zgadzali, dopóki ich to nie zmęczyło.

Skończywszy, Elsie pomagała Emmeline posprzątać ze stołu, dopóki nie pojawił się klient. Porozmawiała z nim: „tak, Ogden robi popiersia i tak, to on jest tym z gazety”, i uporządkowała kilka dokumentów, umieściła zlecenia Ogdena w widocznym miejscu i wyruszyła do szklarza. Intruz wybił szybę w standardowym rozmiarze, więc nie musiała dostarczać wymiarów. Szklarz miał przyjść jutro rano, żeby naprawić okno. A kowal, który znał się też na ślusarstwie, przychodził tego wieczoru, żeby ocenić bezpieczeństwo ich zamków.

– Och, panno Camden! – zaćwierkał głos podobny do śpiewu kanarka, gdy Elsie ruszyła z powrotem do domu. Dobrze go znała; podsłuchiwała go wiele

razy, kiedy nie miała nowego odcinka powieści, który by ją pochłonał. Teraz jednak sprawił, że się wzdrygnęła.

Aleksandra Wright. A tuż za nią jej siostra Rose.

Ciało Elsie napięło się, jakby jej kości zamieniły się w stalowe pręty. Nie mogła sobie przypomnieć ani jednego razu, kiedy któraś z tych kobiet rzeczywiście wypowiedziała jej imię, nie mówiąc już o przemówieniu prosto do niej. Elsie wolała pozostać niewidzialna, tak jak Kaptury. A teraz chciała być kotem, który mógłby zakręcić ogonem i uciec po rynnę. Niestety, magia nie działała w ten sposób. Siostry zbliżyły się z podejrzanymi szerokimi uśmiechami i paciorkowatymi oczami.

– Bardzo nam przykro z powodu włamania! Co za koszmar! I całe szczęście, że nikomu nic się nie stało.

Elsie spojrzała w dół drogi, w stronę warsztatu kamieniarskiego.

– Na szczęście nie, nic poważnego – powiedziała.

– Emmeline nie zdradziła szczegółów, biedactwo – obie wymieniły spojrzenia, które miały wyglądać na zaniepokojone, ale ich aktorstwo nie było na najwyższym poziomie. – Z pewnością sprawca nie przeszedł też przez twój pokój? Jakże to przerażające!

Coś gorącego zagotowało się u podstawy gardła Elsie, z trudem to przełknęła.

– Tak, bardzo. Zbyt przerażające, by o tym mówić. Jeśli mi wybaczycie.

Przepchnęła się obok duetu.

– Och, panno Camden! Po prostu chcemy cię pocieszyć, tak jak powinny to zrobić każde kochające sąsiadki...

Elsie szła dalej, wydłużając kroki, aż praktycznie biegła. Może to było niegrzeczne, ale nie miała nic przeciwko byciu niegrzecznym wobec niegrzecznych ludzi. Zapomną o mnie i zajmą się kimś innym w przyszłym tygodniu. Będzie musiała ostrzec Emmeline, żeby trzymała się od nich z daleka. Po przybyciu do domu zdyszana Elsie ledwie zdążyła odwiesić kapelusz, a Emmeline z rękawami podwiniętymi do łokci wyskoczyła z kuchni i powiedziała:

– Wróciłaś. Mamy gościa. Przybył niecałe dziesięć minut temu!

– Tak? – dotknęła włosów, wygładzając luźne kosmyki. – Klient?

Emmeline potrząsnęła głową, szeroko otwierając oczy.

– Całkiem niezły! Jestem pewna, że przyjechał prosto z Ameryki!

Elsie zamarła, a serce podeszło jej do gardła. Kiedy znów się poruszyła, skoczyła do schodów. Była pełna energii, gdy zbliżała się do drzwi do salonu, które były lekko uchylone. Szybko otrzepała spódnicę i przygładziła włosy.

Zawiasy zaskrzypiały, kiedy wchodziła. Obaj mężczyźni w pokoju obejrzeni się, chociaż Bachus musiał się obrócić na krześle, żeby to zrobić.

Fala podniecenia przeszła jej ciało. Bachus. Tutaj. W jej domu. Zdawał się tak bardzo nie na miejscu, że Elsie zastanawiała się, czy nie uderzyła się w głowę, uciekając przed siostrami Wright, i czy nie był on wytworem jej nieprzytomnego umysłu. Była jednocześnie przerażona i szczęśliwa, podobnie jak wtedy, gdy czytała punkt kulminacyjny dobrej książki. Tyle że to było o wiele bardziej instynktowne. To było prawdziwe.

Co ty tutaj robisz?, prawie wypaliła, ale podwójnie szybkie bicie jej serca wywołało błogosławiony rozdźwięk między jej myślami a ustami.

– Elsie, twój dobry przyjaciel, Mistrz Kelsey, wpadł do nas, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku – wyjaśnił Ogden. – Ta gazeta z pewnością szybko rozeszła się po sklepach.

Mistrz. Czy to już się stało? Zimne rozczarowanie przyćmiło burzę emocji w jej żołądku. Ale... Przyszedł sprawdzić, czy wszystko z nią w porządku? Czy to nie oznaczało, że zależy mu na jej dobru? Nie był nawet wieczór – jak szybko po zobaczeniu gazety przyjechał? Zdesperowana, by chwilę pomyśleć, wykrztusiła:

– Napijesz się herbaty?

– Emmeline się tym zajmie. Chodź, usiądź – Ogden wskazał jej krzesło. Nie wydawał się zły, jedynie zdziwiony. – Mistrz Kelsey mówi, że spotkaliście się na targu?

Wzrok Elsie przelatywał od Bachusa do Ogdena, do Bachusa, do kominka, do Bachusa i z powrotem do zajmowanego przez niego krzesła. Zanim dotarła na swoje miejsce, zlustrowała wszystko w pokoju i Mistrza Kelseya kilkanaście razy.

– Tak, kiedy poszłam po te farby.

Prawda. Jej umysł przeleciał przez wszystko, czym można było się bezpiecznie podzielić. Usiadła. Próbowwała odczytać wyraz twarzy Bachusa, ale był tak cholernie dobry w ukrywaniu myśli, że jedyne, co otrzymała, to stoicka ciekawość, jeśli coś takiego w ogóle istniało.

– A więc przeszedłeś testy?

– To był nie tyle test, co formalność potrzebna do akceptacji mojego tytułu, ale tak.

Jego angielski akcent był ostry, nieskazitelny. Spojrzenie zielonych oczu przesunęło się po niej szybko. Elsie skontrolowała swoją postawę. Zaczęła opowiadać:

– Ogólnie jesteśmy cali, chociaż, jak widać, pan Ogden wziął na siebie główny ciężar ataku – oko Ogdena było ładną mieszanką żółci, czerwieni

i fioletu, a jutro miało być tylko ciemniejsze. Zwróciła się do Ogdena z przypomnieniem: – Dzisiejszego wieczoru będzie tu kowal, a jutro szklarz.

– Dziękuję – powiedział.

Zwracając się do Bachusa – to było nierealne, żeby siedział tu, w ich salonie i wyglądał tak normalnie, tak naturalnie – zapytała:

– Jak się ma książę? Panie Ogden, nie wiem, czy pan... Mistrz... Kelsey panu powiedział, ale zatrzymał się u księcia Kentu, który był przyjacielem zmarłego ojca pana Bachusa.

Mówiła za szybko.

Mistrz Kelsey. Mistrz Kelsey. Na pewno się do tego nie przyzwyczai. A im dłużej się nad tym zastanawiała, tym mniejszy wydawał się ich salon, tym prostszy stawał się jej strój, tym bardziej pospolite było jej życie, zainteresowania i praca. Jedno słowo i jeden tytuł sprawiły to wszystko. Nienawidziła tego.

– Wspominał o tym, tak – weszła Emmeline, niosąc serwis do herbaty. Odstawiła go, ale Bachus uprzejmie odmówił, a Elsie machnęła ręką, by odsunąć filiżankę, miała zbyt ściśnięty żołądek, by przyjąć choćby łyk. Ogden jednak wziął swoją, z cukrem, śmietanką i wszystkim innym.

– Książę jest chory – odezwał się w końcu Bachus, gdy Emmeline odeszła, oglądając się przez ramię co czwarty krok. – Często zapominam, ile ma lat, jest zwykłym śmiertelnikiem.

– O nie – Elsie pochyliła się do przodu. – Nie jest bardzo chory, prawda?

Bachus potrząsnął głową.

– Przybył aspektor czasowy, ale książę ma już siedemdziesiąt lat, więc niewiele mógł zrobić. Rokowania są raczej słabe.

– Przykro mi to słyszeć – Ogden odstawił herbatę. – Wyobrażam sobie, że jest pan z nim blisko.

– Zostaniesz? – zapytała Elsie. Potem, zdając sobie sprawę, jak błagalnie zabrzmiały te słowa, dodała: – T-to znaczy w Kencie. Na czas rekonwalescencji księcia.

Pokiwał głową.

– Oczywiście. Ale nie przyszedłem dzielić się moimi kłopotami, tylko by upewnić się, że dobrze sobie radzicie ze swoimi.

Ogden odpowiedział:

– Dziennikarze upiększą każdą historię, żeby się sprzedała. Powiedziałbym, że był to nieudany napad rabunkowy.

– Zgadzam się co do dziennikarzy – Bachus złożył razem ręce. Jego rękawy wydawały się bardziej dopasowane, podobnie jak ramiona surduta. Boże, czy to możliwe, żeby mężczyzna stał się jeszcze większy teraz, kiedy zakłęcie

wysysające nie zabierało mu sił? – Ale jesteś aspektozem i jeśli atak ma związek z innymi przestępstwami, to może być poważna sprawa.

Ogden zaśmiał się.

– W takim razie sprawca jest naprawdę zdesperowany.

Bachus zdawał się to rozważać.

– A ty? – Elsie spróbowała, wciąż starając się rozpoznać jego humor. – Wszystko u ciebie dobrze? Poza zdrowiem księcia?

Pokiwał głową.

– Bardzo dobrze – w słowach była intonacja, która sprawiła, że zrobiło jej się ciepło, jakby jeszcze raz dziękował jej za swoją nowo odkrytą żywotność. – Co do księcia, czas pokaże.

Oczywiście Bachus w końcu odjedzie, bez względu na to, jak długo jeszcze tu będzie. Z tego, co powiedział jej w drodze do Ipswich, wynikało, że nie był zainteresowany rozwijaniem się w Londyńskim Ateneum Fizycznym. Jego prawdziwe życie toczyło się na Barbadosie, gdzie nie musiał udawać akcentu ani narzekać na mroźną pogodę. Wiedziała o tym, często sobie o tym przypominała, a mimo to cieszyła się, że przyszedł się z nią zobaczyć. Być może wstąpi ponownie przed wypłynięciem na Tamizę. Być może.

Rozmowa ucichła i Elsie usłyszała, jak na dole otwierają się frontowe drzwi. Ogden też musiał to usłyszeć, bo wstał, poprawił koszulę i wyciągnął rękę do gościa.

– Dziękuję za troskę o nas, Mistrzu Kelsey. To niezmiernie miłe z twojej strony.

Pokiwał głową.

– Mam nadzieję, że twoje oko szybko się zagoi.

Zeszli na dół, Elsie załamywała ręce i właśnie skręciła w stronę pracowni, kiedy zobaczyła zdenerwowaną Emmeline, pędzącą korytarzem.

– P-panie Ogden, Nash do pana.

– Powiedz mu, że to nie jest dobry moment.

W tym momencie blondwłosy mężczyzna pojawił się w korytarzu za nią, ubrany swobodnie w lnianą koszulę bez krawata i kamizelki.

– Proszę pana, jeśli mogę...

– Nie teraz, Nash.

Ogden tego nie wykrzyczał, ale równie dobrze mógł to zrobić. Jad w jego głosie zatrzymał Elsie i nawet Bachus spojrział na niego z ukosa. Dostawca wyglądał na urażonego – a nawet wściekłego – przez pół sekundy, ale nic nie powiedział, odwrócił się i odszedł, wychodząc przez drzwi pracowni. Elsie myślała, że nimi trzaśnie, ale tego nie zrobił. Emmeline odetchnęła z ulgą.

– Przepraszam – Ogden potarł czoło, po czym ponownie poprawił koszulę. – Przypuszczam, że zeszła noc zestresowała mnie bardziej, niż chcę to przyznać. Nic, czego nie załatwi trochę pracy.

Uprzejmie skinął głową Elsie i Bachusowi, zanim poszedł śladami Nasha do pracowni.

– Ja... Może wyjdziemy tylnymi drzwiami, hmm? – zaproponowała Elsie, wymieniając spojrzenie z Emmeline, które, jak miała nadzieję, mówiło: *Upewnij się, że z Ogdenem wszystko w porządku.*

Prowadziła, a Bachus w milczeniu podążał za nią, choć równie dobrze mógłby być wilkiem oddychającym jej prosto w kark. Przy tylnych drzwiach, oglądając się przez ramię, by upewnić się, że Emmeline nie przyplątała się za nimi, szepnęła:

– Nie miałeś szczęścia w odgadnięciu, kto to zrobił?

Była bardzo blisko niego – wystarczająco blisko, by wykryć zakłęcie, jeśli nadal je posiadał. Wokół niej tańczył najdelikatniejszy zapach ściętego drzewa i pomarańczy, nie przyprawiony już tą ziemistą nutą runy czasu, i znów pomyślała o dotyku jego klatki piersiowej pod swoimi dłońmi. Odchrząknęła i starała się nie pozwolić, by jej twarz przybrała czerwony kolor. Bachus potrzebował chwili, by odpowiedzieć; pytanie nie było zbyt precyzyjne, więc nie miała mu tego za złe.

– Nie. Przyjrzę się temu, ale obawiam się, że będzie to bezowocne przedsięwzięcie. Stało się to tak dawno temu i nie mogę nawet skojarzyć, na którym kontynencie – westchnął i wsunął ręce do kieszeni płaszcza.

– Jakie to wszystko dziwne.

– Naprawdę dobrze się czujesz, Elsie? – jego oczy z jakiegoś powodu wydawały się zbyt wiedzące, jakby mogły kopać pod jej skórą. Odpędziła swoje zdradzieckie myśli, bojąc się, że wyrwą się z jej głowy. – Jesteś cała? Nie martwisz się?

Pomyślała o wybuchowym temperamencie Ogdena, tak niezwykłym dla niego.

– Na pewno się martwię – przyznała. – Ale co można zrobić? Ten człowiek, złodziej, kimkolwiek był, zniknął i nikt z nas nie mógł mu się dobrze przyjrzeć. Policja nie może szukać osoby bez opisu. A poszukiwacz prawdy nie wydawał się zainteresowany.

– Powiadomili Wysoki Sąd?

Frontowe drzwi otworzyły się i zamknęły, co oznaczało, że Nash znów był w drodze.

– Ogden jest aspektozem. Najwyraźniej taka jest procedura, gdy dzieje się coś takiego.

Posłała mu słaby uśmiech. Wciąż nie mogła uwierzyć, że atak był powiązany z tymi, które opisywano wcześniej w gazetach. Ogden był słabym czarodziejem. Jednak incydent nadal pozostawił ślad w jej psychice.

– Nie musisz się martwić. Po raz kolejny uniknęłam stryczka.

– To dobrze – w zamyśleniu odwrócił wzrok. – Zastanawiam się, czy to jest tylko jedna osoba. Zbrodnie są tak liczne i nie ma prawdziwych dowodów, o których można by mówić. Jeśli zaczniemy łączyć ze sobą każdą zbrodnię w świecie aspektorów, nigdy niczego nie rozwiążemy. Na przykład to w akademii.

To ją zatrzymało.

– W jakiej akademii?

– Akademii aspektorów, która przydziela ich do ateneów – kiedy nie zareagowała, kontynuował. – Jej skrzydło spłonęło, zabijając profesora i dwóch uczniów – zmarszczył brwi. – Ich opusów nie odzyskano, ale tego można się spodziewać po pożarze. A jednak nawet to przypisuje się temu bandycie.

Próbowała zignorować gęsią skórę pokrywającą plecy i ramiona.

– To... straszne.

Bachus potarł brodę i kiwnął głową. Elsie zastanawiała się, czy dziedzic był w akademii podczas jednej ze swoich podróży do Londynu. Potrzebowałby powodu, by ją odwiedzić, nie mając ani jednego magicznego włosa na głowie. Być może Bachus miał rację i nie był to jeden potężny morderca, ale kilka krnąbrnych dusz próbujących wywołać burzę. A może ponownie spadły na nich powstania XVII wieku, a ludzie pozbawieni magii i uciskani napadali na arystokratów, kradnąc ich opusy, aby zdobyć dla siebie pozory władzy.

– Ogden może mieć rację co do dziennikarzy – zasugerowała. – I co do tego, że nie jest celem przez swój opus. Zna niewiele więcej zakłęb niż mój but, naprawdę.

Jego usta drgnęły. Gdyby tylko uśmiechnął się do niej, jeszcze raz. Ale nie mogła się zmusić, by zapytać, ani być na tyle dowcipna, by na to zasłużyć.

– Przekaż moje pozdrowienia księciu, Bachusie – dotknęła jego rękawa, a potem natychmiast tego pożałowała, bo jej policzki zapłonęły. – Uważaj na siebie i...Daj mi znać, jeśli będę mogła jakoś pomóc.

To była głupia oferta. Jeśli ich znajomość się pogłębi, może odkryć to, czego Ogden i Emmeline wciąż nie zdołali. Mógł dostrzec jej wady. Pokiwał głową.

– Ty też. I... może wychodząc, postawię kilka zakłęb osłonnych.

– Tak, proszę. Dziękuję – stali niezręcznie przez chwilę, zanim Elsie otworzyła drzwi. – Nie chcę cię obrazić, wypuszczając cię od tyłu...

– W porządku, wolałbym nie przeszkadzać panu Ogdenowi w interesach.

Skinął jej głowę, włosy zebrane na jego karku lekko podskoczyły i odszedł. Tak po prostu. Elsie zmusiła się, by nie patrzeć, jak odchodzi. Nie musi stać w drzwiach jak jakiś zakochany szczeniak. *Nie jestem zakochana*, warknęła na siebie, zamykając drzwi trochę za mocno. Bachus był tylko przygodą. Marzeniem. Dowodem na to, że czytała za dużo beletrystyki. Może powinna na jakiś czas przerzucić się na czasopisma naukowe. W tej chwili nie mogła wymyślić lepszego lekarstwa na swoje poskręcane wnętrzności niż ciepłe mleko. Drzwi pracowni otworzyły się i zamknęły. Najlepiej, żeby pomogła następnemu klientowi. Ale kiedy Elsie weszła do pracowni, był tam tylko Ogden, który pracował nad bryłą gliny w kącie.

– Czy Emmeline wyszła? – zapytała.

– Wydaje mi się, że jest w jadalni – Ogden skupiał się na glinie. Elsie zerknęła na drzwi.

– Czy ktoś wchodził?

Podnosząc wzrok, wzruszył ramionami.

– Nic nie słyszałem.

Dziwne. Być może jej umysł po prostu szukał pretekstu, by zmienić tok myślenia.

– Elsie – Ogden obrócił dłuto w dłoni. – Czy ten mężczyzna się do ciebie zaleca?

Jej policzki płonęły.

– Boże, nie. Ledwo go znam.

Skinął głowę z powątpiewaniem.

– To byłoby dla ciebie dobre, zwłaszcza po... – nie śmiał powiedzieć „Alfredzie”, kiedy ta rana była tak świeżo otwarta. – Chociaż nie chciałbym widzieć cię znowu ze złamanym sercem, moja droga. A nie da się go uniknąć ponad podziałami klasowymi.

Równie dobrze mógł wziąć dłuto i wbić je w jej pierś.

– Jestem tego świadoma – zmusiła słowa, by brzmiały lekko. – Ale jak już powiedziałam, ledwo go znam. Poza tym on niedługo wyjeżdża na Barbados.

– Czy stamtąd pochodzi? Nie wiedziałem, czy to nie niegrzeczne zapytać.

Elsie przewróciła oczami. Ogden zatrzymał się.

– Podaj mi to zamówienie, dobrze?

Wskazał ogólnie w kierunku lady. Na szczęście Elsie wiedziała, co miał na myśli. Podeszła, żeby podać ostatnie zlecenie. Spod niego wystawała szara koperta. Zaparło jej dech. *Jak?*

Może jednak nie wyobrażała sobie otwierania i zamykania drzwi. Czy właśnie to dostarczyli? Ale jak mogło to umknąć uwadze Ogdena? Chwytną kopertę, Elsie okrążyła ladę i wybiegła przez frontowe drzwi, ignorując goniący

ją zaniepokojony krzyk Ogdena. Wybiegła na ulicę, obracając się i rozglądając wszędzie, gdzie tylko można było spojrzeć.

Była zbyt powolna. Wokół domu nie kręcili się obcy ludzie, nikt się nie ukrywał. Nie żeby coś widziała w ciemności ulicy.

Zaciskając usta, weszła w cień na tyłach domu i przysunęła do twarzy pieczęć z półksiężycem i ptasią stopą. Złamała ją i przeczytała nazwę jej następnego celu.

Londyńskie Ateneum Fizyczne.

ROZDZIAŁ 19

Elsie nie lubiła pracować w nocy. To sprawiało, że czuła się jak przestępca. Którym nie była. Przynajmniej nie miała takich intencji. No bo kto nazwałby Robin Hooda przestępcą? To naprawdę była kwestia perspektywy.

Zadrzała, chociaż w Londynie nie było strasznie zimno. Nawet nie padało. Pod pretekstem zagubienia się i gorączki, a może szukania kota, Elsie zbliżyła się do ogromnego Ateneum Fizycznego. Miało strażników, owszem, ale niewielu z nich spacerowało po terenie otaczającym budynek. Podobnie jak wiele bogatych miejsc, ateneum polegało na magii, która chroniła jego drzwi. Magia nie wymagała opłacenia godzin warty ani nie zasypiała w pracy. Poza tym ateneum nigdy nie było puste. Zawsze ktoś się w nim kręcił, uczył się, przygotowywał lub drzemał przy jakimś biurku. Mimo to Kaptury dały jej instrukcje, jak postępować, a ona ściśle ich przestrzegała. Bardzo nie chciałyby powtórki incydentu z zakłętą klamką w Kencie. Wątpiła, że gdyby została tu złapana, jej porywacz byłby tak pobłażliwy jak Mistrz Bachus Kelsey.

Niezależnie od tego musiała działać szybko, ponieważ nie chciała ryzykować łączenia go z tym w jakikolwiek sposób, nawet jeśli miało to przysłużyć się dobru ludzi. Ateneum z pewnością nie widziałyby tego w ten sposób. Prawdę mówiąc, Bachus pewnie też nie.

Dzisiejsze zadanie wymagało długiego marszu, ale Elsie podeszła do ateneum od tyłu – od północno-zachodniej strony. Znalazła ogródek do odpoczynku, o którym wspomiano w liście, długą ścieżkę pokrytą jasnym kamieniem, usianą ławkami i krzakami w doniczkach, przyciętymi tak, by wyglądały jak kule. Podeszła ostrożnie, preferując stąpanie w długich cieniach rzuconych przez sierp księżyca, szukając pierwszego zaklęcia.

Zauważyła je tuż przed tym, jak w nie weszła – zaklęcie aktywowane nocą, które powodowało, że ziemia wznosiła się wokół wszystkiego, co wywierało na nią nacisk. Rozwiązała je z łatwością, ponieważ znała je już z księżęcej posiadłości. Następnie znalazła około pół metra dalej. Przykucnięta, ze spódnicą zwiniętą między kolanami, Elsie skradała się tą drogą, ignorując swędzenie nadgarstków. Nie zdziwiła się, że Kaptury wysłały ją tutaj. Magia była narzędziem, które mogło pomóc całemu społeczeństwu albo je zniszczyć, jak to działo się z klątwą na polach księcia. Mogła też pomóc rosnąć roślinom, oswajając

zwierzęta, ułatwiała transport. Dzięki niej ludzie pracowali, dzieci były zdrowe. Tak więc każdy, kto sięgał po nią wiedziony dumą i żądzą zysku, krzywdził tych, którzy nie mieli do niej dostępu. Nawet Bachusowi odmówiono zaklęcia, którego potrzebował, a przecież był jednym z nich. Elsie zastanawiała się, ile użytecznych zaklęć było przed nią ukrytych w bibliotece wielkiej fortecy, usychających, nieużywanych i zapomnianych, nikomu niepomagających. Kiedy jej praca była skończona, inni, odważniejsi od niej, wkradną się, skopiują i rozpowszechnią zaklęcia. Być może gdyby czarodzieje nie byli tak cholernie zachłanni, nie okradano by ich ani nie mordowano we własnych łózkach. W ten sposób byłoby więcej dla wszystkich... Gdyby klasy niższe mogły uzyskać niezbędne krople, aby również wchłonąć magię. Ale dzielenie się bogactwem czarodziejów byłoby kolejnym zadaniem na inny dzień. Zaklęcia zasysające – Elsie nie miała dla nich lepszej nazwy – kończyły się wraz z kamienną ścieżką. Szła jeszcze wolniej niż poprzednio, zatrzymując się raz, gdy wydawało jej się, że coś słyszy w pobliżu... ale zapanowała cisza, przerywana jedynie przez szybkie bicie jej serca. Gdzieś tu było inne zaklęcie, choć nic nie widziała na ziemi...

Tam. Przez chwilę myślała, że to duchowe zaklęcie, bo słyszała je jak komara latającego blisko ucha, ale gdy zbliżyła się do dwóch identycznych posągów stojących naprzeciw siebie na ścieżce, zauważyła na każdym z nich migoczące fizyczne runy.

Ledwo słyszalny dźwięk miał sens. Już raz złamała takie zaklęcie kilka lat temu. Dwa siostrzane zaklęcia tworzyły niewidzialną barierę, która po przełamaniu wydawała okropny dźwięk. To był alarm, prawdopodobnie aktywowany po zapadnięciu zmroku, podobnie jak zaklęcia ssące. Gdyby uruchomiła go, nie sądziła, że zdołałaby uciec na tyle daleko, by się ukryć, zanim ktoś ją znajdzie. Ostrożnie wyciągnęła jedną rękę, upewniając się, że jej palce nie weszły do wnętrza runy i poluzowała jeden koniec. Potem drugi. Mała pętla na środku, potem na dole, aż zaklęcie wydało słaby skrzek i zniknęło. Nie musi się martwić o siostrzaną runę – bez czegoś, z czym mogłaby się połączyć, była nieszkodliwa. Mimo to Elsie wstrzymała oddech, kiedy przechodziła między posągami, wzdychając z ulgą, gdy nic się nie wydarzyło. Jej klatka piersiowa rozgrzała się pod gorsetem, ale kiedy szukała innych zaklęć alarmowych, nie znalazła żadnego. W takim razie to tylko nerwy.

Zbliżając się do budynku, Elsie spojrzała na najbliższe okno, które zaczynało się około trzydzięci centymetrów nad jej głową. Jeśli Kaptury miały rację, pozostało jeszcze jedno zaklęcie, zabraniające przedostawania się przez wszystkie okna na parterze od zewnątrz. Kiedy je wyeliminuje, Kaptury będą

mogły zakraść się do biblioteki, skopiować potrzebne im zaklęcia i uciec. Czy jeśli zostanie wystarczająco długo, zobaczy jednego z nich?

A jak wytłumaczysz Ogdenowi, jeśli rano nie będzie cię w łóżku?

Biorąc pod uwagę napaść, jakiej doznał, mógł natychmiast skontaktować się z władzami. Co wymagałoby od niej odpowiadania na pytania, których lepiej żeby jej nie zadawano. Nie, musiała się pospieszyć.

Wycofując się do ogrodu, Elsie przewróciła doniczkę, wyrzucając z niej ziemię i kwiaty. Zamarła nad bałaganem, słysząc w pobliżu kroki. Słuchała ich uważnie, dopóki nie ucichły, a łydki ją paliły od długiego przysiadu. Podniosła doniczkę, zaniósła ją do okna i stanęła na nim.

Zaklęcie ożyło pod jej palcami, przywołując ją. Elsie pracowała obiema rękami, dwukrotnie podskakując, by sięgnąć do szczytu runy. Czuła się odsłonięta, a po kręgosłupie spływał jej pot. Kiedy zaklęcie prysło, potrzebowała całej swojej siły woli, żeby się nie wymknąć. Musiała wymienić doniczkę na wypadek, gdyby człowiek Kapturów pojawił się dopiero jutro wieczorem. Nie mogła dać nikomu powodu do podejrzeń, w przeciwnym razie musiałaby zrobić to wszystko od nowa. A jeśli jej praca zostanie odkryta, strażnicy będą patrolować teren. Czując się dziwnie silniejsza niż przed chwilą, zaniósła doniczkę z powrotem i wepchnęła do niej ziemię, nie zważając na to, co robi ze swoją sukienką. Nieukorzenione kwiaty nie wyglądały dobrze, ale i tak włożyła je do ziemi. Nikt tego nie zauważy, jeśli nie będzie uważnie przyglądał się donicy. Zmiotła pozostałą ziemię w wypiełgnowaną trawę i odeszła, skradając się, skrupulatnie i powoli, dokładnie tą samą drogą, którą przyszła. Z tego co wiedziała, nikt jej nie śledził.

* * *

Elsie usunęła się z drogi, gdy dziedzic Hughes wychodził z urzędu pocztowego. Nie z szacunku, ale dlatego, że była pewna, że mężczyzna po prostu po niej przejdzie, jeśli mu nie ustąpi. Nie przytrzymał jej drzwi ani nie nawiązał kontaktu wzrokowego. Po prostu przeszedł obok, z wysoko uniesioną głową i skierował się w stronę swojego konia, który, jak zauważyła Elsie, został niedawno ponownie zaklęty.

Przygryzając wargi, Elsie wśliznęła się do budynku poczty. Jeden z psów zaskomlał z tyłu, a Martha Morgan przerzuciła kilka listów w schowku pod ścianą za biurkiem.

– Dzień dobry, Martho – powiedziała Elsie.

Kobieta zajrzała jej przez ramię.

– Och, panno Camden! Chwileczkę, jeśli możesz – skończyła układać mały stosik kopert w dłoni, zanim poświęciła Elsie całą swoją uwagę. – Jak mogę ci pomóc?

– Muszę wysłać telegram do Brixton, zaadresowany do pana Allena Bakera – rozłożyła trzymaną w dłoniach notatkę, w której zapisała instrukcje Ogdena. –

Dzieło będzie gotowe jutro – wyłowiła odpowiednią monetę i położyła ją na ladzie. Martha zapisała wiadomość.

– Zaraz to wyślę.

– Dziękuję – Elsie złożyła papier i odwróciła się do drzwi.

– Panno Camden – dobiegł ją głos pana Greena, naczelnika poczty, który wyszedł z domu połączonego z budynkiem poczty. – Świetne wyczucie czasu. Właśnie otrzymałem telegram dla ciebie.

Martha uśmiechnęła się i uniosła brwi, jakby chciała skomentować rzeczony wyczucie czasu, po czym udała się na zaplecze.

– Dla pana Ogdena? – zapytała Elsie.

– Dla ciebie – podał jej kopertę. Elsie nie lubiła otwierać publicznie swojej prywatnej korespondencji ale ciekawość wzięła górę. Mając nadzieję, że może pochodzić od Bachusa, otworzyła krótką wiadomość. Jej serce podskoczyło. Nie od Bachusa. Z Juniper Down.

Elsie. Myliliśmy się. Ktoś cię szuka. Przyjedź jak najszybciej.

Wiadomość nie zawierała nic więcej, a jednocześnie zawierała wszystko. Musiała zblednąć, bo pan Green zapytał z troską:

– Czy wszystko w porządku?

Elsie głupio skinęła głową.

– Tak... Doskonale. Dziękuję.

A potem wybiegła z poczty, frunąc jak na skrzydłach.

* * *

– Ogden! – krzyknęła Elsie, wpadając do domu. – Panie Ogden! – skręciła za róg i prawie wpadła na Emmeline. Z poczty do kamieniarza było niedaleko, ale Elsie sapała, jakby przebiegła wiele mil. – Gdzie on jest?

– W p-pracowni – Emmeline gapiała się. – Co się stało?

Ale Elsie nie chciała tracić czasu na wyjaśnienia. Pospieszyła do pracowni, a Emmeline deptała jej po piętach. Ogden stał z rozwiązanym fartuchem malarskim. Twarz mu pobiadła ze strachu.

– Coś jest nie tak?

Elsie praktycznie skoczyła na niego, chwytając go dłońmi za ramiona.

– Dostałam telegram z Juniper Down! Ktoś mnie szuka! Ogden, to musi być moja rodzina!

Gapił się na nią i wypuścił długi oddech.

– Jesteś pewna? – Emmeline pisnęła. Elsie uśmiechnęła się.

– Kto inny poszedłby do tego miejsca, gdzie diabeł mówi dobranoc, i pytał o jakąś Elsie Camden? Proszę, zrobię wszystko, ale pozwól mi wyjechać. Muszę wyruszyć natychmiast. Pojadę pociągiem, dojadę aż do Reading...

Poruszył ustami.

– Dopiero co o tym usłyszałaś!

Elsie, wyłowiwszy telegram z kieszeni, wręczyła mu go. Przeczytał i kiedy się zastanawiał, Elsie przekazała go Emmeline.

– To jest niesamowite – Emmeline uśmiechnęła się. – Och, Elsie, czekałaś tak długo!

– Zapłacę za tymczasowe zastępstwo na moje miejsce – powiedziała do Ogdena. – Czegokolwiek potrzebujesz...

Ogden, nieco skonsternowany, potrząsnął głową. Mały uśmiech igrał na jego ustach.

– To nie będzie konieczne. Jeśli wyjedziesz teraz, możesz zdążyć na pociąg przed zapadnięciem zmroku.

Elsie roześmiała się i pocałowała Ogdena w policzek.

– Och, dziękuję, dziękuję. Boże, muszę się spakować.

– Ściągnę pranie ze sznura – zaćwierkała Emmeline i wybiegła z pracowni.

Elsie rzuciła się do schodów, pokonując po dwa na raz w drodze do swojego pokoju. Wyciągnęła walizkę spod łóżka, położyła ją otwartą na materacu i przeszukała szafę. Lubiła uważać na to, jak się pakuje na podróż – zwłaszcza na czas nieokreślony – ale jedyne, o czym mogła myśleć, to dotarcie do Juniper Down.

Poczekają na nią. Na pewno będą na nią czekać! Czekali tak długo, czym jest jeszcze jeden dzień? I mogłaby dojechać na miejsce w jeden dzień, gdyby spała w pociągu i w powozie. Tylko jeden dzień dzielący ją i jej rodzinę! Kto to był? Jej mama? Brat? Nie śmiała mieć nadziei, że będą wszyscy. Wkrótce pojawiła się Emmeline z praniem, które składało się głównie z bielizny. Dziękując jej, Elsie wybrała wszystko, co uważała za potrzebne, i wepchnęła ubrania do walizki. Kiedy bagaż się zapełniał, Emmeline wróciła z zawiniętą w płótno paczką.

– Na wypadek gdybyś zgłodniała.

Włożyła paczkę w ręce Elsie.

– Och, Emmeline, dziękuję – wyprostowała się. – Potrzebuję mojej książeczki oszczędnościowej – pieniądze na bilet na pociąg, podróż... I nie miała pojęcia, kto o nią pytał. Co, jeśli byli bez środków do życia i potrzebowali pomocy? – Ogden!

– Właśnie wyszedł! Chyba na pocztę, żeby zapytać o twoje zastępstwo na tydzień.

– Oczywiście – ledwie zarejestrowała tę uwagę. Boże, dopomóż, miała tyle pytań i tak mało czasu, żeby je wszystkie przemyśleć.

– Przyniosę ci więcej sera.

Emmeline pospiesznie zbiegła po schodach, jej kroki były niecierpliwe. Elsie podążyła za nią aż do sypialni Ogdena, do której weszła bez zawahania. Przecież kiedyś tu sprzątała.

– Książeczka, książeczka – szeptała, spoglądając na jego skromne meble. Trzymał tu wszystkie ich książeczki oszczędnościowe, często sam do nich dokładając z czystej hojności. Elsie nie musiała używać swojej od dłuższego czasu.

Gdzie ona jest?

Podeszła do jego biurka i otworzyła prawą górną szufladę, przeszukując znajdujące się w niej pióra i papiery. Kilka miało na sobie duże bazgroły, łączące przypadkowe kropki. Coś w rysunkach wydawało jej się znajome, ale nie mogła sobie przypomnieć dlaczego. Brakowało im zwykłego artystycznego oka Ogdena. Szuflada pod nią zawierała różne butelki niebieskiego atramentu aspektorowego, a trzecia była prawie po brzegi wypełniona starymi księgami. W lewej szufladzie znalazła pokwitowania – *czy dał jej je już do zaksięgowania?* – narzędzia do oprawiania i stare listy.

Wyjęła jego klucz spod nocnego stolika i podeszła do szafki, w której trzymał swoje krople, otworzyła drzwi i przejrzała zawartość zamkniętej szafki. Brak książeczki. Gdzie to może być, na litość boską? Musiała dotrzeć do Londynu przed odjazdem ostatniego pociągu, inaczej zmarnowałyby cały dzień. Zamknęła szafkę, wróciła do biurka i jeszcze raz sprawdziła jego szuflady. Przejrzała paragony, podniosła księgi. Otworzyła szufladę z atramentami i popchnęła je do przodu i do tyłu. Nic. Mocno zamknęła szufladę i usłyszała brzdęknięcie. Obawiając się, że stłukła butelkę, otworzyła ją ponownie, gotowa znaleźć niebieski płyn plamiący drewno, ale butelki były całe. Znowu zamknęła szufladę i tym razem usłyszała kolejne brzdęknięcie, ale tym razem nieco ciszej niż poprzednio. Zatrzymała się. To nie brzmiało jak szkło uderzające w szkło... więc co to było? Z pewnością nie książeczka oszczędnościowa, ale ciekawość kazała jej ponownie otworzyć szufladę. Nie było w niej nic oprócz butelek z atramentem, jedna prawie pusta, trzy pełne, jedna pełna w połowie. Wysuwała

i wsuwała szufladę, za każdym razem słysząc piskliwy dźwięk, nawet jeśli butelki nie uderzały o siebie.

Przesuwała każdą butelkę, jedną po drugiej, aż znalazła jedną z tyłu, która była pusta. Wyglądała na w połowie pełną, ale po bliższym przyjrzeniu się szkło było jedynie zabarwione na niebiesko w połowie butelki. Potrząsnęła nią, słysząc, jak coś uderza o szkło. *Co do diabła?* Odkorkowała butelkę, odwróciła ją i na jej dłoń wypadł długi stempel z metalową końcówką. W jakim celu Ogden ukrywał stempel do wosku... Przestała oddychać, kiedy zobaczyła wzór na końcu. Ptasia łapa nad półksiężycem. Symbol Kapturów. Szczeka jej opadła. Potem, jakby przedmiot ją parzył, wepchnęła go do butelki, zakorkowała i włożyła z powrotem do szuflady, zatrzasnęła ją i cofnęła się o dwa kroki.

Kaptury... Czy Ogden był jednym z nich?

Ale to miało sens. Jak ich listy zawsze trafiały bez śladu do jej najbardziej prywatnych miejsc? Jakby ich doręczyciel dokładnie wiedział, gdzie dziewczyna je znajdzie. Poza tym Ogden zawsze był tak wyrozumiały kiedy potrzebowała trochę czasu, jakby wiedział, że robi z niego dobry użytek. Czy zawsze był jednym z nich, czy też przeszedł na ich stronę po zatrudnieniu jej? Czy odkrył coś, czego ona nie odkryła, i został wtajemniczony? Bez wątplenia wiedział jedno... Wiedział, że jest łamaczką zaklęć. Gęsia skórka pokryła jej ręce i nogi. Wróciły wszystkie pytania, z którymi zmagala się od tamtej nocy, kiedy wybuchł pożar w przytułku. Dlaczego trzymał to w tajemnicy? Z powodu Emmeline?

Uderzyło ją, że pan Parker prawdopodobnie w ogóle nie był w to zamieszany. Ogden powiedział, że *dziedzic wplątuje się w różnego rodzaju nieczne interesy*. Czy to właśnie ukrywał jego zarządca? Nie swój charakter pisma, ale list próbujący rozwiązać jeden z występków dziedzica Hughesa?

Ależ oczywiście, że to był Ogden! Był artystą. Nie byłoby mu trudno ukryć charakter pisma... Musiała to wszystko przemyśleć, wybrać najlepszy plan działania, a mimo to czuła się tak, jakby otworzyła nową książkę ze zbyt wieloma stronami. Musiała dostać się do Juniper Down, natychmiast.

Ale Kaptury...

– Elsie? – podskoczyła na głos Emmeline. Przygładziła włosy ręką.

– Emmeline. Czy wiesz, gdzie Ogden trzyma nasze książeczki oszczędnościowe?

Zastanawiała się przez chwilę.

– Sprawdziałś pod łóżkiem?

– Ja... Nie... – roztrzęsiona przykucnęła przy łóżku i wyjęła drewniane pudełko z dokumentami. Rzeczywiście, wszystkie trzy ich książeczki oszczędnościowe były przechowywane na wierzchu szkatułki. Elsie chwyciła

swoją i przycisnęła do piersi. Nie wiedziała, ile pieniędzy będzie potrzebowała, więc wypłaci wszystkie. W okolicy wciąż grasowali bandyci...

Juniper Down. Kaptury. Jej rodzina. Ogden.

Czuła się, jakby jej głowa miała zaraz eksplodować. Elsie pospieszyła do swojej sypialni, włożyła książeczkę do torebki i zamknęła walizkę, zauważając schowaną w niej drugą płócienną paczkę z jedzeniem.

– Dziękuję, Emmeline.

Wyciągnęła walizkę na korytarz. Zeszła z nią po schodach i położyła na stole, a potem zaciskała ręce, czekając na powrót Ogdena. Wrócił mniej niż kwadrans później.

– Zawiozę cię do Londynu – powiedział, gdy tylko wszedł do jadalni. Wziął do ręki jej walizkę. – Prześlij nam wiadomość tak szybko, jak to możliwe.

Elsie skinęła głową, niepewna, co jeszcze powiedzieć. Miała nadzieję, że nie zauważył jej podziwu.

ROZDZIAŁ 20

Mogła go o to zapytać w drodze do Londynu. Mogła rozpocząć rozmowę na tak wiele sposobów. *Panie Ogden, czy wie pan, kim jestem? Albo: znalazłam coś wyjątkowo interesującego w jednej z pańskich szuflad. Albo nawet: dlaczego nie powiedziałeś mi, że jesteś jednym z Kapturew?* To prawda, że Kaptury to przezwisko, które sama im wymyśliła. Nie знаła ich prawdziwej nazwy. W końcu nie odezwała się ani słowem, wiedząc, że w trakcie podróży do Londynu nie wystarczy jej czasu na wszystkie pytania. A jeśli Ogden będzie zły, że nieumyślnie weszła i odkryła jego prawdziwą tożsamość... Co, jeśli zrobi coś, co uniemożliwi jej wyjazd do Juniper Down? Musiała tam pojechać. To było ważniejsze niż... cokolwiek innego. Wynajęła na noc pokój w hotelu w Reading, stacji kolejowej położonej najbliżej Juniper Down, chociaż równie dobrze mogła się tym nie przejmować. Chodziła godzinami po swoim pokoiku, nie mogąc zasnąć ani na krześle, ani na łóżku. Dopiero przed świtem udało się jej odpłynąć, tylko po to, by obudzić się przed deszczowym wschodem słońca. Ubrała się szybko, prezentując się prawie tak dobrze, jak na kolacji u księcia, chociaż nie mogła upiąć włosów w taki sam sposób, jak zrobiła to Emmeline. Zobaczy się dzisiaj ze swoją rodziną. Sama myśl sprawiła, że serce zabiło jej szybciej.

Zastanawiała się, czy Bachus będzie nadal w Anglii, kiedy wróci. Czy chciałby wiedzieć o tym cudownym zwrocie wydarzeń?

Ktoś ją znalazł. Wrócił po nią. To zmieniało wszystko.

Uśmiechając się do siebie w małym lusterku na ścianie, Elsie ostrożnie przypięła do włosów fioletowy kapelusz. Potem spakowała walizkę i zniosła ją na dół, gdzie konsjerż uprzejmie wynajął dla niej dorożkę, która zawiozła ją na południowy zachód, w stronę Juniper Down, maleńkiej wioski, która ledwie zasługiwała na tę kropkę, którą oznaczono ją na mapie. Elsie nie była tam, odkąd skończyła sześć lat. Nigdy jej nie odwiedzała, pisała tylko listy. Zastanawiała się, czy wioska nadal wygląda tak, jak ją zapamiętała... Chociaż mogła przywołać tylko wnętrze domu Hallów. Zacisnęła dłonie w koronkowych rękawiczkach tak mocno, że materiał obtarł palce do krwi. Potem przećwiczyła, co powie. Gdyby to była jej matka lub ojciec – a może oboje! – oczywiście zapytałaby, dlaczego odeszli. Dlaczego tak długo czekali, żeby po nią wrócić. Ale to nie mogło być pierwszą rzeczą, która wyjdzie z jej ust. Chciała zacząć z dobrej strony. Okazać

radość, że w końcu po nią wrócili. Potem przyjdzie czas na pytania. Gdyby to było rodzeństwo... *Gdzie byliście cały ten czas? Czy pamiętasz mnie? Ciebie też zostawili?* Jej gardło zacisnęło się na tym ostatnim. Co zaskakujące, Juniper Down pojawiło się przed nią zbyt wcześnie, mimo że woźnica musiał się zatrzymać, aby zapytać chłopca o drogę. Była to naprawdę mała wieś, wzdłuż której przebiegała tylko jedna droga szerokości powozu, raczej wiejskiej jakości, sądząc po tym, jak jechała dorożka Elsie. Konie zatrzymały się, a serce podskoczyło Elsie do gardła, kiedy woźnica otworzył jej drzwi.

– To na pewno tu? – zapytał, podając rękę, by pomóc jej wyjść z pojazdu.

Obchodząc go, Elsie rozejrzała się po okolicy. W oddali było pole uprawne. Chatki nie różniły się zbyt wiele od domków dzierżawców księcia, choć nieco odstawały rozmiarami i zaniedbaniem. Każdy miał mały ogródek. Dookoła krzyżowały się wąskie ścieżki. Stary mężczyzna, siedzący na krześle przy ulu w pobliżu drogi, zerknął na nią.

Wyczuwając jej wahanie, woźnica krzyknął:

– Hej! Czy to Juniper Down?

Mężczyzna ryknął w odpowiedzi:

– Tak! A o co chodzi?

Wziąwszy głęboki oddech, Elsie odwróciła się z powrotem do woźnicy.

– Dalej znajdę drogę sama, dziękuję.

Mężczyzna kiwnął głową i zdjął jej walizkę z tyłu dorożki.

– Powodzenia.

Elsie wykonała ruch głową i pozostała na drodze, dopóki powóz nie zawrócił i nie ruszył. Potem, starając się nie przygryzać wargi, podeszła do starca.

– Przepraszam, ale czy wie pan, gdzie mieszkają Hallowie? – zapytała.

– Dom Henry’ego? – zapytał, spoglądając na nią.

Każda część jego garderoby, łącznie z kapeluszem, miała przynajmniej po jednej dziurze, a ona była w jednej ze swoich najlepszych sukienek. Być może popełniła błąd, strojąc się przed przybyciem tutaj. Ale mężczyzna podniósł nienabitą fajkę i wskazał ją na południe.

– Na końcu drogi – nie zaproponował, że ją zaprowadzi, ale to nawet lepiej.

– Dziękuję – powiedziała i poszła w kierunku, który jej pokazał. Do jej uszu dochodziły głosy małych dzieci; jedno z nich płakało. Kobieta kłęcząc w swoim ogrodzie i wyrwała chwasty. Inna czerpała wodę ze studni, patrząc, jak Elsie przechodzi. Miała na sobie czarny kapelusz i czarną wstążkę wokół nadgarstków. Czy była w żałobie? Tutejsi ludzie prawdopodobnie nie mogli sobie pozwolić na specjalną żałobną garderobę. Elsie skinęła jej głową i szła dalej, zauważając wkrótce małą dziewczynkę, również ubraną na czarno, a obok ufarbowaną na czarno sukienkę wiszącą na sznurku. Jak strasznie. Co tu się stało?

Ścieżka przed nią rozwidlała się, ale na szczęście właśnie w tej chwili z domu wyszła kobieta mająca około trzydziestki.

– Hej! – zawołała, przyglądając się Elsie od stóp do głów. – Jesteś z Foxstone?

Elsie potrząsnęła głową.

– Właściwie jestem z Brookley. Blisko Londynu.

Kobieta zagwizdała.

– Co robisz w tych stronach? – potrząsnęła głową. – Nie chcę być niegrzeczna, po prostu jestem ciekawa. Zgubiłaś się?

Elsie zaczęły boleć ramiona, więc zmusiła się do zmiany pozycji.

– Tylko trochę. Szukam Agathy Hall.

– Agathy? – kobieta weszła na ścieżkę i gestem zaprosiła Elsie, by poszła za nią. – Mieszka niedaleko stąd.

Minęli starszą kobietę piorącą ubrania.

– Przyjechała zobaczyć się z Agathą – powiedziała pierwsza kobieta, jakby druga zadała im pytanie.

Ruszyły dalej, ale Elsie usłyszała, jak druga kobieta przekazuje informacje komuś innemu, zanim oddaliła się z zasięgu głosu.

– Tutaj – jej przewodniczka wskazała dom, który wyglądał jak wszystkie inne. – Chcesz, żebym weszła z tobą?

– Eee, nie, dziękuję.

Skinęła głową z wdzięcznością i wstrzymując oddech, podeszła do domu. Zapukała trzykrotnie, czując na plecach czyjś wzrok. Wewnątrz rozległy się kroki, a potem ostre słowo, prawdopodobnie skierowane do dziecka. Drzwi się otworzyły. Elsie ledwie ją poznała – w końcu bazowała na wspomnieniach sześciolatki, a kobieta postarzała się od tego czasu. Być może była to też kwestia sukienki lub oczywisty fakt, że Elsie już tu nie pasowała, ale Agatha rozpoznała ją od razu.

– Elsie Camden! – słowa zostały wypowiedziane z westchnieniem. – O Boże, przyjechałaś. I tak szybko! Wejdz, wejdz.

Położyła dłoń na łokciu Elsie i wprowadziła ją do środka.

Dom był przytulny, mały. Połowę pokoju zajmował stary stół jadalny, a na parterze było tylko jedno pomieszczenie. Wąskie schody prowadziły do czegoś, co, jak Elsie przypuszczała, było jedną lub dwiema sypialniami. Przy oknie siedział może dziesięcioletni chłopiec i glansował parę butów. W piecu palił się ogień, ogrzewając wielki żelazny garnek, powietrze było zbyt gorące, ale pachniało chlebem i ziemią. Ten zapach był bardziej znajomy niż cokolwiek innego, co widziała.

Elsie odłożyła walizkę, porzucając maniery.

– Gdzie on jest? Ona?

– On – poprawiła ją Agatha. – I nie został. To znaczy, jest tu, ale nie tutaj.

Odwróciła się i podeszła do drewnianej półki. Wyciągnęła z niej kopertę i podała ją Elsie. Krawędź była wysmarowana jakimś tłuszczem.

– Przepraszam – dodała, wskazując na to. – Jeden z maluchów się do tego dorwał.

Koperta? Elsie odwróciła ją. Brak pieczęci.

– Co to jest?

Agatha wzruszyła ramionami.

– Nie chciał o tym mówić. Powiedział tylko, żeby ci to dać.

Ściskając kopertę w drżących dłoniach, Elsie zapytała:

– Ile miał lat?

Agatha wzruszyła ramionami.

– Był może trochę starszy ode mnie. Miał brodę. Przysięgam, że był gładko ogolony, kiedy wszyscy przyszliście tu po raz pierwszy, ale minęło tyle czasu, a to była tylko jedna noc.

Ojciec, pomyślała, a dreszcz przebiegł jej po plecach.

– Ale wciąż tu jest? W Juniper Down?

Złamała wosk na kopercie. Została wykonana z cienkiego pergaminu. W środku był niedługi list napisany na prawie przezroczystym papierze.

– Powiedział, że będzie w pobliżu. Musiał przebywać w okolicach Birmingham, sądząc po sposobie, w jaki mówił.

Birmingham? To było daleko na północ stąd. Czy był tam przez cały ten czas? Elsie przysunęła do twarzy krótką wiadomość napisaną delikatną ręką.

Przy śliwie, gdzie droga skręca na Foxstone. Przyjdź sama.

To wszystko.

Elsie odwróciła kartkę, ale nie było na niej nic więcej. Czy chciał, żeby ich spotkanie było prywatne? Czy zamierzał każdego dnia czekać pod drzewem, aż ona przybędzie? Nie miało to dla niej większego sensu, ale Elsie była przyzwyczajona do takich krótkich, bezpośrednich wiadomości.

– Gdzie jest droga do Foxstone?

– On tam będzie? – zapytała Agatha, ale wskazała róg domu. – Tędy biegnie na wschód, zakręca i potem prowadzi przez las. Potem musisz skręcić w prawo, bo inaczej zaprowadzi cię do Pingewood.

Elsie odwróciła się do drzwi, ale zaraz się zatrzymała.

– Dziękuję bardzo, Agatho. Czy mogę tu zostawić swoje rzeczy?

– Oczywiście. Przyprowadź go z powrotem, jeśli chcesz, a ja dopilnuję, żebyście oboje zostali nakarmieni – uśmiechnęła się. – Cieszę się twoim szczęściem, Elsie. Dobrze, że tak wyszło.

Kiwając głową, Elsie wyszła na słońce. Wokół domu kręciło się kilka osób, w tym dzieci, prawdopodobnie ciekawych, co sprowadziło obcą osobę do Hallów. Ignorując ich, ruszyła na wschód, szukając ścieżki wystarczająco szerokiej, by można ją było nazwać drogą. Gdy ją znalazła, zerknęła przez ramię, ale nikt za nią nie szedł. Najprawdopodobniej zadrećzali Agathę pytaniami. Niektórzy z nich mogli nawet pamiętać małą dziewczynkę, którą rodzina porzuciła piętnaście lat temu... Ale Elsie będzie się tym martwić później.

Droga była dłuższa, niż się spodziewała; las nie był blisko, ale spieszyła się i utrzymywała tak szybkie tempo, że zanim do niego dotarła, rozboleły ją zębra. Zmuszając się do zwolnienia, Elsie rozejrzała się dookoła, pomiędzy rzadko rosnącymi drzewami, trzymając się środka drogi. *Ojciec*, pomyślała z niedowierzaniem. Próbowała przypomnieć sobie słowa, które ćwiczyła w drodze, ale okazało się, że wszystkie zapomniała.

Czemu wróciłeś akurat teraz?

Dlaczego czekałeś tak długo?

Jak masz na imię?

Las się skończył, a Elsie nie mogła się powstrzymać – znów przyspieszyła, ignorując przesuwające się wiązanie gorsetu. Po kolejnej minucie marszu zobaczyła przed sobą rozwidlenie, a także prosty, wyblakły drogowskaz kierujący do Foxstone. Rzeczywiście, niedaleko na zachód rosła potężna śliwa. Widząc ją, Elsie zeszła z drogi i przeszła przez wysoką dziką trawę, gniotąc list, gdy podnosiła spódnicę.

Była już prawie na miejscu, gdy zza drzewa wyszedł mężczyzna. Zwolniła, a całe jej ciało pulsowało. Był wysoki, tak jak ona, ale miał wydatny nos i ciemne oczy zupełnie niepodobne do jej. Jego opalenizna świadczyła o dniach spędzonych na słońcu, włosy miał długie i proste, poprządkane siwymi pasmami, które nadawały im kolor piasku. To mógł być kolor włosów Elsie lata temu.

Zatrzymała się kilka kroków od niego, zaskoczona jego srogą miną. Brakowało jej słów.

– Witaj – spróbowała.

Ojciec rzucił się na nią, stwardniałą dłonią chwycił ją za szyję. Elsie zatoczyła się do tyłu, aż uderzyła w pień śliwy. Dopiero wtedy zobaczyła pistolet wycelowany w jej czoło. Głos uwiązał jej w gardle.

– Wygrałaś, jestem tutaj. Powiedz mi, czego chcesz.

Elsie gapiała się na niego zaskoczona. Mówił z amerykańskim akcentem.

To nie był jej ojciec.

Zmieszanie, strach i rozczarowanie wirowały w niej. Złapała mężczyznę za ramię, ale on z łatwością ją obezwładnił, zaś ona nie mogła uwolnić szyi od jego ręki.

– Kim jesteś? – wychrypiała.

Skrzywił się.

– Nie igraj ze mną, Elsie Camden – znał jej imię. W takim razie przyszedł jej szukać. Ale dlaczego? Kiedy nie odpowiadała, dodał: – Czytałem twoje artykuły. Myślałaś, że zrobimy to na twoich warunkach? Sprawdziłem akta twojego przytułku. Wiem, czego chcesz, ale zabiję cię, zanim wypowiem te słowa.

Wbił jej pistolet w czoło.

– Przestań! – wrzasnęła, wijąc się, choć to odcięło jej i tak słaby dopływ powietrza. – Pomocy! – krzyk zabrzmiał jak zgrzyt. Szarpiąc się w uścisku mężczyzny, wycharczała: – Jakie artykuły? Nie mam pojęcia, o czym mówisz!

Prychnął. Patrzył na nią przez chwilę. Puścił ją, ale trzymał broń w pogotowiu. Elsie skuliła się, łapiąc powietrze.

– Jesteś za młoda – stwierdził i opuścił lekko broń. – Kto cię przysłał?

Prostując się, spojrzała na niego z niedowierzaniem.

– Kto mnie przysłał? Ty, ofiario! Dostałam telegram, że mnie szukacie! – mówiła przez ściśnięte gardło: – Myślałam, że jesteś moim ojcem.

Musiał udawać akcent z Birmingham przed Agathą. Albo to, albo po prostu źle go zrozumiała. Na jego twarzy pojawiło się zmieszanie. Elsie zadrzała z wysiłku, by uporządkować myśli i zachować serce w jednym kawałku.

– Jakie artykuły? – przepchnęła pytanie przez obolałe i zaciśnięte gardło, spoglądając na broń. Nie sądziła, żeby była zaklęta, nie żeby to miało znaczenie.

– W gazetach. Czasopismach. W całej Europie i Stanach – spojrzał na nią, a jego broń drgnęła. – Jesteś pionkiem.

– Nie jestem niczym pionkiem. Odłóż to cholerstwo! – wskazała na broń. Mężczyzna opuścił ją odrobinę bardziej, więc odstrzeliłby jej kolano zamiast głowy. – Nie jestem dziennikarką. Mówisz do niewłaściwej osoby.

– Nie – potrzęsnał głową, ale cofnął się. Rozejrzał się dookoła, jakby spodziewał się, że ktoś wyskoczy z trawy i go zaatakuje. – Nie, to ty. Musisz być uczennicą.

Ponownie podniósł broń. Elsie uniosła obie ręce. List upadł na ziemię.

– Pracuję dla kamieniarza!

– Jesteś aspektozem. I mówię ci, że tego nie dostaniesz – jego ramiona się naprężyły.

– Przestań! – krzyknęła ponownie, mając nadzieję, że ktoś ją usłyszy, ale droga pozostała pusta. – N-nie jestem aspektozem! Jestem łamaczką zaklęć,

przysięgam – niebezpiecznie było zdradzić swój sekret mężczyźnie trzymającemu ją na muszce, ale była to jedyna rzecz, jaką mogła zaoferować, aby udowodnić, że pomylił ją z kimś innym. – Szukam tylko mojej rodziny. Zostawili mnie w Juniper Down, kiedy byłam małą dziewczynką. Dlatego mam kartotekę w przytułku. Przysięgam!

Ponownie opuścił broń, co wywołało chłodną ulgę w żołądku Elsie.

– Udowodnij.

Rozłożyła ręce. Najpierw potrzebowała zaklęcia.

Zrobił krok do przodu, a ona się cofnęła. Podniósł pistolet. Elsie się nie ruszała. Dotknął jej czoła i Elsie poczuła, jak zaklęcie wsiąka w jej skórę, to samo, którego użył poszukiwacz prawdy. Zatem był aspektozem duchowym. Zaklęcie pełzało po jej skórze jak robak, a ona ze wszystkich sił starała się nie kulić.

– Nigdy w życiu nie opublikowałam artykułu w gazecie ani w czasopiśmie – cieszyła się z zaklęcia choćby dlatego, że potwierdzało jej słowa. – Nie mam najmniejszego pojęcia, kim jesteś.

Potem, wyciągając rękę, wymacała nitki runy i rozerwała ją, czując ulgę, gdy jego magia się rozproszyła. Mężczyzna schował broń.

– Nieświadomy pionek – potrząsnął głową. – Uważaj na siebie. Jeśli nasze ścieżki znów się skrzyżują, nie będę tak wyrozumiały.

Ruszył w stronę drogi.

– Czekaj! – Elsie ruszyła za nim. – Powiedz mi, co...

W jego dłoni ponownie pojawił się pistolet.

– Zastrzelę cię, jeśli pójdziesz za mną.

Zatrzymana w miejscu Elsie uniosła ręce w geście poddania. Trzymała je tam, dopóki tajemniczy cudzoziemiec nie skręcił w stronę lasu. Zniknął, a chwilę później w oddali rozległ się tętent końskich kopyt.

* * *

Elsie długo stała przy śliwie, wpatrując się w kawałek drogi, na którym zniknął mężczyzna. Stała, aż rozboleły ją plecy i nogi. Potem opadła na kolana jak sukienka zdjęta z manekina. Jej głowę wypełniły dźwięki świerszczy, a miejsce na policzku, gdzie padało światło słoneczne przebijające się przez liście, zaczynało płonąć. Myśli kotłowały w jej umyśle, ale ich ilość była niczym w porównaniu z twardą prawdą, która powoli zakorzeniała się w jej sercu. Pan Hall miał rację. Oni nigdy nie wrócą. Język jej spuchł, a siniaki na żebrach bolały, żołądek miała pusty. Cała była pusta. Czy jej nadzieja była tak głupia? Pomyśleć, że ktoś z jej wyblakłych wspomnień ją zapamiętał, pomyślał o niej,

uznał, że mimo wszystko nie jest tak niewarta kochania i przyszedł jej szukać? Była gotowa dać im wszystko – przebaczenie, zrozumienie, pokrewieństwo i każdy grosz, który zaoszczędziła, odkąd skończyła jedenaście lat.

Ale oni nie przyszli. Przyszedł on.

Mrugając oczami, by wyostrzyć wzrok, powoli skierowała myśli ku Amerykaninowi. Co miał na myśli, nazywając ją pionkiem? Czym pionkiem? Artykuły z gazet podpisane jej nazwiskiem? I musiały być związane z Anglią i tą okolicą, jeśli wiedział, gdzie szukać dokumentów z jej przytułku. Gdzie znaleźć Hallów. I to było jej imię, a nie pseudonim. Co dokładnie zawierały artykuły?

I dlaczego ona? Dlaczego to wszystko jej się przydarzyło?

W końcu się poruszyła – przetarła oczy, by złagodzić pulsujący ból głowy. Czy Kaptury będą znały odpowiedzi na jej pytania? Ogden? Więcej oleju do dolania do ognia jej pytań. Tak wielu pytań. Dopiero gorset sprawił, że się poruszyła. Nie było jej wygodnie w tym upale i w tej pozycji. Spódnicę też miała już mocno pogniecioną. Wstała więc i na trzęsących się nogach dowlokła się z powrotem do Juniper Down. Echo kroków brzmiało jej głucho w uszach. Usta miała suche. Bolały ją plecy. Miasteczko zdawało się o niej zapomnieć, kiedy się zbliżała. Wypatrzyła kolejną rodzinę, całą w czerni i szarości, wśród nich starszą kobietę, być może matkę, o pociągłej twarzy. Elsie współczuła straty. Odczuła to dotkliwie. Wypatrzyła dwie inne osoby ubrane w żałobną czerń, zanim dotarła do domu Agathy, która zamiatała ganek.

– Tutaj jesteś! – wykrzyknęła, kiedy cień Elsie się zbliżył. Rozejrzała się wokół. – Nie przyszedł z tobą?

Płuca jej się zacisnęły, ale zdołała cicho powiedzieć:

– Nie. Później.

Agatha kiwnęła głową.

– Zostaniesz na noc? Możemy zrobić ci miejsce przy piecu, chyba że chcesz dzielić łóżko z dziećmi.

Zostać na noc. Czy chciała? Elsie nie pragnęła niczego więcej, jak tylko znaleźć się z powrotem w Brookley, we własnym łóżku, z zaciągniętymi okiennicami i zamkniętymi drzwiami.

– Nie jestem pewna – potem, chcąc odwrócić uwagę od siebie, zapytała: – Dlaczego tak wiele osób tutaj jest w żałobie?

Na ustach kobiety pojawił się grymas i oparła miotłę o framugę drzwi.

– Stało się coś strasznego. Prawie tydzień temu, ale teraz spodziewają się ciała w każdej chwili.

Elsie dotknęła jej piersi.

– Ojej.

Agatha skinęła głową, łza napłynęła jej do oka. Wytarła je szorstką dłonią.

– Biedny chłopak. Miał dopiero piętnaście lat i taką przyszłość przed sobą. Udało mu się zdobyć sponsora na aspekt.

Żołądek Elsie zacisnął się i prawie żałowała, że zapytała. Nie wiedziała, ile jeszcze złych wiadomości może znieść.

– Sponsora?

– Chłopak Crumleyów. Studiował już przez trzy lata. Zrzućli na niego wszystko, ale teraz to bzdura – potrząsnęła głową. – Okropna śmierć. Zginął w pożarze akademii. Słyszeliśmy, że nie był to zbyt duży płomień, ale miejscowi strażacy nie mogli go ugasić. Ich narzędzia wodne zostały odczarowane. Elsie zacisnęła usta, po czym zeszytniała. Oddech uwiązał jej w gardle, a wypuszczenie go zajęło jej pół sekundy.

– Narzędzia wodne? – zapytała. Zaczarowane przyrządy, które przywoływały wodę z ziemi, a nawet z powietrza. Ręce jej skostniały, ale zapytała: – Powiedziałaś, że to się stało tydzień temu?

– Jutro będzie tydzień – wyraz twarzy Elsie musiał być straszny, bo Agatha położyła jej pocieszającą dłoń na ramieniu. – Okropne, prawda? Zginął on i jeszcze jeden chłopak, a także jeden z ich profesorów. Na dodatek nie ma nawet opusu, który mogliby wysłać do domu. Pochłonął go ogień. Profesor John Clive – który był jego sponsorem – sam przesłał wyrazy ubolewania, zanim... – słowa ugrzęzły Agacie w gardle i odwróciła głowę, żeby odchrząknąć. – Przepraszam, kochanieńka, ten temat jest wciąż trudny – cofając rękę, Agatha wzięła drżący oddech. – Wciąż nie mogę w to uwierzyć. Nikt z nas nie może.

Elsie próbowała przełknąć ślinę i stwierdziła, że też nie może.

– Agatho. Gdzie... Gdzie jest ta akademii?

Przechyliła głowę, zdezorientowana pytaniem.

– W Colchester. Dlaczego?

Równie dobrze Elsie mogła się wykrwawić na progu Agathy. To nie mógł być przypadek. Ten sam czas, to samo miejsce, ta sama magia... Odczarowała te różdżki wodne. Co z całą pewnością oznaczało, że to Kaptury wznieciły pożar.

ROZDZIAŁ 21

Elsie zatoczyła się, schodząc z ganku.

– Panienko Camden? – Agatha poszła za nią. – Wszystko w porządku?

Nie mogła oddychać. To nie może być prawda. To po prostu niemożliwe. W końcu Ogden był jednym z nich, a w jego ciele nie było ani grama zła! I ona... Wszystkie te przypadki śmierci... ona...

– To po prostu... za dużo na dzisiaj – mruknęła, pewna, że mówiła jak pijana. – Potrzebuję chwili.

– Na górze są łóżka...

Ale Elsie potrząsnęła głową i uciekła z domu. Biegła tak szybko, że potykała się o spódnicę. Niemal przewracając się, dotarła do studni przy drodze, a potem chwyciła się cembrowiny i pochyliła się nad ciemną jamą, a chłodne powietrze spomiędzy kamieni szeptało na jej spoconą twarz.

To nieporozumienie.

– Och, kochanie, wyglądasz na chorą. Ale nie zwracaj tam śniadania – podeszła do niej starsza kobieta z włosami upiętymi pod wytartym czepkiem. – Usiądź tutaj. Jesteś gościem Agathy, prawda?

Odrętwiała Elsie pozwoliła kobiecie zaprowadzić się do pobliskiego pniaka. A kiedy usiadła, kobieta naląła jej trochę wody do picia. Elsie przełykała stęchły płyn, aż rozboleł ją brzuch i musiała przestać albo się udusić. Wylała trochę na swoją sukienkę, ale nie chciała się tym teraz przejmować.

– Tam – kobieta odstawiła wiadro na bok. Ona też była ubrana na ciemno, chociaż jej sukienka była prosta, brązowa. zaproponowała brudną chusteczkę, ale Elsie odsunęła ją machnięciem ręki. – Usłyszałaś złe wieści, kochanie?

Elsie objęła dłońmi bolącą głowę.

– Można tak powiedzieć.

Wciąż czuła lufę pistoletu na swoim czole. Dotyk broni pod jej dłońmi w Colchester. Kaptury zaoferowały tak przekonujące wyjaśnienie w swoim liście.

Ale kto inny odczarowałby wodne różdżki?

Poczuła rękę na ramieniu. Zacisnęła się uspokajająco, a potem zniknęła.

– Tutaj ostatnio wszyscy otrzymują tylko złe wieści. Może pomoże ci, jeśli to z siebie wyrzucisz?

Elsie mogłaby się roześmiać, gdyby jej ciało nie było takie ciężkie.

– Wątpię.

Kobieta skubała czarny szalik zawiązany wokół jej lewego rękawa.

– Jeden z naszych sąsiadów stracił niedawno syna.

– Słyszałam. Jest mi... przykro – musiała wykrztusić ostatnie słowo siłą. –

Zaledwie wczoraj otrzymaliśmy telegram, że jego sponsor też odszedł – głos kobiety zacisnął się i zakaszłała. – Okropne.

– Profesor Clive? – zapytała Elsie, podnosząc głowę.

Kobieta przytaknęła.

– Agatha musiała ci powiedzieć – Elsie westchnęła. – To, co się dzieje w Londynie, to jeden wielki bałagan. Wszystkie te skradzione opusy. To jest straszne.

Elsie wyprostowała się.

– Jego opus został zabrany?

– Tak zapisano w raporcie. On nie tylko zaginał. Na podłodze w bibliotece były wymiociny pełne trucizny. Ktoś włamał się prosto do tego ateneum i załatwił go – chusteczką wytarła otoczone zmarszczkami oczy. – Jednego dobrego człowieka mniej na tym świecie – przywołała blady uśmiech i dodała: – Przynajmniej twoje problemy nie mogą być aż tak przytłaczające, co?

Ale ciało Elsie było lodowate mimo popołudniowego upału.

– Które ateneum?

– To w Londynie.

Elsie wstała i prawie uderzyła głową w krawędź daszku nad studnią.

– W Londynie są dwa – wiedziała, że brzmi stanowczo, ale musiała to wiedzieć. – Fizyczne i duchowe.

Nie mów, że fizyczne. Nie mów.

– Cóż, był aspektem fizycznym, więc przypuszczam, że to pierwsze.

Wpatrywała się w Elsie, jakby ta była na wpół szalona. Może była. Była gotowa krzyczeć, płakać albo... Sama nie wiedziała co. Jej myśli uciekały od niej, prawie do punktu, w którym zapomniała, jak się oddycha. Za dużo zbiegów okoliczności. Była w Colchester. Złamała zakłęcia ochronne Ateneum Fizycznego tuż przed wyjazdem do Juniper Down.

– Muszę porozmawiać z twoim posterunkowym – wychrypiała. Plotki były dobre, ale potrzebowała solidnych informacji, a nie pogłosek. Kobieta wstała.

– Co się dzieje? Nie mamy posterunku, nie we wsi. Musisz jechać do Foxstone.

Elsie przełknęła ślinę, mrugając szybko oczami, aż niewylane łzy zmieniły się w gulę w jej gardle.

– Zapłacę florena temu, kto mnie zawiezie.

* * *

– Nie wiem, panienko – powiedział młody konstabl, kiedy z pomocą mężczyzny z Juniper Down zatrzymała go przed małym, zamkniętym już sklepem z kapeluszami. Nie mając cierpliwości, by odpowiednio się przedstawić, Elsie natychmiast zasypała go pytaniami na temat niedawnej sekwencji morderstw i kradzieży opusów.

Poprawiwszy kapelusz, kontynuował:

– Jesteśmy małą społecznością, nawet tutaj, w Foxstone. Jeśli chcesz wiedzieć więcej, musisz udać się do miasta. Może do Reading?

I tak też Elsie zrobiła.

* * *

Elsie była zmęczona, ale niespokojna, jadąc pocztowym dylizansem do Reading. Jej nagła potrzeba nie wystarczyła, by przekonać kogoś do zwiezienia ją tak późno w szabas. Przynajmniej konstabl był hojny, pozwalając jej zająć pokój w swoim domu, ale ona wróciła na ulicę przed świtem, chcąc wyjechać przy pierwszej nadarzającej się okazji. Potrzebowała użyć całej swojej siły woli, by powstrzymać się od płaczu w zaciszu powozu.

Trzymała się myśli, że to musiało być nieporozumienie. To nie mogła być ona. To nie mógł być Ogden.

Najpierw udała się na posterunek policji na Friar Street, ale konstabla nie było, a jedyny dostępny funkcjonariusz był młody i zaniepokojony jej prośbą, więc Elsie zapytała o wskazówki, jak dojechać do domu konstabla z urzędu pocztowego. Poszła pieszo i po znalezieniu go wytrwale pukała do drzwi. Otworzyło jej lewo podrośnięte dziecko, wyglądające na niezadowolone, ponieważ Elsie najwyraźniej przerwała im lunch. Stół był nakryty, ale jedzenie ledwie tknięto. Kobieta pochyliła się do przodu, żeby lepiej widzieć, a mężczyzna wstał i podszedł do drzwi, odprawiając syna. Był wysoki i barczysty, z bardzo wysokim czołem. Miał na sobie niebieski płaszcz policyjny, więc Elsie nie miała wątpliwości, że znalazła właściwy dom. Zmarszczki na jego czole sugerowały, że jest zirytowany zamieszaniem, ale patrzył pytająco.

– Pan Teofil Bowles? – zapytała Elsie z bijącym sercem.

– Owszem.

Wzięła głęboki wdech.

– Wiem, że przeszkadzam, ale bardzo potrzebuję z panem porozmawiać na temat niedawnych przestępstw dotyczących aspektorów i ich opusów.

Cofnął się.

– W gazecie zatrudniają teraz kobiety?

Normalnie Elsie zjeżyłaby się na ten komentarz, ale nie miała siły się oburzać. Równie dobrze mogła potwierdzić jego założenia.

– Zapewniam pana, że historia jest kluczowa. Mój pracodawca prawie został ofiarą. Jestem gotowa zapłacić za poświęcony czas.

Oszczędności jej życia równie dobrze mogłyby się na coś przydać.

Pan Bowles przerwał, po czym spojrzał na swoją rodzinę. Przetarł oczy.

– Proszę wejść, panienko...?

– Camden. Dziękuję.

Weszła do środka, wypuszczając powietrze z ulgą, że ją zaprosił. Wiedziała, że akta były dostępne do wglądu, skoro były w gazetach, ale nie wiedziałyby, dokąd się udać, aby uzyskać do nich dostęp, gdyby ją odprawił.

– Chwileczkę – powiedział pan Bowles do swojej żony i wskazał pokój na zapleczu, który był wielkości małej sypialni. Było w nim biurko, półka na książki i mała harfa stojąca w rogu. Pan Bowles usiadł za biurkiem. Elsie stała. Wyciągnął grubą książkę z szuflady biurka i przekartkował ją w takiej ciszy, że Elsie poczuła się niezręcznie, po czym zatrzymał się blisko środka stron.

– Czym się martwisz? W mojej jurysdykcji miało miejsce tylko jedno zdarzenie.

– Ale jest pan świadom innych, tak? – zatrzymał się, kiwnął głową. – Zaczni od początku, jeśli możesz.

Uniósł brew, ale zrobił to, o co prosiła, wymieniając nieznaną nazwiska i lokalizacje oraz przestępstwo: morderstwo. Następne przestępstwo, rabunek, miało miejsce w mieście, o którym Elsie nigdy nie słyszała. Kolejne nazwisko, lokalizacja, najdrobniejsze szczegóły. Przewrócił stronę.

– Baron Halsey zaatakowany i zamordowany w swojej sypialni, opus skradziono, czwarty maja. Wicehrabia Byron został zaatakowany i zamordowany w domu Waltera Turnera w Londynie, opus skradziono, dziesiąty maja. Theodore Barrington...

– Moment – Elsie zrobiła krok do przodu na sztywnych nogach. – Powiedział pan: Turner?

Bowles ponownie spojrzał na akapit, jakby już o nim zapomniał.

– Walter Turner, tak.

– Dom w Londynie? – wyszeptała. – Wicehrabia był... tam zamordowany?

Przypomniała sobie słowa pana Parkera i artykuł w gazecie. Świadek twierdził, że uderzył go piorun. I...

– Wydaje mi się, że siostra wicehrabiego jest żoną Turnera. Był u niej w odwiedzinach.

Podniósł wzrok, jakby czekał na pozwolenie, żeby kontynuować. Elsie odsunęła się na bok, żeby oprzeć się o półkę z książkami. Potrzebowała każdej kropli odwagi, którą mogła zebrać, by zachować nieodgadniony wyraz twarzy. Czy nie złamała zaklęcia na ukrytych drzwiach z tyłu domu pana Turnera? Żeby ktoś mógł zakraść się do środka, znaleźć jego pokój i użyć zaklęcia błyskawicy...

Policjant przeczytał jeszcze trzy nazwiska, zanim kolejne zwróciło jej uwagę, a ona ponownie poprosiła, żeby je powtórzył. Jego cierpliwość się wyczerpywała.

– Alma Digby, zaginiona osoba, prawdopodobnie powiązana.

– Czy może zna pan jakieś szczegóły?

Westchnął.

– Tylko dotyczące tej jednej sprawy i pozwolę, żeby wrócił pan do swojego posiłku – obiecała, słysząc desperację w swoim głosie. – Nawet jeśli jest to tylko to, co znajdę w gazetach, jeśli poświęcę czas na ich czytanie.

Pan Bowles oparł się na pięści i Elsie pomyślała, że próbuje sobie przypomnieć.

– Jest... była... duchowym aspektem, pojechała na wakacje. Zaginęła po drodze. Wydaje mi się, że dowody wskazywały, że napadnięto nią w trasie. Panna Digby zamówiła opancerzony magicznie powóz, który znaleźliśmy, ale chroniące go zaklęcie zostało złamane.

Elsie nie mogła oddychać. Pan Bowles wstał.

– Czy wszystko w porządku? – udało jej się kiwnąć głową. – Pozwól, że przyniosę ci coś do picia...

– Nie! – powiedziała nieco zbyt mocno. Jej płuca pracowały jak miech kowala. – Nie, już pójdę. Dziękuję.

Pobiegła z powrotem przez dom, nie fatygując się nawet, by podziękować rodzinie pana Bowlesa za poświęcony czas. Kiedy wyszła na zewnątrz, uderzyło ją gorące, popołudniowe powietrze. Szła dalej, niepewna celu, chcąc wyrzucić z siebie nagromadzoną energię.

Zakradła się do wozowni i złamała zaklęcia na opancerzonym pojeździe.

Stworzyła łatwe wejście do domu pana Turnera.

Odczarowała różdżki wodne, które mogły ugasić pożar w akademii.

Utorowała drogę do Londyńskiego Ateneum Fizycznego, gdzie zamordowano profesora Clive'a.

Zatrzymując się, Elsie z trudem łapała powietrze, czując ból w piersiach. Obok niej przejechał powóz. Z iloma zbrodniami jeszcze była powiązana? I każde z tych zadań przydzieliły jej Kaptury. Przydzielił jej Ogden.

– O Boże – wyszeptała, próbując utrzymać równowagę. – To on.

On za tym wszystkim stał. Wysłał jej te listy. Ani razu nie narzekał na jej nieobecność, ponieważ wykonywała jego rozkazy.

Amerykanin miał rację. Była pionkiem.

I napad na zakład kamieniarski... Nie pasował do innych przestępstw. Stało się to wkrótce po tym, jak Elsie wyraziła swoje zaniepokojenie skradzionymi opusami. Czyżby to była przykrywka? Czy Ogden sam się zaatakował, czy też kogoś do tego wynajął? A potem opłacił poszukiwacza prawdy? Użył zaklęcia z opusu, żeby udaremnić przesłuchanie?

Zgarbiła się, pewna, że jej żołądek zwróci resztki śniadania – nic nie jadła od rana. Nie była pewna, czy kiedykolwiek będzie jeszcze chciała jeść. Była narzędziem w największej zbrodni stulecia. Podążała ślepo za tym wszystkim, myśląc, że dobrze sobie radzi, myśląc...

Jak długo ją wykorzystywał? Ona... Kochała Ogdena. Był ojcem, którego nie pamiętała. Zawsze miły, zawsze gotowy jej wysłuchać. Nigdy nie sprawił, że poczuła się mała lub bezużyteczna. A jednak, tak jak wszyscy inni, tak naprawdę o nią nie dbał. Był po prostu nicią w sieci, której Elsie nie rozumiała, władcą marionetek pociągającym za sznurki, by robić okropne, haniebne rzeczy w imię dobra...

– Proszę pani, wszystko w porządku? – zapytał głos, ale Elsie ostro machnęła ręką, by odpędzić pytającego.

Kroki za nią ucichły. Jej ciało trzęsło się. Próbowwała zatrzymać wszystkie emocje wewnątrz. Informacje, pytania, krzyki, łzy. Prostując się, Elsie pokuśtykała do latarni i oparła się o nią, starając się przetrwać prawdę, choć paliła ją jak trucizna, i zdecydować, co z nią zrobić. Musiała coś powiedzieć władzom. Wymyślić historię, która nie postawiłaby jej w ogniu oskarżeń. Musiała go jakoś powstrzymać...

Dobry Boże. Emmeline.

Wciąż tam była. Pod jednym dachem z mordercą. I mimo że jej świat wywrócił się do góry nogami, Elsie wiedziała jedno na pewno: Emmeline niczym nie zawiniła.

Elsie musiała wrócić do Brookley. Musiała tam wrócić natychmiast.

ROZDZIAŁ 22

Podróż pociągiem dała jej czas na refleksję i nienawidziła każdej spędzonej na myśleniu minuty. *Czy jestem morderczynią?*

Dzięki gwiazdom, że nie zapytałam Ogdena o pieczęć.

Czy Nash jest tego częścią? Czy to dlatego Emmeline czuje się przy nim tak nieswojo?

Czy Emmeline coś wie? Nie, oczywiście, że nie...

Z iloma innymi przestępstwami jestem powiązana? Nie, nie chcę wiedzieć.

Chcę wiedzieć.

Nie chcę.

Jak przekonam Emmeline, żeby poszła ze mną, tak żeby Ogden nas nie usłyszał?

Czy mam wysłać telegram z wyprzedzeniem, podając się za kupca, i umówić się z nim na spotkanie? Gdzie pójdę, kiedy to wszystko się skończy?

Załamywała ręce, aż stały się obolałe i suche. Kiedy wieczorem pociąg zatrzymał się w Londynie, chwyciła walizkę i dowlokła się na peron. Prawie nie spała, a jedyne jedzenie, jakie miała w ustach od śniadania, to kęs lub dwa tego, co zostało z zapakowanych przez Emmeline paczek. Żołądek miała związany w ciasny supeł i to nie taki, który potrafiłaby rozplątać.

– Boże, czy ona podróżuje sama? – Elsie odwróciła się lekko, żeby zobaczyć, kto to powiedział, i zobaczyła, że przyglądają jej się dwie kobiety. Kobiety w eleganckich sukniach ze starannie ułożonymi włosami. Matka i córka, jeśli dobrze zgadła.

Elsie odwróciła wzrok i przyspieszyła kroku, ale jeszcze wyłapała słowa:

– Taka to przyciągnie byle kogo, prawda?

Ale nie miała czasu przejmować się plotkami. Z walizką w dłoni, kopiąc spódnicę, pospiesznie opuszczała stację. Taszczenie rzeczy stawało się uciążliwe, ale co innego mogła zrobić? Przynajmniej nie będzie musiała zatrzymać się w warsztacie kamieniarskim, żeby się spakować. Pomyślała o wszystkich rzeczach, które zostawi, kiedy będzie musiała jak najszybciej wy dostać stamtąd Emmeline. Sukienki, książki... Bolało ją serce, nie z powodu rzeczy, ale z powodu domu, który musi opuścić. Kamieniarstwo było jej życiem, i mimo wszystko było to bardzo dobre życie. W głębi duszy nadal nie mogła

zaakceptować tego, że Ogden, jej Ogden, mógł... Ale nie było na to innego wytłumaczenia. A jeśli jakimś cudem było, musiało wyjść na jaw, kiedy ona i Emmeline będą już bezpieczne.

Dokąd potem? Może do Juniper Down. Hallowie wyrzucali ją już wcześniej, kiedy była tylko kolejną gębą do wykarmienia, ale teraz była dorosłą kobietą, mogła pracować w polu i czyścić kominek. Emmeline również. Albo mogły wyjechać daleko, do Liverpoolu lub czegoś podobnego, i znaleźć pracę na służbie w bogatym domu. Nie miały referencji od Ogdena, ale czasy się zmieniały. Może nie będą ich potrzebować. Był też Bachus. O ile księżę nie zmarł podczas jej nieobecności, mógł nadal przebywać w Kencie. Być może, gdyby sprawy przybrały zły obrót, mogłaby wymknąć się na Barbados.

Przestań myśleć jak postać z powieści. Przełożyła walizkę do drugiej ręki. Miała przecież swoje oszczędności, a Emmeline też coś odłożyła. Elsie już w myślach wymieniła wszystko, co mogłaby sprzedać. Poradzą sobie w taki czy inny sposób...

Błysk czegoś złotego przyciągnął jej wzrok i Elsie zatrzymała się na ulicy, wrywając przekleństwo z ust robotnika, który na nią wpadł.

Nash.

Mimo późnej pory droga była zatłoczona, ale Elsie była pewna, że to on. Nie miał na twarzy swojego zwyczajowego uśmiechu, jego mina była napięta i poważna. Być może nie popełnił żadnego wykroczenia, ale powód, dla którego Emmeline zawsze czuła się tak zastraszonej w jego obecności, drażnił Elsie. I tak, kiedy skręcił za róg, Elsie złapała się na tym, że podnosi spódnicę i podąża za nim, robiąc jeden zakręt, potem drugi, aż zobaczyła, jak jasny błysk jego włosów znika w bocznej uliczce. Przepraszała przechodniów niezliczoną ilość razy, gdy rzuciła się za nim, przypadkowo uderzając ich walizką lub szturchając ramionami. Tłum się przerzedził i wkrótce zaczęła podążać za Nashem znacznie bardziej dyskretnie, choć czuła, że z walizką wyróżnia się z tłumu. W końcu mężczyzna skręcił w stronę domów, które desperacko potrzebowały remontu. Trzecie drzwi, drugie piętro. Elsie zniknęła za rogiem, chowając walizkę poza zasięgiem wzroku. Czy powinna skonfrontować się z nim twarzą w twarz? Zachowywać się, jakby była w mieście w jakiejś sprawie, a Ogden powiedział jej, gdzie się z nim spotkać? Czy powinna go szpiegować i skradać się za nim? Może zapyta sąsiadkę, czy mogłaby wejść i przyłożyć ucho do ściany? Nie byłoby w tym nic dziwnego...

Zastanawiała się przez kilka minut, zanim Nash podjął decyzję za nią. Pojawił się ponownie z torbą na ramieniu, a jego kroki były teraz bardziej zdecydowane. Szybko ruszył w dół ulicy. Elsie, okrążając budynek, spojrzała na

drzwi, z których wyszedł. Potem zakradła się z powrotem. Użyła szpilki do kapelusza, aby otworzyć okno, prowadzące do jego mieszkania i otworzyła je.

To była z pewnością najmniej elegancka rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiła.

Kiedy Elsie wpadła do wąskiej brudnej kuchni, spódnica opadła jej na głowę, a jeśli Nash miał jakichś współlokatorów, to z pewnością mieli dobry widok na jej majtki. Na szczęście mieszkanie wydawało się puste, kiedy się wyprostowała. Puste, ciemne i wilgotne.

Coś w atmosferze tego miejsca wywołało gęsią skórę na ramionach Elsie. Szła cicho, choć deski podłogi skrzypiały jak nienaoliwione zawiasy. Z całą pewnością było to mieszkanie kawalera. Skąpo umeblowane, bez ozdób, i wyglądało bardzo nieporządnie. W jednym z kątów pojawiła się pleśń. Na pobliskim krześle leżał talerz z niedokończoną potrawą. Musiała mieć co najmniej dwa dni. Elsie przyjrzała się wąskim schodom prowadzącym na drugie piętro. Po upewnieniu się, że frontowe drzwi są zamknięte, ostrożnie weszła na górę. Na piętrze była tylko jedna sypialnia. Wąskie łóżko, nigdy niemyte okno, stolik, który wydawał się służyć za biurko, wąska szafa bez drzwi i komoda. Elsie podeszła do szafy i zajrzała do środka. Nic oprócz ubrań. Jedna szuflada, ale była pusta. Na swoje szczęście – bo teraz naprawdę była przestępczynią. Lepiej żeby Bachus nigdy o tym nie usłyszał... Nie żeby to miało jakieś znaczenie. Nie mogła włączyć go do płataniny swoich myśli, nie teraz, bo zalałaby całe mieszkanie deszczem łez. *Skup się*. Podkraśniała się do skrzyni, na której wieku zatańczył znajomy blask.

– Witaj – wyszeptała, kucając przed nią. Brak zamka, jedynie zakłęcie, które stopiło wieko z podstawą. Zamek, który Nash prawdopodobnie otwierał zaklętym kluczem. Zamek, którego nikt nie mógł otworzyć bez klucza. Oprócz niej. Chwyciła końce prostej runy i rozsunała je, a zakłęcie uniosło się w powietrze jak puder do twarzy. Podniosła wieko. Serce podskoczyło jej do gardła.

Skrzynia była pełna broni palnej. Zaczarowanej broni. Wytrychy, pałki, kilka rzeczy, których nie potrafiła zidentyfikować. Dotykając jednego z tępych prętów, Elsie dostrzegła fizyczne zakłęcie. Niektóre części runy były jej znajome, ale nie była do końca pewna...

Przełknęła. Jeśli musiała zgadywać, był to piorunochron. Nie taki, który służył do rozpraszania błyskawicy, ale do jej butelkowania. Od razu przypomniała jej się śmierć wicehrabiego Byrona.

Czy to była prawdziwa praca Nasha? Nie był dostawcą, ale... jakimś... mordercą. Elsie praktycznie odskoczyła ze skrzyni, a wieko zatrasnęło się głośno. Tętno jej przyspieszyło, przebierała nogami, desperacko próbując jak

najszybciej uciec. Odwróciła się w stronę schodów... Ale kątem oka dostrzegła znajomy pergamin na stoliku nocnym. Był gruby, szary. Kaptury.

Jej strach przerodził się w gniew. Jak śmie też być tego częścią. Dla ilu osób tańczyła? Wystarczyły trzy kroki, by przejść przez pokój. Rozpoznała pismo na liście. Pasowało do każdej innej wiadomości, którą dostała od Kapturów. Teraz, kiedy już wiedziała, wyglądało jak pismo Ogdena – jakby próbował ukryć swoje pismo. Zawijas na literze S... Było w nim coś boleśnie znajomego.

Spróbuj jeszcze raz w Siedmiu Dębach, bezpośrednio, jeśli to konieczne. Chcemy jego opusu, zanim odpłynie.

Przez ciało Elsie przebiegł dreszcz. Siedem Dębów było posiadłością księcia Kentu. A jeżeli ofiara wkrótce odpłynie...

Następnym celem Kapturów był Bachus Kelsey. I on też był pierwszym celem. Klamka. Boże, pomóż, klamka...

– O Boże – wymamrotała, upuszczając list. – O Boże, o Boże.

Nash się spieszył. Zapadała noc. Być może jechał do Kentu już teraz, kiedy Elsie szperała w jego rzeczach.

Nie Bachus. Nie Bachus.

Zbiegła po schodach i otworzyła drzwi, zbyt zaniepokojona, by przejmować się tym, czy ktoś ją zobaczy. Ale zrobiła tylko kilka kroków, zanim się odwróciła. Zapomniała swojej walizki i nie chciała zostawić niczego, co łączyłoby ją z Nashem. Chwytną ją, pospieszyła na ruchliwą ulicę i prawie dała się przejechać, próbując złapać dorożkę, która wcale nie miała zamiaru się zatrzymać. Stała tuż przed następną, zmuszając woźnicę do zatrzymania się lub przejechania jej.

– Jesteś nienormalna? – mężczyzna miał długie siwe bokobrody sterczące spod kapelusza, a jego dwa czarne konie tupały nerwowo.

– Dokąd jedziesz? – Elsie brzmiała na wściekłą, ale nie obchodziło jej to. Chwytną nawet wodze przy pysku koni, żeby woźnica nie mógł jej zostawić. Mężczyzna prychnął w odpowiedzi.

– Co ci do tego? Mam pasażerów spieszących się na pociąg.

– Są wystarczająco blisko! Wysadź ich tutaj i zabierz mnie do Siedmiu Dębów. Zapłacę ci trzykrotność ceny przejazdu.

Milczał, zastanawiając się.

– Teraz, człowieku! – Elsie płakała. Woźnica zerwał się z siedzenia i chociaż jego pasażerowie prawdopodobnie słyszeli całą rozmowę, otworzył drzwi i powiedział:

– Jest zbyt duży ruch, żeby podjechać, ale stacja jest tuż przed nami! Wychodźcie! – chwycił ich bagaże i praktycznie wyrzucił je na bruk.

Pasażerowie – dwie kobiety i mężczyzna – gapili się, a jedna z kobiet narzekała, mówiąc z akcentem, którego Elsie nie potrafiła rozpoznać. Ale ku jej uldze, wysiedli, a ona wsiadła.

– Tak szybko, jak tylko możesz – poprosiła, ściągając rękawiczki ze spoconych dłoni. – Proszę. To sprawa życia i śmierci.

– Pojedynek? – domyślił się woźnica, ale nie czekał na odpowiedź. Wrócił szybko na swoje miejsce i popędził konie do przodu.

Elsie mogła się tylko modlić, żeby nie było za późno.

* * *

– Cóż, mimo wszystko było to dość przerażające – Mistrzynie Lily Merton podniosła łyżkę do ust. Zjadła białą zupę, wytarła usta serwetką i dodała: – Tak bardzo nie chciałabym, żeby droga panna Ida dołączyła do naszych szeregów z przymusu. Robienie kariery, wszystko jedno jakiej, jest dużo bardziej przyjemne, gdy za jej wyborem stoi pasja.

Nic dziwnego, że zdrowie księcia Kentu było głównym tematem rozmów podczas pierwszego dania obiadowego – pierwszego posiłku, który księżę mógł zjeść z całą rodziną od dłuższego czasu. Bachus nie mógł czuć większej ulgi, widząc go w lepszym stanie. Zakłęcie czasowego aspektora przyjęło się wystarczająco dobrze i księżę stopniowo odzyskiwał siły. Mistrzynie Merton była nieoczekiwanym gościem na kolacji. Prawie zadomowiła się w przyszłości Idy Scott. Rzeczywiście, w zeszłym tygodniu panna Ida praktycznie zaatakowała Bachusa pytaniami dotyczącym aspektów, dopóki delikatnie nie przypomniał jej, że aspektorzy fizyczni zajmują się czym innym niż duchowi, więc jej doświadczenia będą się znacznie różnić od jego.

– Nie powiedziałabym, że to konieczność – wtrąciła księżna. – Nie zrozum mnie źle, kocham mojego męża – posłała czułe spojrzenie Izajaszowi, który w końcu odzyskał kolory – ale nie wpadlibyśmy w tarapaty po jego odejściu. Może i nie mam syna, ale nasz siostrzeniec jest bardzo hojny i ma dobre intencje, a poza tym odłożono wystarczające fundusze, by zapewnić nam bezpieczeństwo.

Księżę uniósł kieliszek.

– Chociaż zdecydowałem, że chciałbym zobaczyć, jak Ida wykorzystuje swoje talenty.

Bachus nie potrafił powiedzieć, kto promieniał bardziej: panna Ida czy Mistrzynie Merton.

– Bachusie – powiedziała księżna, być może po to, by odwrócić uwagę od bliskiej śmierci męża. Bardzo się niepokoiła i nawet teraz, kiedy książe wyzdrowiał, martwiła się, że choroba wróci. Wszyscy się martwili. – Jesteś pewien, że nie zostaniesz z nami dłużej? Z pewnością Ida mogłaby się od ciebie wiele nauczyć.

– Mistrzynie Merton prawdopodobnie lepiej by się spisała, ucząc ją – Bachus zamieszał zupę. Miał apetyt, ale wydawał się dziwnie zaniepokojony pytaniami księżnej. I myślał o przyszłej podróży w ogóle. Tęsknił za domem ze znajomymi twarzami, prywatnością i ciepłą pogodą. A jednak coś w tych planach sprawiało, że czuł się nieswojo. Ten niepokój sprawił, że pomyślał o Elsie.

– Nasze aspekty są bardzo różne – stłumił myśli o dziewczynie. – A ja muszę powrócić do mojej posiadłości, która wymaga gospodarza.

Co było prawdą, chociaż miał pełne zaufanie do swojego zarządcy, który zajmował się nią pod jego nieobecność. A podróż nie była krótka, ponieważ przepłynięcie Atlantyku z Anglii na Barbados zajmie mu trzy tygodnie.

– Kiedy wyruszasz, Mistrzu Kelsey? – zapytała Mistrzynie Merton.

– W ciągu tygodnia – w końcu podniósł łyżkę do ust.

– Musi być bardzo piękna – wtrąciła się panna Josie, młodsza siostra, prawdopodobnie nie mogąc się doczekać, aż będzie mogła włączyć się do rozmowy. – Mam na myśli wyspę. Zawsze słoneczna.

– I często deszczowa – zauważył. – Ale to inny deszcz niż tutaj. Jest cieplejszy i bardziej potrzebny.

Pani Ida zaśmiała się.

– Chcesz powiedzieć, że angielski deszcz nie jest potrzebny?

Bachus wzruszył ramionami.

Czy kamienie muszą być podlewane?

– Chciałabym poczuć ciepły deszcz – powiedziała rozmarzona panna Josie. – Nawet latem deszcz w Anglii nie jest ciepły.

– Myślę – wtrącił książe – że jest. Może przez jeden dzień w roku. W przyszłym miesiącu możemy mieć to szczęście.

Księżna uśmiechnęła się, zakrywając usta serwetką.

– Chyba – zaczęła Mistrzynie Merton, ale przerwał jej łomot dochodzący z innego miejsca w domu; Bachus sądził, że mógł to być dźwięk uderzania w drzwi frontowe, który zawibrował w zewnętrznym korytarzu. Wszyscy przerwali posiłek i odwrócili się w stronę drzwi. Słysząc było odgłosy kłótni, chociaż Bachus rozpoznał tylko jednego mówcę i była to kobieta. Kilka słów przebiło się przez ciszę, która wypełniła jadalnię:

– ...nie rozumiesz! Zobaczyc go... może umrzeć!

Bachus wstał. Elsie? Księżna poszła w jego ślady.

– Myślę, że ktoś znęca się nad Baxterem – powiedziała, mając na myśli lokaja.

W chwili, gdy Bachus zrobił krok w stronę drzwi, usłyszał za sobą ciche przekleństwo. Odwrócił się, ale słowo nie pochodziło od żadnego z gości. Spojrzał na ciężkie zasłony zaciągnięte w oknach. W korytarzu rozległy się głośne kroki. Przeciwległe drzwi otworzyły się gwałtownie i rzeczywiście, Elsie wypadła przez nie z przekrzywionym kapeluszem. Jej dzikie niebieskie oczy go odnalazły.

– Bachusie! Musisz...

Błyskawica wystrzeliła zza zasłon. Bachus zanurkował i elektryczny piorun przebił oparcie jego krzesła. Uderzył w dywan, tworząc w powietrzu wyładowania elektrostatyczne. Krzyknęły obie córki.

– Co to ma znaczyć? – krzyknęła Mistrzynie Merton.

– Wyprowadź księcia! – wrzasnął Bachus, chwytając stojące przed nim krzesło i rzucając je w stronę okien. Powietrze znów zatrzęszczało, a przez pokój przemknęła kolejna błyskawica, rozbłyskując jasno i oślepiając go na chwilę.

– Ogień! – krzyknęła panna Josie.

Przeklinając, Bachus odwrócił się w stronę drugiego zniszczonego krzesła, które upadło na piękny dywan, z którego buchnął mały płomyk. Poczłogał się w kierunku ognia, chcąc go ugasić, a jednocześnie Elsie krzyknęła:

– Wiem, kim jesteś, Ablu Nashu!

Głos przeklął ponownie, tym razem głośniejszy, a mężczyzna ubrany na czarno, z zasłoniętą twarzą z wyjątkiem oczu, wyskoczył zza zasłon. Księżna pociągnęła księcia w bezpieczne miejsce, a Mistrzynie Merton poprowadziła dziewczęta w stronę tylnego wyjścia. Baxter wpadł do pokoju. Ale ten człowiek – Abel Nash – patrzył tylko na Bachusa. Dzierżąc miotacz piorunów, chudy mężczyzna zaatakował i skoczył do przodu. Przywołując zaklęcie, Bachus uniósł ręce i zażądał, aby powietrze się poruszyło. Błyskawica przeleciała tuż nad jego głową, gdy podmuch wiatru uderzył w ciało Abła Nasha, odrzucając go z powrotem w stronę zasłon. To nie wystarczyło, by powalić go na ścianę, a napastnik okazał się zaskakująco zwinny, przewracając się po wyładowaniu i natychmiast wstając. Wtedy właśnie Bachus zdał sobie sprawę, że ten człowiek jest mordercą – zabójcą – uzbrojonym i gotowym do pokonania mistrzowskiego aspektora, by ukraść jeszcze jeden opus. Bachus miał być jego kolejnym celem i w jakiś sposób Elsie się o tym dowiedziała. Czy jej krzyki wywołały tego przestępcę z kryjówki wcześniej, niż zamierzał zaatakować? Nie było czasu, żeby o tym myśleć. Bachus rzucił się w stronę ognia i zgasił go kolejnym zaklęciem, po czym chwycił złamaną nogę krzesła. Uzbroidł ją w zaklęcie

zwiększając szybkość i cisnął w napastnika. Drewniana pałka świsnęła w powietrzu jak pocisk. Zabójca rozbił ją błyskawicą i pobiegł naprzód, zmniejszając dystans między sobą a Bachusem. Księżna krzyknęła.

Czarodziej pobiegł na spotkanie mężczyzny, wywołując u niego wahanie, ponieważ był zdecydowanie mocniejszym przeciwnikiem. Zanim się zderzyli, Bachus upadł na ziemię i przycisnął dłoń do dywanu, chcąc, aby podłoga się otworzyła.

Tak się stało, ale nie na tyle szybko, by posłać Abła Nasha do piwnicy. Odskoczył na bok i wycelował swój miotacz. Zaiskrzyło, gdy Elsie zderzyła się z nim, przewracając ich oboje na ziemię. Błyskawica trafiła w nogę Bachusa, parząc mu skórę i zapalając materiał jego spodni. Zacisnął zęby i zdmuchnął żar dłonią. Odwracając się, ujrzał w drzwiach dwóch służących, Mistrzynie Merton z otwartymi ustami i pannę Idę wciąż u jej boku, ciągnącą ją za rękaw.

– Idźcie! – ryknął. – Teraz!

Wzrok Mistrzynie Merton przesunął się z niego na Elsie i na zabójcę. Być może wahała się, bo chciała pomóc, ale duchowe aspekty na niewiele zdałyby się w tej sytuacji, chyba że miała przygotowaną klątwę i mogła zbliżyć się do Abła Nasha na tyle, by go dotknąć. Chwyliła pannę Idę za przedramię i szarpnęła ją w stronę drzwi. Bachus obejrzał się w samą porę, by zobaczyć, jak Elsie dostała cios łokciem w twarz, gdy zabójca ją odepchnął. Ból w nodze płonął, wypełniając całe jego ciało. Zrywając się na równe nogi, chwycił kolejne krzesło i, rzucając na nie zaklęcie przyspieszenia, cisnął nim w mężczyznę. Poleciało szybko, ale zabójca mimo to uchylił się. Krzesło uderzyło w ścianę, rujnując wiszący tam portret i rozbijając się na setki drzazg.

Z pozycji klęczącej Abel Nash wycelował swój miotacz i posłał ognisty pocisk w głowę Bachusa.

Ten skoczył, by zrobić unik, tylko po to, by zdać sobie sprawę, że jest na dobrej drodze, by zderzyć się ze stołem w jadalni.

Jego ręce dotknęły go jako pierwsze, a całe środkowe skrzydło zmieniło się ze stałego w płynne, gdy jego mistrzowskie zaklęcie zadziało – zmienienie go bezpośrednio w gaz byłoby równoznaczne z odpaleniem bomby. Błyskawica przeleciała nad jego głową i trzasnęła, uderzając w przeciwległą ścianę. Bachus wpadł do kałuży dziwnego, drzewiastego płynu, który już zaczynał krzepnąć. Ból przepłynął mu od głowy do ramion, nie na skutek lądowania, ale nagłego i ekstremalnego użycia zaklęcia. Powietrze zgęstniało. Miotacz został ponownie aktywowany i Bachus nie miał wystarczająco dużo czasu na ucieczkę. Odwrócił się w chwili, gdy strzeliło w niego oślepiające światło – i przed nim stanęła znajoma sylwetka kobiety.

– Nie! – krzyknął, ale piorun uderzył... I zniknął. Mrugając oczami, Bachus wyprostował się. Ramiona Elsie falowały w rytm jej oddechów. Obie jej ręce rozciągnęły się przed nią, nieruchome. Wpatrywała się w nie szeroko otwartymi oczami. Zabójca też. Bachus potrzebował kolejnego uderzenia serca, by zrozumieć, co się stało. Elsie rozpedziła błyskawicę, kiedy ta w nią uderzyła.

Nigdy nie słyszał o czymś takim. Podziw opuścił Abla Nasha jako pierwszego. Znow wyprostował łaskę przed siebie, wypuszczając w ich kierunku ogromnego węża z błyskawic. Bachus nie był wystarczająco szybki, by wyprzedzić Elsie, zanim uderzyła. Uniosła lekko dłonie do góry i światło wbiło się w nie – jasność była prawie oślepiająca, ale Bachus mógłby przysiąc, że w miejscu, gdzie światło padało na skórę, dostrzegł przebłysk błękitu. Uszkodzona runa.

Błyskawica zniknęła, pozostawiając ich oboje bez szwanku.

Bachus zadziałał natychmiast. Chwycił odłamek porcelany ze stłuczonego talerza leżącego u jego stóp, szybko go zaczarował i rzucił. Porcelana śmignęła w powietrzu jak kula, po czym przebiła jedną stronę klatki piersiowej zabójcy i wystrzeliła z drugiej, rozpryskując krew. Zderzyła się z zasłoną i uderzyła w podłogę, rozpadając się na trzy części. Kolana Abla Nasha zadrżały. Miotacz piorunów wypadł mu z ręki i uderzył w podłogę. Podążył za nim, już martwy.

ROZDZIAŁ 23

Elsie wpatrywała się w leżące na podłodze krwawiące i bezwładne ciało Abla Nasha i zrobiła dokładnie to, czego obiecywała sobie nigdy nie zrobić. Zemdlała. To było krótkie, szybkie zaciemnienie jej wzroku. Uczucie spadania. Fragment pamięci, zagubiony. Ale kiedy wróciły jej zmysły, znalazła się odchylona do tyłu w bardzo niewygodnej pozycji, trzymana w górze przez silne ramię, które w niezwykle sposób pachniało pomarańczami.

– Elsie. Elsie! – głos Bachusa był niski i brzmiał tak blisko. Drugie ramię dołączyło do pierwszego, wspierając ją, ciepło i pewnie. – Niech ktoś wezwie policję!

– Już wezwana! – lokaj, z którym kłóciła się zaledwie kilka minut temu, wbiegł z powrotem do pokoju, przyglądając się zniszczeniom szeroko otwartymi oczami.

Prostując się i utrzymując równowagę w zgięciu łokcia Bachusa, Elsie dokonała oględzin pokoju, celowo nie spuszczać wzroku z ciała. Podłoga z przodu wyglądała jak otwarte usta. Krzesła, naczynia i sztucce leżały w jednym wielkim bałaganie. Brakowało części stołu, a na dywanie pod nim była brązowawa kałuża. Zwęglone wyżłobienia szpeciły ściany, sufit i dywan. Wciąż czuła w dłoniach ciepło po uderzeniu pioruna. Wcześniej odczarowywała zaklętą broń, ale nigdy to, co emitowała. Runy na błyskawicy wydawały się podobne – takie szybkie, takie gorące – ale nawet nie zauważyła nici, węzłów. Ona po prostu... to zrobiła.

W ogóle tego nie rozumiała. Ale wciąż żyła. I Bachus też. Bachus.

Zarzuciła mu ramiona na szyję i schowała twarz w jego kołnierzu. Czuła jego szybki puls na twarzy. Łzy zwilżyły jej rzęsy.

– Nie wiedziałam, czy dotrę na czas – jego koszula stłumiła jej słowa.

Gdy tylko zaczęło się pojawiać zakłopotanie, otoczyły ją silne ramiona.

– Udało się, Elsie – wyszeptał, a słowa okraślił jego akcent. – Wszystko w porządku, dzięki tobie.

Nigdy nie czuła się bezpieczniej niż w tej chwili. Bachus cofnął się, ale jedną ręką wciąż ją obejmował, prowadząc do słabo oświetlonego korytarza. Sięgnęła do ściany, czując, że nie ma siły w nogach, i opadła na podłogę. Przykucnęła naprzeciwko niej.

– Dobrze się czujesz? – ujął jej twarz w dłonie. – Czy mam wezwać lekarza?
Złapała go za ręce, ściskając jego palce.

– Bachusie, to Ogden – głos uwiązał jej w gardle. Wypowiadanie słów sprawiło, że było to o wiele bardziej realne i wydawało się, że ostry kawałek porcelany przeciął ją, a nie Nasha. – To on za tym stoi. Za opusami. To on.

Jego zielone oczy zwężyły się.

– Co?

Rozejrzała się po korytarzu, a Bachus poszedł w jej ślady. Nie była pewna, kto jeszcze w domu, jeśli ktokolwiek, był świadkiem jej wielkiego łamania zaklęć, ani czy w ogóle rozpoznałby to jako takie, ale wolałaby nie dodawać wizyty w więzieniu do swojej obszernej listy zmartwień. Przełknęła. Potem, ku jej rozczarowaniu, łzy napłynęły jej do oczu.

– Cholera – mruknęła, wycierając je rękawem. Bachus założył jej kosmyk włosów za uszy.

– Jesteś bezpieczna, Elsie. Nash nie żyje.

Ale ona potrząsnęła głową i puściła jego dłoń, odrywając się od jego ciepła, jego troski.

– Nawet nie wiesz.

Nienawidziła pisku w swoim głosie. Ponownie otarła oczy, a potem trzeci raz. Te cholerstwa nie przestawały przeciekać.

– Ja też to zrobiłam, Bachusie – a oto jej brzydka część, ujawniona, żeby mógł ją zobaczyć. Tak bardzo miała nadzieję, że pozostanie w jego łaskach, zanim odjedzie. Ale żeby powstrzymać Ogdena, musiała wyznać prawdę. – Klamkę. Wszystko.

– Mówisz bez sensu – wymamrotał i otarł łzę opuszką kciuka. Zaśmiała się.

– Czy mógłbyś nie być czuły, kiedy mówię ci, jakim okropnym człowiekiem jestem? – zawahała się, po czym przysiadła na piętach i jeszcze raz sprawdzając korytarz w poszukiwaniu podsłuchujących, kontynuowała. – To, o czym nie chciałam ci mówić. Kaptury. Ci, którzy... którzy zatrudniają mnie do łamania zaklęć. Nie wiedziałam, ale Ogden jest jednym z nich. I to oni stoją za kradzieżami opusów – jego brwi się złączyły. Znowu otarła swoje przeklęte oczy. – Za każdym razem, gdy potrzebowali, żebym coś zrobiła, wysyłali mi list, zawsze tylko list, i opowiadali mi o całym dobru, jakie czynię. Jak pomagam komuś w potrzebie. Jak powstrzymuję bezkarność zła. Jak przywracam światu równowagę. Uwalniam niewinnych chłopców, pomagam rolnikom, wspieram rodziny... – znów się roześmiała, ale to rozdarło jej gardło w bardzo nieprzyjemny sposób. – I robiłam to, o co prosili, nie zastanawiając się. Przez dekadę robiłam to wszystko, ślepo im wierząc. Ale w zeszłym roku zleceń było

więcej. Więcej i więcej. A potem znalazłam ich pieczęć w pokoju Ogdena. A kiedy pojechałam do Juniper Down, zdałam sobie sprawę, że każde zaklęcie, które dla nich złamałam, jest powiązane z jedną z kradzieży, z jednym z morderstw. Byłam kluczem, który otwierał te wszystkie drzwi. Pomogłam zabić tych wszystkich ludzi...

Zakryła twarz obiema rękami, poczucie winy było nie do zniesienia. Gdyby tylko podłoga otworzyła się tutaj i pochłonęła ją w całości. Umieranie w piwnicy nie brzmiało w tej chwili tak strasznie.

Wydawało jej się, że słyszy w domu nowe głosy. Czy przyjechała policja?

Poczuła, jak Bachus się przesuwa.

– Elsie...

Odrywając rękę, powiedziała:

– Musisz im powiedzieć. Teraz. Policji. Przysięgam ci, że to Ogden stoi za tym wszystkim. Proszę!

Jej głos podnosił się z każdym słowem, aż nawet służący w korytarzu patrzyli na nią jak na ducha. Ale Bachus, dzięki Bogu, traktował ją poważnie – odszedł, a ona miała nadzieję, że spełnił jej prośbę. Spojrzała na służących.

– Czy jesteście głusi? Cuthbert Ogden z Brookley jest zabójcą! Powiedźcie policji!

Rozbiegli się. Zamykając oczy, Elsie oparła głowę o ścianę. Nadgarstki ją mocno swędziały, irytujące uczucie posuwało się w górę jej ramion, jakby płynęło żyłami. Próbowwała się podrapać, ale rękawy sukni były tak cholernie ciasne... Siedziała tam przez jakiś czas, słuchając odgłosów służących, ich okazjonalnego lamentu. Księżna przyszła raz, pytając o nią. Elsie zdobyła się na niepewne zapewnienie, a kobieta zostawiła ją w spokoju. Swędzenie zaczęło ustępować.

Czy policja będzie wymagać zeznań? Czy użyliby innego poszukiwacza prawdy? Musiałaby przyznać się do łamania zaklęć, żeby jej historia miała sens, prawda? A może był na to jakiś inny sposób? Musiała pomyśleć, ale ostatnio dużo myślała. Jej mózg był wyczerpany. Chwytając się boazerii, Elsie dźwignęła się na nogi. Musiała iść. Musiała chronić Emmeline. Boże, dopomóż, przerażało ją, że będzie w tym domu, kiedy przyjedzie policja...

Kilku policjantów rozmawiało między sobą w jadalni, wskazując na ciało i uszkodzenia, robiąc notatki. Być może po drodze ktoś poinformował ich o sytuacji.

Czy mogła wymknąć się niezauważona? Trudno byłoby znaleźć dorożkę na powrót do domu, skoro nie powiedziała poprzedniemu woźnicy, żeby na nią zaczekał. W ogóle nic mu nie powiedziała, po prostu zostawiła mu pieniądze na siedzeniu i popędziła do pałacu...

– Elsie.

Podskoczyła, ręka powędrowała do jej piersi.

– Bachusie, jesteś jak cień.

Miała dość strachu jak na jeden dzień. Posłał jej ten subtelny prawie uśmiech.

– Odciągnijmy cię od tego wszystkiego – Elsie przyjrzała się policjantom w jadalni. Dwóch zasłaniało jej widok na ciało Nasha. – Nie wydam cię – zapewnił ją i wziął za rękę, prowadząc przez korytarz. Hałas śledztwa powoli ucichł za jej plecami. Ulżyło jej. Zatrzymał się przed masywnymi schodami prowadzącymi na pierwsze piętro. Odwrócił się w jej stronę i ujął oba jej ramiona w dłonie. – Nie odpowiedziałas mi, jesteś ranna?

– Nie. Chyba nie – jej wzrok padł na podłogę.

Wypuścił długi oddech, wystarczająco mocny, by poruszyć jej potargane włosy – nie mogła sobie przypomnieć, gdzie podział się jej kapelusz.

– To już drugi raz.

– Nie włamałabym się, gdyby ten kamerdyner nie był takim durniem...

– Mam na myśli to, że dwa razy uratowałaś mi życie.

Prawie niechętnie podniosła wzrok. Jego ręce na jej ramionach były zbyt ciepłe i rumieniec wpełzł na jej szyję. Odchrząknęła.

– Cóż, jeśli chcesz się skupić na tej części – zaśmiał się, co prawie pomogło jej się zrelaksować. – Bachusie – naciskała – słyszałeś mnie, prawda? Jestem tego częścią – jej głos zniżył się do szeptu.

Opuścił ręce, ale tylko po to, żeby trzymały jej dłonie zamiast ramion.

– Czy kiedykolwiek wiedziałaś lub podejrzewałaś, że jesteś tego częścią?

Zbladła.

– Oczywiście, że nie!

– Więc wszystko w porządku.

– Ale policja...

– Powiedziałem im, że Abel Nash wyznał nazwisko Ogdena przed śmiercią. Powiedziałem pozostałym, że zaprosiłem cię na obiad i że musiałaś widzieć, jak Nash się wkrada. Policja nie powinna cię przesłuchiwać poza relacją z wydarzeń, które miały miejsce dzisiejszego wieczoru. Tak długo, jak pasują do mojej opowieści, wszystko będzie dobrze.

Elsie gapiała się, a odrętwienie, którego nie zauważyła, ustąpiło z jej kończyn.

– Ale poszukiwacz prawdy...

– Księżę ma władzę. Nie użyją go.

Zamknęła usta.

– Często mi dziś przerywasz.

Uśmiechnął się do niej. Elsie przywołała się do porządku, odsunęła się od niego i skrzyżowała ramiona, by ochronić się przed chłodem, który nacierał na

nią, by zastąpić jego ciepło.

– Dziękuję. Naprawdę – zerknęła ponownie w stronę jadalni. – Przybyli szybko.

– Książę ma telegraf. A Wysoki Sąd zatrudnia duchowych aspektorów, którzy mogą projektować siebie, aby przesyłać zgłoszenia.

– To szczęście – jej puls przyspieszył. – Och, biedna Emmeline. Będzie bardzo zdezorientowana. Muszę się do niej dostać.

– Nie przyjechałaś z Brookley? – potrząsnęła głową.

– Z Reading. Wcześniej byłam w Juniper Down.

– Dlaczego tam pojechałaś?

Jej ramiona opadły.

– Cóż, zabawna historia. Byłam przekonana, że mój ojciec przyszedł mnie szukać, ale okazało się, że był to jakiś rozbójnik, który pomylił mnie z kimś innym.

Bachus przejechał dłonią po twarzy.

– Elsie, ja...

Ale w tej chwili korytarzem przeszedł policjant, a jego buty na twardej podszewie odbijały się echem. Bachus zeszywniał.

– Czy wiadomość dotarła?

Mężczyzna musiał iść od strony pomieszczenia z telegrafem. Młody oficer zawahał się przez chwilę, być może niepewny, czym wolno mu się dzielić informacjami, ale dość łatwo się poddał.

– Cuthbert Ogden uciekł z domu, ale sąsiad twierdzi, że widział go kierującego się na północ.

Elsie straciła oddech. Ostatnie resztki nadziei zniknęły, sprawiając, że poczuła się pusta jak wysuszona łupina orzecha. Dodała nazwisko Ogdena do listy w swoim sercu. Był kolejną osobą, która ją zostawiła. Kolejny ojciec, który ją porzucił. Może zawsze planował to zrobić, kiedy jej użyteczność się skończy. Potarła nadgarstki.

– Dlaczego miałyby jechać do Londynu? Gdybym była uciekinierką – bardzo jej się to nie podobało – nie wchodziłabym w tłum. Uciekałabym od niego.

– Ma osłonę ciemności – powiedział Bachus. – Może się zgubić w tłumie.

Elsie przygryzła kostki palca wskazującego tak mocno, że zostawiła ślad. Uwolniła palec i zapytała:

– Czy mógłbyś zapytać o pokojówkę? Emmeline Pratt? Upewnić się, że wszystko z nią w porządku?

– Mamy priorytety, panienko. Służba zostanie dopilnowana.

Uchylił czapki w jej stronę i ruszył w kierunku frontowego wejścia, być może po to, by zgłosić się do kogoś na zewnątrz. Ze ściśniętym żołądkiem Elsie

patrzyła, jak odchodzi.

Po kilku sekundach Bachus zapytał:

– Czy jesteś głodna? Możesz tu zostać na noc, dopóki tego nie załatwimy.

– Wątpię, żebym mogła zasnąć.

Chociaż ostatnio niewiele sypiała. Nagle uderzyło ją, że policjant powiedział, że sąsiad widział, jak Ogden wychodził z domu. Uciekł, zanim przyjechała policja. Dlaczego?

– Skąd Ogden miałby wiedzieć, że trzeba uciekać? – zapytała. – Nie wysłałam ani słowa i wiem, że Abel Nash też nie.

Chodziła w tę i z powrotem po korytarzu.

– Nie powinni mieć większych problemów ze złapaniem go. Nie posiada żadnych koni. W Brookley nie złapiesz dorożki w nocy, chyba że zamówisz ją z wyprzedzeniem. Ale nie ma możliwości, żeby wiedział, jak to zrobić...

Jeśli kiedykolwiek będzie źle, wykradniemy się, ty, Emmeline i ja. Pojedziemy nad Tamizę, może nawet do doków Świętej Katarzyny i popłyniemy dyskretnie łodzią do kanału. Jak twój francuski?

Zamarła.

– Elsie? Co jest...

– Jedzie do doków. Oczywiście – odwróciła się w jego stronę. – Bachusie, chyba wiem, dokąd zmierza Ogden.

To dziwne, że powiedział jej to i to z takimi detalami, ale kiedy to mówił, na jego twarzy malował się pewien wyraz. Był poważny. Rozwagał ewentualną ucieczkę i zaplanował ją z wyprzedzeniem.

– Musimy go powstrzymać! Z tymi wszystkimi opusami... jest potężny, a jeśli ucieknie...

Twarz Bachusa pociemniała. Zastanawiał się tylko przez chwilę.

– Musimy powiadomić policję.

Tym razem Elsie zgodziła się z nim. Kochała Ogdena, ale...

– Tak, powiedz im. Jeśli teraz wyruszą... – ale czy powóz byłby wystarczająco szybki, aby go dogonić? Jak dużą przewagę miał Ogden? Bachus potarł szczękę.

– Jak dobrze jeździsz konno?

Elsie zatrzymała się.

– Ja... Wiem, jak utrzymać się w siodle.

– To wystarczy. Policja wybierze się głównymi drogami, my pojedziemy bocznymi.

Podał jej rękę. Przyjęła ją.

* * *

Wzdłuż Tamizy znajdowało się wiele doków, ale jeśli Elsie wiedziała, jak myśli Ogden... A pomimo sekretów, które skrywał, myślała, że tak – to będzie szukał mniejszej, bardziej dyskretnej łodzi. Mogła się całkowicie mylić. I gdyby tak było, wynik byłby taki sam, jak gdyby zgodziła się na propozycję Bachusa, żeby zjeść i odpocząć. Ale jeśli miała rację, to zmieniliby sytuację. Jednak nie mogła myśleć o tym, co mogłaby mu powiedzieć, gdy znów go zobaczy. Bolało ją w piersi na samą myśl.

Jazda była trudna. Elsie już wcześniej podróżowała konno, ale nigdy nie pobierała lekcji. Konie pełnej krwi księcia Kentu były smukłe i zdumiewająco szybkie, co Elsie mogłaby podziwiać, gdyby jeździła dla przyjemności w wolnym, spokojnym tempie. W tej chwili ścisnęła wodze zbielełymi palcami, a jej spódnica łopotała za nią nieskromnie, ponieważ nie było mowy, żeby jechała na tym czymś w damskim siodle. Na szczęście jedyne, czego naprawdę od niej wymagano, to utrzymanie się przy życiu; zwierzę było dobrze wyszkolone i bezkrytycznie podążało za wierzchowcem Bachusa, prawie dotykając chrapami jego ogona. Konie były już zmęczone, gdy zbliżyły się do przystani. Bachus zwolnił, a Elsie szybko poprawiła swój wygląd, na tyle, na ile było ją stać, chociaż to nie było największym problemem, gdy ściga się zdradzieckiego mordercę. Na tę myśl jej serce znowu забиło mocniej. Ogden... Nigdy by się nie domyśliła, że to on.

Nawet teraz z trudem w to wierzyła. Kiełkowała w niej samotność, ale nie mogła się teraz nad tym rozwodzić. Przejechali obok szpitala i ich oczom ukazały się duże magazyny, każdy wysoki na sześć pięter i zbudowany z mocnej żółtej cegły. Zauważyła przed sobą dwóch dokerów przy latarni gazowej.

– Nie widzę go.

Była bez tchu i obolała, mimo że to koń przebiegł całą trasę.

– To duży teren – wyszeptał Bachus, ściągnając wodze i obracając zwierzę, żeby rozejrzeć się po okolicy.

Chociaż ziemia wydawała się trochę za daleko, Elsie zsiadła z konia, chwiejąc się przez chwilę, ale zdołała utrzymać się na nogach. Jej uda natychmiast zapłonęły w proteście, jednak wytrzymała dyskomfort, zdjęła buty i ruszyła w stronę jednego z doków. Bachus zawołał za nią, ale go zignorowała. Może nie miała doświadczenia w jeździe wierzchem, ale za to wiedziała, jak przemykać się niezauważona. Doki były długie i czuć było ich chłód pod stopami. Szła pod okapami magazynów, mijając ciemne okna i zamknięte drzwi. Odważyła się podbiec, chociaż jej nogi protestowały. Trzymając buty w dłoniach, żeby o siebie nie uderzały, wyjrzała zza następnego zakrętu.

Cumowała tu tylko jedna łódź, mała, z podniesionymi żaglami. Teren był dość dobrze oświetlony, ale cienie gromadziły się wokół masywnych magazynów. Słyszała w uszach delikatny szum wody i własny puls. Skręcając za róg, Elsie znów pobiegła truchtem, starając się usłyszeć coś poza biciem swojego serca, żałując, że nie ma bystrzejszego wzroku, by widzieć w ciemności. Po drugiej stronie był inny doker, który zdawał się jej nie zauważać. Usłyszała kroki, ale nie zadała sobie trudu, aby spojrzeć w kierunku, z którego dobiegały – po tempie i dźwięku wiedziała, że to był Bachus, lekko utykający, prawdopodobnie z powodu błyskawicy, która musnęła jego nogę. Świadomość, że jest blisko, dodawała jej odwagi. Dotarła do drewnianego pomostu łączącego dwa doki i ruszyła przez niego. Być może był to anioł przechylający jej głowę, a może po prostu łut szczęścia, bo dostrzegła ruch w cieniu na przeciwległym doku, po drugiej stronie wody. Spędziła z Cuthbertem Ogdenem tyle lat, dni i nocy, deszczu i słońca, że mimo ciemności i odległości rozpoznała go.

– Tam! – syknęła i wskazała. Cień zniknął w jednym z magazynów. Spanikowana rozejrzała się za łodzią lub tratwą, która mogłaby ją przewieźć; zanim tam dopłyne, już dawno go nie będzie!

Most przesunął się, gdy wszedł na niego Bachus. Upadł na kolana i sięgnął do wody. Elsie uchwyciła kątem oka błysk. Lodowy most łączył doki przez wodę w miejscu, które wskazała.

– Och, wspaniały, genialny człowieku – wyszeptała, pospiesznie zakładając buty.

Bachus najpierw zeskoczył na prowizoryczny mostek, znalazł równowagę, a potem pomógł jej. Łódź był bardziej chropowaty niż śliski, ale Elsie nie odważyła się biec. Mimo to poruszała się tak szybko, jak tylko mogła, wyciągając ręce, by zachować równowagę. Dotarli do drugiego doku. Elsie zdołała się podnieść, zanim Bachus mógł jej pomóc. Puls dudnił jej w kończynach. Natychmiast ruszyła w kierunku, w którym odszedł cień Ogdena, a Bachus bez zbędnych pytań podążył za nią. Dzięki Bogu za niego. Pomijając sentymenty, po zobaczeniu, co robił w jadalni księcia, Elsie była wdzięczna, że ma go przy sobie. Zastanawiała się, otwierając niezamknięte na klucz drzwi – być może otwarte wcześniej wytrychem – czy powinna zawołać Ogdena. Spędziła dziewięć lat w jego domu. Nie rozumiała go, teraz, kiedy znała prawdę, ale to był ten sam mężczyzna, który pocieszał ją, kiedy była smutna, który odkładał pieniądze na jej konto oszczędnościowe, który dokuczał jej podczas kolacji. Czy dźwięk jej głosu wystarczy, by się zatrzymał, czy też sprawi, że ucieknie jeszcze szybciej? Jedyne światło w magazynie wpadało przez okna z latarni na zewnątrz. Powietrze pachniało pleśnią, a gdy Elsie pędziła długim

korytarzem, jej kroki niemal w rytmie kroków Bachusa, zauważyła stosy płótna, a może bawełny, spakowane i gotowe do wysyłki.

Zatrzymali się na rozwidleniu. Najcichszy odgłos kroków odbił się echem w innej sali.

– Tędy – mruknął Bachus, biorąc ją za rękę i ciągnąc w lewo. Mimo że kulał, był szybki i zaskakująco zwinny podczas biegu; Elsie biegła na palcach, żeby dotrzymać mu kroku. Zbliżali się. Byli ścigającymi, podczas gdy Ogden próbował znaleźć drogę ucieczki lub miejsce, w którym mógłby się ukryć. To by go spowolniło. To by...

Wyczuła to dopiero na chwilę przed tym, jak tam dotarli.

– Bachusie, stój! – szarpnęła z powrotem za jego rękę, ale pęd był zbyt duży. Ich palce rozsunęły się, a Elsie poleciała do tyłu, lądując na pupie. Tymczasem Bachus prawie wybił sobie zęby, gdy jego buty, z własnej woli, znacznie zwolniły.

– Co u licha? – machał rękami, by zachować równowagę.

Pierś Elsie unosiła się od ciężkich oddechów. To zakłęcie mogło złamać mu nogę.

– Pozwól mi je znaleźć.

Pospieszyła do przodu na czworakach, węsząc w poszukiwaniu ziemistego zapachu zakłęcia. Nie tutaj, ale... W górę i w lewo? Znalazła zakłęcie czasowe na belce podpierającej ścianę. Nigdy wcześniej nie widziała takiego zakłęcia zastawionego jako pułapki. Gdy rozwiązywała jego nici, zamarła.

– Opusy. Bachusie, on używa zaklęć opusowych.

Jeszcze więcej obciążających dowodów przeciwko niemu.

Bachus upadł do przodu, gdy magia go opuściła.

– Może powinnaś iść pierwsza.

Skinęła głową, bojąc się uciec, ale zbyt niespokojna, by zachować ostrożność. Nie zaszli daleko, kiedy poczuła trzask w powietrzu, tak jak w przypadku piorunowej laski Nasha. Skręcając za róg, zobaczyła błyskawicę wystrzeliwującą z prawej krawędzi sufitu.

– Przejdź pod nią.

Przytuliła się do ściany. Unikanie byłoby szybsze niż prośba o podsadzenie jej, aby mogła dosięgnąć do runy. Błyskawica znów przecięła powietrze, sprawiając, że jej włosy stanęły dęba, ale jej nie uderzyła.

Bachus poszedł za nią bez pytania. Usłyszała przed sobą trzask drzwi i rzuciła się biegiem, tylko po to, by uderzyć w ścianę po jej lewej stronie.

– Cholera, Ogden! – wypaliła, gdy wiatr wzbijający się z podłogi przygwoździł ją w miejscu.

Powietrze wirowało wokół niej, jakby była w oku cyklonu. Bachus użył dokładnie tego samego zaklęcia, aby popchnąć wiatr w innym kierunku, pozwalając Elsie przepchnąć się przez pułapkę. Podążył za nią.

– Nie przypuszczam – wykrztusiła między oddechami – że możesz to zrobić na odwrót? Zassać go do nas?

– Nie.

Elsie dostrzegła przed sobą zarys drzwi. Szukała run, ale żadnej nie znalazła...

– Stój! – krzyknęła, wbijając pięty w podłogę. Bachus wpadł na nią, prawie popychając ją na drewnianą skrzynkę pod ścianą. Elsie właśnie rozpoznała połyskujący na niej symbol. – Mobilne zaklęcie. To by nas zmiażdżyło – przykucnęła i rozerwała runę, po czym przepchnęła się obok skrzynki bez szwanku. Przeklęła. – Musimy znaleźć inną drogę. On ucieka!

Uderzyła palcem u stopy w coś metalowego na ziemi – łom. Zastanawiała się nad tym tylko przez chwilę, zanim go chwyciła. Nie potrafiła rzucać zaklęć, ale z pewnością potrafiła wymachiwać łomem.

– Będzie łatwiej, kiedy wyjdziemy na zewnątrz.

Bachus minął ją i złapał za klamkę, otwierając drzwi w chwili, gdy Elsie dostrzegła najłżejszy przebłysk zaklęcia. Ziemia przesunęła się w górę jak gigantyczna paszcza, wgniatając Elsie w skrzynię. Beton, kamień i drewno wykrzywiały się i falowały wokół Bachusa – gigantyczna wersja zaklęcia, które kiedyś rzucił na nią w książęcej posiadłości. To, które chwyciło jej buty.

Ale to pochłonęło Bachusa aż po szyję.

– Bachus! – zawołała, zrywając się na nogi i biegnąc w jego stronę. Równie dobrze mógł zostać uwięziony w górze! Przesunęła dłońmi po szorstkich nierównościach, szukając runy.

Bachus chrząknął, próbując się poruszyć, ale był całkowicie przyszpilony, kończyny miał nieruchome w ciasnym uścisku.

– Jasna cho... – zaczął, ale nie dokończył tych paskudnych słów, które leżały mu na języku. – On ucieka!

Elsie dostrzegła małe światełko w szczelinie. Poczowała, jakby jej kości stały się płynne.

– Znalazłam runę, ale znajduje się po drugiej stronie skały. Po twojej stronie – próbowała przepchnąć palce, kalecząc je przy tym, ale nie mogła rozkruszyć betonu. Cofnęła się i wcisnęła łom. Odłupał nieco betonu, ale nie był wystarczająco twardy, by rozbić kamień. Elsie oparła się na nim całym ciężarem ciała, ale wydawało się, że łom sam się złamie, zanim zrobi to z nim betonowy kopiec. Paniczne oddechy wyrywały się z jej gardła.

– Może uda mi się znaleźć coś innego. Młotek...

– Elsie, zostaw mnie. Idź.

Potrząsnęła głową.

– Wyciągnę cię...

– Zgubisz go! – wrzeszczał. – Idź!

– Nie możesz tego stopić?

Desperacja podniosła jej głos o oktawę wyżej. Bachus potrząsnął głową, choć ledwo był w stanie to zrobić.

– To jest kamień. Czy wiesz, jaka jest płynna wersja kamienia? I jest zbyt duży, aby zmienić się w gaz. Zabiję siebie i ciebie.

Jej oddechy stały się szybkie.

– Czy możesz spróbować zmienić choć trochę? Jeśli uda mi się przedostać...

– Idź, Elsie, zanim będzie za późno!

– Nie zostawiam swoich! – warknęła, zaciskając dłonie na zaklętym usypisku.

Dyszała, widząc czerwień, czując się tak zimna jak magiczny lód Bachusa. Bachus wahał się tylko przez chwilę.

– Nie, nie możesz – przelękając, spojrzała na niego. – Elsie – jego głos był stanowczy, ale w jakiś sposób melodyjny i przebijał się w nim jego barbadoski akcent. W świetle księżycy wpadającym przez otwarte drzwi jego oczy błyszczały. – Tylko ty możesz go powstrzymać. Ty możesz ominąć jego zaklęcia. Może cię wysłucha. Musisz iść teraz albo zgubisz jego trop, a to wszystko pójdzie na marne. Wierzę w ciebie.

– Ale...

– Będę wiedział, że wrócisz – oczy miał skupione, jasne jak szmaragdy. – Elsie, proszę. Idź.

Wytrzymała jego spojrzenie przez jedno uderzenie serca, tuląc poranione palce do piersi. Miał rację. Musiała iść. Ale mogła tylko łamać zaklęcia, a nie je tworzyć. Była trochę uzbrojona i po tym, co stało się z Nashem... Może uda jej się ominąć zaklęcia Ogdena, jeśli się skupi. Ale co jeśli nie da rady? Umrze, a Bachus zostanie tu uwięziony, dopóki jakiś pracownik magazynu go nie znajdzie... Przez umysł przemknęła jej myśl, że może umrzeć. Czy była gotowa umrzeć, by powstrzymać Ogdena? To właśnie zrobiłby Robin Hood. Ruszyła do drzwi. Zatrzymała się i zerknęła z powrotem na Bachusa.

Podbiegła do niego i wchodząc na jedną ze skał jego cementowej klatki, podniosła twarz do jego twarzy i pocałowała go w policzek. Jego zarost był szorstki i zaskoczyło ją uczucie, kiedy dotknął jej policzka. Jej nerwy iskrzyły, ale już to zrobiła.

– Dziękuję – wyszeptała i bez kolejnego spojrzenia wybiegła przez drzwi i przeszła przez dok. Jej pracodawca może być w stanie ją spowolnić, ale robiąc

to, zostawiał ślady.

Podążaj za runami, znajdź Ogdena.

ROZDZIAŁ 24

W zaklęciach, których szukała, było coś dziwnie znajomego, ale Elsie nie potrafiła tego dokładnie określić. Rozbroiła ogromne chwasty, które wystrzeliły przez szczeliny w betonie, wyhodowane zaklęciem czasowym. Usunęła, choć drżącymi rękami, umysłowe zaklęcie na ścianie magazynu, które stworzyło iluzję gigantycznego pająka. Przeskoczyła wyrwę, którą fizyczne zaklęcie utworzyło w deskach mostu. Odczarowała inne, które połączyło ze sobą kilka desek, tworząc ścianę. Nie było pracowników portowych ani ochrony, którzy szukaliby przyczyny hałasu, i to ją martwiło. Czy doki Świętej Katarzyny zawsze były w nocy takie puste, czy Ogden już ich... wyeliminował? Zanim podążyła tropem do następnego magazynu, sowa sfrunęła na nią pod dziwnym kątem od strony rzeki, a Elsie wrzasnęła, mimo że chciała pozostać niezauważona. Nie byłaby w stanie usunąć duchowego zaklęcia, które zmusiło zwierzę do ataku na nią, więc rzuciła się do drzwi i zatrasnęła je za sobą, ściskając łom w wilgotnej prawej dłoni. Pół sekundy później szpony ptaka zaszurały o drzwi. Pędziła przez magazyn, podążając za runami porozstawianymi niemal szaleńczo, niektóre były umieszczone na suficie, inne na podłodze lub w przypadkowych miejscach na ścianie, nawet jeśli ich lokalizacja była złym wyborem dla rodzaju zaklęcia. Przez cały ten czas doświadczała tego dziwnego poczucia swojskości, ale nie miała czasu zastanawiać się, co ono oznacza. Może to dlatego, że pocałowała Bachusa Kelseya, kiedy był w tarapatach. Wielkie nieba, co ona sobie myślała? Na szczęście to było tylko w policzek.

Przynajmniej nie będzie musiała ponownie stawić mu czoła, jeśli dopadnie ją jedno z zaklęć Ogdena. Albo jeśli dogoni samego mężczyznę i ich ponowne spotkanie nie przebiegnie po jej myśli. *Musisz zaryzykować*, przypomniała sobie, szukając, słuchając, czując i wachając opusowych zaklęć. Gdyby go dogoniła i wyszła z tego zwycięsko... wszystko byłoby w porządku. Do pewnego stopnia pozwoliłoby jej to naprawić swoje błędy. Bóg jeden wiedział, że musi spróbować. Rozerwała zaklęcie zmieniające gęstość, unoszące się w powietrzu, nieco w lewo, które sprawiało, że powietrze było zbyt zwarte, by przez nie przejść. To było osiemnaste zaklęcie, z jakim się spotkała. Jej nadgarstki i ramiona swędziały jak od ugryzień setek komarów, kiedy pchnęła drzwi na

drugim końcu magazynu. Płomień światła z lampy gazowej poraził ją w oczy. Księżyc odbijał się od prawie nieruchomej wody w rzece. I oświetlał Ogdena, gdy kucał na skraju doku, odwiązując małą łódź rybacką. Z kołnierzyka jego poplamionej farbą koszuli wystawał plik niedopasowanych kartek – zaklęć opusowych.

– Ogden, przestań – błagała, podnosząc jedną rękę, jakby się poddawała, a drugą chowając łom za plecami. Podeszła do niego skupiona. Rzucenie opusowego zaklęcia wymagało aktywacji werbalnej, więc będzie przynajmniej miała ostrzeżenie. – Porozmawiajmy o tym.

Ogden wyciągnął plik zza koszuli, a Elsie zatrzymała się, jakby wymachiwał pistoletem. Wystarczyłoby, że wyszeptałby *obudź się*, a te zaklęcia poleciałyby na nią.

– Nie podchodź bliżej – krzyknął ostrzegawczo. Jego głos był ochrypliwy, a jego ręce trzęsły się, gdy trzymał papiery. Dlaczego? Czy był przerażony? Chory?

– Jesteś chory – Elsie odważyła się zrobić kolejny krok do przodu. Ogden nie był młody, ale cieszył się dobrym zdrowiem. Jednak może ten bieg przeciążył jego serce. – Ogden. Cuthbert. Proszę. Pozwól, że zabiorę cię do szpitala.

Wstał nagle, spoglądając na nią. Wydawało jej się, że czuje coś w powietrzu, coś jak śnieg...

Ale ona wcale nie chciała go zatrzymywać, prawda? Ogden właśnie wybierał się na ryby. Miała tyle pracy w domu. Co ona tu robiła? Emmeline musi się martwić...

– Stój! – wrzasnęła, unosząc ręce do głowy. Łom spadł do doku za nią. Miała niewielkie doświadczenie z zaklęciami umysłowymi, ale wyczuła między nimi drżenie jednego z nich. Wbił się w jej myśli, zasadzając nowe.

Jestem taka brudna! Potrzebuję kąpieli. Czas wracać do domu.

Drapała przestrzeń przed sobą, aż je znalazła. Nie miałyby tyle szczęścia, gdyby to coś trafiło jej na głowę, ale Ogden jeszcze jej nie dotknął. Wyciągnęła jedną nitkę, potem drugą. Było skomplikowane. Mistrzowskie zaklęcie.

Emmeline musi być bardzo zmartwiona! Muszę natychmiast wracać!

– Ogden! – wrzasnęła, rozrywając kolejny węzeł.

Idź do domu. Idź do domu.

Nie, chodź ze mną.

Nagła zmiana poleceń wytrąciła Elsie z równowagi. Teraz Ogden wyciągnął do niej rękę, jakby nagle zmienił zdanie. Jakby chciał mieć towarzysza. Drugą ręką pracował nad odwiązaniem łodzi, opusowe zaklęcia wepchnął do kieszeni spodni. Ale... Nie wybrał ani jednej strony. Nie powiedział nic, żeby aktywować magię. Nie użył do tego strony opusowej.

Muszę zająć się Ogdenem! Muszę wsiąść do łodzi...

Co znaczyło... sam to rzucił.

Kolejny węzeł przerwany, i kolejny. Jej własne myśli zderzyły się z fałszywymi. Kolana Elsie zachwiały się.

– Chodź ze mną – pot perlił się na czole Ogdena.

To wszystko miało sens.

To skandal, że nocą jestem sam w dokach!

Zakłęcie odepchnęło ją, nawet gdy jej pracodawca skinął na nią.

Alfred. Pomyślała o Alfredzie, po tym jak zobaczyła go z jego nową żoną. Płacz na jej łóżku. Ogden wszedł i... Wszystko wydawało się w porządku. Jakby jej smutek został po prostu odpędzony.

Policja będzie wiedzieć, że jestem w to zamieszana. Powinam odejść, póki jeszcze mogę!

Ale potem: *Zakłócasz wakacje Ogdena! Zwolni cię, jeśli nie odejdziesz!*

Spomiędzy pazurów zakłęcia wynurzyły się strzępki wspomnień. Zapomniane przewinienia. Znikający ból. Ustupający gniew. Czy on to wszystko zrobił? Używał magii, by ją uspokoić za każdym razem?

Czas na...

Rozwinęła ostatnią nić i obce myśli rozproszyły się. Jęknęła, upadając na ziemię. Wstrzymywała oddech. To było mistrzowskie zakłęcie. Ogden nie był słabym fizycznym aspektem. To była przykrywka. Był mistrzem umysłowego aspektu. Niezarejestrowanym, tak jak ona.

Paznokcie Ogdena wbiły się w słupek z boku pirsu. Wydawało się, że stawia jej opór. Jakby była magnesem przyciągającym go do siebie. Jego drżenie się nasiliło.

– Ogden! – pobiegła w jego stronę. – Zatrzymaj się!

– Nie... dostaniesz... jej – jęknął.

Jego głowa opadła w tył, ale tym razem... tym razem poczuła jak umysłowe zakłęcie nadchodzi, zanim jej dosięgnęło. Jakby czas zwolnił. Runa była wróżką, niewidoczną, ale puls jej skrzydeł był nie do pomylenia...

Jej palce poleciały i rozplątały runę na części. Ostatni węzeł zbliżył się do niej na tyle blisko, że musnął jej czoło, szepcząc coś, czego nie mogła zrozumieć, zanim zniknął.

Tak jak w jadalni księcia, złamała zakłęcie, zanim zdążyło się rozwinąć. Nawet Ogden wyglądał na zaskoczonego. Coś, co powinna wykorzystać na swoją korzyść – bo gdyby dostał się do tej łodzi, Elsie nie byłaby w stanie go wyciągnąć. Rzuciła się do przodu, żebra napinały jej gorset, i zaatakowała go, zderzając się ramieniem z jego klatką piersiową. Był o wiele większy i cięższy od niej, ale zebrała dość siły, by strącić go na ziemię i podnieść jego stopę

z łodzi. Próbował ją zaczepić. Walczyła, by go przygwoździć, z uchem przyciśniętym do podstawy jego rozpiętego kołnierzyka. Wtedy to usłyszała. Najłżejsze kliknięcie, jak cichnąca cykada. Dźwięk był tak cichy, że mogłaby tego nie zauważyć, gdyby nie kontrastował z ciszą ich walki.

Zakłęcie. Duchowe zakłęcie.

I jego rozmieszczenie... Zupełnie jak u Bachusa. Ogden ją odepchnął. Wpadłaby do rzeki, gdyby nie powstrzymały jej dwa słupy. Przetoczyła się przez rozsypany stos opusowych zakłęb, wiele z nich wpadło do wody i zostały zniszczone. Ogden zerwał się na równe nogi. Ruszył w stronę łodzi. Trząśnięcie jak w febrze. Jakby się czemuś opierał. Złapała go za ramiona, upadł na jedno kolano.

– To wzór, Elsie – sapnął, nie odrywając wzroku. – To zawsze tam było... – jego usta zamknęły się. Odrzucając ją, ruszył w stronę łodzi. Wciąż cały drżał. Wzór?

Wzór.

Dzięki Bogu wszystko wskoczyło na swoje miejsce. Znajomość run, którymi podążała, by się tu dostać. Ich pozornie przypadkowe rozmieszczenie. Widziała to już wcześniej.

W jego obrazach.

W płytkach dla wikariusza.

W sposobie, w jaki rysował na kolanie w kościele.

W bałaganie na jego półkach.

W bazgrołach na dokumentach w szufladzie jego biurka.

Wszystkie były takie same. Były wzorem. Osiemnastopunktowym wzorem. Węzłem z osiemnastoma punktami.

Próbował jej to powiedzieć. Od lat próbował jej to powiedzieć. Wszedł do łodzi jedną nogą, potem drugą. Podnosząc się, Elsie rzuciła się za nim i skoczyła. Zamortyzował jej upadek. Jęknął, kiedy wylądowali, a ławka wbiła mu się w plecy. Jego głowa uderzyła w drewno, na tyle mocno, że oczy uciekły do środka czaszki. Chwytając brzegi jego koszuli, Elsie rozdarła je, rozrywając guziki. Runa nie była od razu widoczna, została tak fachowo umieszczona... Ale wbiła palce w skórę nad jego sercem i wyczuła jej pieśń. To było szalenie potężne zakłęcie – najsilniejsze, jakie kiedykolwiek spotkała – ale знаła klucz. Znała wzór. Rozerwała go tak brutalnie, że jej paznokcie zostawiły czerwone ślady na jego skórze. Zaczęła w lewym górnym rogu, a skończyła w pobliżu środka. Zakłęcie wrzasnęło, gdy się rozwiało. Ogden sapnął jak człowiek, który powrócił do życia. Szarpnął się, zrzucając ją z nóg i usiadł z rozczochranymi włosami i dzikim wzrokiem.

Potem zalał się łzami.

– Elsie – wyszeptał. – Wreszcie. Uratowałaś mnie.
Upadł na kolana i zapłakał.

ROZDZIAŁ 25

Ogden wciąż był w rozsypce, kiedy przyjechała policja. Elsie zdołała wyciągnąć go z łodzi, ale leżał na pirsie jak przestraszone dziecko i drżał. Kiedy Elsie zobaczyła światła zbliżających się oficerów, zwinęła pozostałe zaklęcia w kulkę i wrzuciła je do rzeki, gdzie zniknęły z pola widzenia. Wszystkie oprócz jednego. Nauczyła się wystarczająco dużo łaciny, by zrozumieć jego cel. Jego znaczenie. Tę kartkę złożyła ciasno i wsunęła w stanik.

– Myliliśmy się – powiedziała, gdy otoczyli ją rojem. – Był tylko pionkiem. Abel Nash wykorzystał go jako kozła ofiarnego.

Te słowa przypomniały jej o Amerykaninie z Juniper Down. Miał rację. Ona też była bezwolną marionetką. Ale czyją? Skąd ten człowiek o tym wiedział? Kim był? Policja ją przesłuchała. Zapytała o Bachusa i widząc ich zdezorientowane spojrzenia, powiedziała im, gdzie go znaleźć i żeby się pospieszyli. Pragnęła sama ich tam zaprowadzić, ale Ogden... Nie mogła go zostawić, nie teraz. Z ulgą, że jednak nie był czarnym charakterem, czego tak się obawiała, walczyła z niepokojem o to, co to wszystko może znaczyć. Udzielała niejasnych, zmęczonych odpowiedzi na pytania policjantów. Następnie zażądała, aby Ogden został przewieziony do szpitala. Zanim odeszli, Ogden szepnął:

– Zajmę się poszukiwaczem prawdy.

Słowa odbijały się echem w jej uszach. Ależ oczywiście – mistrz umysłowego aspektu mógłby z łatwością sprawić, by poszukiwacz prawdy uwierzył, że już przeprowadził przesłuchanie. Potrafił sprawić, że uwierzy we wszystko.

To musiało być częścią planu, kiedy sprawca – Nash? – włamał się do ich domu. Atak musiał być próbą rozwiania podejrzeń, zaplanowaną przez twórcę zaklęcia, które kontrolowało Ogdena.

Elsie została z Ogdenem w szpitalu. Czekala w kącie, kiedy wszedł ten sam poszukiwacz prawdy, co wcześniej, przybrał pusty wyraz twarzy i wyszedł. Powiedział funkcjonariuszom, że Ogden jest niewinny – że uciekał tylko dlatego, że się przestraszył. Nash pracował sam. Wydarzenia tej nocy były równie dezorientujące dla panny Camden, jak dla wszystkich innych. Tyle było prawdą. Elsie nie była pewna, w co wierzyć.

* * *

Zmęczenie oklejało Bachusa tak dokładnie jak mokre ubranie, ale mimo wszystko brnął przez mały szpital, postępując zgodnie ze wskazówkami udzielonymi mu przez sanitariusza. Melodia starej piosenki, którą śpiewała jego niania, dźwięczała mu z tyłu głowy. Oparzenie na nodze otrzymane w walce z Ablem Nashem bolało tępo, a do tego wciąż zbierał kawałki kamienia i pyłu z włosów. Policja zabrała kilofy do więzienia, czekając na przybycie łamacza zakłęb. Zrobiliby to szybciej, gdyby Bachus powiedział im, gdzie kopać, by dostać się do runy. Ale wtedy musiałby wyjaśnić, skąd wiedział, a to nie było możliwe. Nie, jeśli chciał zapewnić Elsie bezpieczeństwo. Bachus Kelsey bardzo chciał zapewnić jej bezpieczeństwo.

Znalazł pokój. Drzwi były uchylone. Znając upodobanie Elsie do prywatności, zastanawiał się, czy lekarz był niedawno w pokoju i nie zamknął ich za sobą. Cuthbert Ogden leżał na wąskim łóżku pośrodku małego pomieszczenia i wyglądał, jakby postarzał się o dziesięć lat. Zaś Elsie siedziała na krześle obok niego, opierając łokcie na kolanach. Włosy miała potargane po przejażdżce konnej i walce. Policja opowiedziała Bachusowi w zarysie co się stało, chociaż wolałby wysłuchać relacji Elsie. Podejrzewał, że było wiele rzeczy, o których policja nie wiedziała.

Zdał sobie sprawę, że nie był tak cichy, jak myślał, kiedy Elsie drgnęła i odwróciła się. Kiedy pchnął drzwi i wyszedł z cienia, zerwała się na równe nogi, lekko się chwiejąc – musiała być wyczerpana. Podbiegła do niego, a Bachus przygotował się na uścisk, ale zatrzymała się w ostatniej chwili z wahaniem. Zamiast tego chwyciła go za przedramiona.

– Tak się cieszę, że nic ci nie jest – wyszeptała, spoglądając z powrotem na Ogdena.

Obracając ramię, by móc chwycić Elsie za rękę, Bachus zapytał:

– A ty? Jesteś ranna? – potrząsając głową, Elsie stłumiła ziewnięcie.

– Nie. Nic, czego nie wyleczy odpoczynek.

– W takim razie powinnaś odpocząć. Będę go obserwował.

Zmęczony półuśmiech zagościł na jej ustach.

– Nie, muszę zostać. Muszę tu być, kiedy się obudzi. Podróż, walka... – odsuwając się od niego, zrobiła krok, by zamknąć drzwi, a potem przeszła na drugi koniec pokoju, przy oknie, gestem zapraszając Bachusa, by poszedł za nią. Kiedy znaleźli się poza zasięgiem słuchu osób na korytarzu, wyszeptała: – Był taki jak ty, Bachusie. Miał zakłęcie, którego nie widziałam. Nie słyszałam. Nie wiem jak długo... Nie sądziłam, że zakłęcie można rzucić tak potajemnie. Musieli zmusić go do użycia magii, żeby mnie odciągnąć.

Ogarnęło go zmieszanie.

– Jego magii?

Przez chwilę przygryzała wargę. Wyjrzała przez okno.

– Jest mistrzem aspektu umysłowego, Bachusie. Był przez cały ten czas. Niezarejestrowanym, jak ja.

To wyznanie sprawiło, że opadło z niego zmęczenie.

– Jesteś pewna?

Kiwnęła głową. Przyłożyła rękę do piersi, a potem ją opuściła.

– Jestem pewna.

Bachus spojrział na leżącego na łóżku nieprzytomnego mężczyznę. Nigdy by się nie domyślił. Aspektoży umysłowi byli ściśle monitorowani, bardziej niż inni, ze względu na rodzaje zaklęć, które mogli rzucić. Gdyby Elsie została odkryta, mogłoby jej się poszczęścić i trafiłaby do więzienia, ale Ogden zostałby stracony natychmiast.

– Masz moje słowo, że z nikim nie podzielę się tą informacją – mruknął.

– Wiem, że tego nie zrobisz.

Uśmiechnęła się delikatnie, a serce zacisnęło się w piersi Bachusa. Że tak łatwo mu zaufała, po tym, jak zaczął się ich związek... to było znaczące. Powstrzymując myśli, zapytał:

– Kto to umieścił? Jakie to było zaklęcie?

– Duchowe. Takie, które go kontrolowało – przysunęła się bliżej, ciepło bukowało między nimi. – To najbardziej mistrzowskie zaklęcie, jakie kiedykolwiek spotkałam. Nawet bardziej niż zaklęcie syfonu. Nigdy nie rozwiązałabym go na czas, gdyby nie walnął się w głowę i nie dał mi wskazówek.

– Wskazówek?

Machnęła ręką na to pytanie, opowie innym razem.

– Nie wiem, kto je umieścił. Nie dowiemy się, dopóki prawdziwy sprawca tych zbrodni nie zostanie złapany. Był taki zdeorientowany, Bachusie.

Dłubała przy szwie rękawa. Bachus jeszcze raz wziął ją za rękę.

– Nie obwiniaj się za swoje zaangażowanie w tym wszystkim – wyszeptał. Gdy tylko wypowiedział te słowa, odwróciła wzrok. Ścisnął jej dłoń. – Masz silne poczucie sprawiedliwości, Elsie. Naprawdę myślałaś, że robisz dobrze. Gdybyś podejrzewała inaczej, nigdy byś nie pomogła... Jak ich nazywałaś?

– Kaptury. Myślałam, że były... – głos jej przycichł. Przełknęła ślinę. – Użyły mojego poczucia sprawiedliwości przeciwko mnie. Gdyby nie sprawiały, że czułam się, jakbym robiła coś ważnego, mogłabym zbytnio się bać, by złamać prawo.

Unosząc wolną rękę, uniósł palcem brodę Elsie, zmuszając ją, żeby na niego spojrzała.

– Nie lekceważ siebie za to, że jesteś odważna.

Odwróciła wzrok, a potem zwróciła go z powrotem na niego. Była tak blisko. Gdyby chciał, mógłby się pochylić i... Odsunął rękę.

– Co mogę zrobić?

Dała sobie chwilę na zastanowienie. Spojrzała na ich złączone ręce.

– Wiem, że jesteś wyczerpany, Bachusie, ale...

– Powiedz.

– Po prostu zostań, dopóki się nie obudzi – ścisnęła ponownie jego dłoń. – Po prostu... zostań.

* * *

Ogden został wypuszczony do domu następnego ranka. Bachus zapłacił własnymi pieniędzmi za wynajęcie powozu z powrotem do Brookley. Ich rozstanie było tak niewyraźne, byli tak zmęczeni, że Elsie ledwo je pamiętała. Ale to już minęło... Dobrze. Byłaby nawet zadowolona, gdyby nie niezliczone pytania, które wciąż ją dręczyły. Jak wyjaśnią to Emmeline? Ona i Ogden będą musieli wspólnie popracować nad swoją historią.

Po tym, jak dostanie odpowiedzi na swoje pytania. Elsie odczekała tylko, aż konie ruszą naprzód, zanim powiedziała:

– Muszę wiedzieć, co to za zaklęcie.

Ogden, który wyglądał na wynędzniałego, oparł głowę na dłoniach.

– Duchowe. Nie wiem, jak działa. Można by pomyśleć, że kontrola umysłu powinna być umysłowa, ale to było coś więcej. Sięgało głębiej.

– Kto cię kontrolował? – Elsie zignorowała wybój na drodze, który wstrząsnął powozem.

Jego ręce zwisały bezwładnie między kolanami.

– Nie pamiętam. Nie chciał być znany. Ale to było... dekadę temu, Elsie. Nie pamiętam dokładnie... Aspektor nie chciał, żebym wiedział. To jest otoczone mgłą. Ale... – zawahał się i spojrzał na nią. Jej serce pękło na pół.

– Ale to musiało się stać, kiedy pojawiłam się w twoim życiu.

Słowa Amerykanina wciąż dzwoniły jej w głowie: *Jesteś pionkiem.*

Skinął głową, wyglądał na chorego.

– Elsie, zaklęcie tam było, ale ten człowiek nie mógł kontrolować każdej części mojego życia. Nie mógł kontrolować moich myśli. Myślę o tobie jak o córce. Ja... – przełknął ślinę, a Elsie uszczypnęła się, żeby skupić się na fizycznym bólu, a nie na udręce rozkwitającej w jej wnętrzu. – Ja naprawdę

szukałem wtedy pomocnika. Musiał mnie zauważyć po tym, jak cię przyjąłem do pracy... Wtedy zdał sobie sprawę z tego, kim jestem.

– Aspektorem umysłowym – powiedziała Elsie, po czym odchrząknęła, odganiając tworzącą się w jej gardle gulę. – Mistrzowskim aspektorem umysłowym.

Pokiwał głową.

– Byłem bardzo ostrożny z moimi zaklęciami. Sprawilem, że pomyślałaś, że krople świecą słabo. Źle napisałem zaklęcia na moim ramieniu, żeby ich nie wchłonać.

– Twoje fizyczne zaklęcia...

– To było prawdziwe – zatarł ręce. – Nauczyłem się ich, zanim cię spotkałem, dla mojej sztuki. Upewniłem się, że widzisz tylko te. Zrobiłem, co musiałem, czego on ode mnie chciał, żebyś się nie domyśliła.

Potrząsnęła głową. Dlaczego kontrolował Ogdena, a nie ją? Z drugiej strony Kaptury pojawiły się w jej życiu, gdy była dzieckiem... Były jej wybawcami, jej religią. Nie potrzeba było zaklęcia, by podbić serce zrozpaczonej małej dziewczynki.

Zimny dreszcz rozkwitł między jej łopatkami i przebiegł aż do palców stóp. To ona uciekła do zakładu kamieniarskiego z domu dziedzica Hughesa. Poprowadziła Kaptury prosto do Ogdena. Poznały jego sekret i uczyniły go swoim więźniem.

Gdyby Elsie siedziała w miejscu, nigdy nie padłby ich ofiarą.

Och, gdyby tylko powóz połknął ją w całości. Przycisnęła dłoń do piersi, jakby mogła zmusić swoje serce do pozostania w jednym kawałku poprzez nacisk dłoni. Dekada. Dziesięć lat uzurpowania sobie jego woli przez kogoś innego, wszystko dlatego, że Elsie nie chciała szorować naczyń dla nadętego szlachcica. *Daj temu spokój*. Próbowała zakopać myśli głęboko w swojej świadomości. Musiała ułożyć wszystkie elementy tej układanki, zanim pozwoli im się rozpaść. *Daj temu spokój, przynajmniej na razie*. Ale, Boże, dopomóż, gniew bolał.

– Dlaczego się nie zarejestrowałaś? – jej głos był ochrypłym szeptem, mimo że woźnica w żaden sposób nie mógł ich podsłuchać. Musiała podążać dalej, aby zachować swoje rozpaczliwe spostrzeżenia na inną okazję. – Dlaczego przez cały ten czas udawałaś kogoś, kim nie jesteś? – potrząsnął głową i odchylił się na krześle. Wpatrywał się w szparę między drzwiami a zasłoną. – Ogden, zasługuję na to, by wiedzieć.

– Wiem – wbił palce w kolana. – Jestem liberalnym myślicielem, Elsie. Zawsze byłem. Byłem nawet w radzie parafialnej – kiwnęła głową, przypominając sobie ten fragment historii. Skupiła się na tym, by nie dopuścić

do siebie ponurych myśli. – Czy wiesz, że wszyscy zarejestrowani aspektorzy, w tym łamacze zaklęć, muszą zgłaszać się do królowej, ilekroć zostaną wezwani? Pracować nad tym, czego ona potrzebuje? Iść na wojnę, jeśli ona tego zażąda? Myśl, że mogę wpłynąć na politycznego łajdaka siłą swojego umysłu, a on nawet nie zda sobie z tego sprawy, była oszalamiająca. W pewnym momencie wierzyłem, że uda mi się skłonić ich wszystkich do stworzenia sprawiedliwych praw, moich praw, i nigdy nie dam się złapać. A potem myśl, że mógłbym przekonać kogoś, żeby mnie pokochał... – głos mu się załamał, a ręka powędrowała do gardła, jakby mógł go naprawić.

Elsie zacisnęła usta, jej gardło też się ścisnęło. Złożona strona opusu pod gorsetem wbijała się w jej obojczyk. Znowu minęła pełna minuta, zanim kontynuował.

– Mogłaś to zauważyć. Nie kocham ludzi, których powinienem. Kiedy zaczynałem to przedsięwzięcie, byłem młody i głupi. Nie szanowałem woli innych. Ale nie martw się. Życie ma swój sposób na nauczenie nas mądrości, kiedy jesteśmy na nią gotowi. Nie wpakowałem się w zbyt duże kłopoty.

Elsie pochyliła się do przodu i dotknęła jego dłoni wciąż spoczywającej na kolanie.

– Nie obwiniam cię – rozumiała pragnienie bycia chcianą, potrzebną. Ogden westchnął. – Nigdy wcześniej tego nie wykryłam – powiedziała.

Drugą rękę opuścił z szyi na serce.

– Rzadko byłaś wystarczająco blisko. Nawet ja wiedziałem, że jest dobrze ukryte. A kiedy patrzyłaś... Mogłem sprawić, że go nie widziałaś. Zrobić to na tyle szybko, żebyś nie wyczuła zaklęcia.

Czy nie podejrzewała tego? Dzięki swojej zdolności mógł odwrócić jej umysł od siebie, wyrwać wspomnienie prosto z jej mózgu. Jak często to się zdarzało? Czy wcześniej łączyła swoją pracę dla Kapturów ze zbrodniami opusowymi, tylko po to, by ta wiedza została jej zabrana? Ile razy słyszała pieśń duchowego zaklęcia rzuconego na Ogdena, tylko po to, by całkowicie zapomnieć o jego melodii?

– Więc dlaczego teraz pamiętam? – nie mogła jeszcze stawić czoła innym pytaniom. – Jak to z ciebie zdjęłam?

Ogden potrząsnął głową.

– On był zmartwiony. Zestresowany. Elsie, walczyłem z nim tak mocno, jak tylko mogłem. – Drżenie. Przerwa. – A on w końcu... Zapragnął też ciebie.

Elsie zacisnęła usta. To wyjaśniało sprzeczności w umysłowym zaklęciu, które na nią rzucił. To Ogden kazał jej iść do domu, a wpływ tego aspektora duchowego kazał jej iść z nim. Kaptury chciały teraz Elsie, tak jak pragnęły jej, kiedy zabrały ją z przytułku. Jakże ironiczne, że w końcu ją wtajemniczyły. Po

latach tęsknienia za ich aprobatą. Kilka dni wcześniej Elsie chętnie by do nich dołączyła. Zrobiłaby to bez zawahania. Pewnie dlatego właśnie Ogden powiedział jej o dokach Świętej Katarzyny. Ponieważ wiedział, że właśnie tam by się udał, gdyby jego kontroler kiedykolwiek zdecydował się wyciągnąć go z Brookley.

– Od tak dawna nie walczyłem z tym otwarcie – ciągnął Ogden. – Chciałem go uspokoić. Starłem się, aby moje wysiłki były delikatne. Stąd te wszystkie kościoły.

Elsie wyprostowała się.

– To dlatego skakaliśmy od kleryka do kleryka?

Zdobywając się na słaby uśmiech, powiedział:

– Chciałem studiować aspekty duchowe. Chciałem, żeby mnie zobaczyli. Nie wiem. Liczyłem na cokolwiek. Lata zajęło mi odgadnięcie runy tak, żeby on tego nie zauważył. I lata, żeby ci powiedzieć.

– Bez zwrócenia jego uwagi – dokończyła. Pokiwał głową. Objęła się ramionami. – Tak mi przykro. Ja nie wie...

– Nie mogłaś wiedzieć – wtrącił. Teraz sięgnął do przodu, uwalniając jedną z jej rąk i trzymając ją między swoimi. – Ale wiedziałem, że tylko ty możesz mnie uwolnić. Gdybym wszedł do tej łodzi, nigdy nie byłbym wolny. Lata zajęło mi nauczenie się runy tak, żeby on tego nie zauważył. Dałem ci każdą wskazówkę, jaką mogłem. W końcu je zrozumiałaś. Ale wolałbym zginąć w walce z nim, niż żyć jako jego marionetka.

Myśli Elsie poleciały z powrotem do Juniper Down, do dziwnego mężczyzny, który przystawił jej pistolet do głowy. Był aspektem duchowym.

– Osoba, która cię kontrolowała, nie była Amerykaninem, prawda?

– Co?

Szczegółowo opisała mężczyznę. Znowu pomyślała o jego informacji o artykułach, ale nadal nie domyśliła się, co miał na myśli. Tyle się wydarzyło, a nie znalazła jeszcze czasu, żeby to przemyśleć. Ogden ją puścił. Jego czoło zmarszczyło się.

– Ja... Nie pamiętam. Wiem, że widziałem go wtedy, za pierwszym razem. Ale zaklęcie zabraniało mi o tym myśleć, a po tak długim czasie nie mogę sobie przypomnieć. Nie sądzę. Ale ten Amerykanin coś wie. Jak miał na imię?

– Nie wiem – porażka miała kwaśny posmak w jej ustach. Nagle zeszywniała. – Ale mógłbyś go narysować, Ogden. Mogłabym ci go opisać, a ty mógłbyś go narysować.

Jego oczy pojaśniały.

– Tak – uśmiechnął się. – Tak, Elsie. Zrobię to.

* * *

– Cóż, też mi nieporozumienie! – zapiąła Emmeline. Elsie nigdy nie widziała młodej pokojówki tak wściekłej. – Żeby cię tak ścigać!

Emmeline mieszała galaretkę w garnku, jakby trzepała dywan z kurzu, ale dość łatwo zaakceptowała ich historię. Od tego czasu Elsie i Ogden odświeżyli się. Elsie pomyślała o policji, dokach, zakłeciach. I pomyślała o Bachusie. Jego obecność obok niej w małej szpitalnej sali, jego niski głos, jego dłoń obejmująca jej dłoń. Kiedy wyjeżdżał na Barbados? Elsie nawet nie zapytała. Z tego, co wiedziała, mógł wypływać nawet teraz. Pomyślała o jego policzku pod jej ustami, co sprawiło, że twarz jej zapłonęła. *Głupia kobieto*, pomyślała, oddychając z bólem, wbijającym się w jej pierś jak zardzewiały gwóźdź. Boże, zmiłuj się, to nie powinno tak bardzo boleć.

Może Ogden mógłby odsunąć od niej to uczucie. A jednak... Nie była pewna, czy chce, żeby to zniknęło. Było za wcześnie, żeby zdecydować.

Tej nocy, kiedy Emmeline udała się na spoczynek i wszystko wydawało się mniej więcej normalne, Elsie ubrała się w koszulę nocną i szlafrok. Siedząc na skraju łóżka, rozwinęła opusowe zakłęcie, które zabrała z doku. Nie była w stanie przeczytać go w całości, jedynie w części. Ale nie musiała – mogła rzucić to zakłęcie bez żadnej wiedzy. Bez żadnych kropli. Przesunęła palcami po słowach, które rozpoznała: *Memoriae, perdita*. Pamięć, zagubiona. Słowo *obliviscatur* przywiodło jej na myśl zapomnienie. Musiałaby zdobyć słownik łacińsko-angielski, ale była prawie pewna, że to zakłęcie polega na zapominaniu. Wyblakły czerwony atrament powiedział jej, że to umyślowe zakłęcie, co potwierdzało jej teorię. A sądząc po długości, mogło to być nawet zakłęcie mistrzowskie. Od kogo, nigdy się nie dowie. Ale widząc sposób, w jaki Ogden płakał i trząsł się w tym doku... Może się przyda. Miała nadzieję, że nie, ale nie potrafiła przekonać samej siebie, żeby się go pozbyć. Złożyła kartkę ostrożnie i wsunęła pod materac – tymczasowa kryjówka, dopóki nie wymyśli czegoś lepszego. Zawiązała świeżo umyte włosy na ramieniu i zakradła się do sypialni Ogdena. Nie zawracała sobie głowy pukaniem, spodziewał się jej, ze szkicownikami, ołówkami i węglem rozrzuconymi w nogach łóżka. Zamknęła drzwi i usiadła na kufrze. Nie czekając na pytanie, zaczęła opisywać Amerykanina.

– To zajmie kilka prób – zaczął od kształtu głowy i wąskiej szczęki, którą pamiętała Elsie. – Nie będę ci nic sugerował. Powiedz mi tylko, co pamiętasz.

– Był mniej więcej w twoim wieku. Opalony. Podróżował – zaproponowała. – Miał blisko osadzone oczy. Długie włosy. Linia włosów zaczynała się tu... – dotknęła swojej skroni. – I tu się kończyła.

Rysowanie zajęło Ogdenowi więcej czasu niż jej opis. Od czasu do czasu zaglądała mu przez ramię, oferując sugestie.

Po prawie godzinie Elsie zapytała:

– Gdzie trzymasz opusy, Ogdenie? Powinniśmy znaleźć sposób, by je zwrócić.

Ani na chwilę nie odwrócił uwagi od szkicu.

– Nie zatrzymałem ich. Zabrał mnie gdzieś, zanim udałem się do doku, nie do końca to pamiętam. Gdzieś, gdzie było ciemno i mokro. Kanały, a może grobowiec. Złapałem przypadkowe zaklęcia, aby móc się bronić, zanim ruszyłem dalej – zwolnik. – Umysł i duch to interesujące twory. Oddzielne, ale połączone. Być może, jeśli uda mi się zdobyć odpowiednią bibliotekę, będę mógł sam zbadać ich granice.

Wrócił do szkicowania. Elsie skinęła głową, zastanawiając się. Odtwarzała w myślach wydarzenia z ostatniej nocy. To, skąd Ogden lub kierujący nim władca marionetek wiedział, że należy uciekać, wciąż ją dezorientowało, ale nie chciała rozpraszać go pytaniami, zwłaszcza tymi, na które prawdopodobnie nie byłby w stanie odpowiedzieć. Zamiast tego patrzyła, jak rysuje. Szkic zaczął ożywać. Nie wyglądał do końca poprawnie, ale Elsie nie potrafiła poprawić bez Amerykanina stojącego przed nią dla porównania. Kiedy jednak Ogden narysował brwi, przerwał.

– To nie on – położył blok kolanach. – Wiem, że to nie on.

Elsie zacisnęła wargi i wzięła podkładkę do ręki. *Jesteś pionkiem*, powiedział. Co oznaczało, że on sam nim nie był.

– Warto było spróbować.

– Oczy... Oczy nie są w porządku.

Elsie wstała.

– Pamiętasz?

Zaciskając powieki, Ogden potarł czoło.

– Prawie...

Elsie odłożyła notatnik i krążyła po pokoju, myśląc. Otuliła się szczerze szlafrokiem. Było prawie lato, ale w pokoju było zimno. Czy warto było rozpalać ogień?

Ogień.

Zatrzymała się.

– Ogden... – podniósł wzrok. Spotkała jego zmęczone oczy. – Ta kobieta, która zabrała mnie z przytułku. Kobieta z... – zamknęła oczy, wyobrażając to sobie – ...z cofniętym podbródkiem.

Zamarł na chwilę.

– Kobieta – szepnął.

Stał nieruchomo jak słupek, przenosząc uwagę. Minęła chwila. Zesztywniał nagle, podniósł blok rysunkowy i węgiel. Szkicował w szale, rysując, cieniując, potem potrząsając głową i wyrywając kartkę, by zacząć od nowa.

– Kobieta. Widzę to. Kobieta... Tak... Prawie... – zaczął od podbródka, dodając wokół niego linie. Przeskoczył od tego do zarysowania włosów wokół twarzy. Bez stylu, bez kapelusza, bez szpilek. I czoło. Zaczął gęste brwi, potem rozmazał linie bokiem dłoni i przeciągnął je cienko. Naszkicował oczy, zatrzymał się. Odwrócił wzrok i pozwolił swoim palcom rysować z pamięci.

– Coś jak... – dodał ciężką powiekę i brew, która wyglądała prawie rosyjsko. Przez ciało Elsie przebiegł dreszcz.

– Boże, ocal nas.

Ogden odwrócił się do niej.

– Poznajesz ją?

Z suchością w ustach Elsie skinęła głową. Kobieta była teraz starsza i obraz był niepełny, ale znała tę twarz. I zrozumiała, dlaczego Ogden wiedział, kiedy uciekać.

– To jej szukał Amerykanin – powiedziała, a jej słowa były niewiele głośniejsze niż szmer. – Ona jest w Londynie. To Mistrzynie Lily Merton.